

Liczba inwentarza

8097

Szafa

45

Półka

C

Miejsce

2

15 1/3







# DRAMATA i KOMEDYE

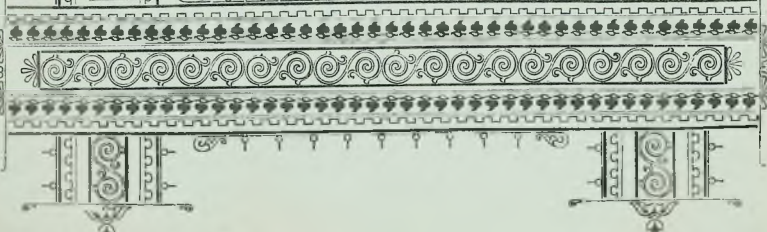
ADAMA BELCIKOWSKIEGO.

TOM I.

HUNYADY. — KMITA I BONARÓWNA. — ADAM  
TARŁO. — KRÓL-DONŻUAN.

KRAKÓW.  
NAKŁADEM AUTORA.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELL.,  
pod zarządkiem A. M. Kosterkiewicza.  
1898.





ADAM BEŁCIKOWSKI.

---

# DRAMATA I KOMEDYE.

TOM I.

8097/1

HUNYADY. — KMITA I BONARÓWNA.

ADAM TARŁO.

KRÓL - DONŻUAN.



BIBLIOTEKA  
Pracowniowej Szkoły Przemysłowej  
w Krakowie.

KRAKOW.

Nakładem autora.

DRUKARNIA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO  
pod zarządkiem A. M. Kosterkiewicza.

1898.

47403/1



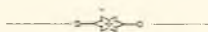
66.071

Wyciążono z zasobu  
dubletów bibl. Jagiell.



# HUNYADY.

DRAMAT W 5 AKTACH.





## OSOBY:

**Anna**, hrabianka Ronnow.

**Władysław Posthumus**, król węgierski.

**Władysław Hunyady**.

**Szilagyi**, jego wuj.

**Hadervary**,

**Bodo**,

**Kanisso**,

**Ulrych**, hrabia **Cilli**.

**Szecsi**, arcybiskup strygoński

**Gara**, ban Sławonii

**Giskra**, partyzant królewski

**Hrabia Urban**, stryj i opiekun **Anny**.

**Jonasz**, ciemny starzec.

**Jerzy**, jego wnuk.

**Paż**.

**Dwóch ludzi z gminu**.

} stronnicy Hunyadego.

} stronnicy Cillego.

Stronnicy Hunyadego i Cillego. Magnaci węgierscy. Lud.  
Rycerstwo.

Buda 1457.



# HUNYADY.

## AKT PIERWSZY.

### SCENA I.

*(Taras przed jedną częścią zamku królewskiego. Widok na okolicę niezupełnie gmachem zamkowym zamknięty. Jonasz wsparty na Jerzym wychodzą z bramy).*

**Jonasz.** Prowadź mię, dziecię moje! Mój krok słaby wspiera się na twem młodem ramieniu, a wzrok, który już zamarł na widok światła, twoją zrenicą patrzeć będzie. *(Przychodzą do ławki).*

**Jerzy.** Usiądźcie tu, ojcze! Stąd widać całą okolicę jak na dłoni, opowiem wam wszystko, co zobaczę.

**Jonasz.** O, swobodno mi tutaj, oddycham tem samem powietrzem, jakim kiedyś żyłem, a ono drgające okrzykami i moją pierś także porusza.

**Jerzy** *(patrzac za scenę).* Jakże cudowny widok! jakie tłumy ludzi! jak lśnią się migocące szyszaki i puklerze by brylanty, gdy słońce na nie padnie. Wiatr szamocze sztandarami nad głową uszczęśliwionych sławą wojowników, którzy po trudach walki przybyli szukać odpoczynku na ło-

nie ocalonych ziomków. O, jakże mocno musi bić to waleczne serce pod pancerzem, jak to pięknie być wojownikiem! A jakaż dopiero radość tego, który wie, że głos tego ludu jest głosem dziękczynnym całego narodu, ofiarą najdroższą na świecie, bo ofiarą z serca!

**Jonasz.** Nie każdemu dozwoli Bóg cieszyć się choć raz w życiu tem błogiem upojeniem sławy; dlatego też szczęśliwi ci, co go doznają.

**Jerzy.** Teraz dopiero czuję całą ciasnotę tych murów, poza które służba wyjść mi nie pozwala. O, rzucę wcześniej czy później mego pana, rzucę dworactwo, karmiące tylko chlebem, chwycę za oręż, natłukę kilkadziesiąt bisurmanów, zdruzgotę kilka chorągwi ich fałszywej wiary, wrócę do was szczęśliwy lub polegnę z chwałą! (*Milczenie*).

**Jonasz.** Czego milczysz? Popatrzno w pole; potóśmy tu przecie przyszli, aby widzieć, jak ojczyzna i król przyjmują swych wybawców.

**Jerzy.** Otoczone wieńcem ludzi, rota za rotą postępują w ścieśnionych szeregach. Co tu radości na obliczach wszystkich, witających i witanych! Ach, są i smutne oblicza! Ze skrepowanemi w tył rękoma, postępują smutne tłumy niewolników!... Na przodzie jadą wodzowie. Pomiedzy nimi jeden na białym rumaku, ze spuszczoną głową zdaje się nie dzielić powszechnej radości.

**Jonasz.** To młody Hunyady! — drogą stratą ojca okupione dla niego to zwycięstwo.

**Jerzy.** Ten bohater, o którym tyle się od mego ojca nasłuchałem! Och, jakże go kocham, jakże go uwielbiam, jakże czuję, sierota po ojcu, jego stratę! Oczu od niego oderwać nie mogę, teraz na niego tylko patrzeć będę. Podniósł głowę... Boże!...

**Jonasz.** Cóż ci tak głos zadrgał?

**Jerzy.** Boże wielki!... Matko święta!... To on!...

**Jonasz.** Kto taki?... kto on?...

**Jerzy.** To ten złotowłosy, rycerz, mój wybawca, który mnie, uwiedzionego z naszej rodzinnej wsi przez Turków, ocalił od niewoli lub śmierci! Gdyby nie on, wasza córka byłaby swego ostatniego syna straciła!

**Jonasz.** Boże! będę teraz wiedział, za kogo mam modły do Ciebie zasylać.

**Jerzy** (*całując rękę starca*). Puśćcie mnie, ojczy! — pobiegnę, padnę mu do nóg, ucałuję tę rękę, która mi życie dała, życie dla was i mej matki.

**Jonasz.** Wstrzymaj się, dziecko! Ta chwila wielkości, której teraz używa, jest morzem radości dla niego, w któreby wdzięczność twoja padła jak mała kropla. Wstrzymaj swą porywczosć — teraz nie dopuszczają cię do niego. (*Muzyka się odzywa marszem wojennym. Milczenie czas jakiś. Jerzy, kładąc u nóg starca, patrzy w dal. Muzyka ustaje*).

**Jerzy.** On i wodzowie zsiadają z koni, bierze w rękę sztandar, idzie naprzód, wprost ku bramie. Nie widzę go, mur mi go zakrył. Co tu ludzi w murach zamkowych! — mężczyźni i niewiasty wiewają białymi chustkami. Och, jego wszyscy muszą tak kochać jak ja!

**Jonasz.** Są i źli, którym on jest cierniem w oku.

**Jerzy.** W oknie narożnej wieży stoi hrabianka Anna. W rękę jej niema chustki, ale ona pewnie najserdeczniej go wita. Czegoż jej twarz, otoczona zwojem czarnych włosów, tak blada jak szata, w którą odziana? Przez to śliczne oblicze jaka cudna przebija się dusza! Od czasu, jak ze swym stryjem przybyła tutaj, zdaje mi się, że anioła mamy między sobą. (*Żywo*) Znów go widzę — ach, na krótko! weszli wszyscy do zamku. Okna się zamykają, rycerstwo z mieszczanami rozchodzi się do domów — skończyło się już wszystko.

**Jonasz.** Wróćmy i my do siebie (*wychodzą*).

SCENA 2.

(Sala tronowa).

**Cilli** (*wchodzi bocznymi drzwiami*). Wyszedłem zwycięsko z najcięższej walki człowieka — walki z losem przeciwnym. A całą mą bronią, wszystkimi sprzymierzeńcami — byłem ja — ja sam sobie. Długo ciężka jego ręka gniotła me spętane chęci i skutą wolę — jam znosił jej ciężar — znosiłem, szydząc i gardząc jego przemocą. Uprzykrzyła się wreszcie memu tyranowi duma niewolnika — spuścił ze mnie swą rękę, a ślepe szczęście posadziło mnie na tronie pomyślności. A ja — jak szydziłem z losu, który mię uwolnił, bo uwolnić musiał, tak szydę ze szczęścia, które bez swej woli i chęci — ślepe — przybyło do mnie! Niewolniku, który rozdajesz trony, kiedy inni, płacząc i wzdychając, oczekują twego przyjscia, jam siłą woli przyciągnął cię ku sobie! — tyś musiał mi podać swą dłoń, wybawczynię moją z nizkości!... Och, uwieńczę się laurem, lecz zmyję go krwią tych, na których go zdobyłem.

**Król** (*wchodzi z licznym orszakiem, w którym są: Giskra, Szecsi, Gara i inni stronnicy Cillego. Odpowiada na ukłon Cillego. Wchodzi na stopnie tronu*). Niech wejda! (*Usiada. Paź otwiera drzwi boczne. Hunyady ze sztandarem w ręku, za nim Szilagyi, Bodo, Kanisso i kilku Rycerzy ze znakami tureckimi wchodzi*).

**Hunyady** (*zbliża się ku tronowi*). Miłościwy królu! ten znak powierzyłeś mojemu ojcu, gdy szedł, by ocalić tve państwo, a swą ojczyznę, by zatrząść potęgą tego, który skruszył bizantyńskie cesarstwo, i na murach Konstantynopola zatknął chorągiew Mahometa — ten znak, z którym walczył i zwyciężał, okryty wawrzynami, przysyła ci



przez swego syna, bo sam leży w tej ziemi, za którą walczył.

**Król.** Przyniosłeś nam, rycerzu, zwycięstwo, i potwierdziłeś tę okropną wiadomość, która obiegała po kraju, która wyciskała nam i wszystkim łzy — i teraz je jeszcze wyciska. Umarł, lecz żył jak mało ludzi — do krańców Europy doszła jego sława, każdy chrześcijanin wspominał ze czcią jego imię, a poganie na to imię drżeli. Bóg mu na ziemi użyczył, co dla człowieka najwyższem szczęściem — a tam obdarzył pewnie stokroć droższą nagrodą obrońcę swej wiary.

**Hunyady** (*stawia sztandar przy tronie, obracając się na wpół ku Rycerzom*). To towarzysze Jana Hunyadego, dzielni obrońcy Belgradu, którym się także część sławy należy.

**Król.** Te znaki na wieczną pamiątkę waszego męstwa zawiesić każemy w naszej katedrze; odległym pokoleniom świadczyć będą o męstwie ich praojców. Rycerzu Hunyady, jeśli utrudzenie wam nie przeszkadza, opowiedzcie nam w tej uroczystej chwili, która serca nas wszystkich porusza, koleje waszego zwycięstwa.

**Hunyady** Chętnie uczynię zadość woli waszej, miłościwy panie. Wysłałeś wojsko swe na pomoc zagrożonemu przez niewiernych Belgradowi. Walily się już mury warowni pod gromami trzykroćstosięcznej powodzi niewiernych; słaba załoga ostatnich już sił dobywała: lada dzień miało miasto otworzyć swe bramy dzikim hordom Mahometa. Tą nadzieją pieścił się dumny władzca, gdy nagle ze wściekłością ujrzał ogniste płomienie swej floty płonącej na Dunaju, usłyszał okrzyki i radosne bicie dzwonów w grodzie uszczęśliwionym przybyciem wybawcy. To myśmy przybyli! Niedługo dali nam wytchnąć pohańce. Jak jeden olbrzymi bałwan, pochłaniający burzą schwytanym okręt, tak niezliczone tłumy z wrzaskiem

i okrzykiem, wśród grzmotu trąb i kołków, wśród ryku dział rzuciły się na mury twierdzy, chcąc je zgnieść sobą! Mury nie byłyby się im oparły — piersi Węgrów silniejsze były od murów. Najokropniejsza i stanowcza chwila już przeszła — przegrana odjęła wrogom ducha, naszego zaś wzmocniła. Lecz duma Mahometa nie mogła na to pozwolić, aby on, co zgniół cesarzów, gród ich zdobył, przed garstką walecznych ustępował. Szturm po szturmie przypuszczał, nie dając nam odpoczynku. Nieraz już powiewała zielona chorągiew na murach twierdzy. Turcy wdzierali się aż w głąb miasta, lecz chorągiew wkrótce tarzała się w prochu, niewierni cofać się znów musieli. Wyszliśmy wreszcie do ostatniej walki o śmierć lub życie. Zgiełk, wrzawa i wrzaski napadniętej hordy zmieszane z naszymi okrzykami nie dają słów dowódców słyszeć; każdy walczy z wściekłością; wre straszna rzeź po wszystkich końcach. Tu i tam mignie lśniący bułat wodza, zabieli się kita szyszaka — jęków nie słyhać, nikt nawet jęczeć nie ma czasu — krwi nie znać, bo całe pole nią zafarbowane...

**Król.** A wasz ojciec?...

**Hunyady.** Wir walki porwał go w środek nieprzyjaciół; sam z kilku rycerzami roznosi postrach i śmierć. Aż wreszcie ognista broń i jego dosięga. Z rozdartą raną, z ciekącą krwią rzuca się rozdrażniony tygrys na nieprzyjaciół. Oslabiona ręka słabe tylko zadaje razy — oko przestrasza jeszcze wrogów. Lecz i to omdlewa. Beztrwożni rzucają się na bohatera. Biegniemy i my... za późno! Rozbita tłuszcza pędzi ku swemu obozowi, roznosząc popłoch i zamieszanie. Tym potokiem porwana reszta ich wojska nie może przyjść do siebie, nie ma czasu ni miejsca stawić nam czoła, bo nad ich karkami wiszą nasze miecze. Uciekają wszyscy — a pierwszy Mahomet! ów gro-

żny Mahomet, postrach i bicz Europy! My pędzimy za nimi, znacząc ślady ich hańby, a naszego zwycięstwa, pięćdziesięcioma tysiącami tureckich trupów. Och, zwycięstwo ile ma w sobie uroku, ten tylko pozna, kto choć raz zwyciężył!

**Król.** Bogu najwyższemu niech będą dzięki za pomoc w naszej sprawie! Wy, dzielni wodzowie i rycerze, przyjmijcie moje podziękowanie; mniejsze ono daleko od waszej zasługi, ale wasza służba opłacić się nie da.

**Szilagyi.** Wielką dla nas nagrodą wasze uprzejme słowo. Czyniliśmy, ile nam sił stało, szukając zapłaty w świętości sprawy i w zaspokojeniu sumienia. Lecz jeśli W. K. Mość chce odpłacić nam nasze trudy i poświęcenie, najgodniejszym tego jest ten młodzieniec, któremu skromność nie dozwoliła o własnych zasługach nie wspomnieć. W czasie całego oblężenia, ile dni ono trwało, tyle nowych zwycięstw odnosił, a po śmierci ojca, on to, gromiąc niewiernych, zadał im taką klęskę, że na wiele lat państwo W. K. Mości od ich napadu spokojnem być może. Ojciec jego, umierając, kazał cię prosić, byś godność tę, którą on piastował, przeniósł na syna; a tą jego wolą nie kierowała ślepa miłość ojcowska, lub żądza wyniesienia własnego rodu, lecz poznał pewnie w swym synu chęci i siły potemu; bo Hunyady więcej niż dzieci kochał ojczyznę.

**Cilli** (*na stronie*). O dumny rodzie, jakże umiłowałeś władzę!

**Hadervary.** Jeżeli prośba nasza może mieć wagę u ciebie, miłościwy królu, imieniem całego rycerstwa o to cię prosimy.

**Bodo.** Imieniem tego rycerstwa, które ci teraz tron ocaliło; w imię zasług ojca, jego własnych, za tę krew wylaną na polach Dunaju! Jemu powierz tę władzę, którą tylko w jego rękach za prawą

uważać będziemy, bo jemu tylko powierzyć ją chce naród.

**Cilli** (*na stronie*). Nie możecie większej sprawić mi rozkoszy, jak błagając o to, co ja już posiadam, pnać się tam, gdzie ja już stoję.

**Król** (*zmieszany, lecz ze wzrastającą mocą*). Umiem cenić zasługi każdego i opłacę je godnie. O władzy najwyższej Palatyna, o którą prosicie dla tego ze wszech miar godnego jej wojownika, nie rozstrzygam ja, lecz rada państwa; tę złożyliśmy, jak tylko do nas wiadomość o zgonie naszego namiestnika doszła. Co ona postanowiła, spodziewam się, że jak dla mnie, dla każdego z was świętem będzie. Wyrok jej ogłoszonym ma być zaraz po potwierdzeniu śmierci Palatyna — wkrótce się więc o nim dowiecie. Wynagrodzenie tych poświęceń i ofiar, któreście państwu oddali, leży mi tutaj (*Pokazuje na serce. Powstaje i oddala się powoli. Za nim Cilli i Szecsi. Stronnicy Hunyadego w pomieszczeniu*).

**Gara** (*do Giskry*). Podobnośmy tu już niepotrzebni. Zawszaby jeszcze zaczynać z nimi, a jak z oczu im widać, chęci im do tego nie braknie.

**Giskra**. Patrzą na nas jak zgłodniałe wilki, gdy stado za żelaznymi kratami wesoło płasza. (*Stronnicy Cillego odchodzą*).

**Szilagyi** (*silnie*). Zgaduję naprzód, jakie będzie postanowienie tej rady. Rada państwa!... Co się to u nich teraz nazywa tą głową kraju?... Czy gromada kilkunastu przybylców niemieckich i wysłańców ze zgrai Giskry?... Rada państwa! A my jej wyroki przyjąć mamy, ścierpieć każdego, kogoby nam narzuciła, choćby ten nawet był Cillim!... Gdzie byli oni? gdzie był ten Cilli? gdzie był król, gdyśmy krew pod Belgradem leli? Wyjechali na łowy i zagnali się za zwierzem aż pod Wiedeń!... I teraz, gdyśmy mu tron ocalili, gdy

za jego sprawę legł ten, którego całe chrześcijaństwo swym obrońcą zwało, on niewdzięcznik...

**Hunyady.** Przestańcie, Szilagyi, bo krzywdzicie siebie, mnie i nas wszystkich, a znieważacie cienie mojego ojca! — On — ja! za niegośmy krew wylewali? za to cacko, którem się bawią wszyscy dworacy? za tego niewieściucha w koronie, który o tem pewnie nigdy nie pomyślał, że on królem i poco on królem? My swą krew za niego? Och, nie, przysięgam, nie! Nasza krew płynęła za wiarę i ojczyznę i dla miłości sławy! — Nie dlatego mowa króla pokryła mi smutkiem czoło, iżby moja duma obrażoną została, iżby chęć godności, pycha wyniesienia upokorzona była. Nie, na święte imię Boga, nie! Ale ta władza dostanie się w ręce niegodne, bo niegodziwcami król otoczony; nie dostanie się w ręce rodaka, bo jej żaden z nas nie otrzyma: bo tę władzę otrzyma Cilli! Ten łotr wygnany już raz z kraju, ten gad, który się do nas znów wśliznął, ta źmija, która na naszą ojczyznę jadem tylko bryzga, a jej wieńce laurowe zrzuci z ołtarzów, podeptać je każe!.. Ta wojna — to rycerstwo, z którem wyгнаłbym pogan z Europy, wznosił tam znów krzyże, gdzie oni je zwalili, dostanie się w ręce nędznika, którego serce nigdy do sławy nie zabiło!.. Teraz zgiąć mi się przyjdzie pod jarzmo, jakie na mnie włożą, albo uciec od niego — od nich — uciec z ojczyzny!..

**Bodo.** Czy nie masz dość siły, by je skruszyć?..

**Hunyady.** Zabić go?.. czy on stanie, gdy mu rzucę rękawicę przed oczy?

**Bodo.** Naco tyle zachodu? uzbrój silną jaką rękę lub własną swoją i uderz w te niegodziwe piersi!

**Hunyady.** Nie, nie chcę morderstwa, któreby ludzie okrzyczeli wnet za dzieło obrażonej pychy, i pragnę czystym być przed samym sobą.

- Hadervary.** Dwóch was jest synów jego wroga: ty i twój brat Maciej; a dopóki choć jeden z was żyje, nie ma on spokoju. Duma budzić go będzie ze snu obrazem waszej potęgi, trwoga nie da mu zasypiać, bo kładąc się na spoczynek, wie, że wy żyjecie. Ale Cilli chce mieć nocy spokojne!.. On zechce ocalić moc swoją tym środkiem, którym ty życia nie chcesz.
- Hunyady.** Czy na takich podwalinach wsparte wszystkie wielkości świata?.. Po krwią oblanych stopniach, po łzach, po niewoli, po rozpacz i gorszem od wszystkiego, poniżeniu innych, wstępują wielec i zasiadają na tron wielkości!
- Paź** (*wchodzi.*) Władysławie Hunyady, król was wzywa.
- Hunyady.** Idę (d. s.) Coś mię odpycha od tych drzwi. Zdaje mi się, że są skałą, o którą się fale mego życia rozbijają i w inną stronę, innym popłyną prądem! (*Odchodzi szybko — za nim Paź.*)
- Szilagyi.** Wiem, poco go wezwano! Król będzie go głaskał jak przewrotny człowiek dziecko, gdy za złoty pieniądz liczbom mu zamienia. Kilka błyszczących słówek, obwinionych jedwabiem uśmiechu, będzie jego nagrodą — szyderstwem nagrody.
- Bodo.** Do stu piorunów, czemuż ja tam iść nie mogłem! Czuję, żebyśmy się godnie z Cillim powitali.
- Hadervary.** Ach! poziome gady, umiejące zgnieść wszystko, co ponad nich głowę swą podniesie! Razi ich widok wyższości jak sowę blask słońca. Ale przysięgam, że wcześniej czy później policzymy się z nimi — damy im poznać także słodczyce, jakimi nas teraz raczą.
- Bodo.** Na rany Chrystusa, byleby niedługo na to czekać! (*Głębią sceny przechodzą stronnicy Cillego wśród śmiechu.*)
- Szilagyi.** To śmiech tryumfu nad nami! — tem nienawistniejszy, że z tak ohydnych ust pochodzi. Wpśród tych, których bogiem ulubieniec losu,

a obłuda cnotą, wychował się nasz król, któremu posłuszeństwo i cześć winniśmy. Zielony liść młodej gałązki zeszpeciły swą śliną te ślimaki i wyssały z niego wszystko, co tylko dobrego na ziemię przyniosł.

**Hunyady** (*wybiega szybko z pokoi królewskich*). Przekleństwo tym, co burzą gmachy naszej myśli! — przekleństwo tym, co nas z drogi, którą duch dąży do swego celu, prowadzą na drogę od ludzi ubitą! — przekleństwo tym, co władzę boską sobie przywłaszczają ujęcia tego, co najdroższe w człowieku — skrzydeł jego ducha!..

**Szilagyi** (*chwytając go za rękę*). Co znaczą te szalone wyrazy?

**Hunyady**. Tak, to szaleństwo!.. Ale tu wulkan był okropny — wybuchnąć musiał; ale tu powódź była okropna — wybiedz za brzegi musiała! (*Zimno*) Król chciał mię uczynić pierwszym ze swych dworaków... Odrzuciłem tę łaskę, bo wiem, że-bym nowemu powołaniu godnie odpowiedzieć nie umiał.

**Bodo**. Ach! łotrze Cilli, jakież zły duch opiekuje się tobą, że cię ziemia tak długo nosi!

**Hunyady** (*po chwili z ironią*). Tak, przychodzi mi teraz wierzyć, że król uczynił to dla mnie z miłości, z pieczołowitości matki głupiej, ale zawsze kochającej. Aksamit i szpada lżejsze od topora i zbroi; snadniej mi przyjdzie łykać woń pachnideł niż kurzawę bitwy!.. Ta zbroja mi ciąży! (*Zrzuca szyszak z głowy*). Precz! (*Odpasując gwałtownie miecz*). Ha, jakbym śmiesznie wyglądał z tym żelaznym drągiem pośród dam dworskich! (*Wyjmując miecz z pochwy*). A gdyby która z ulubienic ujrzała krew na tobie lub ten szczerb, na twardej czasce Muzułmana wyciosany — gotowa zemdleć! — Mieczu mój, ołtarzu i skarbie mój! w twym połysku, omywając twarz, przyglądałem się, gdzie ją krew zlała; wbity w zie-

mię, byłeś moim krzyżem; przed tobą na kolana-  
nach do Boga się modliłem! każą mi ciebie opu-  
ścić, porzucić — och nie! Pókiśmy obaj, pótyśmy  
silni — nie rozstaniemy się z sobą — nie! A gdy-  
by gwałtem chcieli mi cię wydrzeć, ty siłą siłą  
odeprzeć zdołasz — ty pomścisz się za mnie i za  
siebie!... (*Wychodzi szybko*).

**Szilagyi.** Losie! ciężarny w następstwa, w czyjaż głowę  
uderzysz swym gromem? (*Wychodzi z innymi*).

### SCENA 3.

Mieszkanie Anny.

(*Wchodzą z jednej strony Anna, z drugiej Urban*).

**Urban.** Hunyady powrócił, Anno...

**Anna.** Wiem. Widziałam go z tego okna.

**Urban.** I ten powrót cię nie cieszy?..

**Anna.** Jestem szczęśliwa, że powrócił z życiem i chwałą.

**Urban.** A jednak twarz twoja blada, oczy spuszczone  
na dół...

**Anna.** Jestem szczęśliwa, powiedziała, ale nie mogę  
zdobyć się na radość.

**Urban.** Czy go nie kochasz już jak dawniej?... Serce  
ludzkie podlega zmianom — taki jest porządek  
tego świata.

**Anna.** Stryju, skąd to przypuszczenie! — Nie mogę cie-  
szyć się całą duszą, bo się lękam...

**Urban.** Lękasz się swego kochanka?

**Anna.** Nie. Lękam się, abym nie była, chociaż nie-  
winnie, przyczyną jego bolesti.

**Urban.** Nie rozumiem cię dobrze.

**Anna.** Wiesz, co zaszło w czasie jego nieobecności,  
wiesz, że nieszczęściem zwróciłam oczy króla na  
siebie, że tu bywał, że...

**Urban.** I dlaczegoż cię to tak przeraża?

**Anna.** Ach, pytasz się o to! Czyż nie mogę paść nie-  
winną ofiarą zazdrości Hunyadego albo ludzkiej



potwarzy? Czyż wiem, co mam teraz czynić? Czy wyznać mu wszystko, wypowiedzieć to przed nim, na co sama myśl moja się oburza i zakłócić mu spokój, rzucić ziarno niezgody pomiędzy niego a króla? Czy milczeć i każdej chwili się obawiać, że mię zdradzą te nieme ściany, wydadzą ślady na twardej posadzce i najokropniejszym podejrzeniem napoją jego duszę! Ha, cóż mam czynić!.. Milczenie jest niebezpieczne, a przecież więcej skłaniam się, ażeby milczeć w nadziei, że sprawiedliwy Bóg rzuci zasłonę na te ohydne sprawy. Powiedz mi, czy ja dobrze chcę uczynić?

**Urban.** I mnie się zdaje, że milczenie jest lepsze. Poco mu zatruwać spokojność. Może nigdy nie dowiedzieć się o tem, i boleść ta nie będzie dla niego istnieć. Gdy przypadkiem wiadomość ta dojdzie do jego uszu, powinien jej nie wierzyć, jeśli cię prawdziwie kocha, a ty zmuszona dopiero zadasz mu ten cios, jaki koniecznie w tym razie przesyć go musi. Tak, milcz lepiej — (n. s.) milcz i utoruj w jego duszy przystęp podejrzeniom i niewiarze.

**Anna.** Niech Bóg zmiłuje się nade mną! — To on odchodzi — słyszę jego kroki. O Boże, czemuż moją radość przygłusza groźba nieszczęścia i obawa przyszłości!

**Urban.** Odchodzę. Zostawiam was samych. Wobec gorąca serc waszych, moje, choć czujące, wydałoby się zimnem (n. s.) Wolałbym spojrzeć w oczy bazyliuszka, niż widzieć tego człowieka. (*Odchodzi*).

**Hunyady** (*wchodzi*). Moja Anno! — Nareszcie kropla radości orzeźwia mą zbolałą duszę.

**Anna.** Tak smutno dzisiaj witasz się ze mną...

**Hunyady.** Och, tyle smutków miesza dziś moją radość!

**Anna.** Daruj mi moje samolubstwo. Zapomniałam na chwilę, że utraciłeś ojca, chociaż mnie posiadasz.

**Hunyady.** On umarł, ale na jego grobie zakwitną laury własną krwią podlane — swą śmiercią dał życie wielkiemu czynowi, dlatego żyć będzie, dopóki ziemia ludzi i pamięć o ludziach na sobie nosić będzie. Ale nie wszystkie moje boleści znasz jeszcze, Anno.

**Anna.** Hunyady, przerażasz mię!.

**Hunyady.** Tak, ja syn tego bohatera z wytraconym mieczem, z pierśią bezbronną słuchać będę bezczynny powieści o tym, którego śladem iść mi należało i dążyć tam, gdzie on stanął.

**Anna.** Co mówisz?..

**Hunyady.** Król rozkazał mi opuścić te zastępy, z którymi dopiero porzuciłem zwycięstwo, Palatynem mianował Cillego, a ja miałem zostać przy dworze i przywdziać suknię dworską. Nie przyjąłem jej. Pękłyby jedwab pod biciem serca, które się przyzwyczyło o stal uderzać.

**Anna.** Uspokój się — nie pochylaj z rozpaczą młodego czoła. Miałabyś dozwolić swym wrogom tryumfu, że im tak łatwo zgiąć je do ziemi? Przyszłość twoja daleka, nie widać jeszcze jej granic, a źródła szczęścia na ziemi tak liczne. Ludzie nawzajem zatruwają je sobie. O, są źli ludzie na świecie! — Hunyady, unikaj ich — nie wierz im, a znajdziesz szczęście przy sercach, które dla ciebie biją.

**Hunyady.** O święta istoto, tyś jest jedyną moją pociechą — ciebie mi ludzie nie wydrą.

**Anna.** O, nigdy!

**Hunyady.** Tyś pamiętała zawsze o mnie, tyś mi przechowała tę miłość, jaka się kiedyś w dniach szczęśliwych poczęła.

**Anna.** Zawsze — na wieki!

**Hunyady.** Ponęty dworu, urok rozkoszy nie zachwiały twej stałości.

**Anna.** O nigdy! ja widziałam tylko ciebie w mej duszy; tęsknota była moją rozkoszą.

**Hunyady.** Dzięki ci, Anno. A jednak jam cię wtedy najmocniej kochał, gdy wzrok musiałem podnieść ku niebu, aby ciebie zobaczyć. Kiedy w zapale bitwy obraz twój stawał przede mną, kiedy ujrzał te oczy patrzące we mnie jak teraz, wtedy serce mocniej mi zabiło, męstwo owładnęło piersiami, bom wiedział, że to są zasługi, przez które mogę dostać się do nieba, gdzie ty przemieszkujeś. Teraz, gdy w beczynności jak robak mam pełzać, każde tve spojrzenie, każdy uśmiech zdawać mi się będzie datkiem litości. Ale dość tych rozpaczliwych myśli. Dziś chcę o nich zapomnieć — niechaj się nie mieszają ze świętymi uczuciami serca. Dziś poświęcam pamięci ojca i tobie. Dziś będziem się wspólnie modlić za jego duszę. Pójdź Anno. — Słyszysz te dzwony. One wzywają naród do oddania ostatniej przysługi bohaterowi. Pójdźmy do kościoła.

**Anna.** Pójdźmy. Modlitwa da nam spokój i uprosi szczęście u Boga.

**Hunyady.** Za takim jak ty aniołem ono zawsze postępować musi. Szczęśliwi, którzy się znajdują obok ciebie. (*Wychodzą*).

**Urban** (*wchodzi — patrząc za odchodzącymi*). Szczęście na ustach tych ludzi, jak w sercu każdego człowieka, który zaledwie pierwszy raz otworzy oczy, pierwsze jego westchnienie pragnieniem jest szczęścia. Ale dlaczegóż wy macie być szczęśliwi, a nie ja? Wy macie młodość i miłość — ja pragnę złota i bogactwa. Lecz los tylko tą żądzą mnie wyposażył — reszta ma być własnem mojem dziełem. Wy mi stoicie na drodze, muszę was usunąć. Poczekaj, Anno, jeszcze czas krótki. Miłość króla okryje cię hańbą przed ludźmi, kochanek cię odrzuci, wtedy w murach zakonu będziesz za swój grzech pokutować i koić cierpienie, a to złoto, które teraz jest twoją własnością, przejdzie na mnie, bo po tobie ja jestem

najbliższym dziedzicem twego ojca. Mój plan był mądrze i ostrożnie prowadzony. Urbanie, będziesz miał złoto, będziesz bogaty i potężny i o tobie opatrność nie zapomni! — A teraz oddajmy Hunyademu najpierwszą przyjacielską przysługę. *(Zbliżywszy się do drzwi, z których wyszedł, klaszcze).* Pójdźcie tutaj. *(Wchodzi dwóch ludzi z gminu).* Odebraliście wasze pieniądze.

**Pierwszy.** Tak jest, jasny panie.

**Urban.** Resztę dostaniecie, gdy dobrze wypełnicie polecenie. Jestem bardzo hojny, płacąc tak wiele za tak małą pracę.

**Pierwszy.** Któż będzie płacił, jeśli nie ci, co mają pieniądze. I kto tam może wiedzieć, czy nasza praca mała czy wielka; to tylko ci wiedzą, co będą zbierać jej owoce.

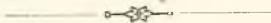
**Urban.** Pamiętajcie dobrze, co macie mówić?

**Pierwszy.** Możemy słowo za słowem powtórzyć jasnemu panu całą rozmowę, jak nas nauczono.

**Urban.** Dobrze. Teraz wyjdźcie stąd ostrożnie i udajcie się do kościoła. Starajcie się stanąć blisko niego, ile możności tak, aby od was był niby niewidziany. Dalej już wiecie.

**Pierwszy.** Jasny pan będzie z nas zadowolony.

**Urban.** Idźcie! *(Ludzie wychodzą).* Zaboli cię serce, mój rycerzu, ale lekarstwa na bole miłości nową dla ludzi są rozkoszą. *(Wychodzi).*



## AKT DRUGI.

### SCENA I.

(*Wspaniała sala rzędem kolumn na dwie części podzielona; pierwsza od widzów, próżna, w drugiej przy bogato zastawionym stole siedzą: Szecsi, Gara, Giskra, itd.*)

**Gara** (*uderzając o puhar Giskry*). Możemy już teraz swobodnie uderzyć w puhary!

**Giskra**. Raz się stało, jak się dawno stać było powinno. Pracowałem i ja od dawna nad obaleniem Hunyadych, ale Cilli ma lepszą głowę, czy też większe szczęście.

**Szecsi**. Wyście wojowali mieczem, w czym oni silni byli, a on tem, czego im nie dostawało — głową.

**Giskra**. Lecz myślę, że i na tak mocną głowę jak Cillego za twardym był murem stary Hunyady, i o ten mur wielokroć się jego głowa rozbijała.

**Szecsi**. Bóg widocznie opiekował się naszą sprawą i usunął tę jedyną przeszkodę, która Cillemu na zawadzie stała.

**Gara**. Bądźcobądź Korwinowie nie podniosą już głowy do skończenia świata.

**Giskra**. Hola, na baczności się miejcie! — jeszcze kilka ich głów wysoko nosi karki.

**Gara** (*wstaje, wznosi puhar*). Cześć Cillemu!

**Wszyscy**. Cześć Cillemu, cześć! (*Piją*).

- Giskra.** Żebyście wiedzieli, jak kocham Cillego, patrzajcie, kto tak spełnił toast jak ja.
- Gara.** Niech żyje dzielny Giskra!
- Wszyscy.** Niech żyje!
- Giskra.** Ale gdzieżto nasz gospodarz? od chwili nie widzę go tutaj.
- Szecsi.** Wyszedł niedawno, wróci pewnie zaraz.
- Giskra.** Udał się może do króla? O, niech go pilnuje; w szkole Cillego może się jeszcze nauczyć być królem.
- Gara.** Ja myślę, że sobie Cilli wcale tego nie życzy.
- Szecsi** (*spoglądając na niego, przerywa*). Szilagyi podobno dziś z Budy wyjeżdża?...
- Gara.** Tak mówią. A wy z pewnością nie wiecie?
- Szecsi.** Skądby, gdy Hunyadowie nie mają powierników, którzyby ich przez złość lub głupstwo zdradzać mogli. (*Cilli wchodzi*).
- Gara.** Przybywacie nareszcie; czekamy tu na was.
- Giskra.** Siadajcie z nami. Pijcie teraz za swe zdrowie, my już spełniliśmy je do ostatniej kropli.
- Cilli.** Dziękuję wam za szczere życzenia. Kto ma takich przyjaciół, nie zginie nigdy. (*Ściska mu rękę*).
- Giskra** (*podaje mu kielich*). Czysty tokaj, jak pragnę zbawienia mej duszy, godny waszej gubernatorskiej purpury.
- Cilli.** Moich przyjaciół szczęście! (*Spełnia*). Śmierć Korwinom! (*Milczenie*). Ot, tak zginą, jak to złoto! (*Rzuca czaszę na ziemię i depta ją nogami*). Bo ja tak chcę! bo król tak chce! bo długo nosiłem maskę, która mi twarz parzyła i oddech tamowała, abym teraz nie miał całymi piersiami odetchnąć!...
- Wszyscy.** Śmierć im!
- Cilli.** Śmierć im! Śmierć tym najstraszniejszym wrogom moim, śmierć im wszystkim, którzy to nie-nawistne nazwisko noszą, którzy krwią z nimi połączeni! Nie zgotuję im śmierci powolnej, jaką

ja umierałem, gdym znosił pogardę i poniżenie — śmierć nagłą, szybką jak myśl ludzka, a nieomylną, jak nieomylność śmierci. Wszyscy naraz, jak się kochają, padną i zobaczą się ze sobą w niebie lub w piekle!...

**Szecsi.** Sto mszy za każdą ich duszę odprawić każę.

**Giskra** (*wybuchając śmiechem*). Niech was czart ma w swojej opiece, jakimeście świętym człowiekiem!

**Szecsi.** Giskra dziś oszalał!

**Giskra.** Och nie, do stu piorunów! Może wino trochę mi mózg poruszyło, lecz by go nadwerężyć musiałyby złoty tokaj dzień cały bezustannym strumieniem płynąć w moje gardło. Lecz wyście przy zdrowych zmysłach, bo ledwo liżniecie brzeg kielicha, a błazeństwami nam oczy mydlicie.

**Cilli.** Nie rozniecajcie nienawiści między sobą, bo niema gorszych wrogów, jak z dawnych szczyrych przyjaciół. — Hej! dzbany próżne. Hola, hola, wina tu dajcie! wszak to moja pierwsza gubernatorska biesiada, (*do Giskry*) wy, hrabio Iskarusza, pierwszy raz za moim stołem siedzicie. (*Wchodzi kilku Dworzan, niosąc dzbany i półmiski. Ruch przy stole powstaje, nalewają czary i t. d. Niektórzy opuszczają swe miejsca. Rozmowa toczy się gwarно wśród okrzyków i śmiechów. — Cilli i Szecsi oddalają się od biesiadujących, wchodzą do przedniej części sali*).

**Szecsi.** Więc król przystał?

**Cilli.** Czy ja go pytałem się o zgodę lub radę? Objawilem mu swój zamiar, bo chciałem, aby o nim wiedział; żądałem jego podpisu, nie dlatego, aby mój był niedostateczny, lecz abym mógł, w razie potrzeby, całą winę zwać na niego.

**Szecsi.** Kiedyż Szilagyi odjeżdża i dokąd?

**Cilli.** Dziś jeszcze; do matki i brata Hunyadego.

**Szecsi.** Stary wie dobrze, co robi. Zdaleka od nas chce zbierać stronników między niezeputą szlachtą i prostym ludem, którzy wierzą w nich jak

ja w Boga; chce ubezpieczyć siostrę i młodego Macieja, który równie jest Hunyadym; zjednać sobie pomoc Polaków, Czechów, lub nawet samych Turków. Ulrychu, pilną na niego daj baczość, by ci nie umknął ten ptaszek!

**Cilli.** Ten zwiastun śmierci poprzedzi go w drodze (*wyjmuje papier*). To pismo pieczęcią i podpisem króla opatrzone otworzy mu bramy więzienia, które się nawet przed jego trupem nie odemkną. To drugie uwolni nas od matki i Macieja. A my w tejże chwili wstrzymamy tutaj raz na zawsze loty tego orła, któremu i teraz myśl o wielkości z głowy wyjść nie może.

**Szecsi.** Niech Bogu będą dzięki, że podszeptał Szilagyemu tę zbawienną dla nas myśl oddalenia się ze stolicy. Padną czterej zbrodniarze, nie wiedząc o sobie, nie mogąc się ocalić i bronić!

**Cilli.** Posłańca mi teraz trzeba, potrzeba mi człowieka ślepego i głupiego, któryby pędził jak wiatr, nie wiedząc gdzie i poco, któryby przecież tam przybył, gdzie mu rozkażę i to załatwił co mu powiem. Z mych łotrów żadnego użyć nie mogę; zanadto przebiegli i wiele zbrodniarze, bym mógł liczyć na ich wierność lub milczenie. Głupca, głupca mi potrzeba, człowieka o tyle rozumniejszego od konia, na którym popędzi, żeby wiedział, którądy droga do Varos.

**Szecsi.** Nie masz pomiędzy służalcami ani jednego poczciwego człowieka?

**Cilli.** Cóż nam po poczciwym człowieku?

**Szecsi.** Niewinność swą niewiadomością więcej nam często pomódz zdoła, niż złością zbrodnia.

**Cilli** (*zamyślając się*). Tak, mam, mam człowieka, którego mi szczęście teraz na pamięć przyniosło. Młody chłopak, sierota, którego z południowych dóbr moich z litości do służby wziętem.

**Szecsi.** Dawno przy was?

**Cilli.** Miesiąc dopiero.



**Szecsi.** Nie miał czasu się zepsuć.

**Cilli.** Pierwszy raz zwrócił moją uwagę na siebie w czasie nabożeństwa za Hunyadego. Ręczę, że modlił się z większą gorącością niż wszyscy, którzy się modlić umieli lub chcieli.

**Szecsi.** Młody, niezepsuty, modli się: to cnota chodząca, to człowiek głuchy, ślepy i niemy. Wyprawcie go jak najprędzej. Bóg nie odmówi nam błogosławieństwa.

**Cilli** (*podchodzi do biesiadujących, mówi chwilę do jednego z Dworzan — ten wybiega*). Teraz, Szecsi, gdy ten zamysł doprowadzimy do skutku, stoimy mocno, jakbyśmy nogami aż o sam środek ziemi się opierali. (*Przy stole wzmagą się wrzawa*).

**Jerzy** (*wchodzi drzwiami bocznymi do przedniej części sali*). Wasza Wysokość wołać mię kazała.

**Cilli.** Osiodłaj rączo konia, bo w tej chwili opuścisz zamek. Tą samą drogą niezadługo po tobie uda się Szylagyi, ale klnę się na duszę, że twa głowa nie ujdzie cało, jeśli godziną przynajmniej nie wyprzedzisz go. Weźmiesz ze sobą dwa papiery. Ten oddasz gubernatorowi w Varos, a z tym drugim udasz się do mego brata, hrabiego Fryderyka, do Pakoly. To wszystko, com ci miał powiedzieć. A teraz pędź, choćby dziesięć koni miało paść pod tobą.

**Jerzy** (*odbiera papiery*).

**Giskra** (*spojony, podnosi się*). Jeszcze ostatni pułk pijcie ze mną wszyscy! No, zbudźcie tam tych śpiochów, co takie bawełniane mają głowy! Jak wino z tego kielicha w moim gardle, tak niech zginą Hunyadowie w uściskach Cillego!

**Wszyscy.** Śmierć im! (*Jerzy wzdryga się, stoi ośłupiony*).

**Giskra** (*niedopiwszy, pada na krzesło*).

**Szecsi** (*patrzając na Jerzego*). Najzupełniejsze głupstwo wygląda mu z oczu. Gadać nawet nie lubi, czy nie umie. Nie mogliście lepiej wybrać.

**Cilli.** No ruszaj, a wbij sobie w pamięć me słowa!  
**Ierzy** (*wybiega*).

**Szecsi.** Możecie liczyć na jego milczenie, jakbyście go-  
łębia z listem posłali. (*Cilli z Szecsim idą do*  
*biesiadujących*).

**Cilli.** Co widzę? Giskra śpi!

**Gara.** Ostatni kielich za śmierć Korwinów z nóg go  
zwałił.

**Cilli.** Zbudźcie go i przejdźmy do innej sali, gdzie no-  
wa czeka nas biesiada. (*Wychodzą*).

## SCENA 2.

(Dekoracja jak w akcie I. scenie 3).

**Anna** (*wchodzi zamysłona, usiada na krześle, podpierając*  
*ręką głowę. Hunyady wchodzi po chwili, postępuje*  
*z wolna kilka kroków. Anna odwraca się i wycią-*  
*ga ku niemu ręce*). Trzy dni ciebie oczekuję —  
ciebie tak długo niema!... (*Powstaje*). A dziś przy-  
szedłeś tak zimny!..

**Hunyady** Jestem zimny jak zgliszcze strawione ogniem,  
a twój dech może je do życia przywrócić lub  
rozwiąć!

**Anna.** Co tobie jest?

**Hunyady** Nic. Burza przeszła — chmury jeszcze grożą.  
O, niech się rozstąpią te rodzicielki gromów, bo  
piorun w dwie nasze głowy uderzyć może!

**Anna.** Co tobie jest?

**Hunyady** Nieszczęśliwym! Nieszczęście nie wszystkich czyni  
błogosławnymi — a mnie ono aż tutaj w głąb  
piersi się wpiło!... Anno, jam spalony boleścią!...

**Anna.** Trzy dni tylko — a ja cię nie poznaję...

**Hunyady** Trzy dni tylko — a ja sam siebie nie poznaję.

**Anna.** Powiedz mi, co cięży ci tak okropnie! Wszak  
mam prawo podzielać twe nieszczęście.

**Hunyady** Dźwigasz je już i tak, nie wiedząc o niem, bo  
dźwigasz winę.

**Anna.** Ach!... Winę?... (*Milczenie*) Wyjaw ją!...

**Hunyady** Wyjawię. Lecz wyznaj wprzód, żeś w niczem nie jest winną, zwał na ludzką złośliwość tę potwarz, bo chcę cię widzieć czystą, jak uśmiech dziecięcia. Trzy dni nosiłem oskarżenie twoje w mem sercu. W dzień pierwszy przekląłem ciebie i twą miłość. W dzień drugi walczyła we mnie miłość i boleść o granicę powątpiewania. Dziś pragnę prawdy od ciebie.

**Anna.** Czyż mogę dać ci inne usprawiedliwienie jak to, którem w pierwszej chwili sam z winy mię obmyć byłeś powinien? Lecz boli mię, boli okropnie, żeś tego nie uczynił!

**Hunyady** Miłość patrzy przez tęczę, nosi opaskę ułudy na oczach. Jeśli tę kto zedrze, stąpa szalenie i dziecko, bo się do innego świata przyzwyczaiła. A ludzie każą często patrzeć na ziemię tej, co do nieba nawykła.

**Anna.** Ludzie!... Jacyż ludzie nas tu otaczają?... I ty wierzysz tym ludziom, nierozsądny!

**Hunyady** To nie ci ludzie, o których myślisz — to ludzie nieznający intryg ni ambicyi — ludzie z gminu. Oskarżyli cię przede mną, nie wiedząc, że ja ich słucham. Ale ja temu nie wierzę, nie chcę wierzyć — i ty pewnie powiesz: nie!... Słuchaj! Pamiętasz, jak wyszliśmy razem do kościoła. Modliłem się tam szczerze, bo miałem się o co modlić. Modlitwa napełniła mi duszę jakąś błogością, zapomnienie mię ogarnęło — rzeczywistość zdawała mi się snem, a sen rzeczywistością. Widziałem w nim nas oboje obok siebie klęczących, nad nami unosił się duch ojca, obok mnie mój miecz i szyszak wawrzynem obwity... (*Po chwili*). Powstałem. Wsparłem się o kolumnę. Zimno marmuru przechodziło mię. Powoli ze snu wracałem w rzeczywistość. Poza mną rozmawiali jacyś ludzie. Żałowali mię najprzód, żeś tak nieszczęśliwy, żeś stracił ojca, wysoki urząd, i wresz-

cie — ubolewali nade mną, że moją kochankę, że ciebie wydarł mi król!...

**Anna** (*zakrywa sobie oczy*). O boleści!...

**Hunyady** Mówili potem pomiędzy sobą, że on bywa u ciebie, że go tu nieraz udającego się widywano, codziennie prawie, a najczęściej późną porą, że cię obdarza względami, że czyni wszystko, co młody monarcha dla swej ulubienicy czynić może... (*Po chwili*). Tych słów, gryzących mnie jak trucizna, fałsz lub poświadczenie chciałem widzieć na twej twarzy! Krew wylała ci na lice, różane wargi drgały rozkosznie, a oczy spuściłaś na dół... Naprzeciwko ciebie siedział król, a jego spojrzenia długie, płomieniste padały na ciebie... Powiedz, co znaczył ten rumieniec? skąd ci ludzie mieli prawo do takich wyrazów? Ach, powiedz: to fałsz! a wrócisz mi życie!...

**Anna** (*po chwili*). To fałsz!... ja kocham tylko ciebie...

**Hunyady** Dzięki ci, o dzięki, Anno! (*Anna wyrывa z jego dłoni swą rękę i oddala się szybko*). Uciekasz!... Jam niegodny dłużej cię widzieć... (*Kiedy chce pójść za Anną, wchodzi Urban*). O, pozwól się przebłagać!

**Urban**. Dokąd idziesz?

**Hunyady** Biegnę, bo tam szczęście moje!

**Urban**. Szczęście ucieka od tych, którzy za niem gonią.

**Hunyady** Tam anioł, którego zasmuciłem...

**Urban**. Nie czyni ludzi aniołami, aby i ludzkiej swej wartości u ciebie nie stracili.

**Hunyady** Ach, puść mię, puść mię do niej! Nie wiesz, ile jej winienem: z jak bolejącem sercem, z jak rozdartą duszą i wzburzoną myślą przybyłem tutaj, a jej słowa zagoiły te rany, wzniosły znów ruiną grożący spokój mej duszy.

**Urban**. Widzę, jak twe oblicze radością jaśnieje, i słowo twoje każde nią nabrzmiałe, ale śmieję się z radości, której powód jest dla mnie dotąd wymarzoną duchem.

**Hunyady.** Ciało tej radości, to jej słowa, jej przebaczenie mnie, którym zawierzył mowie nierozważnej i błahym pozorom. Jam ją posądził, że kochać mnie przestała, lub nigdy nie kochała, że hańbiącą miłością znieważyla święte uczucia, które jej serce za powiernika sobie obrały.

**Urban.** Czy lubisz przestawać z duchami?..

**Hunyady.** Do czegoż dąży ta mowa?..

**Urban.** Bo ja muszę zniszczyć ciało odziewające je, zniszczyć urojoną prawdę!

**Hunyady.** Poco stanąłeś na progu, który mnie od niej rozdziela? Ja nie chcę nic słuchać?

**Urban.** I nie moim obowiązkiem rozgłaszać niesławę własnej synowicy. Żal mi cię, szlachetny młodzieńcze, i dlatego ostrzedz cię chciałem. Nie słuchasz rad, któreby twoje tylko ucho słyszało — kochaj ją!

**Hunyady.** Och nie, och nie, to prawdą być nie może!

**Urban.** To jednak jest prawdą!

**Hunyady.** Król tu u niej bywał... widywała go... wszystka czułość i miłość dla mnie jest obłudą.. a ona kobietą niegodną tego imienia?

**Urban.** Jeżeli to są wady takich kobiet — ona do ich liczby należy.

**Hunyady.** Przyjęła za miłość i cześć hańbę... mogły w jej uchu brzmieć milej słowa człowieka, któryby ich przed ludźmi nie powtórzył... była, jeśli nie tak mało kochającą, to tak wielce zaślepioną?..

**Urban.** Była!... a sprężyną tego jej próżność. Jestem przy niej od czasu, gdzie serce dziewczyny żądać zaczyna miłości, a przecież tego uczucia nigdy w niej nie spostrzegłem. Duma to odezwała się najprzód w zepsutem sercu. Jej myśli bawiły się berłem i koroną, a w dziecinnych igraszkach między rówieśnikami była zawsze monarchinią. Pół roku temu poznała króla — i pobiegła ku hańbie, bo poza tą błyszcząca świetność majestatu...

**Hunyady.** Nie, nie, ja jej w tym obrazie nie widzę!... to nie Anna, którą kocham!...

**Urban.** Szydziła i śmiała się, gdym ją upominał i błagał, z mych upomnień, z twej miłości i z ciebie. Po groziłem jej wreszcie, ale i mnie groźba króla zamknęła usta i związała ręce. Reszta do ciebie należy. Skarz tę kobietę, która nigdy kobietą nie była, która igrała z uczuciami twemi!

**Hunyady.** Hrabio Urbanie! to sen chyba przyniósł ci te mary... Tak nigdy nie było — tak być nie mogło!...

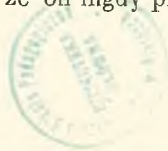
**Urban.** Nie byłbym tyle okrutnym, by się pastwić nad tobą, i w ohydnej postaci wystawiać ci to, coś w ciebie anielskiem dotychczas oglądał — i nie z moich ust dowiedziałeś się najpierwej o tem. Ale wstrzymać cię chcę, byś się nie rzucał więcej w miłości ramiona, której ona nie ma; byś nie uwielbiał tego, co uwielbienia nie godne. A jeśli potem, com ci powiedział, co ci pokażę, kochać ją możesz — kochaj ją!

**Hunyady.** Takim obrazem, jaki mi przed oczy stawiasz, pogardzać tylko mogę!

**Urban.** To wierny jej wizerunek, to ślad na zwierciadle, w którym ona się przejrzała, a to rysy jej uwięziło.

**Hunyady.** Przestań! (*Chwytając za miecz*). Masz żelazo przy boku, broń swego życia, gdy mowy zaprzestać nie chcesz!

**Urban** (*z uśmiechem*). Daj pokój, szalony! Ona nie warta nawet krwi mojej, którą teraz masz za tak podłą. (*Przystępuje do niego, ciszej*). Chciałem ci oszczędzić boleści, lecz kiedy nią tylko uleczo-  
nym być możesz, doznaj jej na czas krótki, by długo potem nie żałować. Chcesz dowodu mych słów, którym nie dowierzasz?... Dam ci go jeszcze jutro. Pokażę ci szczęśliwego zalotnika u jej nóg, pokażę ci go przy niej, pomimo jej przysięg, że on nigdy progu jej komnaty nie przebył.



Gdy dziesięć dźwięków wyda zegar zamkowy, przybywaj do niej!... Przybędziesz?

**Hunyady** (*po chwili*). Zobaczysz mię tam! Słońce, jeżeli ty zajdziesz dziś dla mnie, troska i boleść ludzi od-tąd usypiać będą! (*Odchodzi*).

**Urban** (*sam*). O, najłatwiej zapalić zemstą to serce, które samo niesprawiedliwości nie czyniło: prędzej suche drzewo niż wypalone zgliszcze przyjmuje iskrę. Wściekaj się, szaleńcze, jeśliś tak ślepy, że dnia od nocy odróżnić nie umiesz. Ty, dumny rycerz, zostałeś służalcem i niewolnikiem mej woli. (*Odchodzi*).

### SCENA 3.

#### Mieszkanie Hunyadego.

**Jerzy** (*wpada*). I tu go niema! Od pół godziny szukam go po całym zamku, a każdej chwili drzę, by mię tu jeszcze nie spostrzeżono. Chciałbym się pozbyć tego ciężaru, tego ognia, który piecze me piersi, bo przez te głoski przebija całe piekło szatana! (*Hunyady wchodzi. Jerzy rzuca mu się do kolan*). Pierwsza to błogosławiona chwila, w której wdzięczność ci moją okazać mogę.

**Hunyady**. Powstań, chłopcze. O jakiej wdzięczności mówisz?

**Jerzy**. O wdzięczności, jaką winienem zbawcy mego życia, które jest jedyną podporą sędziwej matki i zgrzybiałego dziada.

**Hunyady**. Nie przypominam sobie, abym cię kiedy widział.

**Jerzy**. Tyś zapomniał o biednym wieśniaku, który nie-bacznie, z kijem pastuszym w rękę, wydaliwszy się z zagrody, wpadł w ręce pohańców, i skępowany widział miecz śmierci nad sobą, albo, co gorsza, haniebną niewolę! Ale ja nie zapomniałem ciebie, gdyś na czele rycerzy wpadł na karki mych uprowadzicieli; widzę żywo twą rękę, jak rzuca topór w piersi Turka; czuję to cięcie mie-

cza, pod którêm spadły więzy moje... Spojrzałem przed siebie. A tam na karym koniu, ze lśniącym mieczem ponad głową, ze złotymi na wiatr rozwianymi włosy pędzisz ty, mój wybawca, nieść innym pomoc, ocalenie i wolność! O, ten obraz utkwił mi w pamięci. Widziałem cię ciągle. Byłeś jakby moim aniołem, patronem, do którego się modliłem. Przed trzema wreszcie dniami ujrzałem cię tutaj, dowiedziałem się, że mój zbawca to syn wielkiego Hunyadego. I wtedy znowu nie mogłem paść ci do nóg, podziękować ci. Bóg sam teraz zesłał mi tę chwilę.

**Hunyady.** Zaczyna prostota! w tobie nie wygasły ludzkie uczucia.

**Jerzy.** O, i wtedy, gdy z pod grożącego miecza całą uniósł głowę, nie czułem takiej radości, jaka teraz piersi mi podnosi. Ty panie ocaliłeś życie biednego wieśniaka, a mnie Bóg wybrał za narzędzie ocalenia ciebie i twej rodziny, najszlachetniejszego szczepu, jaki kiedy kwitnął na węgierskiej ziemi.

**Hunyady.** O jakim ocaleniu mi powiadasz?

**Jerzy.** Skrytobójcza śmierć groziła tobie, twej matce, bratu i stryjowi. A ja mam w swem ręku papieiry, niosące dowody tej zbrodni.

**Hunyady.** Jakiż dobry duch podał ci wodze tego czarnego czynu?

**Jerzy.** O, nie dobry, zły duch — nowy Palatyn, hrabia Cilli — mój pan.

**Hunyady.** On twom panem! jakże cię żałuję.

**Jerzy.** Chleb przynaglił mię być sługą hrabiego, którym gardzę, jak każdy dobry Węgier i człowiek. Dziś przed godziną woła mnie do siebie, mnie, do którego jednego słowa rozkazu dotąd nie przemówił. Wchodzę do wspaniałej sali, gdzie biesiadnicza gromada wychylała puhary. Mój pan każe mi siodłać konia i pod najszrońszą karą wyprzedzać wszędzie Michała Szilagyi. Zadrżałem



na to imię. Poznałem, że to o was chodzi. On dawał mi dalsze rozkazy, a pijana czereda wykrzykiwała za nami: Śmierć Hunyadym! Straciłem zmysły, stałem skostniały, trwoga mną miotła... Nareszcie podał mi dwa papiery. Schwyciłem je szybko, aby nie poznał ze mnie, że zdradzę jego ohydny postępek. Wybiegłem. Szukałem cię po całym zamku. Znalazłem wreszcie (*podaje mu papiery*). Trzymaj je! Ach, teraz jużem spokojny!

**Hunyady** (*przeglądając szybko*). Tak, czarnemi głoskami jasno tu stoi wypisana zguba nasza, świadectwo jego zbrodni. (*Ściskając Jerzego za rękę*). Teraz ja zaciągam u ciebie dług wdzięczności za ocalenie najdroższych mi istot na ziemi. Lecz żał mi, że sam błędząc w ciemnościach nieszczęścia i innych za sobą pociągając w nie muszę. Biedny młodzieńcze, ocalając nas, siebie narażasz. W mieście dłużej pozostać nie możesz.

**Jerzy**. Uciekać muszę.

**Hunyady**. I opuścić swą matkę.

**Jerzy**. Wrócę znów do nich, kiedy wy tu rządzić będziecie. Tymczasem ty, panie, opiekuj się nimi!

**Hunyady**. O nie, mój drogi! My w tej walce upaść możemy, a wtedy i ty się zgubisz; walka nasza może trwać za długo, a tobie byłaby przykrą niepewność o losie rodziny. Miałeś jechać do Varos, aby tam przygotować noże na piersi niewinne, taż sama droga zaprowadzi cię do Hunyad, a wkrótce zobaczysz tam swą rodzinę. — Ten medalion mej matki opowie jej o twojej przysłudze (*wiesza mu na szyi*).

**Jerzy** (*całując jego rękę z zapalem*). O panie!

**Hunyady**. W objęcia moje, zbawco i przyjacielu! (*Ściska go. Jerzy wybiega szybko*).

**Hunyady** (*sam — po chwili*). Gorycz, którą świat mię poi, przepełniła już piersi moje, czuję, iż pragnie wydobyć się z nich. — Ulrychu! rozbudziłeś w mem

sercu drzemiące bez śladu uczucie — pragnienie krwi twojej. W objęcia zimnej śmierci chciałeś rzucić wszystko, co mi drogie — lecz to żelazo wprzód ciebie pośle do szatana. Chcę cię koniecznie widzieć powalonym u stóp moich, bo zbrodnią wzniosłeś ponad nas swą głowę. (*Szilagyi, Hadervary, Bodo, Kanisso wchodzą*). Chciałem właśnie iść do was na pożegnanie, stryju.

**Szilagyi.** A my, nie mogąc się doczekać, przychodzimy do ciebie.

**Hunyady.** Przebaczcie mi, bo ta chwila zwłoki zbawiła nasze życie. (*Podaje mu papiery*). To pismo w innych rękach śmierciąby dla nas było, w naszych życie nam przynosi. (*Przybyli obstępują Szilagiego*).

**Szilagyi.** Och, prawda, prawda! (*Podaje innym*). Ale skąd masz te pisma? Czy to nie sieci, w które sami schwytać się mamy?

**Hunyady.** Ręczę za człowieka, który mi je powierzył.

**Szilagyi.** Jesteś go tak pewny?

**Hunyady.** Jak tej ręki, która krew Cillego wytoczy!

**Bodo.** Hurra! niechaj żyje Cilli, pokąd go nie zakłujemy, że poruszył przecie w tobie tę żyłę.

**Hunyady.** Kiedy on jutro przybędzie, by jako nowy Palatyn odebrać od nas oznaki tej władzy, i jako nowy wódz usłyszeć ode mnie sprawozdanie z ostatniej wyprawy: wtedy me żelazo powstrzyma tę rękę, która po insignia sięgnąć się poważy, odejmie słuch uszom, a z pysznego zbrodniarza, grożącego swą potężną złością, uczyni bezwładnego trupa. — Kto pójdzie ze mną, by widzieć upadającego bałwana pychy i pomódz mi do jego obalenia?

**Wszyscy.** Wszyscy idziemy!

**Szilagyi.** Tylko ja odłączyć się od was muszę. Jeśli kiedy, to teraz potrzeba pomocy bezbronnej niewieście i bezsilnemu chłopcu. Ja idę do nich, by odwracać ciosy, któreby im jeszcze ręka wrogów za-

dać chciała. Wy działajcie tutaj, a o zwycięstwie lub upadku doniescie mi natychmiast, bym jedno z wami podzielał, lub z drugiego was podźwi-  
gnąć usiłował.

**Hunyady** (*rzuca mu się na szyję*). Pozdrówcie, stryju, moją drogą matkę; niech wzniesie do Boga prośby za syna. Uściskajcie brata, któremu błogosławieństwa ojca jeszcze nie złożyłem. Oby był szczęśliwszym ode mnie!

**Szilagyi**. Bywaj zdrów, dzielny chłopcze! Nie trać serca, bo Bóg czuwa nad nami. (*Podając innym ręce*). Bywajcie zdrowi! bywajcie zdrowi!

**Hadervary** (*do Hunyadego*). Do jutra tedy, do jutra!

**Hunyady** (*wychodząc za innymi*). Do jutra! to jutro tak daleko!



## AKT TRZECI.

### SCENA 1.

Mieszkanie Anny.

**Urban** (*stoi na środku sceny, wpatrując się we wchodzącą Annę*) Jakżeś dziś piękną, Anno!

**Anna.** Zebrałam na twarz całą radość, całe zadowolenie, aby widział, ile mię uszczęśliwia. Bo on tu dziś przyjdzie pewnie. Wczoraj był tak cierpiący i zbolały, czemuż ja dzisiaj nie mam mu wynagrodzić cierpienia, którego przyczyną była miłość ku mnie?

**Urban.** Jakże ty innych ludzi czarować musisz, gdy ja, twój stary stryj, z uwielbienia kroku postąpić nie mogę. Z twych oczu bije blask, któryby zaćmił nawet dyament, twych hebanowych włosów złota koronaby nie zaśniła! O Anno, tyś na królową tylko stworzona, twe ramiona do berła tylko utoczone!

**Anna.** Najgodniejszym tronem kobiety jest tron miłości i uczucia. Bóg, gdyby mię chciał być uczynić królową, dałby mi był ojca króla, a nie rycerza.

**Urban.** Boga wyroki są niedocieczone. Ten, co się w chacie rodzi, może potem władać milionami, bo nie królowie byli królów przodkami. Bóg w kolebce na głowie takiego człowieka zamiast korony położył znamię, które go ludom równie jak korona

czcić i szanować każe. A ja widzę tę pieczęć boską na tobie, silną jak nigdzie, bo tą pieczęcią twa piękność. Przed tą pięknnością ukląkłby nietylko król, cały naród, aby ciebie mieć władczynią!

**Anna.** Stryju, przestań! Mówisz, nie wiedząc pewnie o czym, bo twa mowa podobną do języka szalonych.

**Urban.** Nie, jam nie szalony Anno! jam tylko pierwszy z ludzi, który uwierzył, że Bóg cię do prostej zagrody rycerskiej nie stworzył. — Kiedyś ty, jedyne dziecię twego ojca, światło dzienne ujrzała, zabolalo go serce, bo widział, że z nami upadnie imię nasze. Wtedy stara wróżka popatrzyła na twą anielską twarzyczkę, przyjrzała się twym lazurowym oczom i rzekła: ta wzniesie świetność waszego rodu jak nikt z Ronnów. Ni ojciec, ni matka, nie chcieli wierzyć tym słowom — ja im uwierzyłem, powtarzałem im je ciągle, na śmiertelnem łożu jeszcze usłyszał je ojciec ode mnie, podał mi wtedy stygnącą rękę, jakby mówił: i ja, stając w bramach wieczności, uwierzyłem — ją czeka tron królewski.

**Anna.** Miej litość, nie mów mi tego, błagam cię. Ja szczęście swoje złożyłam już w ręce i serce człowieka, a wszelki inny obraz przyszłości odrzucam od siebie, bo jego tylko kocham, bo jego przyszłość jest moją przyszłością.

**Urban.** Nierozsądna! — Ty go kochasz, ale któż ci zaręczy, że on cię równie kocha.

**Anna.** Ja! Moje serce!

**Urban.** Ty? Twoje serce? Serce kobiety zaślepionej, bo kochającej! O, zbyt to ciemne zwierciadło, abyś w niem duszę drugą poznać mogła!.. Niepamiętna, coś winna swemu rodowi, co sławie swego imienia, przeciw boskiemu przeznaczeniu, przeciw ostatnim nadziejom konającego ojca oddałaś się człowiekowi dumnemu, którym pycha tylko włada!

**Anna.** Oddałam się, bo jestem kobietą! oddałam się, bo go kocham, i on mnie kocha! nie przeciw przeznaczeniu, bo to właśnie popchnęło dwie nasze dusze ku sobie, — nie przeciw ostatnim nadziejom ojca, bo o tych ani ty, ani ja, ani nikt z ludzi wiedzieć nie może, tylko Bóg, a on sam kazał mi go kochać. Nie oddałam się człowiekowi dumnemu, lecz mężowi, który za swą ojczyznę krew wylewa, który za całą nagrodę nie pragnie od was bogactw i zaszczytów, ale gałązki oliwnej!

**Urban.** A który za twą miłość nie odplaci się miłością, bo jego serce już inne zajęło uczucie, bo masz w niem straszną rywalkę: żądzę sławy. — Czy myślisz, że ten pancierz, lat tyle na jego piersiach dźwigany, nie oziębził tkliwych uczuć? czy gwar obozu i chaos bitew nie kazały mu zapomnieć twych słów pieszczonych? czy to ramię, co silnym rzutem topora powala stosy trupów, może z czułością objąć twe białe ramiona! czy on, co dla sławy zapomniał o życiu, nie zapomniałby dla niej o tobie?

**Anna.** Jestem córką wojownika i niewieściucha kochać nie mogę. Widzisz tę dolinę, która słucha ustawicznego szmeru strumienia — widzisz tam górę, po której potok z szumem i rykiem spada, pochwyci ją w objęcia, pocałunek złoży na jej czole i bieży dalej — skrapia kraje, prowadzi czołna, a ona zdaleka słucha szumu jego bałwanów!... Cóż więcej warte, czy nudne mruczenie strumyka i ciągle jego pieszczoty, czy jeden wrzący pocałunek i szum choć zdaleka słyszany potoku!?

**Urban.** Upartie dziecko! baw się temi marzeniami, które rozsądek kiedyś rozwieje. Lecz popytaj się sama głosu, który czasami z ludzkiej piersi się dobywa, gdy ta zapomni, że także należy do człowieka, — popytaj go się, aby się sam z niej nie odezwał, kiedy już będzie za późno.

- Anna.** O, zaufaj mi, zaufaj memu przeczuciu, że przy nim szczęście ku mnie uśmiechać się będzie!
- Urban.** Bodaj tak było! (*Milczenie. Anna usiada. Urban cofa się w głąb, spoglądając często ku drzwiom. Spostrzega wreszcie w nich Króla. Dają sobie znaki spojrzeniem. Urban zwraca się ku Annie. Król niespostrzeżony od niej zostaje we drzwiach.*)
- Urban.** Zawsze piękna! aleś czarowna, gdy na twych ustach uśmiech radości igra (*odchodzi*).
- Anna** (*marząc*). Szczęście!... tyle szczęścia dla jednej istoty, Boże! wysypała hojna dłoń twoja!... (*Król przybliżyła się. Anna na jego kroki porywa się szybko*). Przybywasz!... Ach!... (*Pada na kolana*).
- Król.** To ja, Anno! Czy mnie z taką niecierpliwością wyglądasz?
- Anna.** Ty!... Pocoś tu królu znów przyszedł?... Nie dość, żeś mię wydał na oszczerze języki swych dworzan; nie dość, że od niego słyszałam wyrzuty straszne a niezasłużone, że taką burzę przeszłam, iż jedynie taka radość, jakiej przed chwilą doznawałam, złagodzić ją zdoła: ty dzisiaj tu przychodzisz; dzisiaj, gdy on lada chwila nadejść może; dzisiaj, gdy ja mu wczoraj przysięgła, żeś niewinna, czystą jak wprzód, iż to potwarz wszystko, co o mnie mówiono — i on dzisiaj przyjść może, przypomnieć mi wczorajsze przysięgi, odrzucić mię od siebie i wzgardzić na zawsze!...
- Król.** Przyszedłem dzisiaj, jakbym zawsze rad bywać u ciebie. Jak zawsze tak dzisiaj przywiodła mię tu miłość. Przyszedłem z tem większem biciem serca, iż czas jakiś nie widziałem cię, aniele! — Miłość, miłość mię tu przygnała! Ty nie wzgardzisz miłością, ty ją odpłacisz, boś kobietą! — Ja król błagam cię, przyjmij ją, mnie przyjmij — ja cię kocham! (*Zbliżając się ku niej*). Tyś cudna jak aniołowie, cudniejsza niż oni!

**Anna.** Miłość?.. Dałeś mi nieraz oznaki i dowody twej miłości! Przypomnij sobie te wyrazy, jakimi odzywałeś się do mnie. Dusiło mnie powietrze, nie śmiałam niem oddychać, gdy je ty swą mową zaraziłeś. — Miłość?.. Człowieku, co nie masz serca ni duszy szlachetnej, śmieszże ty o niej mówić?..

**Król.** Tak, błędziłem grubo. Ale wtedy nawet czułem tę miłość. Ona została mą kierowniczką i poprawczynią; ona me zepsute serce uczyniła kochającym; ona mi ciebie kochać kazała!

**Anna.** Zrzuc tę maskę, zrzuc! — za przezroczysta, jasno przez nią wygląda obluda! Jesteś człowiekiem, jakim kobieta pogardzać tylko może. A choćbyś był jak najlepszym; choćby cnota i prawość cię opromieniała: nie mogę cię i nie powinnam już kochać, bo jestem kochana i kocham innego, a kocham go więcej niż ojca i matkę, niż życie, niż siebie!..

**Król** (*gniewnie*). Kochasz go?.. a ja go zgnieść mogę, zwalić tę budowlę dostojenstw, sławy i znaczenia, jak ją wzniosłem; zagrzebać go pod jej gruzami, rozedrzeć wasze dwa kochające się serca!

**Anna.** Ty możesz rozerwać nasze serca?.. przedrzeć to ogniwo, którem je ręka Boga spoiła?.. Ty to zdołasz uczynić?.. Jakie twe siły?.. Może niskość, którą nam gotujesz? Idź do jednej z chat twego państwa, przyjrzyj się, kto z was szczęśliwszy! Może rozłączenie?.. Jakby serce oczu potrzebowało! Może śmierć?.. Jakby miłość z życiem się kończyła!

**Król.** Zapominasz jeszcze o jednym środku, jaki posiadam. Znaszże ty dobrze swego kochanka, Anno?

**Anna.** Serce jego jest mojem sercem, moja dusza jest jego duszą.

**Król.** Wiesz może, czem on żyje? Nie jak inni ludzie powszednim chlebem — on żyje czemś lepszym, posilniejszym: sławą! On nie oszczędza krwi,



życia, by zdobyć tylko wieniec z rąk tej wszechwładnej bogini! Wiesz pewnie, że on za chwałą tylko dyszy, że chce, by jego życie i on były bez plamy — a ty jesteś jego kochanką — masz być jego żoną...

**Anna.** Królu! królu! — co mówisz?...

**Król.** Coby się wtenczas stało, gdybyś temu wychowankowi sławy, temu zapalonemu rycerzowi czci wnieść miała hańbę?... Czy on nie odrzuciłby cię od siebie? Czy jabyłm wtedy nie rozerwał waszych kochających serc, gdybyłm ciebie znieważył!... (*Nachyla się szybko ku niej, chcąc ją objąć.*)

**Anna** (*wyrywa mu sztylet z za pasa i krok w tył odskakuje*). To żelazo będzie obroną mej niewinności! Pokąd tu jeszcze przebywać będę, nie wyjdzie ono z rąk moich. Jeżeli kiedy krok jeden ku mnie uczynisz — zginiesz! — a jeśli siły użyjesz, a masz moc, bo królem jesteś, wtedy wprzód niż niewinność stracę życie!

**Król.** Stój, nowa Lukrecyo! I Lukrecya umarła, ale zhańbiona! Miała przecież dość czasu, by zapalić umysły do zemsty na swym pohańbicielu — a ty stracisz wprzód albo niewinność, albo życie. Jeśli niewinność — nie wezwiesz nikogo do zemsty, bo nasze czasy, to nie czasy Rzymian, twój kochanek — to nie Brutus — mścić się nie będzie, bo nie ma dość siły, a nazwać cię żoną i kochanką nie pozwoli mu jego uczucie czci. A jeśli życie położysz w obronie swej niewinności — któż wtedy zaprze memu oskarżeniu, że nie obrona niewinności, ale stracona niewinność, bojaźń wstydu i hańba przyczyną twego samobójstwa. Tak waszą miłość rozedrze nie niskość, nie rozłączenie, nie śmierć, ale hańba twoja, czy będziesz żywą, czy też umarłą, winną czy niewinną!... Opada ci ręka — upuszczasz żelazo, Lukrecyo?...

**Anna** (*zgnębiona, schyliwszy głowę*). Niemasz na świecie obrony przeciw potwarzy i zawiści! (*Zegar bije 10tą godzinę*).

**Król.** Pójdź więc w me objęcia po dobrej woli, Anno! Zapomnij o tym, który cię tak kochać nie zdoła jak ja, ni bronić się przeciw mnie nie ma dość siły! — Tybyś go miała kochać, to zimne serce, ty, w której każdym ruchu, w każdym tchu, rzucie oka rozkosz się odbija i rozkosz tryska!... Anno, ty nie znasz tych chwil gorącej miłości, gdzie wszystko w nas wre, kipi, upaja, gdzieśmy nie panami siebie, ale jej sługami! Och, ty nie znasz wszechwładnego panowania miłości, boś kochała kamień! U mnie, u mnie ją znajdziesz!...

**Anna.** Precz! — (*Słysząc kroki. Cichszym głosem*). Ktoś się zbliża... (*Nadsłuchując*). To on! to jego kroki!... Oddal się, oddal stąd, królu! nie czyni mię na całe życie nieszczęśliwą jedną chwilą swej złości.

**Król.** Zostanę. Niech nas tu widzi oboje razem.

**Anna** (*na kolanach*). Zostaniesz nieszczęśliwy!... O, zmiłuj się nade mną!... Masz oczy, widzisz, ile cierpię i masz pewnie serce, niech ono poczuje to, co oczy widzą! Kobieta cię błaga! — czy możesz przenieść na siebie, by u twych nóg leżała?...

**Król.** Oprzeć się nie mogę tylu ponętom, jakieś w swą prośbę rozsiała. O Afrodyto z morskiej toni powstająca, odejść, ale jednego dotknięcia aksamiitnych ust twoich!...

**Anna.** Och!...

**Król.** Anno!... (*Za drzwiami słysząc szamotanie*). Słyszysz? !...

**Anna.** Boże! (*Król obejmuje ją w pół i całuje. Hunyady staje we drzwiach bocznych, Król oddala się szybko głównymi. Anna siedzi czas jakiś na ziemi nieruchoma, zbiera przytomność, usiłuje powstać,*

*zwraca się, spostrzega Hunyadego i pada na ziemię).*

**Hunyady** (*zbliża się do niej szybko. Urban wchodzi za nim i zostaje w głębi*). Zemdlałaś!... Ach, może i ta bladość lica pokrywająca jest tylko udaniem, jak i obłudą słowa, które z ust twoich płynęły. Jedynym moim wyrazem byłoby teraz przekleństwo, gdyby pogarda jedynem uczuciem nie była. (*Zrywa jej pierścień z palca*). Niech nic nie będzie na tobie, fałszywa, coby świętość wiary i przysięgi przypominać mogło! (*Rzuca pierścień za okno*). Jak ten kawałek złota w przepaść pada, tak niech zaginie pamięć naszej miłości! (*Wychodzi*).

**Urban.** Jeszcze jeden krok, Anno, a zostaniesz mniszka, aby pokryć i odpokutować hańbę naszego rodu. Głupi młodzieńcy, nie wiecie, że tylko narzędziem na tę ofiarę jesteście! (*Układa przy Annie na jedno kolano, nachyla się*). Anno, czyż ja tyle jestem winny, że się nie mogę oprzeć twemu złotu, że nie mam siły przenieść ciebie nad nie? (*Dotyka się jej*). Zimna!... Omdlała mocno, a takie omdlenie za chwil kilka w śmierćby się zamieniło... ona by umarła — królby się wściekał, a jego wściekłość mogłaby mię pozbawić owocu wszystkich trudów i zabiegów... Anno, żyj, żyj Anno! (*Trzęsie nią*). Ani znaku przytomności! — (*Podnosi ją i niesie ku drzwiom*). Bije jeszcze serce pod tą śnieżną piersią, ta blada, zwieszona na dół głowa odzyska wkrótce zmysły — pamięć. (*Odchodzi*).

## SCENA 2.

(*Sala gotycka; po ścianach herby, portrety, trofea, zbroje. — Hadervary, Bodo, Kanisso i inni wchodzi*).

**Hadervary.** Długo Władysław każe czekać na siebie, choćby pierwszym tu być powinien.

- Kanisso.** Byłem u niego przed chwilą; wyjąwszy starego sługi nie zastałem nikogo, i ten nawet nie wiedział, dokąd się jego pan udał.
- Hadervary.** Źle się jakoś zaczyna. Niepokoi mię ta zwłoka.
- Bodo.** Oj źle!
- Hadervary.** Czego ty dzisiaj ustawicznie wzdychasz i smutnyś, jakby ci pohańcy żarna obracać kazali?
- Bodo.** Do wszystkich kroci czartów ziemskich i piekielnych! wierzajcie mi, że dziś oka nie zmrużyłem.
- Kanisso.** Możesz testament pisać?
- Bodo.** Pfuj! czyż tak trudno rozporządzić majątkiem? W tym kaftanie i z tym mieczem oddanoby mię ziemi, a moja siostrzenica musiałaby się cieszyć zbroicą, nad którą mało cięższych znajdzie się na Węgrzech.
- Hadervary.** Więc cóż ci tak siadło na sercu i myśli?
- Bodo.** Cilli! — ten łotr przeklęty — on mi dziś zasnąć nie dał.
- Kanisso.** Musisz się bardzo troskać o niego, bo troska podobno spędza sen z oczu.
- Bodo.** Nie mogłem długo zasnąć z wieczora, tak byłem niecierpliwy doczekać jak najprędzej rana. Targałem się po łóżku, dziesięć razy miększem od mej dery w domu, a przed oczami ciągle mi stał Cilli — z taką szydzącą i dumną twarzą, że aż wstrząsnąłem się kilkakroć, a on zdawał się mówić: ocalałem, ocalałem!
- Hadervary.** Ach! to szkaradny sen!
- Bodo.** Nie zginie dzisiaj, nie zginie! myślałem, a ta myśl pewnie mi kilka lat życia odjęła. Znużenie mię ogarnęło, zasnąłem, a przecież Cilli znów mi stał przed oczyma. Znajdowaliśmy się tutaj, on wszedł, Władysław uderzył w jego piersi, ale żelazo pękło we dwoje!...
- Hadervary.** Jedno przysło, ale, Bogu dzięki, przy boku każdego z nas wisi miecz, który je zastąpić może.
- Bodo.** Pancierz ochronił pierś Cillego! W tej chwili drzwi się otwierają, wchodzi król z żołnierzami, Cilli

biegnie ku niemu i ukrywa się za włóczniami żołnierzy. I znowu widziałem jasno tę twarz, te czarne, długie kędziory jak lwia grzywa, a w oku dumę, naigrzanie się i tryumf!

**Kanisso.** Och, ledwie oddech złapać mogę z przerażenia i gniewu!

**Bodo.** No, cóż wy na to?

**Hadervary.** Trudno płynąć przeciw wodzie. Stanie się, co się ma stać.

**Bodo.** Niech was bies ma w swej opiece z waszą zimną krwią! (*Słychać kroki*).

**Hadervary.** Władysław idzie! (*Hunyady wchodzi*). Oczekujemy cię z bijącym sercem. Czas naznaczony już się zbliża, a ciebie widać nie było.

**Hunyady.** Obawa wasza próżną była: miecz sprawiedliwości i zemsty nie może zardzewieć w pochwie.

**Hadervary.** A gdyby Cilli wprzód niż ty był przybył?

**Hunyady.** Wasze miecze równie ostre jak mój: pod waszymi byłyby padł ciosami, a jabym tylko był stracił, żem nie ja sprawcą jego śmierci!

**Hadervary.** Cóż cię tak długo zatrzymało?

**Hunyady.** Wolałbym o tem wszystkim zapomnieć. Nie badaj mnie próżno. Są uczucia, których nawet najszczerzy przyjaciele podzielić nie mogą, takie, których ani wypowiedzieć, ani uczuć wypowiedzianych niepodobna. — Wszak Cilli niedługo przybędzie?

**Kanisso.** Spodziewamy go się lada chwila.

**Bodo.** Omacaj go wprzód, Władysławie, czy się bestya panczerem nie uzbroił, a mierz w samo serce!

**Hunyady.** Mój sztylet i przez zbroję przejść zdolny, a moja ręka gotowa do zadania ciosu, któryby i żelazo skruszył. (*Słychać kroki. Hunyady stoi najbliżej przodu sceny. Milczenie. Wchodzi Cilli. Postępuje kilka kroków. Bodo i jeden ze stronników Hunyadego stają przy drzwiach z dobytymi mieczami*).

**Cilli** (*odwracając się ku nim*). Co to znaczy?

**Bodo.** Nie życzymy sobie już niczyjego przybycia.

**Cilli** (*patrzac z podziwieniem na obecnych*). Co to jest, pytam raz jeszcze, co to jest!

**Hunyady** (*pokazuje mu papiery*). Wyrok śmierci, któryś ty na nas wydał, tobie śmiercią się stanie!

**Cilli.** Piekła!... (*Chwyta za miecz*).

**Hunyady.** Stój! próżny twój zapal. Nie dokażesz nic przeciw przemocy, a doświadczysz choć raz, jak łatwo przez nią zwyciężyć, jak boleśnie być nią zwyciężonym!

**Cilli** (*odrzuca miecz*). Zabijecie mię jak zbrojcy?...

**Hunyady.** Nie! jak rycerze — w obronie swego życia.

**Cilli.** Ale biada wam po mojej śmierci! Król pomści się mojego zgonu, przyjaciele moi zgniotą was!

**Hunyady.** Próżny postrach, który w nas obawy nie wznieca. Te papiery, jak nam pokazały twoją zbrodnię, tak wyświecą ją całemu światu; i któż się odważy ruszyć nam choć jeden włos z głowy?... Nie licz na króla! — ty mogłeś być silnym przez niego, a on przez ciebie, ale sam jest bezwładnym narzędziem, które byle czyja ręka użyć zdoła. Twój przyjaciele, jak służą wiernie twemu ciału, tak odstąpią trupa. O, oni walczyć będą, lecz nie za ciebie, ale za własne swe dobro, swą potęgę i wpływ. Każdy działać będzie w swej sprawie, roztrysną się ich działania, któreś dotychczas ty, jak szkło palące, w jeden punkt zbierał i palił! My wtedy, mając za sobą lud i rycerstwo, zgniemy ich, ja wtedy usiądę na tem krześle, na które ty podstępem się wdarłeś, a z którego los sprawiedliwy tak prędko cię strąca. Ja będę miał władzę, ja będę pierwszym — a twój trup gnić już wtedy będzie!

**Cilli.** Jakże okropną twa zemsta! — tysiąc razy gorsza niż śmierć, którą masz zadać!

**Hunyady.** Ta gorycz, którą wlałeś w moje żyły, ciebie teraz truje. (*Dobywa sztylet*). Klękaj i módl się, bo życie twoje kilka tylko chwil jeszcze liczy.

**Cilli.** Modlić się?.. Modlić się nie umiem.

**Hunyady.** Rzuć okiem w przeszłość, przypatrz się, jak okropnie wygląda ten potwór, czyny twego życia! Spojrzyj i zadrżnij, bo wszędzie dokąd myśl zwrócisz, dokąd pamięć cię zawiedzie, zobaczysz zbrodnię i występki. Módl się i żałuj, bo twój duch ma teraz stanąć przed Bogiem na sąd po drugiej stronie żywota — w wieczności!

**Cilli** (*odstania piersi*). Uderz raz w te piersi, a nie dręcz daremnie tego nieznośnego czucia, które sumieniem zowią. Uderz, zakończ tę mękę, jakiej ma dusza doznaje, zstępując z wielkości życia w nicłość śmierci!

**Hunyady.** Jednym błyskiem miecza wypełnię twe żądanie.  
(*Przebija go. Cilli upada.*)

**Wszyscy.** Hurra!

**Bodo** (*odstępując ode drzwi*). Ha, skończyło się przecie!

**Cilli.** Przeklinam cię!... Duch mój w gruzy się łamie...  
och!... (*Umiera.*)

**Hunyady** (*odrzucając sztylet*). Precz stąd, żelazo, któreś się tak haniebną krwią zbroczyło! Pierwszy raz przecięłoś pasmo ludzkiego życia, kiedy cios ciosu odeprzeć nie mógł! — nienawidzę cię! — (*Zakrywa twarz Gillego jego płaszczem*). Ta twarz, jak za życia, tak pozbawiona ducha, szyderstwem i bezecnością zionąc się zdaje. Wyrzucmy stąd tego trupa, niech nie kała miejsca, gdzie tylu wielkich mężów zasiadało, gdzieśmy królów naszych witali i sławę składali na ołtarzu ojczyzny. (*Kiedy się zabierają do Gillego, zasłona spada*).

---

## AKT CZWARTY.

### SCENA 1.

(Przód katedry gotyckiej. Lud i Rycerstwo po obu stronach drzwi. Miejsca bliższe widzów wolne).

**I Mieszczanin.** Widzicie, że zawsze źle na świecie być nie może, przebierze się miarka złego i spłynie jak piany szumowin. Napróżnośmy się tak bardzo smucili — znowu nam teraz będzie lepiej żyć na świecie.

**2 Mieszczanin.** A byłoby zawsze dobrze, gdyby ludzie parszywe owce z pomiędzy siebie wyganiać chcieli. Dopóki żył ten hrabia, źle było nam, panom, żołnierzom, i król był zdaleka od nas; jego czarci wzięli i wszystko się odmieniło. Król zgodził się z naszym młodym bohaterem, ot, nawet na hostyi ma mu teraz poprzysiądz wiarę i przebaczenie, potem zrobi go najwyższym gubernatorem.

**I Żołnierz.** Ten stanie znów na naszym czele. Hurra! pokańczymy sobie z pohańcami.

**I Mieszczanin.** Stąd jasno widać, że cała wina złego ciążyła na tym przekłętym pamięci nieboszczyku, że on umiał króla zawojować i robił, co mu się podobало. Ba! króla musiało to nieraz dobrze ubość, bo z ochotą zapomniał śmierci swego namiestnika i urazy, jaką za to mógł mieć ku Korwinom.



**2 Mieszczanin.** Nie zapominajcie, że oni takie mieli dowody, które ich przed każdym sądem w świecie uwolniłoby zdołały.

**1 Mieszczanin.** Słyszałem ja, jak o tem dzwonili, ale nie wiem, w którym kościele.

**2 Mieszczanin.** Mieli papiery, w których Cilli rozkazywał pozabijać ich wszystkich.

**1 Mieszczanin.** Puf! Więc oni tylko w miejsce swych imion wpisali jego imię.

**2 Mieszczanin.** Co mnie jednak dziwi, to to, że rozkazy miały być ręką królewską podpisane.

**Kilku.** Ręką królewską?...

**2 Mieszczanin.** Aha!

**1 Mieszczanin.** Hm, dziwna to rzecz! król widocznie źle im nie życzył, kiedy teraz do odpowiedzialności ich nie pociągnął. Kto wie, na co się ten bestya Cilli mógł zdobyć — on może sfałszował podpis i pieczęć króla.

**Żołnierz.** Albo kazał królowi podpisać i pieczęć przyłożyć.

**1 Mieszczanin.** I to być może. Ten łotr omało królowi kołków na głowie nie ciosał.

**2 Mieszczanin.** Z tego się pokazuje, że król był czysty jak słońce, a Cilli tylko broił.

**Żołnierz.** Niech mu za to czarci smoły nie żałują!

**2 Mieszczanin.** Amen!

**1 Mieszczanin** (*patrząc za scenę*). Już idą, już idą!

**2 Mieszczanin.** Przecieśmy się doczekali. Chwała Bogu, już tu na tej spiekocie ze trzy godziny czekam.

**Żołnierz.** Jednak i tak więcej nie ujrzycie od nas.

**1 Mieszczanin.** Ba, nie zapominajcie, że poczciwy Janasz widział już więcej niż wy: wszystkich ludzi, jak się tu schodzili.

**Żołnierz.** Ha, i to coś znaczy!

**2 Mieszczanin.** Cicho, sza! Już są — na bok ludzie, ustąpić się! (*Lud tłumi się pod ściany katedry.*

*Muzyka. Wchodzą Halebardnicy, dalej Król mając po boku Hunyadego. Obaj z odkrytymi głowami,*

bez mieczów, w złotolitych jasnych sukniach. Za nimi Magnaci, Rycerze, zarówno stronnicy Korwinów, jak i Cillego. — Lud za wejściem Króla odkrywa głowy, witając orszak okrzykami: Niech żyje król! — Hurra! Niech żyje Hunyady! Halebardnicy stają przy drzwiach świątyni, a skoro Król do progu się zbliża, ukazuje się wewnątrz Szecsi otoczony duchowieństwem, wita Króla i postępuje z księżmi naprzód. Za nimi cały orszak wchodzi do kościoła. Muzyka cichnie powoli).

**Urban** (wchodzi). Radość jaśnieje na wszystkich obliczach, powietrze rozbijają wesole okrzyki, a dla mnie tylko jednego ten dzień jest dniem okropnym. — O tak, głupi tylko cieszy się naprzód powodzeniem, dobiegnięciem do mety, nie pamiętając, że lada powiew może metę unieść i oddalić od niego, a on znów musi biedz i ziajać zmęczonemi pierściami. Darmo! los pcha mnie dalej — trudno zwrócić się z drogi, po której nas gna pragnienie nasze. Dalej i wyżej, więcej i prędzej! krzyczą miliony świat zamieszkujące — głos ich odbija się tylko o sklepienie niebios — ziemia go nie powtórzy — ale oni się siłą, mozolą, pną i czołgają, bo za jedną rękę wiedzie ich nadzieja, a drugą włada żądza szczęścia, której głowy rozrastają się jak łby zjadliwego smoka, a każda paszcza pragnie zaspokojenia! Dalej więc!... nadzieja zawiodła, ale pragnienie woła dalej i dalej, a środków do tego nie braknie, bo pierś ludzka wiecznem źródłem dobrego i złego. (Zamyśla się, stojąc po lewej na przodzie sceny. Giskra i Gara wchodzi z prawej).

**Giskra.** Śmiałym się jak szatan z naszego upadku! Wiercie mi, że to dosyć zabawne, jak nam teraz pospadały nosy. Milionkroćstotysięcy czarotów, ktoby się był spodziewał, że to kiedyś nastąpi!

- Gara.** Szyję byłbym dał za to, że Korwinowie, jak się podnieśli nagle, tak runą prędko — a tu teraz... pfuj!
- Giskra.** Ten ulubieniec bogini sławy i szczęścia zażgał nam jak żabę naszego czarnego kamrata, a król zamiast wziąć wszystko za łeb, potracił ich i powyganiać, przeprasza się z nimi, zapomina win i uraz i na ołtarzu przysięga, że bezpieczni, jak ja w Tatrach między swymi.
- Gara.** Cilli gryzie piasek niepomszczony, a my zniknęliśmy jak cień przed słońcem!... przekleństwo!...
- Giskra** (*oglądając się*). Żebym ja tylko miał z połowę swych kamratów, rozpędziłbym tę czeredę, która patrzy w swego ulubieńca, jak Turcy w grób psiej wiary proroka, zapaliłbym ja im jaśniejsze świeczki, a wtedyby jeszcze raźniej dzwonił i głośniejsze się darli!
- Gara.** Cała ta sprawa jakoś dziwnie się toczy; nie mogę pojąć tej nagłej zmiany króla.
- Giskra.** Ha, ha, nie masz sobie nad czem głowy łamać!
- Gara.** Król jak król, ale Szecsi?... on brata się z Korwinami, rękę im podaje do zgody... Giskro, Szecsi nas zbawi; gdzie Judasz, tam musi być zdrada i śmierć!
- Giskra.** Kto wiedzieć może, co się stanie, kto siedzi w Szecsim, kto wie, co on myśli, gdy jego twarz tak mileżąca jak gardło! Padłeś jednakże na myśl, która może kiedyś przynieść zaszczyt twej przenikliwości. Chodźmy do kościoła — przypatrzmy się tym komedyom, jeśli je Szecsi wyprawia. (*Wchodzą do kościoła*).
- Urban** (*do siebie*). I ci ludzie przeklinają także zrządzenie losu, razi ich oczy szczęście człowieka, który jest wspólnym naszym wrogiem!... Od przebaczenia jednak tylko krok do łaski. Król będzie musiał poruczyć mu tę godność, która go już raz minęła, której on pragnie, którą mu powierza głos narodu. On wtedy będzie siłnym, pozna, com kie-

dys czynił, bo potęga otwiera usta tajemnicy nawet w grobie; król sam gotów mu się wyświadczyć ze wszystkiego, jeśli mnie nie będzie, aby mu poddawać obrazy namiętne i uczucia zawistne. Odepchną mnie ode dworu, i kamień chyba przywiążę sobie z rozpacz do szyi, gdy ujrzę Annę obok niego i to złoto, to złoto, które jest krwią moją, w ich rękę!... Pieczęta, wspomóżcie mnie, wspomóżcie jeszcze raz jeden! (*Milczenie*). Ma umrzeć wtedy, kiedy czas przyjdzie na niego, kiedy śmiercią szczęścia nikomu nie przyniesie... niech teraz umiera!... (*Halebardnicy wchodzą do kościoła*).

**I Mieszczanin.** Pójdźmy do domu. Już wszyscy z kościoła odeszli na zamek. (*Lud się rozchodzi*).

**Urban** (*do siebie*). Ni świat, ni ty nie będziecie znali ręki, która cios w twą głowę wymierzy — cienie tajemnicy osłonią mnie — skryję się za płaszcz sędzięgo, który na ciebie wyrok wyda. (*Wychodzi szybko*).

## SCENA 2.

(Mieszkanie Hunyadego).

**Hunyady** (*wchodzi*). Wstępuję znów na drogę, którą już raz szedłem. a opuścić byłem zmuszony; na nowo otwiera mi się szerokie koło życia, jakie sobie zakreśliłem, a które mi ludzie zniszczyli. Wstępuję — lecz już nie z tak swobodną piersią jak niegdyś, gdym sądził, że za mą wolą i chęcią pójdą wypadki i koleje mego życia, że cały świat dążyć będzie za mną do jednego celu. — Dziecinne uroszczenia! Jeden zawód zbudził mnie i ostrzegł, że przyszłość nasza nie tylko od naszej chęci zależy. Teraz dopiero poznaję całe szczęście tych chwil, gdy w upojeniu radości, z pewną nadzieją, choć z zawiązanymi oczami

rzucamy się w życie! Teraz dopiero poznaję boleść rozczarowania, gdy życie nas od siebie odrzuci, jak twardy puklerz grot odbijający... Prawda — wtedy czułem jeszcze inne szczęście, które mi się teraz w kolce cierpienia przemieniło. Nie! to mię nie boli — ja nie cierpię dla tego, bo możnaż o to boleć, co zapomnienie ogarnęło?... Nie! ja nie czuję przecież ani miłości, żalu, ni zemsty, bo miłość mię zawiodła, żałować nie można tego, co w naszych oczach wartość straciło, a mścić się tembardziej niema za co!

**Anna** (*wchodzi powoli, wstrzymuje się w pół sceny*).

**Hunyady.** Czy to mara twoja, czy ty masz tyle bezczelności?

**Anna.** Daruj!... Nie przybyłam w zamiarze, o jaki mnie posądzasz. Ty nie żądasz tłumaczeń, odrzucasz je od siebie, a ja nie mogę i nie mam czem się tłumaczyć. Dla mnie przeszłość zginęła — świeci tyle jak słońce przez ciemną chmurę; boję się spojrzeć na nią, bo jedno tylko we mnie wznieca przypomnienie — przypomnienie szczęścia, mdłe, dalekie, że życzeniem nawet nie śmiem pomyśleć o jego powrocie, nie marzę o tem, nie mam nadziei, nie tęsknię za utraconym rajem — i cierpię...

**Hunyady.** Słucham tedy, jakie życzenie lub wola tutaj cię przyniosły.

**Anna.** Życzenie mam tylko jedno, a tego nikt z ludzi zaspokoić nie zdoła.

**Hunyady.** Więc czego, czego chcesz ode mnie!

**Anna.** Och! — Przyniosło mię tu uczucie, jakim Bóg napęlnia niekiedy nasze serca, uchylając część zasłony, która przyszłość zakrywa — przecucie nieszczęście zwiastujące. Był przecie czas, gdzie to samo serce, którem teraz przecucie owładło...

**Hunyady.** Żadnych przypomnień przeszłości!...

**Anna.** Ha! — Był czas, gdzie znaliśmy się oboje, cóż więc dziwnego, jeśli umysł zachował mimowoli

jakieś pamiątki przeszłości... Och, nie odwracaj się ode mnie, bo pogarda bardziej dotyka niż nienawiść!

**Hunyady.** Czy przybyłaś szarpać za węzły, jakieby jeszcze mogły nas łączyć ze sobą, czy zawiązywać je, gdy sama je przedtem stargałaś!

**Anna.** Boleść, słowami memi rządząc, może za wiele mówić mi kazała... Przybyłam tu jedynie, aby cię prosić, błagać: uciekaj stąd, oddal się!

**Hunyady.** Po toś tu tylko przybyła? Dlaczego mam uciekać?

**Anna.** Bo ci zagraża więzienie lub śmierć.

**Hunyady.** Mnie? i teraz?

**Anna.** Teraz właśnie więcej niż kiedyindziej. Żli ludzie dostali ci się za towarzyszków drogi żywota — jednego z nich zabiłeś, a inni godzą się z tobą — czyż cię to nie dziwi?...

**Hunyady.** Nie. Bo oni w szczęściu przyjaciółni sobie być mogli, ale ich przyjaźń znikła wraz ze szczęściem.

**Anna.** Ale — król?

**Hunyady.** Król? Wszak mi przysiągł na ciało żywego Boga zapomnienie i pojednanie!

**Anna.** A tyś uwierzył w przysięgę i szlachetność jego! Król ci przebaczył, król ci zaprzysiągł, on, który pewnie niczego tak żywo nie pragnie jak twej zguby. On ci zazdrości i obawia się ciebie. On ma przy sobie usłużnych dworaków — a oni wszyscy to twoi nieprzyjaciele — słabość króla musi uleźć ich podszeptom. O, lepiej ja go znam niż wy wszyscy — na długie lata wpoił mi się w pamięć! Patrzaj na mnie! — ta biała smuga na mem czole, to odbicie hańby, pod którą upadam — a on sprawcą mego nieszczęścia!... (*Hunyady patrzy, nie mogąc wzroku od niej oderwać*). Tak, znam go, znam całą podłotę jego duszy, całą szkaradę serca! — Jam upadła tak nisko, a on zepchnął mię w tę przepaść. O, wiedział

on, jak i gdzie uderzyć!... Czyż można się spodziewać po człowieku, który zdeptał jedno święte uczucie, aby czcił świętość innych? Władysławie, dwoma tylko słowami mogę się odezwać do ciebie, i muszę, bo mi piersi rozsadzają; uciekaj — niewinnam!... Resztę Bóg ci kiedyś dopowie! (*Wychodzi*).

**Hunyady** (*po chwili*). Jeżeli można na świecie odróżnić głos prawdy i niewinności od głosu fałszu i obłudy, to to był głos!.. Boże, czyliż się prawdy dowiem?... Boże, dopowiedz mi resztę!... (*Wychodzi*).

### SCENA 3.

(Pokój królewski).

(*Król i Szecsi wchodzą*).

**Szecsi.** Miłościwy panie, tak jednak uczynić trzeba, innej drogi już nie widzę.

**Król.** Przyznaję wam słuszność, ale wstrzymuje mnie coś od tego kroku.

**Szecsi.** Wiem, co WKMości przeszkadza iść za swoją wolą, Jest to uczucie królów niegodne — jest to bojaźń.

**Król.** Szecsi!...

**Szecsi.** Niech się WKMość nie obraża i raczy przyjąć prawdę z ust moich. Bojaźń tę usprawiedliwiają powody, ale cechą jest dusz wielkich przeciężyć słabość wrodzoną ludziom — zwłaszcza gdy z jednej strony bojaźń złego, a z drugiej pewność złego.

**Król.** Straszycie mnie ciągle, straszycie!

**Szecsi.** Tak, pewność złego. Obawiasz się, panie, co by mogło nastąpić, gdybyś poszedł za memi radami, a ja wiem, co nastąpi, gdy nie pójdiesz za nimi.

**Król.** Cóż nastąpić może? Jedynie to, że wy wszyscy, którzyście Cillego się trzymali, na wieki zginiecie.

Ja zaś może jeszcze lepszego posiędę sługę, niż miałem z was wszystkich.

**Szecsi.** Szczeroci niema w mowie twojej, panie. Chcesz koniecznie odrzucić rady moje, dlatego wprzód odrzucasz me usługi, odrzucasz mnie. WKMość nie życzy sobie, aby Korwin był waszym pierwszym urzędnikiem — ty go nienawidzisz, królu, lecz obawiasz się go także, lękasz się jego stronników, ludu i wojska, i dlatego nie chcesz dozwolić, aby głowa tego niebezpiecznego człowieka legła u nóg twoich. — Ale, jeśli ty nie sięgniesz po nią, on pokusi się o twoją...

**Król** (*robiąc gwałtowne poruszenie*). Królóbójcąby został!...

**Szecsi.** Nic niepodobnego dla tej wyniosłej głowy, nic złego dla tak dumnego serca! — Czyż do tego nie dążą od dawna Korwinowie, aby ród swój umieścić na tronie, aby miecz na berło zamienić? Jakaż to była pobudka, która ich gnała do wielkich czynów oręża? Myślisz, królu, że to miłość ojczyzny, wiary lub króla, że to uczucia, które oni kłamią? O, srodzebyś się zawiódł! Mieczem dostąpili potęgi — potęgą dostąpią tronu, na którym ty, królu, zasiadasz.

**Król.** Dosyć, dosyć! — Są jednak ludzie, którzy dalej i głębiej widzą niż ja!... Dążą do tronu, który jest mą własnością... Nędznicy, jednym stąpieniem nogi, jednym skinieniem zgubić i zgruchotać was mogę! — Tak, Szecsi, dobrześ mi radził... próżną moja obawa... jam królem... niech giną!... Zginą... ja tak chcę!

**Szecsi.** Zbawienne postanowienie wasze wykonać trzeba jak najprędzej. Na mnie jednak kolej przypomnieć WKMości, że oni silni, że przezornie i rozsądnie działać należy.

**Król.** Ty działaj, arcybiskupie; na ciebie to zdaję; użyj wszelkich środków, jakie ci poda moc moja a twoja przebiegłość i mądrość.



- Szecsi.** Proszę cię więc, królu, o łaskę zupełną dla Hunyadego, o godność, której tak gorąco żądał, — uczyni mu jej nadzieję, pokaż mu ją, jak błędny ogień pokazuje drogę podróżnemu — niech leci za tym znikomym blaskiem i wpada w przepaść!
- Król.** Uczynię to.
- Szecsi.** Obsyp względami i łaskami jego stronników, otocz się nimi, witaj ich zawsze z twarzą pogodną i obiecującą.
- Król.** Wszystko, wszystko oddam im na czas krótki, aby im wszystko wyrwać na zawsze.
- Szecsi.** I jeszcze jedna prośba. Oto prawnie wygotowany wyrok na Władysława Hunyadego za skrytobójstwo Palatyna... Twojego podpisu tu brakuje, królu...
- Król.** Wyrok śmierci!... więc ma zginąć podług prawa?..
- Szecsi.** WKMość się waha?..
- Król.** Nie, nie! Zostawcie mi to pismo — za chwilę... podpiszę je.
- Szecsi.** Miłośniwy panie, pamiętaj, że w tem piśmie spoczywają losy twoje, losy twej korony! (*Oddala się*).
- Król (d. s.).** Och, nie mogę tego zapomnieć! (*Sam, kładąc papier na stole*). Mam tyle władzy, że wolę jednej chwili zniszczyć cię zdołam, a nie mam tyle mocy, by tę wolę wydobyć ze siebie. Zdaje mi się, że twej głowy topór odciąć nie zdoła — tak silnym jesteś w mych oczach, tak wielki wobec mej obawy. Ale raz trzeba się jej pozbyć!.. (*Zbliża się do stołu*). Ha, krzywoprzysięzca!.. Przyśiągłem na stopniach ołtarza, a teraz mam tą samą ręką, która przed chwilą jego prawicę ścisnęła, podpisać wyrok jego śmierci... Jeśli przytłumię w swej piersi bojaźń króla, nie mogę przydusić bojaźni człowieka, któremu staje przed duszą sąd ponad gwiazdami! — Szecsi, Szecsi, poco mi kazałeś przysięgać, a teraz być wiarołomcą!..

nie wiesz, jaką burzę wzniciłeś w mem sercu!  
(*Rzuca się na krzesło*).

**Urban** (*wchodzi*). Przychodzę do WKMości upraszać o uwolnienie mię od danego słowa.

**Król.** Co mówisz!

**Urban.** Przyrzekłem, panie, najpiękniejszą dziewicę Węgier zrobić twoją kochanką — spełnić tego teraz już nie mogę.

**Król** (*zrywając się*). Mówiłeś przecie, że jednego tylko kroku brakuje, a ona moja!

**Urban.** Muszę to teraz odwołać. Nie spodziewałem się, że WKMość sam mi w tem przeszkodzi.

**Król.** Ja ci przeszkodziłem!...

**Urban.** Z goryczą to wyznaję. Pracą swoją dokonałem tego, żem przerwał nić łączącą te dwa serca. Ciebie gnała miłość, a mnie nienawiść do tego rodu, z którym połączyłbym się musiał. Ty ustępujesz teraz z pomiędzy nich, sam dłoń im podajesz, aby się wydostali z toni... Królu, pracowałem dla ciebie; ty niszcząc moje dzieło, niszczysz i swoją korzyść!

**Król.** Ja? ja? Urbanie — chyba zmysły ci się pomieszaly! Ja mam pomagać, aby on posiadał Annę, ten kwiat piękności, którego pragnę, i który mieć muszę!

**Urban.** Trudno — niepodobna.

**Król.** Czemu? Połowy, całego prawie dzieła dokonaliśmy, a ty mi wątpić każesz!

**Urban.** Zwaliłeś, królu, to, coś wzniósł. Mogłeś igrać i walczyć bez obawy przegranej, póki twój przeciwnik był słabym. Lecz ciebie zaślepienie jakieś ogarnęło i wywyższyłeś go, aby stanął z tobą do równego boju. Zabił Cillego — ty, królu, szukałeś z nim zgody, i dać mu teraz musisz tę władzę, której mu przedtem odmówić śmiałeś. Czy wtenczas nie dowie się o prawdzie, choćby najlepiej ukrywanej; czy wtenczas będziesz śmiał podnieść wzrok na Annę, która dotąd przed świa-

tem nosi nazwę jego kochanki i narzeczonej; czy będziesz śmiał spojrzeć na oblubienicę swego namiestnika?... O, wtenczas wszystko, wszystko stracone!...

**Król.** Przestań, przestań, bo targasz żyły mego serca!

**Urban.** Anna, ta cudna dziewica, rozbroi znów gniew swego oblubieńca, bo on dowie się, że to wszystko było ułudą, bo w jego duszy tlą już teraz pewnie iskry powątpiewania. On pozna, gdy mię oddzieli od ciebie — a uczynić tego nie omieszka — że my jesteśmy sprawcami hańby i bóleści jego kochanki. Wtedy biada mnie! — biada nam! — a jemu tryumf i cześć!... On wysie słodycz z tego boskiego kwiatu, czego ty, będąc królem, uczynić nie zdołałeś!...

**Król.** O! wyrwę mu z rąk ten kielich rozkoszy, wytrącę go! Niech się rozleje raczej ta ambrozja ludzka, gdy jej nie będę mógł skosztować, a on niech nie dotyka swemi usty tego puharu!

**Urban.** Spełnisz go, królu, jeśli będziesz miał dość siły, by zgubić współbiesiadnika przy stole rozkoszy.

**Król** (*wskazując na papier*). To wyrok jego śmierci. Brakuje tylko mego podpisu — kilku głosek mą drżącą ręką nakreślonych!

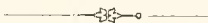
**Urban.** Podpisuj, podpisuj, królu! Anna warta tych kilku pociągów pióra! (*Wkłada mu pióro w rękę*).

**Król.** Tak, choćby kilku takich pociągów, na których kat swój topór naostrzyć może! — (*Podpisuje szybko. Urban patrzy z chciwością na pismo, a kiedy Król ostatnią głoskę kładzie, wydaje wykrzyk radości. Król wstaje nagle, rzuca pióro i roztworzywszy drzwi boczne woła w nie*) Arcybiskupie! (*Odwraca się prędko i staje na środku sceny. Szecsi wchodzi. Król wskazuje na wyrok*).

**Szecsi** (*spojrzawszy na podpis, składa papier i chowa. Potem, podniósłszy wzrok na Urbana, podaje mu rękę*). Dziękuję wam, hrabio Urbanie! (*Odwraca się do Króla*). Za tydzień, gdy uśpimy wszelkie

podejrzenie, kiedy się czuć będą zupełnie bezpieczni, otworzą się dla nich bramy więzienia, a drugi tydzień od dzisiaj, nie będziesz ich się już obawiał, królu. Spadnie głowa Hunyadego, a jego stronnicy gryźć będą w więzieniach swe ciało z gniewu i wściekłości.

**Król** (d. s). Korona i Anna warte tego robaka, który toczy mi serce! (*Wychodzą*).



## AKT PIĄTY.

### SCENA 1.

(Sypialnia Anny. Noc).

**Urban** (*wchodzi z czarą w ręku*). Przeklęty uporze niewieści! Daremnie namawiam i tłumaczę: Anna wciąż wierna miłości i cnocie. — Lecz teraz kiedy jej rozpacz do szaleństwa dochodzi, zjawię się przed nią z tym kielichem trucizny, i jak dobry anioł złego czynu uczynię ją szczęśliwą i siebie szczęśliwym. — Ale dla ciebie, królu, nie zginie ona z mej ręki — umrze z boleści, jaką ty jej sprawiłeś, mordując jej kochanka. Dostaniesz jej trupa, bo chciałeś jej ciała! (*Siada na boku*).

**Anna** (*wchodzi d. s.*) Ach, ten okropny widok wszędzie mię ściga — nie mogłam patrzeć na gwiazdy i lazurowe niebo... Dzisiaj więc, dzisiaj!... Pierwszy raz w życiu chciałabym przedłużyć godziny mej męczarni... Zamordują go!... Mamże wierzyć temu?.. Czy to prawda, Anno?.. Ach, jak to straszne!.. Litości, Boże, nade mną!..

**Urban** (*zbliża się do niej, bierze ją za rękę*). Ty cierpisz, żądasz ulgi, Anno?

**Anna** (*podniósłszy na niego oczy*). Niema jej, niema!

**Urban**. Jest przecież jedna...

**Anna**. Śmierć... O tę błagam. Bóg nie chce jej zesać.

**Urban.** Czyż Bóg widomie zstępuje kiedy na ziemię, czyż ręką jego nie są ludzie i natura, a myślą władnąca myśl zakryta przed naszymi oczyma? Widziałaś kiedy Anno kwieciste łąki, widziałaś tam kwiaty oddychające wonią, zachwycające barwą. Ich zapach był tobie tak miły, ich strój tak pięknie ubierał twą głowę i łono. Widziałaś inne, których własności wracają ludziom siły i zdrowie, i chowałaś je na czas złej choroby. Ale pomiędzy tem kwieciem spostrzegałaś także jedno — lecz ręka twoja nie dotknęła go się, odrzącałaś je nogą, zdeptałaś je! Jakto! — jest na ziemi kwiat, który nie ma ani zapachu, barwy ni życiodawczej siły, lecz miałżeby być bez celu, gdy wszystko ma swój cel?... Nie, ten kwiat posiada także siłę, którą tylko szczęśliwi się brzydzą. (*Prowadzi Annę przed stół, na którym czarę postawił*). Dotkniesz ustami tego kielicha, a zapomnisz cierpienia. Słodycz, wyciśnięta z winnej jagody, nie da ci nawet uczuć goryczy jadu i śmierci. Umrzesz, nie czując skonu, a ockniesz się w niebie, nie widząc jego spadającej głowy, nie widząc jego krwi rozlanej po deskach szafotu, i czekając tam jego przybycia — waszego połączenia!.. (*Puszcza rękę Anny, która upada bezwładnie, odchodzi*).

**Anna** (*stoi chwilę nieruchoma*). Nie widząc jego spadającej głowy... jego krwi... czekając tam... waszego połączenia!.. (*Chwyta za czarę, nie podnosząc jej ze stołu*). O, ileż skarbów zawartych w tym płynie, a ja je wszystkie mieć mogę!.. Czyż nie lepiej rzucić się w przepaść śmierci, niż ginąć powolnym ogniem katuszy?... (*Milczenie*). Na dnie tego puharu znajdę śmierć i zapomnienie, ale na dnie kielicha żywota błyszczy się gwiazda — światło — odblask szczęśliwości nieba — nadzieja. (*Puszcza czarę*). Nadzieja!... a jam chciała być

samobójczynią! (*Odbiega od stołu*). O, precz, precz ode mnie, ty ponętne oblicze śmierci, dopóki mam kupować u ciebie szczęście za swą zbrodnię! (*Uklęka*). Boże, mój Boże! (*Król wchodzi. Anna odwraca się ku niemu, a poznawszy go, bez żadnego wrażenia zostaje w dawnym położeniu*).

**Król** (*przystępując do niej*.) Módl, módl się, Anno, za duszę swego kochanka! Cztery godziny życia jeszcze mu pozostają — to czas zbyt krótki — a śmierć na czas obliczona tak okropna. (*Pochwili*). Widzisz, dopełniłem swej groźby. Walczyliście oboje ze mną, i do czegoż was ta walka doprowadziła? Spadnie dzisiaj jego głowa — ta pyszna głowa, co zawsze dumą, jak złoto blaszkiem, świeciła! A ty — tyś już nie tak pogardliwa jak dawniej, nie szydzisz ze mnie, nie urągasz mi w oczy, ale pognębiona, zgięta cierpieniem boisz się wzroku podnieść, abym z niego nie wyczytał poniżenia... Ha, pokonałem cię okropnie! Lecz ja zwycięzca chcę ci pierwszy podać rękę, chcę wejść w układy z tobą. Chcesz ocalić Władysława?...

**Anna** (*spogląda na niego*).

**Król.** Dziwisz się memu pytaniu? Mówię naprawdę.

**Anna** (*powstaje*). Idź precz, idź precz! (*Wskazuje mu drzwi*).

**Król.** Ha! nie chcesz siebie poświęcić dla jego ocalenia, a przecież pamiętam, jak mówiłaś: kocham go więcej niż życie, niż siebie. To kłamstwo!

**Anna.** Kocham go więcej niż siebie, niż życie, niż wszystko na ziemi — kocham go tyle, ile tobą pogardzam. I dlatego wolę patrzeć na jego śmierć, niż hańbą okupić mu życie. — Winą twoją upadłam w jego oczach, twe rozpustne chęci okryły mię podłością — ale tam, gdzie sprawiedliwość i prawda królują — tam on znowu kochać mnie będzie — a niewinność doda mi sił, że zdołam nieść dalej brzemię bolesnego życia.

- Król.** Niewinność!.. Głupie słowo świętoszków świat oszukujących, niedorzeczne poczucie czci w głowach szalonych jak twoja. Ludźmi jesteśmy i do życia stworzeni! Aniołowie, ciała ni namiętności nie mając, zgrzeszyli, a ty chcesz być wyższą od aniołów?.. Spełnić cały kielich rozkoszy ziemskich, to przeznaczenie życia ludzkiego! — Och, twój wzrok!.. poczułem go na twarzy, a krew mnie pali, jakbyś roztopionego srebra w nią wlała!... (*Chwyta ją za rękę*). Czujesz, jak moja krew gore, jak wrząca namiętność pędzi wążkiem korytem żył moich! Rozkosz — to raj, z którego nas kiedyś przeznaczenie wyгнаło!... Usta twe!.. ssają kiedy pszczoła miód z piękniejszej róży?..
- Anna** (*odpycha go i odbiega od niego*). Precz, precz, obrzydły rozkoszniku! Jeżeli nie lękasz się ludzi i sprawiedliwości na ziemi, lękaj się Boga, bo przed jego sąd cię wezwę.
- Król.** Ha, daj pokój!.. nie ustraszysz mię!.. ja chcę zapomnieć o wszystkim, o ziemi, Bogu i sądzie!.. Ja widzę tylko ciebie... (*Chwyta za czarę*). Ten napój daje zapomnienie, każe nam żyć tylko terazniejszością, zagłuszy głos sumienia, co powstrzymuje wolę człowieka, a czyni go swym niewolnikiem. (*Wychyla duszkiem*).
- Anna** (*patrzac na niego obłąkanym wzrokiem*). Pij królu, pij, pij!
- Król** (*rzucając czarę*). Uspiełem duszę, ciało teraz wszechwładnym panem!
- Urban** (*wpada*). Jesteś tu, królu!
- Król.** Pocoś tu przybył!
- Urban.** Hadervary i zgrają ich przyjaciół, których dostać w swe ręce nie mogliśmy, wpadli na zamek, aby odbić Hunyadego. Giskra się z nimi rozprawił. Chce przyspieszyć wykonanie wyroku, żąda, abys przybył!



- Król.** Przekleństwo!... ten człowiek do śmierci spokoju mi nie da! — Urbanie za mną! — nie lubię w ciemnościach sam chodzić. (*Wychodzą szybko*).
- Anna** (*sama*). Sępy krwi chciwe, pędzicie, by wyrwać to szlachetne serce!... Ostatni raz chcę go jednak widzieć, powiedzieć mu, że go kocham... Może choć teraz uwierzy, nie umrze, przeklinając mnie, i na resztę samotnego życia udzieli trochę spokoju i odwagi. (*Wychodzi*).

## SCENA 2.

Korytarz więzienny oświetlony pochodniami.

(*Król wbiega z Urbanem, za nimi Giskra, chowając miecz obnażony w pochwę*).

**Giskra.** Skończyło się już wszystko, królu. Kilku tylko uciekło, a między trupami nie znalazłem ni Boda ni Hadervarego.

**Król.** Kończ, kończ i dalej, bo ja spokoju nie mam, pokąd on żyje, ja się go boję.

**Giskra.** Baćby nam się raczej należało jego żyjących przyjaciół. (*Odchodzi do drzwi bocznych*).

**Król** (*chwytając Urbana za rękę*). Jak tutaj zimno, okropnie zimno!

**Urban.** To więzienie, miłościwy panie; nie bardzo wysoko nad ziemią, a nie zbyt często przewietrzane.

**Król.** Jakże tu ciemno!

**Urban.** To noc; krótka noc letnia przejdzie szybko i znów zobaczymy wschodzące słońce.

**Król.** Och, nie wszyscy, nie wszyscy — on go już nie zobaczy!

**Urban.** Tem milszem podobno ono dla nas będzie. (*Wchodzi Giskra, za nim Hunyady i kilku Żołnierzy. Ci ostatni cofają się w głąb*).

**Król** (*spoglądając z pod oka na Hunyadego*). Bojaźni na tej zwieszonej w dół twarzy nie widzę, choć każdy krok stawia go bliżej rusztowania!

**Giskra** (*do Hunyadego*). Twoim przyjaciółom masz zawdzięczyć, że cztery godziny mniej żyć będziesz.

**Hunyady**. Dzięki im za to! Przyspieszyli koniec męki, która jest otchłanią pożerającą wszystkie boleści. Ach, czemuż tylko w ostatniej mej chwili widzę nie złote promienie słońca, lecz fałszywe dyamenty tych wilgotnych murów! (*Obraca się na wschód*). O złoty gończe niebios, kiedy znów powitasz ziemię, pożegnaj ode mnie wszystkich, co drodzy memu sercu byli, a wschód twój jeszcze oglądać będą!

**Giskra**. Jakież twoje ostatnie życzenie lub wola?

**Hunyady**. Nie każcie mi długo patrzeć na siebie. (*Kiedy mają wychodzić, wbiega Anna*).

**Anna**. Stójcie, o jedną chwilę tylko błagam! (*Postępuje naprzód*). Idziesz na śmierć... czyż możesz sądzić, bym konającego oszukać chciała? Byłeś w błędzie... jestem niewinna... nie porzucaj mię na ziemi bez tej pociechy, żem była od ciebie do śmierci kochaną.

**Hunyady**. O, gdybym mógł w te słowa uwierzyć!... Przecież widziałem... Nie, nie!... przebaczyć tylko mogę!...

**Anna**. Jeszcze — jeszcze!... I na granicy innego świata ludzkiemi patrzysz oczyma! — Królu, tyś wszechwładniejszym dziś niż kiedykolwiek — dziś możesz szczęściem dwoje ludzi obdarzyć! Uczyn to uczyn, a zapomnę wszystkich boleści, którymi rozdarłeś mą duszę!... Powiedz mu, że wszystko, co widział, co mu się zdawało, że widział, było złudzeniem szatana! Powiedz mu, że ta miłość, którą ty mogłeś żywić, napotykała u mnie tylko na pogardę! Pokaż się wielkim, poniżając swą fałszywą wielkość ludzką! (*Kłęka*). Zlituj się, zlituj! — podnieś mię jednym słowem od nóg swoich! — Milczysz?... Otwórz, otwórz usta, bo rozpacz moje piersi rozsadzi!...

**Król** (*odsuwa się od niej z niechęcią*).

**Anna.** Nic, nic!... żadnego głosu ni z nieba nawet nie słychać! (*Zakrywa twarz rękoma*).

**Hunyady.** Tę zbrodnię nieodpokutowaną byłbym zaniósł przed tron boski! — (*Pada przed Anną na kolana*). Przebacz mi, aniele mego życia, żem rozdarł twe serce!

**Anna.** Kto to mówi do mnie?... To ty?... Czy znowu, by mię potem przeklinać i robić szatanem?...

**Hunyady.** Cicho, cicho, bo mi się zdaje, że słyszę głos twemi usty potępiającego mnie Boga! Byłem ślepy — lecz jakichże oczu było potrzeba, by w tym kłębie brudnego kału dostrzedz złotą nić twej niewinności? Teraz, gdyś napróżno błagała ten kamień, poznałem całe cierpienie czystej duszy, gdy chce zrzucić z siebie brzemię winy i grzechu, które świat jej gwałtem nakłada — a twój głos, który przeszył mury tych sklepień, wylewał rozpacz, jakiej samo niebo potępić nie może!... Och, i ja należałem do twych katów...

**Anna.** Spójrz, czy w moich oczach jest żal albo boleść?...

**Hunyady.** O, ileż widzę w nich nieba!

**Anna.** Tyle szczęścia czuje moja dusza!

**Hunyady.** Boże! wysłuchałeś mię — z pogodą czoła i serca pożegnaj życie.

**Giskra.** Królu, tak długo dajemy im wyprawiać te komedye. (*Kładzie rękę na ramieniu Hunyadego*). Czas iść na rusztowanie!

**Hunyady** (*ciszzej*). Prawda!... Bądź zdrowa, Anno!... żałuję cię bardzo — męka twa dłuższa niż moja. Do widzenia — tam zobaczymy się znowu — tam prawdziwe kraje szczęścia i miłości, bo tutaj los przeciwny zbija swymi grotami jedno po drugim marzenia i sny naszego życia. — O życie, o ziemi! (*Puszcza Annę z objęć. Anna upada. Wszyscy oprócz Urbana i Anny wychodzą*).

- Urban** (d. s.) O dziwna naturo serca ludzkiego, o dziwne przeznaczenie nad ziemią wiszące! Jedna chwila powróciła im znowu to, co im ludzie długą pracą wydarli — prawdę powiedział im jakiś głos, którego w głębiach duszy ludzkiej lub poza światem szukać należy!
- Anna.** Twe tchnienie przyobleka się w białe szaty — te szaty białe jak śnieg — szczupłe — obejmują jednak ziemię, świat cały...
- Urban.** Ona coś marzy!
- Anna.** Tem wiecznem tchnieniem żyć będzie miłość nasza — a mój wieniec, któryby zwiędnął od ziemskiego oddechu, zaniosę tobie nieskalany...
- Urban.** To głos jak nie z tego świata! Ha, trucizna może już działać zaczyna lub kończy, a czas mego tryumfu z temi dwiema śmierciami się zbliża!
- Anna** (*powstaje — po chwili chwytą Urbana za rękę*). Pójdź, pójdź ze mną oglądać jego śmierć, dzieło, do którego i ty przyłożyłeś ręki!
- Urban.** Ja zaś! Skądże myśl taka mogła ci przyjść, Anno?
- Anna.** Pójdź, pójdź! — Wy znacie się z królem lepiej niż mniemałam! Niedarmo król mię nachodził, gdym była samą — niedarmo ludzie tak prędko o tem się dowiedzieli — niedarmo on także wszystko poznał i widział! (*Ciągnie go*).
- Urban.** Szalona! czemuż straszysz mię swym obłąkanym wzrokiem?
- Anna.** Pojęłam wszystko, gdyś przed chwilą wpadł do mnie, by króla przywieść tutaj — dusze miewają czasem chwile jasnowidzenia! — Pójdź, pójdź! (*Wychodzi, ciągnąc Urbana za rękę*).

### SCENA 3.

(*Miejsce egzekucyi otoczone murem. Ciało Hunyadego leży na rusztowaniu pokryte czerwonym suknem. Dokoła stoją Żołnierze, niektórzy z pochodniami. Po prawej stronie siedzi Król, a przy nim Giskra, Gara i kilku innych*).

- Król** (*zrywa się z krzesła, zbiega ze stopni i zakrywa twarz rękami*). Och! och!...
- Giskra** (*przybiega do niego*). Królu, tu ludzie patrzą! Chwilę tylko władzy zdobądź jeszcze na sobie.
- Król**. Czyście widzieli jego wzrok?... Na mnie trzymał go zwrócony — w oczach błyszczała łza — ostatnia łza życia za życiem!... Schowaj mię, bo mi głowa pęknie od tego wzroku! (*Otula się w płaszcz Giskry*).
- Giskra**. To próżne przywidzenie, królu. Do podobnych widoków przyzwyczać się trzeba. Alboż to jeden umierający patrzył na mnie, a patrzył z wysoka, ze szubienicy, a przecież żyję dotąd i strachy mię nie zamęczyły!
- Król**. I na twej piersi czuć krew!... Niema już nikogo przy mnie, nikogo coby miał serce?.. (*Chwyta się za piersi*). Tu mię pali! Może to wszystka złość mego życia zebrała się w piersiach i zatrula oddech... Och! och! widzicie?.. biegnie ku mnie postać czarna... jej włosy na wiatr rozpuszczone... łono białe... łono rozpaczą dyszące! Och! tu — już coraz bliżej!... (*Wyciąga ręce przed siebie*).
- Giskra**. Coś widział, królu? Ja nic dostrzedz nie mogę.
- Król**. To pomsta boża!... Światła, światła! — podpalić zamek, byle jasno było!
- Giskra**. To Anna!
- Król**. Ach, właśnie ona! (*Anna wbiega, ciągnąc Urbana za rękę. Odpycha go potem silnie i spojrzawszy na rusztowanie, stoi nieporuszona. Urban na przodzie sceny, po stronie przeciwnej od Króla ze wzrokiem spuszczoneym*).
- Król** (*pada na ręce przytomnych*). Ratujcie mię! ocalcie!..
- Anna**. Ratujcie go, jeśli jeszcze można. Królu, tyś struty!
- Król i Giskra**. Ha!
- Urban** (*wzdryga się*). Co słyszę!..

**Anna.** Wypiłeś kielich napełniony jadem, który dla mnie ręka twego służalca przygotowała. (*Wskazuje na Urbana*).

**Giskra** (*biegnie ku niemu, dobywszy miecza*). Ty króla nam zabiłeś!...

**Urban** (*ucieka*).

**Giskra.** Nie ujdiesz mojej ręki! (*Wybiega za nim*).

**Anna** (*wchodzi na rusztowanie i pada na ciało Hunyadego*).

**Król.** Och, jakże okropnie opuszczać tak młodo ziemię i jej wielkość!... Ale oddałbym koronę za życie.. ach! koronę i życie za kilka lat młodości... (*zwiesza głowę bezwładnie*) o, wszystko i młodość za kilka chwil lepszego życia!... Ulrychu! Urbanie! (*Umiera*).

**Gara i inni.** Król umarł! król umarł! (*Biorą jego ciało ze sobą*).

**1 Żołnierz** (*po chwili*). Król umarł! — Wy odpowiecie nam teraz za wszystko! (*Wbiega na rusztowanie*). Bracia! to ciało naszego wodza — oni go zamordowali! Ta krew zemsty od nas żąda!

**2 Żołnierz.** Niech żyją Korwinowie!

**1 Żołnierz** (*bierze Annę za rękę*). Wstań! — pomścimy go... Ta ręka zimna! — Ona umarła. — Niech żyje Maciej Korwin! roznieśmy ten okrzyk po całym kraju!

**Żołnierze.** Niech żyje Maciej Korwin, nasz król!



# KMITA I BONARÓWNA.

DRAMAT W 5 AKTACH.







## OSOBY:

**Król Zygmunt I.**

**Królowa Bona.**

**Piotr Kmita**, wojewoda i starosta krakowski.

**Stanisław Kmita.**

**Firlej**, wojewoda.

**Bonar.**

**Zofia**, jego córka.

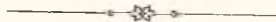
**Ormundowa**, ochmistrzyni Zofii.

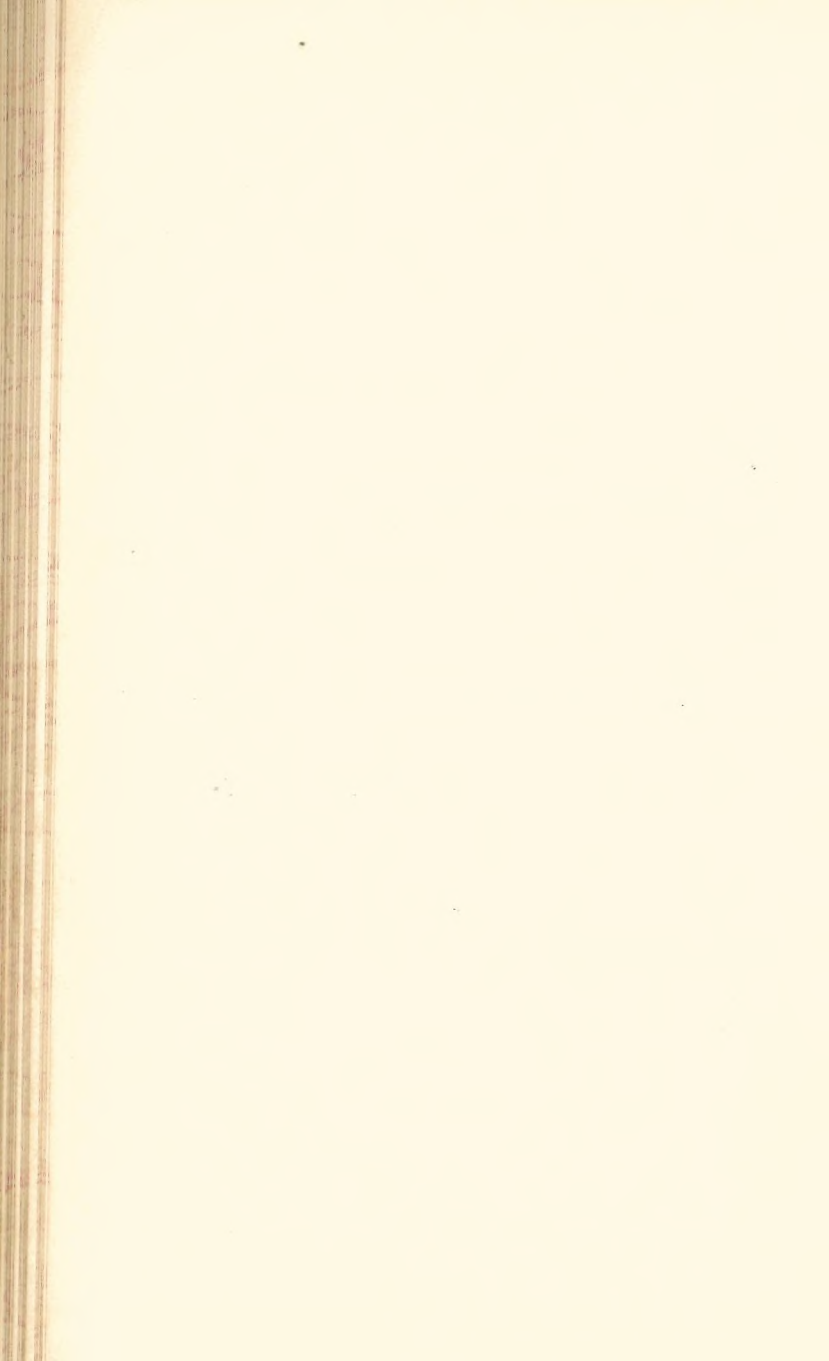
**Pełka.**

**Fraucymer Królowej**, Dworzanie rozmaici.

**Lud.**

Rzecz dzieje się częścią w Krakowie, częścią w okolicy.





# KMITA I BONARÓWNA.

## AKT PIERWSZY.

Pokoje królewskie na Zamku.

### SCENA I.

**Pełka** (*wchodzi*).

Tak, widzę, będzie najlepiej postąpić;  
Poczekam tutaj przyjścia wojewody,  
Niedługo musi powracać od króla,  
Powiem mu wszystko — rozumie się tyle  
Z wszystkiego, ile wiedzieć mu się godzi.  
Jeżeli on już tutaj nie poradzi,  
To i sam dyabeł nieby mi nie pomógł.  
Ależ co widzę? to jego brat idzie.  
Jakaż to mina rzadka, niepokieszna!  
Patrzcie, wy wszyscy, co się kochać chcecie,  
Na jakich miłość stroi nas cudaków.

(*Stanisław Kmita wchodzi*).

Czołem wam, mości panie Stanisławie.

Dzień dobry, Pełko.

**Kmita.**

**Pełka.**

Tak, dobry mnie, nie wam,

Bo wam już smutek wyrzył na obliczu

**Kmita.**

Nie wierz pozorom, mój Pełko — to złuda,  
To kłamstwo. Jasny tego dowód na mnie.

Mówisz, żem smutny, że to czytasz z twarzy,  
A przecież ja się czuję być szczęśliwym.  
Nie widać tego zupełnie.

**Pełka.**  
**Kmita.**

Być może.

Jak skąpiec, co się o swe skarby lęka,  
Ukryłem szczęście w niedojrzane głębie,  
Gdzie ich wzrok tego świata nie wysledzi.  
Bo wiem to, czuję, że ludzie zazdrosni,  
W jednejby chwili z niego mię obdarli,  
Żeby niem chcieli nasycić swą dumę,  
Niem nienawiści ugasić pragnienie;  
Wnetbym postradał tę bogatą szatę,  
Którą dziś miłość serce mi okrywa,  
Ich dłonie w sztukiby ją potargały.

Tak, Pełko, z szczęściem ukrywać się muszę,  
Lecz je posiadam mimo to — jak gwiazdy  
Świecą, gdy nawet wzrok ich nasz nie widzi.

**Pełka.**

Jeśli to prawda, cieszę się niezmiernie,  
Bo wiesz, jak twoje szczęście dla mnie drogie.

**Kmita.**

O wiem, mój Pełko. — Możeś widział Zofię?  
Czy nie wiesz, gdzie się tej chwili znajduje?

**Pełka.**

Ona jest teraz w ogrodzie z królową,  
Przynajmniej tak się zdaje — tak słyszałem.  
(n. s.) Niech gdzie chce szuka, a mnie tu nie  
[bruździ...]

**Kmita.**

Więc dla mnie znowu i ten dzień nie minie  
Bez jej widoku! O, gdybyś mógł uczuć,  
Jaka to rozkosz...

**Pełka.**

Co widzę, pan Kmita!

**Kmita.**

Co? wojewoda!... Bądź zdrow. To spotkanie  
Dla obu przykrym byłoby przymusem.

(*Odchodzi szybko głębiej.*)

**Pełka.**

A teraz mądrze go tylko zagadnąć!

**Wojewoda** (*wchodzi z pokojów króla, patrząc za odcho-  
[dzącym).*)

To, widzę, brat mój. Jak ode mnie stroni,  
Jak mi się lęka pokazać twarz swoją,  
Bym w niej nie ujrzał oznak nieprzyjaźni,

Jaką od czasu długiego przeczuwam.  
Co się z nim dzieje? że w całej postaci  
Widoczne ślady jakiejś skrytej walki  
I niepokoju — jakaś tajemnica  
Na dnie tu leży.

**Pełka.**

Być może...

**Wojewoda.**

Być może!

Słuchaj mnie, Pełko. Tyś jest mu podobno  
Niby przyjaciel, więc ty nie napróżno  
Rzekłeś: być może; ty musisz skrytości  
Znać jego duszy i tobie wiadomo,  
Jaki to robak podgryza to piękne,  
To bujne drzewo; ty wiesz, czemu brat mój  
Postradał ducha męskiego i czemu  
W nim nie odzywa się pragnienie czynów,  
Ani znaczenia, ani tych godności,  
Do których prawo jego ród mu daje;  
Czemu go nie znać w sejmie ni na dworze,  
Dlaczego Kmitów ostatni potomek  
Nie bierze blasku nowego, lecz owszem  
Zda się nabytą przodków świetność straci?  
Powiedz mi, Pełko!

**Pełka.**

Ach, panie, czyż mogę,

Jeślibym zdołał zasłużyć na przyjaźń  
Waszego brata, czyż mogę nadużyć  
Jego ufności, jego dobrej wiary?

**Wojewoda.** Tych niepotrzebnych skrupułów zaniechaj.

Któż może więcej pragnąć jego dobra  
Niż ja? któż może więcej nad tem cierpieć  
Niż ja? gdy widzę go w podobnym stanie.  
Dziś mnie natura jego ojcem robi,  
A sława przodków bronić mi się każe.

**Pełka.**

Prawda, mój panie. W żadne lepsze ręce  
Sam swego losu nie mógłby powierzyć.  
Ale i wam to równie boleść sprawi,  
Którą czytacie na jego obliczu.  
Bo trzeba wiedzieć, że wasz brat ze szczytu,  
Na jaki podniósł go ród i pradziadów

Odwieczna sława, zniżył się na padoł,  
Gdzie urodzenia nizkość i gdzie wiary  
Różnica i gdzie nienawiść rodowa  
Kielich rozkoszy, jakiego tam szukał,  
Gorzko mu trują —

**Wojewoda.** Co słyszę!... Mów dalej,  
Mów mi wyraźnie —

**Pełka.** A on sam to czuje,  
Ale z tych więzów wyrwać się niezdolny,  
Dlatego smutek trawi jego serce.  
Bo, jednym słowem, on kocha się w pannie,  
Której rodzicem jest obcy mieszczanin,  
Heretyk, kalwin i wasz wróg zawzięty.

**Wojewoda.** Tegoż mi przyszło dożyć, wielki Boże!  
Któż ta nieszczęsna?

**Pełka.** Uspokój się, panie —  
Zaradzić można.

**Wojewoda.** Mów mi, jak się zowie!

**Pełka.** Bonara córka.

**Wojewoda.** O niegodny człecz! —  
Taki postępek przechodzi mą wiarę!  
Pełko, to może burzy się krew młoda,  
Może to płochość, a nie wybór serca,  
Co wobec świata wiąże się przysięgą.

**Pełka.** Wszak widzisz, panie, jak twój brat wygląda?  
Miłość to szczerą, stateczną i trwałą.

**Wojewoda.** I jakież zły duch powiódł go w tę przepaść?  
Może odgadnę — to ten Bonar stary,  
Któremu nie dość nawet tych tryumfów,  
Jakie dlań łaska królewska marnuje,  
Ten lis, który lwią pychę się nadyma —  
On to zapewne podszeptał swej córce:  
Uwiedz młokosa.

**Pełka.** Nie znam w tym wypadku  
Bliższych szczegółów, lecz wasze domysły  
Może są słuszne. Bonar zna się dobrze  
Na tych praktykach.

**Wojewoda.** Ukarzę zuchwalca,

A mego rodu krew zbawię od sromu  
I brata z sideł wyrwę czarownicy.  
Tylko przed ludzmi milcz mi o tem, Pełko,  
Nagroda moja pewnie cię nie minie.  
Ze Stanisławem muszę zaraz mówić,  
Niechaj się dowiem, jak daleko zabrnął,  
Lub czy nie zechce wyrzec się swych błędów.  
Lecz kiedy skruchy w nim nie ujrzę, wtedy  
Chociażby gwałtem zmuszę do pokuty  
I te niegodne węzły porozrywam.  
Miałżeby z Kmitów ostatni wryć w pamięć  
Przyszłych pokoleń hańbiące wspomnienie?  
Lepiej niech padnie boleści ofiarą,  
Niech go mogiła pokryje! (*Wołając za scenę*).

Hej, Piotrzel!

Poszukać pana Kmity, niechaj przyjdzie  
Na me pokoje — lecz prędko, tej chwili! —  
Ha, burza trzęsie mem sercem! (*Wychodzi*).

**Pełka.**

Jak sądzę,

Nie będzie miała królowa powodu  
Powiedzieć, żem źle spełnił polecenie.  
Teraz zdaleka na rzecz dajmy bacność.  
(*Wychodzi za Wojewodą*).

**Firlej** (*wchodzi z drzwi bocznych, z piśmem w ręku*).

Jego królewska mość łaskaw jest dla mnie,  
To zaufanie nowym mi dowodem.  
Ale tymczasem nim rzucę stolicę,  
Trzeba rozpocząć swą małżeńską sprawę.  
Tak, między Polski krasnemi dziewczami  
Najwięcej mi się Zofia podoba.  
I inne względy, oprócz jej urody,  
Mogą mię skłaniać, aby ją poślubić:  
Mienie ogromne, wpływ, jaki u króla  
Posiada ojciec, jednakowość wiary —  
To wszystko dobrze się składa i w moich  
Zamiarach coraz mnie więcej utwierdza.  
Tutaj ją pewnie niedługo zobaczę;  
Królowa tędy wraca z fraucymerem

Z przechadzki. Przytem pożegnam królową.

*(Bona wchodzi z fraucymerem, gdzie się Zofia znajduje).*

**Bona.** Witam was, panie Firleju, dzień dobry!

**Firlej** *(kłania się).*

Z życzeniem łączy królowa spełnienie,  
Bo jakże dzień ten, w którym was oglądam,  
Nie miałby dobrym być. Tylko nieszczęście,  
Że te dni dobre jakiś czas się przerwą:  
Łaska mnie dzisiaj króla jegomości,  
Na parę może tygodni, oddała  
Z Krakowa.

**Bona.** A wiem — do Prus pojedziecie...

Król mi wspominał — do księcia Albrechta.

**Firlej.** Tak, na mnie ważny zdał król obowiązek,

Który mi zaszczyt i szczęście przynosi.

Ale odjeżdżać muszę bez odwłoki,

I właśnie tutaj królowej czekałem,

By się polecić jej drogiej pamięci.

**Bona.** Jedźcie szczęśliwie z Bogiem! Lecz tak prędko,

Już dziś wyjechać chcecie?

**Firlej.** Tego dzisiaj

Nie mogę liczyć za wiele. Pragnąłbym

W przejeździe bowiem odwiedzić Bonara,

I gdy na jakiś czas Rzeczpospolita

W usługi swoje mnie bierze, to dzisiaj

Na załatwienie własnych spraw obrócić.

**Bona.** I cóż za sprawa łączy was z Bonarem?

**Firlej.** Sprawa serdeczna, miłościwa pani.

Czas mi pomyśleć o domowym szczęściu,

Znaleźć kapłankę do domowych ognisk,

Której tak długo szukałem, po wszystkich

Domach się Polski bacznie oglądając,

Bo rzecz podobna wymaga namysłu.

**Bona.** Chwałę wasz wybór. Zofia jest tak piękna,

Tak dobre, skromne i niewinne dziecko —

Każę się kochać, ma tak tkliwe serce,

I tak łagodny zdobi ją charakter!

Na całym dworze nie znajdziesz człowieka,



By go dobrocią swoją nie ujęła.

Żeby szacunku dla niej nie posiadał,

By jej piękności i cnót nie uwielbiał.

Panie Firleju, wyboru winszuję.

(*N. s.*) W głowy kochanków nagły cios uderzył!

**Firlej.** Cieszą mnie mocno te pochlebne słowa.

**Bona.** Lecz macie słuszność, że nie odwlekacie.

Kto skarb wynajdzie, niech go zaraz bierze,

Bo drudzy pewnie nie zaśpią pogody.

Panie Firleju, spieszcie się, by czasem

Ktoś drugi do jej serca nie zapukał,

Przed ojcem prośby nie zaniósł o rękę.

**Firlej.** Na moją gwiazdę także nieco liczę,

I nie spodziewam się dostać odkosza.

Podobnych zięciów nie tak wielu w Polsce

Znalazłby Bonar. — Żegnam was, królowo.

**Bona.** Życzę wam szczęścia w obu przedsięwzięciach.

(*Firlej odchodzi w głąb i zaczyna cichą rozmowę z Zofią.*

*Pełka wchodzi).*

**Bona.** Ha, Pełka! Dobrze, że tu przychodzicie,

Czy mi powiedziecie macie co nowego?

**Pełka.** Ważną wiadomość, jedną z takich, których

Najlepsze chęci nie zawsze przynoszą.

**Bona.** Cóż przecie, mówcie!

**Pełka.** Królowo, twe słowa,

Gdyś na mnie trudny kładła obowiązek,

Aby na dobrą drogę naprowadzić

Uczucie Kmity, utkwily w mej głowie:

Nie chciałem zawieść tego zaufania,

Lecz mi najtrudniej było, skąd tu zacząć.

Nareszcie myśl mi szczęśliwa zabłysła,

Tuż, tuż pod ręką będąca — i na raz

Pod tę warownię trudną do zdobycia

Sypnąłem tyle prochu, że niech padnie

Najmniejsza iskra, w powietrze wyleci.

**Bona.** Więc cóż zrobiłeś?

**Pełka.** Wyjawilem wszystko,

Miłość, osoby, panu wojewodzie,

- Sądząc, że jeśli co brata poprawi,  
To pewnie jego gniew i silna wola.
- Bona.** A wojewoda cóż na to powiedział,  
Jak twą wiadomość przyjął?...
- Pełka.** Mało brakło,  
Żeby ją przyjął jak ongi ów Heli,  
Gdy się o zbrodniach synowskich dowiedział.  
Natychmiast brata wołał — ja odszedłem,  
I co tam zaszło między nimi, nie wiem,  
Lecz się dowiedzieć spodziewam niedługo —  
Pan Kmita pewnie przyjdzie z pożaleniem.
- Bona.** Pełko, wakuje miejsce komornika  
Przy jegomości królu — to dla ciebie.
- Pełka.** Stopy całuję miłościwej pani.  
*(Rozmawia po cichu z Królową).*
- Firlej** *(do Zofii).*  
Za parę godzin będę widział tedy  
Waszego ojca. Może pozwolicie,  
Bym go pozdrowił i tem zjednał sobie  
Jego życzliwość.
- Zofia.** O, bardzo was proszę,  
Wielką mi przez to łaskę wyświadczycie.  
Ojciec tu nie był przeszło od tygodnia,  
I choć tęsknoty swojej tem nie zmniejszę  
Przynajmniej siebie wspomnę jego sercu.
- Firlej.** O pamięć na mnie nie śmiem was upraszać,  
Lecz choć życzenie dajcie dobrej drogi.
- Zofia.** Niech Bóg prowadzi! A wracajcie prędko;  
Bo w domu pono każdemu najlepiej.
- Bona** *(do Pełki).*  
A gdy mi donieść co będziecie mieli,  
Nie omieszkajcie tego.
- Pełka.** Nie omieszkam.  
*(Bona i fraucymer odchodzą w jedną stronę, Firlej w drugą).*
- Pełka** *(sam).*  
Królewskim tedy jestem komornikiem —  
Ujdzie! — Bodajto żyć na wielkim dworze.  
Ale królowa winna była stworzyć

Dla mnie urzędzik inny. Ot naprzykład,  
Gdybym jej serca został komornikiem,  
Toby stosowniej było — choć zbyt jasno.

(*Szukając w kieszeni*).

Takich urzędów mógłbym mieć bez liku.  
Oto akt nowy do mej kancelaryi,  
Który mi dała zacna Ormundowa.  
Jak ona bardzo dba o swą pupilkę,  
I nie pozwala, żeby się nudziła  
Bez miłosteczki jakiej! — Zmiał się trochę,  
Przybrukał przez chwil kilka w mej kieszeni,  
Lecz jeszcze pachnie, jeszcze pan Stanisław  
Może go ponieść do ust, nie zatkawszy  
Wprzód nosa. — Tak, tak, póki wojewoda  
Nie doprowadzi tych rzeczy do końca,  
Dopóty bratu służę. Lecz powoli  
Trzeba do innej aury go wzwyczajać,  
I czasem z innej beczki z nim rozpocząć.

**Kmita** (*wchodzi*).

Ciebie szukałem właśnie! Drogi Pełko,  
Ratuj mnie! szczęście moje zagrożone.

**Pełka.** Cóż znów takiego? Skądże te alarmy?

**Kmita.** Mówiłem z bratem dopiero przed chwilą!  
On wie już wszystko...

**Pełka.** Jakto? wojewoda!

Wyspowiadałeś się przed nim?..

**Kmita.** Ktoś inny

W tem mię wyręczył.

**Pełka.** To łoter wierutny,

Co się w nieswoje miesza interesa!  
Ale na dworze pełno tych paniczów.  
I cóż powiedział na to wojewoda?

**Kmita.** To, czego dawno już się obawiałem,  
Bo nie pragnąłem nigdy bratniej waśni.  
I mniejsza o to, że mi nie pochwalił  
Mojej miłości, że jej nieprzychylny —  
Na tom oddawna był przygotowany.  
Lecz wojewoda mi groził, przysięgał,

Że mnie przymusi do zerwania związków,  
Że je rozerwie sam. Znam mego brata,  
Gotów na wszystko i zechce się chwycić  
Najgorszych środków byle dopiąć swego.  
O Zofio, mogę więc stać się niewinnie  
Przyczyną twoich łez, twego zmartwienia!  
I cóż ty myślisz?

**Pełka.**  
**Kmita.**

Co? — pytasz się o to?

Potęgi wojewody się nie boję,  
Ni jego złości; ale od tej chwili  
Muszę o środkach przemyślać obrony,  
Szczególnie bronić jej; co na mnie spadnie,  
Od dziś nie będę już czuć. Znam tę rękę,  
Która ugodzi zechce. — Przyjacielu,  
Ty mi pomocnym będziesz?

**Pełka.**

Z całej duszy

Dla ciebie wszystko uczynię, mój drogi.

**Kmita.**

Wierzę ci! Byłeś chwil szczęśliwych świadkiem  
I powiernikiem — cieszyłeś się ze mną —  
Dzieliłeś moje nadzieje i radość,  
I sam mi nieraz dodałeś otuchy.  
O, lżej mi teraz!... spadła część brzemienia  
Na twoje serce... Jak w dziecinnych latach,  
Kiedyśmy razem igrali swobodnie,  
Byłeś mi w miejsce brata, tak i dzisiaj.  
Tamten mym bratem nie jest!... Onby nie mógł  
Nie mieć szacunku dla tej, którą kocham,  
I w niej nie widzieć wszystkiego, co mogła  
Z cnót i powabów udzielić natura;  
Nie mógłby mówić do mnie: Bonarówna  
Niegodna ciebie! On nie jest mym bratem,  
Bo dla mnie nie miał nic oprócz pogardy.  
**Pełka.** Zawsze to smutne jednak wydarzenie,  
Że wojewoda tak srogo się stawia.  
To może wiele trudów cię kosztować.  
Tak jest, mój panie, idziesz za daleko,  
Gdy nawet opór braterski w tej sprawie,  
Wszystkie niesnaski, spory i zatargi,

Jakie wyniknąć bardzo łatwo mogą,  
Na cal z twej drogi ciebie nie odwodzą.

**Kmita.** Czy nie wiedziałeś dotąd, jak ją kocham?...

**Pełka.** To właśnie źle jest! Ta miłość was zgubi.  
Bo dajmy na to, żeby wojewodzie  
Wypełnić groźby się udało, wtedy  
Dwoje was będzie bardzo nieszczęśliwych.

A pociąg szukał miłości? Toć przecie  
Nie dla zmartwienia, troski i rozpaczki,  
Ale dla szczęścia właśnie, dla rozkoszy!

**Kmita.** Nie mów mi tego, Pełko, bo mi zda się,  
Że słyszę znowu wojewodę...

**Pełka.**

Dziecko!

Poznasz się później sam na moich radach,  
A jeśli dzisiaj mówię, to dlatego  
Że was oboje kocham, że mi smutno,  
Iż zamiast w chwilach rozkosznych młodości  
Urywać róże świeże i woniące,  
Wolicie sami kłuć się cierniem. Miłość  
Dobra, dopóki cieszyć się pozwala,  
Lecz gdy wymaga łez, cierpienia, tęsknoty,  
Do dyabła z nią, a inne wszczać zaloty!

**Kmita.** Pełko, ty chyba nie kochałeś nigdy!...

**Pełka.** Ba, ile razy! A patrz, mam i humor  
I zdrowie. Tobie tylko z serca życzę,  
Byś postępował podobnie, nie gardził  
Szczęściem, co samo garnie się do ciebie,  
I nie był dumny aż do tego stopnia,  
Że tam je stworzysz, gdzie urosć nie może.  
Naprzykład, wiesz ty o tem, że królowa  
Ma jakiś pociąg do ciebie, że lubi  
Twoją obecność. Gdybyś umiał użyć  
Twojej przewagi, znalazłbyś kopalnię  
Szczęścia dla siebie: miłości rozkosze,  
Dostatki, wpływy — ot, żyłbyś jak w raj!

**Kmita.** Królowa?... Pełko o tem milcz! Jeżeli  
Królowa czyni źle, błąd trzeba ukryć.

Królowa żoną jest mojego pana,  
Jej cześć dla wszystkich świętą być powinna.  
**Pełka.** Taka drobnostka! — Ale dajmy pokój.  
Gdy zrzucić z ciebie nie mogę brzemienia,  
Muszę dopomódz ci nosić je dalej.  
Oto masz listek nowy od Zofii.  
**Kmita.** Ten mnie pocieszy! daj go, drogi Pełko! (*Czyta*).  
**Pełka.** I cóż ci pisze?

**Kmita.** Że mój odebrała,  
Że jej przyjemność sprawił niespodzianą,  
O mnie pamięta zawsze i pamiętać  
Będzie na wieki; jutro popołudniu  
Mogę ją widzieć z królową w ogrodzie.  
Może mi uda się choć przez chwil parę  
Mówić z nią samą. Mamże jej powiedzieć,  
Co dzisiaj zaszło? Nie, poco ją smucić,  
Poco te krótkie chwile zobaczenia  
Zamącać przykrem wspomnieniem? Dziękuję,  
Bardzo ci, Pełko, dziękuję — spłoszyłeś  
Smutek mi z serca.

**Pełka.** To lubię, gdyś wesół.  
No, pójdźmy. Może jeszcze dziś napiszesz,  
A mnie poselstwo może znów się uda.  
Tylko bądź dobrej myśli. Te czułości  
To tylko zdrowie nam niszczą — chciej wierzyć.  
(*Wychodzą*).

## SCENA 2.

Komnata w Balicach u Bonara.

(*Bonar i Firlej wchodzą*).

**Bonar.** Bardzo mnie cieszy, panie wojewodo,  
Ten królewskiego zaufania dowód.  
Nie tylko dla was widzę w nim życzliwość,  
Ale łaskawość dla wszystkich współwierców,  
Którzy dotychczas słabi, liczbą mali,  
Stoją jedynie królewską dobrocią.

Wiem, że nie bardzo król rad z nowej wiary,  
Co mu z nienacka spadła w jego ziemię,  
Ale ta niechęć więcej z tego poszła,  
Żeśmy zarzewia do niezgód dodali:  
Boli go raczej ta walka dwóch stronnictw,  
Co pokój kłóci — a król pokój lubi;  
On nie ma na nas żadnej zawziętości,  
Jesteśmy wszyscy dlań drogiemi dziećmi.  
Tamci są prawda starsi, i dlatego  
Z ukosa patrzą na młodszych, co z nimi  
Jednakich swobód pragną. Katolicy  
Do dziś nas mają za chmarę rokoszan,  
A buta pańska i szlachty swawoła  
Szerokie pole mają do nadużyć.  
Każdy dzień dla nas jest dniem nowych bojów,  
I tylko prawość nasza i wytrwałość  
Od ostatecznej chronią nas zagłady.

**Firlej.**

Panie Bonarze, niedługo tak będzie.  
Ci zapaśnicy, co dziś na nas biją,  
Nie wierzą własnej sile ni sumieniu,  
Walczą jak żołnierz, co bić się zmuszony  
Chwili wygląda przejść w szyk przeciwnika.

**Bonar.**

Zdajmy na Boga przyszłe nasze losy,  
Miejmy w nim ufność. Wszak my nie życzymy  
Ani upadku im, ni przykrej doli,  
Niech tylko wzajem nam pokój uczynią.  
Na dziś nam dosyć, że pod tarczą króla  
Możem ochronę znaleźć przed pociskiem,  
Że widzim jasno coraz lepszą przyszłość.

**Firlej.**

Tak, macie słuszność. — Lecz, panie Bonarze,  
Nim w dalszą drogę od was się wydalę,  
Niechaj na sercu mi nie pozostanie,  
Com miał powiedzieć.

**Bonar.**

Słucham was, Firleju.

**Firlej.**

Czas jakiś temu na królewskim dworze  
Poznałem waszą córkę, pannę Zofią:  
Jej młodość, wdzięki, powszechny szacunek  
Skłoniły ku niej moje serce. Jeśli

Z waszą się wola zgodza taki związek,  
To zięć przed wami stoi. O jej rękę  
Proszę was, skoro do domu powrócę.

**Bonar.** Panie Eirleju, i któżby odmówił!  
Podobna prośba każdemu zaszczytem:  
Rzeczpospolitej poważny senator,  
Syn znakomitych w kraju antenatów,  
Mąż i czynami i głową słynący,  
Każdej rodzinie będzie miłym członkiem.  
Dla nas, dla naszej wiary związek taki  
Przyniesie nową korzyść: połączeni  
Będziem silniejsi. Mości wojewodo,  
Oto ma ręka.

**Firlej.** Dzięki wam, Bonarze.

Lecz jeszcze jedno. Dotąd pannie Zofii  
Nie wspominałem o swoich zamysłach,  
Pragnąc usłyszeć wasze słowo wprzód;  
Jesteście pewni, że mnie równie przyjmie?

**Bonar.** Bądźcie spokojni. Zofia będzie zdolna  
Ocenić godność waszą i zalety,  
I nie odrzuci pewnie. Moje dziecko  
Ma zaufanie we mnie, zna mą miłość,  
I wie, że szczęściem jest dla niej ma wola.  
Dlatego słucha ojcowskiego zdania.

**Firlej.** Lecz może nie jest już wolnem jej serce.  
Z tylu powabów i bawiąc na dworze,  
Gdzie pełno młodej szlachty się przewija,  
Trudno na siebie nie zwrócić spojrzenia,  
Nie być zmuszoną do wzajemnych uczuć.

**Bonar.** Na dworze? Mnie się ten dwór nie podoba,  
Nie chciałem dworu — ale król się naparł,  
Chcąc i w ten sposób łaskę swą okazać,  
A dom mój uczcić. I królowa wkrótce  
Dla jej przymiotów polubiła Zofią.  
Więc pozwoliłem zostać. Lecz, Firleju,  
Ma córka wolną od wszelkich przyrzeczeń,  
Od znajomości wszelkich. Ja nic nie wiem,  
Wiedziałbym jednak, gdyby tam co zaszło,



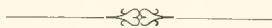
Przedemną Zofia tajemnicy nie ma.  
Bądźcie spokojni o to: przed ołtarzem  
Córkę wam moją oddam.

**Firlej.** Po tych słowach

Współzawodników więcej się nie lękam,  
I wracać będę do domu z nadzieją,  
Że me najszczęśliwsze spełnią się życzenia.  
Zechciejcie córkę jednakże uprzedzić  
I przygotować do tej zmiany losu.

**Bonar.** Uczynię wszystko co trzeba. Ni zwłoki  
Ani trudności żadnej nie doznacie.  
A teraz u mnie przyjmijcie gościnność,  
Cieszymy się wspólnie, bo dnia dzisiejszego  
Dwojako miłym jesteście mi gościem.  
Pójdź wojewodo, niedługo mój zięciu.

(*Wychodzą*).



## AKT DRUGI.

Wieś Balice. W głębi widać pałac Bonara.

### S C E N A 1.

**Bonar** (*wchodzi z biblią w ręku*).

Dziwny dziś miałem sen. Zdawało mi się,  
Że jakby rzymski jaki tryumfator  
Przez bramy idę przybrane w chorągwie  
I w złotogłowie; za ostatnią bramą  
Spotkałem Zofią, całą w jasnej bieli,  
A ona kwiaty rzuca mi pod nogi  
Pierwszej świeżości i bardzo pachnące.  
Jawa snu bywa zwykle antypodem...  
Myśli mnie jakieś niespokojne trapią...  
Czy chora może?... lecz Kraków tak blisko...  
A może mara to tylko, sen próżny.  
Dziś dzień twój święty, Panie, w twoim domu,  
Nagabywania pierzchną złego ducha.

(*Robi kilka kroków, zatrzymując się*).

Co tam za hałas słychać?... to od zboru,  
Krzyk — jakby szczęki szabel — co to znaczy?...  
Zgiełk coraz większy — co się tam dzieć może!...

(*Postępuje kilka kroków. Dworzanin wbiega*).

**Dworzanin.** Panie, na Boga, nie chodź tam, uciekaj!

**Bonar.** Cóż się tam dzieje? — czegoś taki błąd?

**Dworzanin.** Napadli na nas w zborze...

**Bonar.** Kto śmiał napaść!..  
**Dworzanin.** Nie wiem, lecz ilem widział, to zapewne  
Są starościńscy ludzie...

**Bonar.** Pana Kmitę!..  
**Dworzanin.** Tak, panie. Właśnie śpiewaliśmy psalmy,  
Gdy huk ode drzwi nagle nas przestraszył;  
Patrzym się — ludzie z szablami pod chórem.  
Krzyk powstał — oni klęli, my wołali:  
Gwałtu! nie wiedząc, co się z nami dzieje.  
Kto się opierał, lub nie zdążył uciec,  
Po łbie lub grzbiecie dostał, aż krew trysła.  
Jeden z nich ciągle krzyczał: a gdzie Bonar!  
W jamę się ukrył lis — dajcie Bonara!  
Tak nas na cztery wiatry rozegnali.

**Bonar.** Boże, ty widzisz krzywdy swego ludu,  
Jak filistyńska złość nas prześladuje!  
Tych bezbożników skarczę!... (*Chce iść*).

**Dworzanin.** Nie chodź, panie,  
I precz uciekaj — oni tutaj pędzą!  
Sam nie poradzisz — oni dom chcą napaść.

**Bonar.** O, panie Kmito! znów nowa zniewaga,  
Ale ci może przyjsć ciężko! Na gwałty  
Odpowiem gwałtem — tu ci stawię czoło.  
Hola! do domu biegnij — zwołaj ludzi,  
Uderz na trwogę — niechaj szable biorą;  
A kto nie może, niechaj drąg przywlecze.  
Hola, hej hola! do mnie, moi bracia!  
Nie dajcie Bogu urągać bezkarnie!

(*Słychać dzwon na trwogę. Hałas, zamieszanie. Dyssydenci ze wsi z ludźmi Bonara z pałacu zbiegają się rozmaicie uzbrojeni*).

Do mnie tu pójďte! — jam was dotąd bronił  
I nie opuszczę teraz — z wami pragnę  
Cierpieć, lub skarać tych niecnym poganów.  
Bóg będzie z nami, bo przy nas jest słusność!  
(*Wpada Wojewoda, za nim Dworzanie i Hajducy z gołemi szablami*).

**Bonar** (*występując*).  
Stójcie!

**Wojewoda.** Ha, Bonar! ciebiem właśnie szukał.  
Myslałem, żeś mi stchórzył, że cię wywlec  
Będzie potrzeba gdzieś aż z mysiej dziury.

**Bonar.** Pomyliłeś się, panie wojewodo!  
Sądziłeś, że cię nie spytam, dlaczego,  
I jakim prawem nachodzisz dom boży,  
I lud spokojny rozpędzasz i bijesz?  
Ja tu na swoich śmieciach, mości Kmito!  
Kto mnie podrażni, albo mnie znieważy,  
Odpowie za to przede mną i królem.

**Wojewoda.** Bonarze, milczcie! hardości nie zniosę.  
Nie jestem zbójcą ni podłym łupieżcą,  
Ale praw stróżem. Jeśli w mem starostwie  
Gnieźdzą się sekty helweckich kacrzy,  
To ich rozegnać mogę, zbór ich spalić,  
A niepoprawnych wyświecić z mej ziemi.  
Tak uczyniłem i powód mam słuszny.

**Bonar.** Mnie bronią prawa Rzeczypospolitej,  
Jak wy tak jestem jej obywatelem.

**Wojewoda.** Śmieście się z tego! Prawa dla tych służą,  
Co je stanowią.

**Bonar.** Więc czegoż pragniecie,  
Byśmy się wzięli za broń?... krwi żądacie?

**Wojewoda.** Za wiele macie zdrowego rozsądku,  
Abyście z nami w bój się zadać chcieli.

**Bonar.** Więc czego chcecie ode mnie?... Znieważyć  
Przyszedł pan Kmita starego Bonara —  
Już dokazałeś tego. Lecz ni kroku  
Dalej postąpić już ci nie dozwolę,  
I na twą przemoc znajdę sprawiedliwość.

**Wojewoda** (*do ludzi*).

Wy precz odstąpcie — tam od nas zdaleka!  
(*Daje im skinięcie. Toż samo do swoich czyni Bonar*).  
Chciałem ci oddać wet za wet, zniewagę  
Zgładzić zniewagą. Chciałem się rozmówić,  
Nie znalazłem cię w zborze, byłbym poszedł

Do twego domu, tam wyrąbał bramę,  
Gdybyś ją zamknął — wszedł oknem w potrzebie,  
Z pod gruzów wywlókł cię, gdybyś się oparł,  
I dał przestrożę, ażebyś na przyszłość  
Pamiętał, że mnie obrażać nie wolno!

**Bonar.** W drogę ci nigdy w życiu nie wchodziłem,  
A jeśliś ty mi stanął, to musiałem  
Minąć cię albo usunąć...

**Wojewoda.** To kłamstwo!  
W oczy mi zajrzeć nie miałeś odwagi,  
Aleś pode mną jak kret toczył ziemię,  
I w tem się zwiodłeś: jak głaz byłem twardy.  
Więc chytrze wzięłeś się do mego brata,  
Poznałeś, że to człowiek miękki, słaby,  
Że go przebijesz grotem tak, iż koniec  
Aż mnie skaleczyć może... Cóż, nieprawda?

**Bonar.** Nie wiem co sądzić, bo was nie rozumiem,  
Waszego brata znam ledwie zdaleka.

**Wojewoda.** Więceś to nie ty kazał młokosowi  
Kochać się w swojej córce? nie z twej woli  
Nowa Syrena pieści jego serce,  
By korab Kmitów na wir naprowadzić?...  
Bonarze, próżny mozół!... już wiem o tem.  
Dumne zamiary twoje poszły w niwecz,  
I dziewiczego ognia twojej córki  
Jeden się płomień nadaremnie spalił!

**Bonar.** Co wy mówicie, Kmito?... Ha, drzę cały!...  
Co? moja córka?... moja Zofia?... Boże!...  
O, mówcie, mówcie dalej!...

**Wojewoda.** Wasza córka  
Mojego brata kocha, i chce może,  
By on ją kochał, a potem zaślubił.  
Ta historia wam zapewne znana.

**Bonar.** Czy wy mnie zgnać chcecie, czy za prawdę  
Mam wziąć co słyszę? Moja córka kocha  
Waszego brata?... moja Zofia?... O, nie!  
Bóg nie dopuści na mnie tej boleści,  
Abym przeklinać musiał własne dziecko!

**Wojewoda.** Zawczasu wyszły na jaw twe kabały.  
Jak dzik się rzucasz, gdy go pchną oszczepem.  
Idź, powiedz córce: niech sztuk zaprzestanie,  
Że za wysokie progi na jej nogi.  
Bo choćby miłem słówkiem lub spojrzeniem  
Zdołała brata zapędzić w swe sidła,  
Chociażby on się korzył przed jej wdziękiem:  
To ja za stary na te czarodziejstwa,  
I swą krew zdołam od matactw uchronić.  
A sam się pospiesz skończyć te miłostki,  
Jeżeli nie chcesz doczekać się wstydu,  
Gdybym przed światem odkrył zalotnicę.

**Bonar.** Ha, Kmito! zawiść przez twe usta gada,  
Chcesz jak robaka mnie zgnieść—plujesz w oczy,  
Za wnętrzości mnie szarpiesz!... Moja córka  
Nie zasłużyła na tak czarne słowa —  
To potwarz nędzna! Tem kłamstwem pragnąłeś  
Dopełnić tylko miary moich zniewag!  
Tobie nie chodzi o czystość krwi twojej —  
Ty się nie lękasz tego — nadtoś wielki,  
Nadto wysoko się stawiasz. Lecz skalać  
Pragnąłeś we mnie najświętsze uczucie,  
Jad wpuścić w duszy mej najczystszy kątek!  
Dwa silne razy dzisiaj mi zadałeś,  
Z których się może nie prędko wygoję —  
Lecz nie przebaczę nigdy... Szukać będę  
Sprawiedliwości i zemsty na ciebie.  
A teraz odejdz! Mierzyć się nie będziemy,  
Nie chcę tych ludzi krwi mieć na sumieniu.

**Wojewoda.** Ty odejdz naprzód! — ja jestem zwycięzcą,  
I placu boju pierwszy nie opuszczę.

**Bonar** (*do swoich*).

Odejdźcie ze mną! Swoich krzywd nagrody  
Będziemy szukać gdzieindziej. Pokażem,  
Iż ne my w kraju wszczynamy rozruchy,  
Że się na prawa sprawiedliwość zdajem.  
A potem ciebie, córko, muszę chronić  
Przed niegodziwym językiem potwarzy.  
(*Odchodzi z ludźmi*).

**Wojewoda** (*do siebie*).

Ten stary nadto zdawał się zdziwiony,  
I szczerłość było widać w jego gniewie:  
On może także został oszukany.  
Ale doszedłem do swojego celu:  
I on mi także będzie sprzymierzeńcem  
Przeciwko głupstwu brata. Widzisz, Kmito,  
Jeśli podobny mieszczuch tak się zżyma,  
I tak być dumnym umie, jak ty nie masz  
Swej nienawiści nie rozpuścić wodzów. (*Do ludzi*).  
Przywieść mi konia — powrócim do miasta.  
(*Odchodzą*).

## SCENA 2.

Sala na Zamku królewskim.

(*Wchodzą: Bona i dwór, Zofia i Kmita*).

**Bona** (*do siebie*).

Od dzisiejszego dnia wiele zależy:  
Pan Kmita dzisiaj miał swój plan wykonać.  
Być może iż się za wiele odważył,  
I Bonarowi wielką boleść sprawił..  
Lecz czyż tych dwoje ludzi się namyśla,  
Że komu cierpieć każą, jeśli tylko  
Mogą tem kupić jedną chwilę szczęścia?...  
Czyż nie poświęcą wszystkiego w tym celu?  
(*Usiada, patrząc w okno*).

Niebo tak piękne, słońce takie jasne,  
Że mi na myśli staje ma ojczyzna,  
I przeszłe młodych lat marzenia słodkie.

**Kmita** (*do Zofii*).

Nie wiem dlaczego, lecz dzisiaj cię kocham  
Sto razy więcej. Jesteś dziś tak piękną  
I częściej na mnie spoglądasz...

**Zofia.**

Już odejdz,

Mój drogi panie. Zaczynamy zwracać  
Oczy na siebie.

- Kmita.** Nieszczęśliwa dola,  
Że nam wesele za grzech poczytują!  
Kiedyż was ujrzę znowu?
- Zofia.** Gdy Bóg zdarzy,  
O czym was będę chciała uwiadomić.
- Kmita.** Pamiętaj! (*Rozchodzą się*).
- Bona** (*do siebie*). Zawsze tylko te kabały —  
Intrygi — walki!... Pragnęłabym czasem  
Żyć także sercem... Biedne moje serce,  
Zaledwie kiedyś ze snu się ocknęło,  
W posługę dumy oddać je musiałam.  
Teraz się czasem odzywa... niestety,  
Jedynie grzeszyć może. Czystszych uczuć  
Żeby pragnęło, nikt pojąć nie zechce.  
Pragnienie gasić muszę w inętnych źródłach.  
(*Spostrzega Kmitę*).
- Przybliż się do mnie tutaj, panie Kmito.
- Kmita.** Cóż mi królowa rozkaże.
- Bona.** Widzicie,  
Nudzę się. Cały dwór mój jest wesoły,  
Na wszystkich ustach żart lub śmiech się błąka,  
A ja, królowa, jestem tylko smutna.  
Cóż tam nowego? zabawcie mię trochę.  
I wy jesteście szczęśliwi — wszak zgadłam?  
Młody, majątny, waleczny i hoży,  
Skarb posiadacie wielki do stracenia,  
Do zapłacenia wszystkich uciech świata.
- Kmita.** Królowo, skarb ten roztrwonić musimy  
Tak prędko: ludzie są nienasyчени  
I każdy z szczęścia obedrzeć nas pragnie.
- Bona** (*wstaje urażona*).  
Odejdźcie, panie Kmito! — Każde słowo  
Musi mi zawsze goryczą zaprawić!  
Biada, że jestem słabą przy swej mocy,  
Że przed nim mogę się tylko uginać.
- Pełka** (*wchodzi, do Królowej*).  
Pan Kmita już się rozprawił z Bonarem.



**Bona.** Ha!

**Pełka.** Zaszedł może dalej niż myślałem —  
Będziemy z tego mieli nowe swary.  
Rzecz się o króla oprze — już widziałem  
Pana Bonara w zamku, i król wołał  
Do siebie wojewodę. Gdybym tam był,  
Możebym pana Kmitę był zmiarkował.  
Ale do czasu muszę jeszcze zostać  
Jako nietoperz między obozami.

**Bona.** Co raz się stało, już się nie naprawi,  
A oto tylko nam szło. Niechaj oni  
Kłóćą się teraz wiecznie między sobą.  
(*d. s.*) Lecz i tu stanę. Nie pragnę zatruwać  
Nienawiścią chwil szczęścia — swoją drogą  
Niech każdy będzie, jak może, szczęśliwy.

**Kmita** (*do Pełki*). Cóż tam mówiesz z królową, że nagle  
Tak się wzruszyła?

**Pełka.** Od króla słów parę.  
Lecz tobie mogę coś szepnąć na ucho,  
Tylko sza, cicho! Bardzo zła wiadomość,  
Niestety, ale znając złe, na przyszłość  
Można od gorszych uchronić się następstw.  
(*Mówi mu na ucho*).

**Kmita.** O nędzny!...

**Pełka** (*ciszzej*). Ależ cicho!

**Zofia.** Cóż się stało,  
Żeś pan tak nagle pobladł?

**Kmita.** O, nic, nic, nic...  
Nie mogę patrzeć na ciebie!... O, teraz  
My się rozmówim z sobą, wojewodo!

(*Odchodzi prędko — we drzwiach spotyka Króla i Bonara,  
i spojrzawszy się na tego ostatniego, wybiega — za nim  
Pełka*).

**Jeden z dworzan.** To awantura jakaś. Lecz słuchajmy,  
Z czasem dowiemy się, o co im poszło.  
(*Oznaki zadziwienia między dworem*).

**Król.** Dobrze, królowo, że cię tu znajdujem.  
Chciałem zasięgnąć właśnie twojej rady.

Odejdźcie wszyscy.

**Zofia** (*n. s.*) Ojczy, czyś nie chory?

**Bonar.** Nie, moja córko! Przyjdiesz tu za chwilę,  
Gdy cię zawołać każe.

**Zofia.** Cóż się stało?..

**Bonar.** Idź! (*Zofia z całym dworem odchodzi.*)

**Bona.** Cóż takiego król jegomość powie?

**Król.** Znowu swar nowy między moim ludem!  
Bonar ze skargą przyszedł dziś na Kmitę —  
Wojewoda go obraził..

**Bona.** Słyszałam,

Jeśli o napaść na jego dwór chodzi.

**Król.** I cóż powiadasz?... Wojewoda zgrzeszył,  
Cudzego domu spokojność naruszył,  
Znieważył wiarę, jaką chce niech będzie,  
Pod bokiem prawie króla, pod stolicą,  
Obywatela napadł niewinnego,  
I który, jak wie pewnie, jest nam miły.  
Nie pierwszy to już podobny czyn Kmity!  
Lecz wojewoda ma mir między szlachtą,  
Jej się trybunem zrobił i rzecznikiem,  
Niechbym spróbował okiełznać go trochę,  
Wnet krzykną: król chce swobody nam wydrzeć!  
Tego już nadto! Kto z nas dwóch jest królem,  
Chcę raz już wiedzieć? No, powiedz, królowo,  
Jakie twe zdanie, czy nie godzien kary?

**Bona.** Znadto znany jest rozsądek króla,  
Aby mu kiedy można wadę wytknąć.  
Každy to przyzna, że Bonar skrzywdzony,  
Że wojewoda zawinił; lecz nie wiem,  
Jak król wymierzyć zechce sprawiedliwość.  
Mówiliście już pono z wojewodą,  
Cóż wam powiedział?

**Król.** Postawił się hardo —

Jak zwykle — nie chciał zdać się na mój wyrok,  
Ale tę sprawę oddać pod sąd sejmu —  
Toby znaczyło dać już za wygranę.

**Bona.** Więc Kmita nie chciał zgody...

- Bonar.** I jam nie chciał,  
Tak jak pan Kmita! Chcę sprawiedliwości,  
Wynagrodzenia krzywdy, oczyszczenia  
Z ciężkiej obrazy — ale nie chcę zgody,  
Nie chcę z nim zgody!... Gdybym mu dłoń podał,  
To jakbym mówił: możesz jeszcze nieraz  
Plwać na me siwe włosy — wszystko zniosę...  
Ja rozranione mam serce — ja cierpię —  
I zemsty pragnie ma tłumiona boleść —  
Ja nie chcę zgody, nie chcę!
- Bona.** Mój Bonarze,  
Ja wam przyznaję słuszność, lecz widzicie,  
Że królby musiał wszczać wojnę domową.  
Chcecie się zemścić — użycie odwetu:  
Jak Kmicie, wolno wam spełnić bezprawie.
- Bonar.** Tą drogą nie chcę iść. Moje sumienie  
Za nadto czułe. Martwić znowu króla,  
Rozlewać ludzką krew — tego nie mogę.
- Bona.** Więc zaniechajcie zemsty, poprzestańcie  
Na króla łasce i pożałowaniu:  
On dla was więcej uczynić nie może.
- Król.** Takie twe słowo ostatnie?
- Bona.** I myślę,  
Że w niem ujrzyście tylko dobrą radę.
- Bonar.** O dolo moja! doczekać w starości  
Podobnej hańby i milczeć z pokorą.  
Twój Bóg znieważon, twój dom najechany,  
Uragają ci w oczy, twoja córka  
Igraszką szyderstw — a ty milcz, Bonarze,  
Słuchaj spokojnie i złożywszy ręce,  
Czekaj, aż drugi wytną ci policzek!...  
O królu, źle mi wypłacasz me służby!
- Król.** Bez miłosierdzia ranisz mię, Bonarze.  
Ja nie mniej jestem jak ty pokrzywdzony  
I mocno cierpię przez waszą niezgodę.  
Lecz bądź spokojny! — co mogę uczynię;  
Wymogę tyle choć na wojewodzie,  
Że będzie nadal twój spokój szanował.

Niech on ochłonie, niechaj czas uśmierzy  
Te namiętności. Ja cię od dziś biorę  
Pod swą opiekę. Chwalcie sobie Boga,  
Jak wam dotychczas kazało sumienie.

**Bonar.** Więc pójdę od was, królu, jak przyszedłem,  
Swój wstyd w zaciszu domowemu ukryję.  
Ale i córkę, miłościwa pani,  
Zabiorę z sobą. Tam, pod ojca okiem,  
Już nie dosięgną jej podłe języki.  
Kaź ją zawołać. Niech tutaj przekona  
O niewinności swej i was pożegna.

**Bona.** Macie powody słuszne, nie odmawiam.  
(*Gwiżdże na świstawce — Dworzanin wchodzi*).  
Niechaj tu przyjdzie panna Bonarówna.  
(*Dworzanin odchodzi*).

W istocie, młodej i pięknej dziewczynie  
Bezpieczniej w domu, niżli tu na dworze;  
Tu pokus tyle, a choć te zwycięży,  
W tak rzadką cnotę nie każdy uwierzy.  
(*Zofia wchodzi*).

**Bonar.** Pójdź tu, nieszczęsne dziecko, które ojca  
Tyle zmartwienia kosztujesz! Pójdź, Zofio,  
Pożegnaj króla i królową jejmość,  
Wrócisz do domu. Tutaj niebezpieczne  
Dla cię mieszkanie. Tutaj cię oczernią,  
Choć tyś niewinna jak dziecko!... Wiesz, Zofio,  
Co ja słyszałem o tobie?... Że ty mi  
Jesteś narzędziem intyg, żem ci kazał  
Usidlić brata pana wojewody,  
By go poniżyć — że ty, moja córko,  
Kochasz się w Kmicie! — Ja temu nie wierzę —  
To potwarz czarna. O, tybyś nie mogła  
Bez wiedzy ojca rozrządzać swem sercem,  
Pokochać kogoś, co się Kmitą zowie.  
**Zofia.** Ojczy! ty wiesz już?...

**Bonar.**

Powiedz: o tem kłamstwie!

**Zofia.** Ojczy, ja długo grzeszyłam milczeniem,  
Tak długo byłam dla ciebie fałszywą,

Lecz więcej już cię nie chcę oszukiwać,  
Boję się Boga i twojego gniewu:  
Ojcze, ja kocham Kmity!...

**Bonar.** O nieszczęsna!  
**Zofia.** Przebacz mi!... ja cię o to błagam, ojcze.  
Ty nie znasz Kmity. On nie jest podobny  
Do swego brata, on ciebie szanuje,  
On nie jest dumny; on ma to za szczęście,  
Że go twa córka kocha!...

**Bonar.** Precz mi z oczu,  
Wyrodne dziecko! O ja nieszczęśliwy!  
Takiego ciosu nie mógł on mi zadać,  
Jaki mię z ręki ugodził mej córki!  
Och, on nie kłamał!... lecz to moje dziecko  
Wyrodne!... Boże, Boże! tego nadto.  
Ty zalotnico precz stąd, ty Syreno,  
Fałszywa, kłamco, oszukańcze ojca!  
O!...

**Zofia.** Ojcze, przebacz! Więcej niżli jego  
Ja kocham ciebie. Dla twego spokoju  
Ja się wyrzeknę Kmity. Aby widzieć  
Na twoich ustach znów uśmiech łagodny,  
I z posłuszeństwa twej córki szczęśliwy,  
Zapomnę o nim, nie chcę go już widzieć,  
Ale ty, ojcze, nie gniewaj się, przebacz!  
Zgrzeszyłam ciężko, ojcze, przebacz, przebacz!

**Król.** Bonarze, dajcież się wreszcie uprosić,  
Ona tak błaga.

**Bonar.** Gdy mię wprzód zraniła! (*Chwyta ją za rękę*).  
Pójdź! w domu ciężką swą winę odpłaciesz.  
Za to, żem ciebie kochał jak nic w świecie,  
Tyś się z sumienia wyzuła, niewdzięczna!  
Tyś mnie i siebie zhańbiła, że teraz  
Mogą powiedzieć ludzie: patrzcie, oto  
Ta Bonarówna wzdychała do Kmity,  
A Kmity za dwie albo trzy niedziele  
Ukłoni jej się pięknie i wyśmieje.

**Zofia.** Ojcze!..

**Bonar.** No powstań! Dość swymi lamenty  
Nudzimy ich mość królestwo. Żegnaj się.

**Kmita** (*wchodzi*).  
Przebacz mi, królu!...

**Bona.** Cóż to? Kmita tutaj!...

**Kmita.** Sumienia tu mię wzywał obowiązek.

**Bona** (*na stronie*).  
Czego chce tutaj?...

**Kmita** (*do Bonara*). O panie, słyszałem,  
Jak wojewoda strasznie was znieważył,  
Krew mi zawrzała w żyłach i pobiegłem  
Od niego żądać za ten czyn rachunku.  
Nie chciał mię widzieć, zamknął się przede mną...  
Ha! może dobrze zrobił, bo ja nie wiem,  
Jakie me myśli były, ale czułem,  
Że głowa pęka mi pod ich ciężarem...  
Panie Bonarze, przebacz! Jego wina  
Niechaj nie spada na mnie wraz z nazwiskiem.  
Ty zakrwawione masz serce, o pozwól,  
Że wobec świata zadość ci uczynię,  
Poszanowaną niech będzie twa starość.  
Kmita obraził ciebie... widzisz? Kmita  
Do nóg twych pada, całuje kolana...

**Bona.** Co robisz, Kmito? gdyby wasz brat teraz...

**Kmita.** O, niechaj przyjdzie, niechaj się popatrzy,  
Jakiej pokory podobny czyn żąda,  
Aby choć w części nagrodziła krzywdę.  
Niechajby widział mój wstyd i mą boleść! —  
Bonarze, dajcie mi swe przebaczenie!

**Bonar.** Jakże szlachetne serce w tym człowieku!  
O panie, gdyby mię stokroć był więcej  
Wasz brat obraził, zwyciężyłbyś cnotą!  
Wy wyciskacie mi łzy, jam szczęśliwy,  
Żem znalazł tyle współczucia w boleści,  
Że mi nie wszystkie serca są zamknięte.  
Lecz czyście dobrze swój krok rozważyli,  
Wiecież wy, jaką ściągacie nienawiść  
Swojego brata?... Jeszcze czas się cofnąć...

**Kmita.** Cokolwiek będzie, ja swoim uczuciom  
Zadawać gwałtu nigdy nie dozwolę.  
A teraz jedno mam jeszcze naprawić.  
Sprostować prawdy wykrzywione rysy.  
Bonarze! córkę waszą dawno kocham,  
Uwielbiam całą mocą młodej duszy,  
Jak już nie będę nikogo na świecie;  
Bez niej na ziemi niema dla mnie szczęścia,  
Niema przyszłości, życia ni spokoju;  
Kocham ją serca najświętszem uczuciem,  
Jakie Bóg tylko może wlać w człowieka,  
I ona kocha mnie.. Powiedzże, Zofio,  
Jakie uczucie nas łączy!... Mów, Zofio!  
Panie!...

**Zofia.**  
**Kmita.** Dlaczegoś taka trwożna, Zofio?  
Twym słowom ojciec najprędzej uwierzy —  
Powiedzże ojcu!

**Zofia.** Panie, w jego oczach  
Ta miłość grzechem...

**Kmita.** Do nóg mu upadnij,  
A wspólna prośba jego gniew złagodzi.

**Bonar.** Nie, panie Kmito! nigdy. Z wszystkich czynów  
Waszego brata ten jeden pochwalam,  
Że widział zbrodnię w podobnej miłości.  
I ja mojego nie odmienię zdania,  
Boby inaczej pragnął waszej zguby.

**Kmita.** Jak brat mój również i tyś jest nieludzki!

**Bonar.** O panie Kmito, spytajcie rozsądku,  
Czybyście szczęście w tych związkach znaleźli.  
Nasze rodziny są oddawna wrogie,  
Ja jestem dumny, a wasz brat zawzięty,  
Jeden drugiemu na cal nie ustąpi,  
I nic nie zdoła zgasić w naszych sercach  
Wzajemnych uraz i zaciekłych gniewów.  
Wy się trzymacie starej rzymskiej wiary,  
Ja Boga chwale, jak w swem piśmie kazał,  
I nie chcę nigdy, by inną naukę  
Znały me dzieci albo moje wnuki.

Co odgraniczył sam Bóg w taki sposób,  
To się zjednoczyć nie zdoła!

**Kmita.**

Ni jedno

Z tych słów do serca trafić mi nie może.  
Wy się mylicie. Spytajcie się Zofii,  
Czy was pojmuje, czy ona wam wierzy?

**Bonar.**

Wyście tak młodzi: macie tylko serca  
Na świat otwarte, a zamknięte oczy.  
Bóg da, przejrzycie i wy niezadługo,  
I odzyskacie spokój i wesele.  
Godniście szczęścia oboje, bo macie  
Szlachetne serca. Przypadek nadarzył,  
Żeście je sami na chwilę zatruli.  
Ale to przejdzie: Bóg was wkrótce zleczy,  
Pocziwe dzieci. — Panie Kmito na was  
Czci i sumienia kładę obowiązek,  
Chciejcie zapomnieć o tem. Dajcie słowo,  
Że mi spokoju córki nie zmaciecie,  
Ni swą osobą, pismem lub wspomnieniem  
Jakiembądźkolwiek; że na moim progu  
Nie postawicie nogi, chyba wtedy  
Gdy was szacunek tylko łączyć będzie.  
Dajcie mi rękę. Wszak zgoda?

**Kmita.**

Nie, panie,

Takiem się słowem nie mogę krępować!

**Bonar.**

Ha, to na Boga całą tę rzecz zdaję!  
Lecz pamiętajcie, że człowiek uczciwy  
Podług mej rady postąpić powinien.  
Odejdźmy, Zofio. — Miłościwi państwo,  
Byliście światkiem walki, gdzie trzy dusze  
Wyszły zwycięsko, choć każda skrwawiona.  
To dola ludzka. Bóg dał, że wasz zamek  
Nie bez niejakej pociechy opuszczam.

**Król.**

Liczcie, Bonarze, na mą dalszą łaskę.

**Bona.**

A wspomnij, Zofio, czasem też i o mnie.

**Kmita.**

Więc zabieracie ją?...

**Bonar.**

Schowam ją w domu  
Przed ludzką złością i waszem szaleństwem.



Bywajcie zdrowi, Kmito. Od dziś, myślę,  
Będziemy rzadkim przyjaciół przykładem.

**Kmita** (*do Zofii*).

A ty, jakże mnie pożegnasz?..

**Zofia.**

Bóg z wami!

**Kmita.** I więcej nic!... co, Zofio? nie już więcej?...

Tak mało w tobie siły i nadziei?

Wolałbym widzieć twą rozpacz, niż serce

Mężne na takie przeciwności losu!

**Zofia.** O wasze szczęście będę prosić Boga.

**Kmita.** Zegnasz mię, jakbyś jutro umrzeć miała,

Jakby pochodnia szczęścia dla nas zgasła!

**Zofia** (*podając ojcu rękę*).

Widzisz, kto rządca moich losów.

**Bonar.**

Pójdźmy (*odchodzi z córką*).

**Bona** (*do Kmity*).

Nie odebrała twa cnota nagrody.

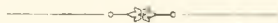
Poszukaj ulgi cierpień w zapomnieniu.

**Kmita** (*który martwym okiem odprowadził odchodzących  
Bonara i Zofią*).

Miałoby nic mi nie zostać już w życiu,

Oprócz rozpacz? O nie, w to nie wierzę!

(*Odchodzi szybko głębia, Bona i Król bocznymi drzwiami*).



## AKT TRZECI.

Sala na Zamku królewskim.

### SCENA 1.

(*Kmita i Pełka wchodzą*).

- Pełka.** Jak kocham ciebie, drogi Stanisławie,  
Nie byłbym wierzył nigdy, że tak długo  
Będziesz narzekać i żywić cierpienie.  
Dopóki byłeś szczęśliwy w miłości,  
Mało co brakło, byś jak mnich wyglądał,  
Co ledwie spojrzy na świat z pod kaptura,  
A teraz jeszcze gorzej. Czyż to warto?  
Czy tem odmienisz napisany wyrok?  
Przed ludźmi chociaż miej wstyd — pluń na troski,  
Na nowo odżyj i dziękuj losowi,  
Że cię od kajdan uwolnił kochania  
I na swobodę wypuścił jak ptaka!
- Kmita.** Mój Pełko! ja sam widzę swoje błędy,  
Lecz cóż poradzę? Ona w swej osobie  
Zabrała także rozum — i ja nawet  
Nie mogę dobrze pomyśleć, co czynić,  
Jak wyjść z błędnego uczuć labiryntu,  
W który wtrąciły mnie miłość i pewna  
Obawa, żem się powinien oglądać,  
Bo mogę łatwo sprowadzić nieszczęście  
Na obce głowy — i to stanowisko,  
Gdzie nie wiem, kto jest mym największym wro-  
[giem,

- Gdziebym powinien nasamprzód się bronić,  
I o co walczę — gdzie moja nagroda.  
O, ta niepewność jest dla mnie okropną!
- Pełka.** Co za niepewność! wszystko jak na dłoni!  
Z miłości waszej nic i nic z małżeństwa,  
Bo z jednej strony brat, a z drugiej ojciec  
W kawałki stulę by nawet rozdarli.  
Sam rozum tedy jest wam przeciwnikiem.  
A zaś uczucia?... serce?... Wiesz, mój panie,  
Ze mi się w głowie często gęsto roi,  
Iż panna Zofia na śmierć zakochaną  
Całkiem nie była. A co zaś do ciebie,  
To może bierzesz to za punkt honoru:  
Być aż do grobu stałym, i rad nie rad  
Postanowiłeś zamęczyć się smutkiem.
- Kmita.** Masz słuszność: smutek winienem odpędzić,  
I zebrać całą moc i tęgość duszy,  
Aby się pomścić na ludziach i losie —  
Ale tej siły mi daj — bo jej nie mam.
- Pełka.** Miej trochę więcej żółci i zawiści,  
Miłości własnej i pogardy; duszy  
Nie top tkliwością, nie rozpieszczaj serca  
Wspaniałomyślną chęcią do ofiary,  
Lecz się na ciosy świata postaw hardo,  
Pokaż się płodnym w wynalazki szczęścia,  
Bogatym, by go osiąść jak najwięcej!  
Czyli nie wierzysz temu co gadają,  
Że Zofia pójsć ma za Firleja? To są  
Nie płocze baśnie, a ja ci powiadam,  
Żebym się za to dał zabić. To zdrada  
Ze strony Zofii! a ty masz pokornie  
Znosić jej żarty ze swego uczucia?  
Tobie rozpaczać każe, a drugiego  
Bierze za męża!... Tfu! do stu piorunów,  
Byłbyś już chyba wielkim niedołęgą!
- Kmita.** Nie wierzę temu. Nadto jest sumienną,  
Aby igrała z miłością i bolem,  
I jestem pewny, że choć ustąpiła

Ojca rozkazom, nie przestała kochać.  
 Nie, Pełko, w zdradę Zofii nie uwierzę,  
 Chybabym widział własnymi oczyma.  
 O, chcę ją widzieć — muszę! Bonarowi  
 Nie dałem wprawdzie słowa, lecz się wzdrygam  
 Zmącić mu spokój domu... Wieleż razy  
 Tę chęć już miałem!... A Zofia nie daje  
 O sobie żadnej dotąd wiadomości,  
 Ani jednego słowa, ni pół słowa!

**Pełka.** Trzeba koniecznie, abys raz przewidział.  
 Lecz się spodziewam, że gdy to nastąpi,  
 Zapomnisz w sobie starego Adama,  
 Wzgardzisz niewdzięczną, pożegnasz na wieki,  
 A poczniesz starać się o inne względy,  
 Podmuskasz węża, stukniesz w karabelę,  
 Wyzywającem na świat spojrzysz okiem,  
 I z pewnym naprzód zwycięstwa usniechem  
 Powiesz: no, pójdź tu, stary błaznie, szczęście!  
 Będziesz miał zaszczyt takiego szlachcica  
 Obsypać dary — daj mi myśl swobodną,  
 Uciechy dworskiej otumań mię wirem,  
 Przygotuj dla mnie spojżenia niewieście,  
 Gołębie gruchy, słowicze wieczory,  
 Biesiadki w gronie druhów, dobre wino,  
 Pieniędzy zawsze huk, przy grze pomyślność —  
 Ot, tak to uczyni, by wszystkim dokoła  
 Z zazdrości ledwie żółc się nie rozpękała.  
 No, wszakże będziesz takim?

**Kmita.** O — zapewne!

**Król** (*wchodząc drzwiami bocznymi*).

Czy jest tam który?

**Pełka.** Jestem na usługi

Królewskiej mości komornik.

**Król.** A — Pełka!

Pragnę posłańca do pana Bonara.  
 Ale to waszmość pono starościński,  
 I może kiedy należał do sprawek  
 Swego patrona.

- Pełka.** Miłościwy królu,  
Pana starosty trzymałem się klamki.  
Bo to pan możny bardzo i łaskawy,  
Pełen zasługi z siebie i pradziadów,  
A mir mający w szlacheckim narodzie.  
Tak go cenilem zawsze i dziś cenię;  
A jeśli czasem czart go w złe powiedzie,  
To mi nie chodzić za nim wolno, chociaż  
Nie wolno także rzucać nań kamieniem.
- Król.** Racye słuszne. A zatem waść nigdy  
Nie naraził się panu Bonarowi?
- Pełka.** Nikomu w świecie. W całym mojem życiu,  
Co nieprzyjaciel, nie wiem.
- Król.** Ha, to dobrze,  
To do Bonara pošlę cię z tem pismem.  
Tak go już dawno nie widać na dworze,  
Zdaje się, że mu cięży jeszcze krzywda,  
A mnie bez jego obecności przykro.  
Chciałbym go jakoś pocieszyć, więc pišę,  
Ażeby przybył, i razem w Balicach  
Zbór mu pozwalam mieć pod mą opieką.
- Pełka.** Jakże król łaskaw jest i sprawiedliwy!  
Ale też godzien pan Bonar tych względów.  
Tak przywiązany do swego monarchy,  
O dobro dbały Rzeczypospolitej  
Bardziej, niż wielu z jej rodzonych synów;  
Cały wiek strawił na tem i fortuny  
Nigdy nie szczędził pro publico bono.  
Pan Bonar wzorem do naśladowania,  
Jak syn koronny wieść żywot powinien.
- Król.** Proszę, jak waść mi w strefie pana Kmitę  
Nie przesiąkł jego powietrzem. No, Pełko,  
Podobasz mi się za to. Na, masz pismo,  
Rad jestem, że mam takiego pošłańca.
- Pełka.** Kaźdemu oddać naprzód sprawiedliwość,  
To, miłościwy królu, moje prawo.
- Król.** (*sposzrzega Kmitę*).  
Pan Kmita także tutaj. Wy podobno

Za złe mi tego kroku nie weźmiecie.  
I jakże? waszmość jeszcze nie zapomniał  
O swojej stracie?... Gdyby jaka wojna,  
(Czego broń Boże!) wysłałbym was w pole,  
Toby wam świeże stepowe powietrze,  
Huk armat, chrzęsty piór pancernych znaków  
Wygnały z głowy wasze melancholie.  
Widocznie aura dworska wam nie służy :  
Dla Włochów i dla niewiast ją zostawmy,  
Pierś trochę szersza u szlacheckich dzieci.  
Spraw mi się dobrze, Pełka, a z powrotem  
Bądź u mnie.

**Pełka.** Wszystko spełnię podług woli.  
(*Król odchodzi.*)

Ciesz się mocno dzisiejsze poselstwo,  
Zwłaszcza iż tobie mogę niem uczynić  
Niemalą radość.

**Kmita.** Posłuchaj mnie, Pełka.

Gdybyś w me ręce zwierzył to zlecenie...

**Pełka.** Chcesz do Bonara iść?... Lecz tak otwarcie  
Nie można. Coby on na to powiedział,  
Co wojewoda, co król? To oleju  
Do tego ognia jeszczeby dołało.

Ale po części twój plan jest zbawienny —  
Tak, idź ją zobacz — i poznaj naocznie,  
Jak cię umiała zdradzić i zapomnieć.

**Kmita.** Chciałbym ją widzieć — och, tęsknię tak długo!  
Słowo pociechy chciałbym z ust jej słyszeć.

**Pełka.** Cokolwiek znajdziesz, musisz trzymać w zysku,  
A ja powiadam, że wyjdzie na moje.  
Trochę znam tkliwe te serduszka z wosku,  
Te dzieci lekko z wszystkim igrające! —  
Słuchaj mnie. Pójdiesz tam jak mój pacholek,  
W stosownym stroju, a wśliznąć się chyłkiem,  
To twoja rzecz już. Będziesz moim sługą,  
Bo czyżto u nas nowina mieć sługi,  
Každy ich wodzi z sobą jak żórawi,  
Niech też i Pełka w pana się pobawi!

**Kmita.** Nie traćmy czasu!

**Pełka.** Chcę cię wprawić w humor,  
Potrzebny zawsze przed każdą komedią —  
A dziś ty będziesz pierwszym jej aktorem.  
Jużto ustroję cię suto. Dam szkapę  
Szeroką w krzyżach jak wóz drabiniasty;  
Aż za kolana buty, kubrak siwy,  
W którym dziad chodził za króla Kazmierza;  
Na szyję włoską kryzę, co ci zajdzie  
Powyżej uszu i czapkę tatarską,  
W której ci głowa utonie jak w bagnie.  
Wszystko z innego kramu, ale w Polsce  
To modnie, wszędzie coś sobie pożyczyc.  
I któż cię pozna pod takim ubiorem?  
Choćby cię matka rodzona widziała,  
Kto się domyśli, że ten nędzny pachół,  
To piękny i tak dostojny kawaler?  
O ludzkich losów zmiano! o fortune!  
A ja raz w życiu będę miał luzaka,  
Który hetmańskim urodził się synem,  
A dla ócz pięknych uczynił cię drabem.  
Ha! ha!

**Kmita.** Czy dosyć masz już tej uciechy?

**Pełka.** Pozwól się naśmiać! Niedługo przybierzem  
Obaj udane i poważne miny.  
Jaka to w ludziach ochoczość skosztować  
Smaku nieszczęścia! bo sam się przekonasz,  
Że czego moje nie mogą perswazyje,  
W tem panna Zofia całkiem cię oświeci, (*Wy-  
chodzą*).

## SCENA 2.

Komnata w domu Bonara w Balicach.

(*Zofia wchodzi z Ormundową*).

**Zofia.** Moja poczciwa, droga Ormundowa,  
Czemu ty głową tak kiwasz, gdy tylko  
Ujrzysz wesołość we mnie? Czy ci smutno,

Że twoja Zosia szczęśliwa i rada?  
Tak nie bywało dawniej. Tyś mówiła:  
Baw się, me dziecko, póki wiosna w duszy.  
Czyżem tak prędko już się zestarzała?

**Ormudowa.** Bo mi się zdaje, że to pozór tylko,  
Że tą fałszywą radością chcesz pokryć  
Zmartwienie, które gryzie cię tajemnie.

**Zofia.** Wy tak myślicie! A jeżeli powiem,  
Że to naprawdę, żem szczerze wesola,  
Czy jeszcze głową będziesz kiwać?

**Ormudowa.** Będę,  
Bo ta wesołość tobie nie do twarzy,  
Bo ona grzechem...

**Zofia.** A to znowu czemu?

**Ormudowa.** Czemu? czyż pana Kmity zapomniałaś?  
Czy się to godzi zbudzić czyje serce,  
Głaskać je szczęściem i nadzieją — nagle  
Usunąć się od niego i porzucić?

Przecież i w tobie serce nie z kamienia?

**Zofia.** O moja droga, pocziwa, myślicie,  
Że o tem dotąd pan Kmity pamięta?  
Znam ja tych panów! oni tacy chciwi,  
I mają serca jak beczki Danaid.  
Gdybyś dziś była w Krakowie, zapewne  
Ujrzałabyś go obok nowej damy,  
Której przysięga, że to pierwsza miłość.

**Ormudowa.** Otóż źle myślisz. Mówiono mi właśnie,  
Że on jest ciągle smutny i zmartwiony,  
Że go o tobie pamięć ciągle dręczy,  
I w pośród dworskich uciek i szaleństwa  
Chodzi jak Jonasz wpośród Niniwitów.

**Zofia.** I cóż ja temu winna! Ja żałuję,  
Lecz nie poradzę temu.

**Ormudowa.** Poco było  
W to kochanie się wdawać, pisać listy,  
Odbierać jego, rozmawiać cichaczem,  
Spoglądać słodko? Wszystkie takie rzeczy  
Jak wino młode głowy zawracają.



**Zofia.** Żeby to rozum miały my dziewczęta!  
Ale nam serce wciąż puka: każ kochać,  
Niechaj za tobą szaleją ci młodzi!  
A Kmita jest tak dzielny i przystojny,  
Taki odważny i na całym dworze  
Pierwszy z tych paniań, syn wielkiego domu,  
I jego hołdów nietylko ja sama  
Pragnęłam. Były tam panie, z którymi  
Ja się nie mogę mierzyć, a on przecie  
Mnie przed wszystkimi pierwszeństwo oddawał;  
To mi się bardzo podobało. Przytem  
On jest tak dobry, łagodny i miły,  
Z takim poddaństwem oddał mi się cały,  
Ze się nie mogłam także sercu oprzeć,  
By go nie kochać, nie lubić. I gdyby  
Nie był potępił ojciec tej miłości,  
Jabym go dotąd zapewne kochała.

**Ormudowa.** Powinnaś ojca słuchać, ale przecie,  
Gdyby w tem ojciec widział twoje szczęście,  
Toby ustąpił wreszcie z zawziętości.

**Zofia.** Nazbyt go kocham, bym miała mu ranić  
Serce, tam właśnie gdzie najtkliwiej czuje.  
(*Bonar wchodzi, Ormudowa się oddala*).

**Bonar.** Bóg z tobą, moje dziecko.

**Zofia.** Ojczy drogi! (*Całuje go w rękę*).

**Bonar.** Przyszedłem z ważną wieścią. Dziś pan Firlej  
Staął w Krakowie i przysłał posłańca,  
Że niezadługo i do nas przybędzie.  
Wiesz, Zofio, jakie są jego życzenia.  
Ja mu przyrzekłem kiedyś twoją rękę,  
Nie wiedząc, żeś ty sama rozporządzać  
Zaczęła swoim sercem.

**Zofia.** Tych wyrzutów  
Oszczędź mi, ojczy. Ja mocno żałuję.

**Bonar.** Jestem sumienny człowiek i nikogo  
Oszukiwałbym nie chciał. Powiedz szczerze,  
Czy ci się w sercu cień Kmitę nie błąka,  
Czy się wyrzekłaś nieszczęsnej miłości?

- Zofia.** Tak mi nie wierzysz, ojczel!... Gdym zgrzeszyła,  
Wyznałam jawnie. Czyżbym teraz mogła  
Pokrywać fałszem tajemnice duszy?  
Chciałeś — tom pana Kmity się wyrzekła,  
I to na zawsze...
- Bonar.** Wierzę ci już, Zofio,  
Ale mi powiedz jeszcze. Znasz Firleja,  
Wiesz, jako mąż jest zacny i gorliwy  
Wyznawca naszej wiary, obywatel  
W królestwie godny, obyczajów prawych;  
Czy wierzysz mocno temu, że on może  
Szacunek zawsze wzbudzać w twojem sercu,  
Że posłuszeństwo i cześć wiernej żony,  
I miłość wciąż mu będziesz oddawała,  
Że tem dla niego będziesz, czem twa matka,  
(Boże jej duszy świeć!) dla ojca była?
- Zofia.** Gotowa jestem obowiązki spełnić,  
Które mi ślubna nałoży przysięga,  
A że mi przyjdą łatwo, że dostanę  
Męża, którego cenić będę mogła,  
To, ojczel, ty mi ręczysz, swoje dziecko  
Jemu oddając.
- Bonar** (*całując ją w czoło*). Moja ty pociecho!  
Niech Bóg na ciebie wszystkie łaski zleje,  
Za cześć i miłość dla starego ojca.  
Jakiś tam tentent słychać — pewnie Firlej.
- Dworzanin** (*wchodzi*).  
Pan wojewoda lubelski.  
(*Firlej wchodzi, Dworzanin wychodzi*).
- Bonar.** Witajcie  
W mych progach, wojewodo. W dobrem zdrowiu,  
Szczęśliwie Bóg was między swoich wrócił.
- Firlej.** Tak, łaska jego była ciągle ze mną,  
I dziś nakoniec tutaj mnie przywodzi,  
Gdzie cel mych życzeń, i gdzie wreszcie mogę  
Własnym się szczęściem zająć bez wyrzutu,  
Jeśli mnie tylko tu zawód nie spotka.

- Bonar.** Ja dotrzymuję swego przyrzeczenia:  
Firleju, Zofia waszą.
- Firlej.** Czyż to prawda?  
Czy mogłem, panno Zofio, wasze względy  
Zjednać dla siebie? — tak mało wam znany,  
Zdołałem ufność wzbudzić w waszem sercu,  
Że będę godny tak cennego daru?
- Zofia.** Nie sędzę, abyś wątpił, wojewodo,  
Że wszędzie przyjmą was, jeżeli tylko  
Nie będzie wola starszych przeciw temu.
- Firlej.** Ileż wam wdzięczny jestem za te słowa!
- Bonar.** Lecz muszę jeszcze, panie wojewodo,  
To wam powiedzieć, co tymczasem zaszło,  
Co może wasze odmienić zamiary,  
Lub postyszane skądinąd, was natchnąć  
Podejrzliwością względem mnie i córki.  
Brat pana Kmity — nie mieszaj się, Zofio! —  
Brat pana Kmity powiadam, na dworze  
Ją poznał — pono i pokochał nawet,  
A Zofia o tem czas jakiś milczała  
Przede mną — trochę i przychylną była,  
I rzecz dopiero wtenczas na jaw wyszła,  
Gdy wojewoda jej użył, by zadać  
Straszną zniewagę...
- Firlej.** Słyszałem już o tem,  
Napół z boleścią a napół z weselem,  
Bo się zarazem mocno przekonałem,  
Że panna Zofia zapomnieć umiała,  
I że jej serce wolne. Lecz cóż chcecie,  
Czyż można ludziom zabronić się kochać,  
Jeśli kto taki dziwak jak pan Kmity?  
Znam ja go dawno. Włoch melancholiczny,  
Co pod italskiem niebem się wylenił  
Z szlacheckiej skóry. Zresztą zacny człowiek.
- Bonar.** Szlachetność jego wspominam z radością;  
Ona zmniejszyła ciężar mej zniewagi,  
Od której dotąd jeszcze serce boli.

**Firlej.** Zapomnijcie już o tem. Trzeba wiedzieć,  
Jak co od kogo przyjąć. Wojewoda  
Nie był uczynić co innego zdolny:  
Gdybyśmy chcieli z wszystkimi być w wojnie,  
Co wyzywają do niej, toby życia  
Nie stało. Trzeba nie tak być dotkliwym.

**Bonar.** Może wy słuszność macie.

**Firlej.** Przemineło,  
Co nas zasmucać mogło. Ci dwaj ludzie  
Już usunęli się od nas, i już nam  
Nie zastaniają pogodnego słońca,  
A więc o szczęściu myślny! Panno Zofio,  
Wszakże wy moje podzielnacie zdanie,  
I ojca na tę nakłonicie stronę.

**Bonar.** O, Bógby może karał mą zawziętość,  
Gdybym przy tylu jego łaskach myślał,  
Że raz mię dotknął z swojej świętej woli.

**Zofia** (*od chwili zbliżywszy się do okna, patrzyła za scenę niespostrzeżona, d. s.*)

Ten człowiek tak się tu patrzy upornie —  
To czy Kmita!..

**Bonar** (*sposzregłszy to*). Cóż tak ciekawego  
Widzisz tam, Zofio?

**Zofia** (*trochę zmieszana*). Ja?... Jakiś dworzanin  
Od króla przybył.

**Pełka** (*wchodzi*). Czołem waszym gościom,  
Zacni panowie! król mnie tu przysyła  
Do was, Bonarze, z swem łaskawem pismem,  
Które wam oddać mam sobie za zaszczyt.  
Oto jest.

**Bonar.** Wojewodo, pozwolicie,  
Że je przeczytam. Cóż król pisać raczył?  
(*Czyta*). Jakże jest dobrym nasz pan miłościwy,  
Jakże troskliwy, by zgoić me rany,  
I jak ośmiela mię do swej przyjaźni! —  
Czytajcie, wojewodo.

**Firlej** (*przeczytawszy*). W rzeczy samej.

- Bonar.** Dzień mi dzisiejszy zsyła samo szczęście.  
Pod szczęśliwą się, Zofio, konstellacją  
Rozstrzygły twoje losy.
- Pełka** (*kiwając głową n. s.*) Biedny luzak!
- Bonar.** Król pisze, żebym przybył. Mając gościa,  
Nie mogę tego dziś zrobić — przynajmniej  
Za jego łaskę pismem podziękuję.  
Mości posłańcze, wy pójdziecie ze mną,  
Bo i ugościć należy was przecie,  
I nie wypuścić z próżnemi rękami. —  
Pomówim jeszcze o tem, wojewodo —  
Pójdźmy do siebie, i dajmy czas Zofii  
Przygotować się dla miłego gościa.
- Firlej.** Jestem powolny waszej chęci.  
(*Firlej, Bonar i Pełka wychodzą*).
- Zofia.** Wyszli...  
Ach, odetchnęłam! Trzeba mówić z Kmitą,  
Nie dopuścić mu, by jakie szaleństwo  
Popełnił — niechaj odchodzi co prędzej —  
Przebrany, lecz go łatwo mogą poznać,  
A wtedy biada mi! — ojciec pomyśli,  
Że ja go zwodzę, a Firlej, że zdradzam —  
Choć Bóg mi świadkiem, żem całkiem niewinna  
(*Wychodzi*).

### SCENA 3.

Ogród Bonara.

- Kmita** (*przebrany, wchodzi*).  
Widziała mnie — powinna się domyślić,  
Że chcę z nią mówić. Przybędzie tu pewnie,  
Albo gdzieindziej ułatwi spotkanie.  
Jej widok dodał życia memu sercu,  
Ale niespokój zwiększył — jeszcze silniej  
Uderza we mnie potęga pragnienia!  
Jeśli mnie tyle kocha, ile sądzę,  
Nie będzie się wahała i zadosyć

Uczyni mojej prośbie. Nie możemy  
Nic otwartością od ludzi uzyskać,  
Trzeba podstępem osiągnąć to szczęście,  
Które wbrew boskim prawom nam wydarli.

*(Zofia wchodzi).*

Nie omyliłem się w mojem przecuciu,  
Przybyłaś, Zofio!

**Zofia.**

Cicho, panie Kmito,  
By kto nie słyszał! — Cóż wy tu robicie?  
Jam nie wiedziała, czy wierzyć swym oczom,  
Czy to wy tutaj?

**Kmita.**

O przebacz mi, Zofio,  
Że naraziłem cię podobnym krokiem.  
Chciałem cię widzieć — gdyśmy się rozstali,  
Bez wieści, jakby w grobie mi zniknęłaś.  
Jakże to straszna rzecz oddać swe myśli  
Na wątpliwości tortury — jak trudno  
Wzrok przyzwyczaić do nieobecności  
Tego, co słońcem było w naszym świecie!...  
A to me życie, odkąd cię nie widzę.

*(Kłęka i chwytą ją za ręce).*

**Zofia.**

Lecz dzisiaj — dzisiaj odzyskałem szczęście!  
Powstańcie — może kto nadejść — czyż nie  
[wiesz,

Że to Bonara dom!... ja już myślała,  
Że między nami wszystko się skończyło,  
Wszak słyszeliście, co mój ojciec mówił?...

**Kmita.**

O! względem ciebie, oprócz głosu serca,  
Żadnego w świecie innego nie słucham!  
To zawiść włada duszami tych ludzi,  
I z nas uczynić chcą dla niej ofiary,  
Ale my, Zofio, możemy być szczęśliwi.  
Aż do wieczora zdołam się tu ukryć —  
Ty pójdziesz ze mną — potem — koń mój dobry,  
Uniesie nas oboje — w świat — daleko —  
I zostawimy za sobą nieszczęście...

**Zofia.**

Panie, tą myślą wy mnie obrażacie!  
Sądzicie, żebym zapomnieć to mogła,

Com winna sobie, ojcu i sumieniu?...

Tylko szaleństwo może tak się ozwać.

**Kmita.** Nie obawiaj się twego ojca przekleństw!  
Kiedy ochłonie z gniewu, błogosławić  
Będzie tę chwilę, widząc cię szczęśliwą.  
Bo ja cię zrobię szczęśliwą! — w mej duszy  
Jest nieprzebrany ocean czułości —

Wystarczy choć do śmierci!... Będiesz dla mnie

Jak dziś kochanką zawsze!... Ha, lecz może

Ty mnie odrzucasz — może darmo pukam

Do twojej duszy?.. Firlej tu jest u was —

Możesz wzajemna jemu?... powiedz szczerze...

Ty sama możesz o mnie zapomnieć,

I potoś tylko tu przyszła, by skarcić

Moją zuchwałość i prędzej oddalić?...

**Zofia.** Będę otwartą. Nie myślałam nigdy,  
Że przyjaźń, jaką wam okazywałam,  
Na tak mię przykre narazi następstwa.

Czegoż żądacie ode mnie? dlaczego?

Miłości nigdy wam nie przysięgałam,

Bo nie w mej mocy sobą rozporządzać.

Ojciec miał inne myśli i Firleja

Chce mi za męża dać. Wszak znasz Firleja

I pewnie powiesz, że nie mu zarzucić

Nie może nawet zawiść? — Ja przyjęłam,

Nie sądząc, że wy kiedyś tu przyjdziecie,

Płochości mojej błąd mi przypominać.

**Kmita.** Mów!.. słucham dalej. Chciałbym teraz umrzeć,  
A takie słowa staną za żelazo!

**Zofia.** Od winy swej mię uwolnij boleści,  
I wiedz, że szczerze i ja nad nią cierpię,  
Bo mam szacunek ten sam wciąż dla ciebie.  
Gdy się rozłączym, czas wszystko zagładzi —  
Dla was świat cały i szczęście otworem.

**Kmita.** Nie wysłuchałaś mej prośby, okrutna —  
Pastwisz się tylko! — Powiedz mi: nie kocham,  
Nie kochałam cię nigdy — będzie dosyć! —  
Poco tu mówić długo, jak kazanie

Nad nieboszczykiem, gdy dla niego lepszy  
Krótki na grobie napis?... Boże, Boże!..  
(*Po chwili*) A przecież nie tak łatwo się pogodzić  
Z tą śmiercią serca!... Otchłań, co je dzieli  
Od żyjącego świata, wspomnieniami  
Wypełni sztucznie, marzeniem zasypie —  
A przecież nie tak łatwo skruszyć jarzmo  
Tego uroku, co raz spętał serce!..  
O, wiedz, Zofio, po twych słowach nawet  
Nie może dusza moja się wydobyć  
Z czarnoksięskiego koła, w które kiedyś  
Zakłętaś ją na zawsze i w niej świecisz  
Niebieską otoczona aureolą!..  
Mogę cię przekląć, ale kochać muszę!..  
Miarkuj się, Kmito!

**Zofia.**  
**Kmita.**

Nie, ja ci nie wierzę —  
Łudzisz się sama — ty musisz być moją —  
Bóg ciebie stworzył dla mnie!... Niech tu przyjdą,  
Niech z moich ramion spróbują cię wydrzeć!..  
Boska rozkoszy! — czuję, jak twe serce  
Na moich piersiach bije, jak twój oddech  
Zapachem róży moją twarz oblewa..  
Ja cię ztąd wyrwę, choćbyś przekląć miała,  
Twoje przekleństwa przebłagam miłością,  
Musisz mnie kochać — zmuszę cię sercem!  
Pójdź! — uciekajmy!

**Zofia.**

Puście mnie, na Boga!..  
Nadchodzą... szanuj mą sławę dziewiczą!..

**Kmita.**

Ha, więc bądź świętą!.. (*Puszcza ją gwałtownie*).

**Zofia.**

Oddalcie się prędzej —

Gdy was tu ujrzą — Boże, co to będzie!

**Kmita.**

Nie hój się. Cnocie twojej dam świadectwo,  
A gdy tu Firlej przyjdzie, to go poślę  
Do Pana Boga, gdzie nie nie zakryte.

**Zofia.**

Boże, miej litość nade mną!

**Pełka** (*wchodzi szybko*).

Uciekaj!

No, panie Kmito, czyż chcesz przyjść do burdy?  
Na tom stróżował, abys dał się złapać?



Czegoż jak kamień stoisz? — Do stu czartów,  
Nie głupim tutaj czekać!

*(Ochodзи. Bonar i Firlej wchodzą z drugiej strony).*

**Bonar** *(przypatrując się).* To ty, Kmito?  
Prześladujesz mnie jeszcze?... Zapomniałeś  
O mojej hańbie i moich zakłęciach?...  
Do mego domu wdzierasz się podstępem —  
Ty nie masz wstydu! — Wyjdz ztąd, wyjdz  
[co prędzej!  
Że on tu przyjdzie, czyś wiedziała, Zofio?

**Kmity.** Nie. Wasza córka niewinna — cień zdrady  
Od niej daleki. Jam jest tym zbrodniarzem,  
Co się odważył wierzyć w ludzkie serce!

**Zofia** *(padając Bonarowi w ramiona).*

Ach, ojcze!

**Firlej.** Panno Zofio, bądź spokojna.

Wiemy, co trzymać o tej całej sprawie.

Oddal się, Kmito!

**Kmita.** Nie bądź mi tak dumny!

I nie szydź w oczy, ty zimny szczęśliwco,  
Bo słodycz życia w piotun ci przemienię!

**Firlej.** Nie drażń mię groźbą w obcym domu, Kmito!

**Kmita.** Firleju, mogę wyjść i rzecz załatwić.

**Firlej.** Więc chodźmy. *(Obaj zamierzają się iść).*

**Zofia** *(odbiegając od ojca).*

Stójcie! — Panie, czyż ci nie dość  
Mojego bołu dotąd?... czy chcesz jeszcze,  
By krew zatrąła mi spokój sumienia,  
Abym cierpiała niewinnie? — Szalony,  
Siebie i życie narażasz człowieka,  
Który nie winien ci nic!... Dom ten opuść,  
Bo wnosisz w niego wojnę i nieszczęście.

**Kmita.** Zostań, Firleju — już ja sam stąd wyjdę,  
Twój rzecznik broni gorąco twej sprawy. —  
Jakżeś ułomną rzeczą jest, ty ludzka  
Sprawiedliwości! — Patrzcie się, Bonarze,  
Na swoją córkę — patrzcie na tę postać

Pełną uroku, świętej łagodności,  
I na te oczy w ziemię opuszczone,  
Na załamane ręce!... Wszak widzicie,  
Że stoi jakby anioł miłosierdzia,  
Jakby niewinność niebieska?... Lecz oczy  
Na widok duszy zasłońcie — nie patrzcie,  
Boby wam córka zbrzydła!...

**Bonar.**

O szalony,  
Dokąd namiętność i gniew cię unoszą!  
Zaprawdę, godzien jesteś mej litości.

**Firlej.**

To sami wściekli ludzie ci Kmitowie!

**Zofia.**

Ja jestem chora, chcę odejść, mój ojczu.

**Bonar.**

Idź, Zofio, spocznij po tej nagłej burzy,  
Co starym dębem trzęsie, cóż dopiero  
Tak wiotką trzcina jak ty. — Pójdź, Firleju.

*(Zofia wsparta na ojcu, Bonar i Firlej wychodzą).*

**Kmita** *(sam).*

Czemu ten Firlej tak chłodnego serca,  
I nie posiekał mię szablą na sztuki —  
Byłby uczynek zrobił miłosierny.

**Pełka** *(wchodzi).*

No, panie Kmita, pot mi kapał z czoła,  
Jak oni cię tu tak mocno przytarli.  
Jeszcze się dobrze ta sprawa skończyła,  
Kiedy was całym widzę. Dalej w drogę,  
A nie przyznajmy się nawet nikomu,  
Ześmy tu byli.

**Kmita.**

Jakże jestem nędzny!  
Jak piłką ludzie i los mną rzucają —  
Jestem igraszką każdego co zechce.  
O, powinienbym zginąć tu ze wstydu,  
Żem nie mógł fałszu rozróżnić od prawdy!

**Pełka.**

A czym ci dawno tego nie powiedział?  
Masz czego chciałeś, a na przyszłość słuchaj  
Roztropnej rady.

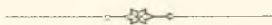
**Kmita.**

Idźmy już ztąd, Pełko,  
Rzućmy to miejsce, którego ma noga  
Nigdy się dotknąć nie była powinna.

**Pełka.**

Z całego serca — nawet krzyżyk zrobię.  
Tak, pójdź mój Kmito, tam gdzie z ramionami  
Na ciebie szczęście otwartemi czeka!

*(Wychodzą).*



## AKT CZWARTY.

Przedpokój na Zamku królewskim.

### SCENA 1.

(Dworzanie piją i grają w kości. Na boku przy osobnym stole siedzi Pełka rozparty w krześle, przy nim dzban i szklanka).

**Pierwszy Dworzanin.** Pięć!

**Drugi.** Dziewięć!

**Trzeci.** Dziesięć!

**Pierwszy.** Co? wygrałeś znowu,  
Bodaj cię z twojem szczęściem! Przy tym drabie  
Człowiek się nigdy pożywić nie może,  
Wszystko zagrabi.

**Trzeci.** To ze mną nie grajcie! (*Chowa pieniądze*).  
Chudziny, żal im choć biednego skojca!

**Drugi.** Ciągle nas tylko łupisz jak barany.  
Wczoraj przegrałem, myślałem że dzisiaj  
Coś się podłatał — grosze dyabli wzięli!  
Ty nas tumanisz lub okpiwasz, wygo,  
Kostero!

**Trzeci.** Ejże, niechno mi waść milczy,  
Bo jak kułakiem pomacam po żebrach,  
To ci się babka przyśni!

**Drugi.** Ino spróbuj!

**Pełka** (*wstając*). Cóż, do stu czartów! znowu harmidery?  
Cicho mi, bo was wnet obu pogodzę!

Że u tych ludzi, jak pałkę zaleją,  
Zaraz poswarki na stole! Do czarta,  
Jakbyście blekot pili, a nie wino.  
To profanacya jest boskiego daru,  
Który ma źródłem być szlchetnych myśli,  
Nie żabich skrzeczeń i chłopskich łomotań.  
No, pociągnijcie jeszcze trochę z dzbana,  
I wycmokajcie się w oba policzki!  
No, zgoda, święta zgoda niechaj żyje!

**Drugi.** Toć niżli bić się lepiej pić podobno,  
Lecz Piotr niech pierwszy rękę poda.

**Pełka** (*ciągnąc trzeciego za rękę*).

Nużel!

**Trzeci.** Zgoda, mój miły bracie, wieczna zgoda!

A com powiedział, niechaj psy rozniosą,  
A waść w swem sercu na wieki wymaże.

**Pełka.** Co tak, to lubię! — to mi jest ochota,  
Co się nazywa, szlachecka przy winie,  
Kiedy mi ciepło w sercu i czuprynie,  
A żadnych kwasów ni mętów nie czuję,  
I żółcią sobie humoru nie truję.  
A kogo spotkam, to mi brat, druh miły,  
I duszybym mu odstąpił połowę.  
A kiedy na świat spojrzę — to i świat moj!  
I jestem sobie wolny szlachcie polski,  
Pan całą gębą jakby król lub sułtan,  
I pod gwiazdami nie znajdzie stworzenia,  
Coby tak było rzeźkie i szczęśliwe!  
Co mi to zaraz rozumu przybywa!  
Jak Złotousty Jan albo Cycero  
Słowami mogę walić jak piorunem.  
A niechno padnie mówić mi na sejmie,  
W ciźbie ciekawej na me argumenta,  
A stanę sobie butnie — noga naprzód —  
Czapka na szabli — a na czapce ręka,  
A głowa w górę — i tnę wręcz królowi,  
Że źle się dzieje, że wolność upada,  
A więc naprawa, więc exorbitancye

Więc exekucya! Bo inaczej kwita,  
Kwita z przyjaźni, i naród szlachecki  
Nie da ni grosza z łanu, ani siędzie  
Na konia, kiedy król rozpisze wici.  
Bo w domu trzeba z tyranią się porać,  
I absolutum dominium zniweczyć  
W korzeniu, w jądrze! a reszta firleje!  
A tu sza! jakby mak siał — i król mdleje  
W swoim uporze, więc i głową kiwa:  
Dobrze waśé mówisz, stanie się po woli.

**Pierwszy Dworzanin.** Ej, mości Pełko, a to mi to swada!  
Szkoda, że niema tu króla i stanów.

**Pełka.** Ba! furda słowa — kiep słowo jałowel  
Lecz i animusz jaki mię napada,  
Jaka odwaga, achillowe męstwo,  
Gdy Bachus grzeje żyły. (*Rzuca czapkę, dobywa szabli*).

Mospanowie!  
Tu plac jest boju, w koło éma tatarska.  
Taniec się wszczyną — brzmia trąby na czele —  
Serce dygoce mi przy tej kapeli!  
Jezus, Marya! hurra! — grzmia podkowy  
Jak młyny — chrzęszczą nam pióra na wietrze,  
Jakby lamowe suknie Krakowianek.  
Stój! kopie w toku! Szczęk, trzask, uciekają!  
Dalej na czarne łby z gołymi kordy —  
Co koń wyskoczy! — Ha, pogański synu,  
Nie zerkaj mi z pode łba, czy ja gonię!  
Masz! — tnę po karku — jęknął — z konia spada,  
I zębem piasek gryzie. Pójdź sam, drugi!  
Jeszcze mi łuk napinasz? Brr! furknęło  
I przeszło — a ja szablą ci nad uchem  
Jak świsnął, tak mi upadł łeb pod nogi,  
I konia spłoszył wyszczerzonym okiem.  
I szczerze pole przed nami — i tuman  
Daleki w kłęby nam zbiegów obwija...  
Dosyć już, wiara! I trąby znów grają,  
I koń spieniony jeszcze mi zazdrośnie

Nazad spogląda. — Ha! tak to bywało,  
To jest szlachecka prawa fantazyja,  
I tak się bije człek, co wino pija.  
Dajcie mi jeszcze — no, i wy tymczasem  
Nie zalegajcie pola! Więc z pełnego:  
Zdrowie waszmościów rycerskiego stanu!

*(Piją, trącając się i całując).*

**Kmita** *(w stroju włoskim, wchodzi niespostrzeżony n. s.).*

Pamięci! jakąś ty straszliwą Furią,  
I obraz szczęścia w twym ręku się zmienia  
W bicz smagający nas do szpiku kości.  
To widać z sobą przyniosłem już na świat,  
Jak inny żądzę złota albo trunku —  
Jestem pijakiem na duszy — i pragnę  
Choć raz się spoić miłością... choć chwilę  
Niechaj mnie ona kocha... niech uczuję  
To zachwycenie, a zakryję oczy  
Na wszystko, co mnie jeszcze w życiu czeka.  
Bo potem — potem co?... Potem choć umrzeć,  
Jużbym szczęśliwym umarł..

**Pełka** *(spozstrzegając go).*

Wojewodzie!

W porę nam waszmość przybywa do szklanki.  
W najlepsze tutaj idzie. Lecz co znowu,  
Zamyślony mi waszmość?

**Kmita.**

Zamyślony?

A może powiesz smutny?... Przywidzenie!

*(Podstawiając szklankę).*

Ot, lepiej nalej tutaj, a zobaczysz,  
Jaka z tych smutnych myśli się urodzi  
Wesołość. Zdrowie wasze, mości Pełko! *(Pije).*

**Pełka.**

Zbyt wielki zaszczyt dla mnie. Repetita?...

*(Nalewa mu — Kmita nie pijąc stawia szklankę, bierze Pełkę pod rękę).*

**Kmita.**

Powiedz mi szczerze, czy dostrzegłeś kiedy  
W tych czasach, żebym ja był osowiały,  
Pochmurny jakiś, zasepiony, nudny,

Ocieężały lub chory? Czyli czasem  
Widok niektórych ludzi, jakieś słowo  
Nagle mię z toru ochoty nie zbija?  
Czy się nie krzywię czasem, żeby z tego  
Mógł ktoś patrzący wnosić, iż przez duszę  
Przeszła mi jakaś myśl, jakieś wspomnienie,  
Jakby niestrawność serca? Proszę bardzo,  
Jeżeli kiedy ujrzysz coś takiego,  
To mnie zlecż zaraz z dawnego nałogu,  
Popatrz się tylko na mnie, lub trać łokciem,  
Albo się rozśmiej ze mnie, gdyśmy sami.  
W człowieku wykorzenie błęd natury  
Tak trudno, jak wypłenić aż do szczętu  
Bluszcz, rozrośnięty przez lata na skale.  
**Pełka.** O ile ja was widzę, nie spostrzegłem  
Nic podobnego.

**Kmita.** To mnie bardzo cieszy.  
Jestem wesoły w duszy, a więc pragnę,  
By to i ludzie widzieli. Bo oni,  
Kiedy zobaczą tylko twarz pochmurną,  
Choćby przypadkiem, choćby z zapomnienia,  
To tak w nią wcisną ciekawości szpony,  
I tak szukają tego czego niema,  
Ze nam na wylot przedziurawią duszę,  
I w serce wprawią okna do patrzenia:  
A cóż mnie po tem!... Gdy chcę, by widzieli  
Cokolwiek z mojej duszy, sam pokażę.  
No, ale dobrze, że jestem wesoły.  
Niechaj wesołość żyje! (*Trąca się z Pełką — piją*).

**Pełka.** Panie Kmito,  
A toż ozłocić ciebie! Co za humor,  
Co życia! — A tak długo już myślałem,  
Że z ciebie chyba mnich będzie!

**Kmita.** Nie zgadłeś —  
Dobra natura leżała na spodzie;  
Trzeba się było trochę otrzeć w świecie,  
Pomiędzy ludźmi, aby ją odsłonić.  
Bo jeśli jabym miał się jeszcze smucić,



To byłoby już arcydziełem głupstwa.  
Fortuna złała na mnie wszystkie łaski,  
Ludzie są dla mnie tak dobrzy, i żyję  
Z wszystkimi w zgodzie najlepszej. Czy nie wiesz?  
Zszedłem się kiedyś z Firlejem, i rękę  
Dałem mu pierwszy, przeprosiłem w żartach  
Za swe wybryki dawne, i obadwaj  
Naśmieliśmy się szczerze z tych awantur.

**Pełka.** To doskonale! Zobaczysz, jak wkrótce  
Ludzie rozniosą naokoło sławę  
Twego rozsądku. A cóż? a królowa?...  
To był najtwardszy orzech do zgryzienia,  
Aby cię do niej nawrócić. Nareszcie  
Udało mi się i myślę, że teraz  
Jesteście z sobą w jak najlepszej zgodzie.

**Kmita.** Królowa tak jest dobra, i zaczynam  
Nieraz wyrzucać sobie, że tak długo  
Dla niej niewdzięczny byłem.

**Pełka.** Nie mówiłem,  
Że to jest słodsza jagoda nad inne,  
Szczerzy królewski kąsek!

**Kmita.** Moje usta  
Powinny dotąd przesiąknąć słodkością.  
Szkoda, że zbytek miodu nieraz sprawia  
Ckliwość i nudę!

**Pełka.** Ba! i cóż pod słońcem  
Nas nie przesyci? — Ale to są drobne  
Niedogodności, które znosić trzeba  
Dla większych zysków. Tylko się raz przypatrz,  
Jak wszyscy mierzą na ciebie z ukosa,  
Gdy idziesz butnie przy boku królowy,  
Jakby cię chcieli pożreć wraz z twem szczęściem.  
A jak ci z drogi wszyscy ustępują,  
Jak się kłaniają, gdy raczysz ich widzieć;  
To także jest coś warte: na rozkazy  
Mieć sta ukłonów i czułych uśmiechów,  
Nie licząc tego, co serce królowy  
Dla twych afektów na ofiarę składa.

- Kmita.** Serce?...tak serce — masz słuszność, mój Pełko!  
Z czary miłości piję bez oddechu,  
I raz szczęśliwy jestem. Co tu szczęścia!  
Zda się, że ono w tysiąc się rozbiło  
Różnych kawałków, a każdy kawałek  
Inny strój przywdział jak na maskaradę,  
I tak mi tańczą nad głową i pieją,  
Iż jak na różach zasypiam w tym gwarze.  
Byle się tylko nie budzić!... I skąd ja  
Do tego szczęścia przyszedłem, sam nie wiem.
- Pełka.** Skąd?... Porzuciłeś swe dziecinne myśli,  
I żyć zacząłeś po ludzku na świecie,  
Który dość szczęścia może dać swym dzieciom,  
Gdy one tylko nie nazbyt wybredne.  
Przyjaciół przytem miałeś — mnie naprzykład,  
Którzy ci drogę szczęścia torowali,  
Gdyś ani myślał o tem. Jak to przyszło,  
Nie wiesz dotychczas, jednak czas, byś wiedział,  
Nie trzeba dłużej kryć swojej zasługi.  
Mnie to podziękuj za wszystko, ja wodze  
Wziąłem do ręki tej sprawy.
- Kmita** (*wzmacniając uwagę*). Co? jakto?
- Pełka.** Skoro mi tylko królowa szepnęła:  
Od Bonarówny rozłącz Kmitę, zaraz  
Do wojewody pobiegłem i jemu  
Żółć poruszyłem. A jak wojewoda  
Raz się rozjudził, to i wszystko dobrze,  
To i Bonara napadł...
- Kmita** (*wstając*). I tyś wiedział!...
- Pełka.** Ten jeden wybuch zastąpił tysięczne  
Ceregiele i nudne korowody.  
Tyś potem poznał lepiej Bonarównę —  
Ot, i postawił się jakoś na nogi.
- Kmita.** Ty łotrze!
- Pełka.** Panie Kmito, cóż to znaczy?!
- Kmita.** Nędzny służalcze, jam ci serce otwarł,  
Przyjacielem cię nazwał... Precz mi z oczu!

**Pełka** (*n. s.*) Do czarta, czym się wygadał za wiele?  
Lecz tak mię wino uspiło i owcza  
Prostota tego człeka.

**Kmita.** Jeszcześ tutaj!

**Pełka.** Ale zmiłuj się, panie Stanisławie,  
Daj pokój żartom.

**Kmita.** A ja głupi, ślepy,  
Oddałem duszy najświętsze uczucie  
Na wypaszenie takiego bydlęcia!  
Precz mi stąd!

**Pełka.** Czy cię szaleństwo napadło?  
Hej, dajcie zimnej wody!

**Kmita.** Ty przechero!  
Ty nie rozumiesz mego gniewu, święty  
Baranku niewinności? Wychodź! precz, precz!  
(*Nastaje na niego — Pełka się cofa.*)

**Pełka** (*n. s.*) Z wojewodzicem zadzierać nie żarty!

**Kmita.** Nie doczekasz się szabli — ja wyrzucę,  
Więc oszczędź sobie wstydu!

**Pełka.** Mospanowie,  
Biorę za świadków was, że ustępuję  
Z całością sławy, przez uszanowanie  
Dla wojewody brata, na którego  
Nie mogę podnieść szabli, bo swą trzyma  
W pochwie; tem bardziej, iż widać wyraźnie  
Ze w niezwyčajnem działa uniesieniu.  
Mój panie Kmito, spodziewam się, wkrótce  
Że mi podacie znów rękę, i będziemy  
Razem jak dobrzy przyjaciele pili.

**Kmita.** Skończyłeś już?... więc wynoś się z honorem!  
A pić u żyda możesz na me karby.  
Precz! (*Pełka wychodzi.*)

Mospanowie, niech was to nie miesza,  
To nasza własna sprawa. Grajcie dalej  
I pijcie. Chętnie podzielę ochotę.

**Pierwszy Dworzanin.** My już wypili wszystko co do kropli,

A kto miał przegrać, nie ma do kieszeni  
Sięgnąć już po co.

**Kmita.** To skoczcie po dzbany  
Świeże a pełne — ja was dziś uraczę.

**Dworzanin.** To już na inny raz, wielmożny panie,  
Zamawiamy tę łaskę, dziś nam trzeba  
Na służbę udać się.

**Kmita.** Żal mi jest mocno,  
Żem wam ochotę zepsuł. Idźcie z Bogiem.

*(Dworzanie wychodzą. Wojewoda wchodzi innemi drzwiami).*

**Wojewoda.** Cóż tu za hałas było słyhać?... Brat mój!  
Nie omyliłem się, że was słyszałem.

**Kmita.** Tak, wojewodo. Mocno was przepraszam,  
Żem wasze uszy śmiał trochę podrażnić.  
To ja ten hałas robiłem. Zabawne  
Miałem zdarzenie. Wypędzałem łotra,  
Któregom nadto przybliżył do siebie.  
Prosty szlachciura — znasz go wojewodo —  
Pełka. Ten łotr się dzisiaj wypowiadał,  
Jak kiedyś buty mi szył razem z wami,  
Jak mnie by ciele wodził na powrozie,  
A jam na wszystko miał zamknięte oczy.  
Mój wojewodo, wszak to niezaszczytnie,  
Być takim głupcem? A taki pan z panów  
Jak ja, powinien swe głupstwo naprawić  
Na cudzej skórze...

**Wojewoda.** Mości Stanisławie,  
Ledwem cię zleczył z jednego szaleństwa,  
A już zaczynasz na nowy rachunek!

**Kmita.** Nie spodziewałem się tego, mój panie,  
Żebyś mnie ganił. Sądziłem, że jestem  
Wcielonym wzorem twej doskonałości.  
Wszystko, co chciałeś, robię. Jestem butny,  
Z góry na wszystkich patrzący i pyszny  
Więcej niż ty sam. Wyprawiam biesiady,  
Piję jak Bela, i w gardła lać każę  
Szlachciurom, żeby mą hojność sławili.  
Prawię im mowy jak Grachus lub Sulla,

Na króla ruszam ramionami często —  
Jestem kochankiem jego żony, trzęsę  
Jak torbą całym dworem; kto chce dostać  
Prebendę albo urząd, mnie się kłania;  
Przeszywam każdą piękność chciwym wzrokiem,  
Rumienię niewinności, cieszę głupie  
Albo zepsute; sprawiam maskarady  
Na sposób włoski. Dość, że wkrótkim czasie  
W całej się Polsce rozległo me imię —  
Jestem podziwu i zazdrości celem.  
I czegoż Kmita może więcej pragnąć?  
A najważniejsza, że mi wywietrzała  
Zupełnie z głowy panna Bonarówna.  
Już nie ożenię się z nią — o nie głupim!  
Dla mnie księżniczka za mało, i szkoda,  
Że nie mam tronu... lubo mieć go mogę —  
Król jest śmiertelny, a nuż mnie wybiorą?...  
Wtedy z królowną jaką się ożenię  
Lub z cesarzówną — to dla mnie jest partya.

**Wojewoda.** Waśc pił za wiele — wstydź się takiej mowy,  
Tak głupio bredzić...

**Dworzanin królowy** (*wchodzi, do Stanisława*).

Panie Kmito, jejmość  
Królowa chce was widzieć.

**Kmita.** Zaraz idę. (*Dworzanin odchodzi*).

Że cię opuszczę, daruj wojewodo —  
Królowa wzywa. A muszę do czapki  
Jeszcze piór nowych wsadzić i namaścić  
Swe włosy. Ten strój włoski dyabło żmudny,  
Ale królowa powiada, że włoski  
Najwięcej mi do twarzy. Żegnam waszmość.

**Wojewoda** (*sam*). I to ostatni Kmita!... Co to będzie?...

Jakieś straszdyło włoskie się zrobiło  
Z zadumczego mnicha — ale Kmitą  
Ni raz nie może stać się. Gdy to potrwa,  
On mię do grobu wpędzi. Ale teraz  
Nie znam już rady na jego szaleństwo,

Bo któż królowy wyrwie go z objęcia?

**Pełka** (*wchodzi ostrożnie, d. s.*).

Poszedł do dyabła sobie ten szaleniec —  
Lecz wojewodę trzeba o tem przestrzedz.

(*Postępując dalej*).

**Wojewoda.** A Pełka! Waści tutaj głowę zmyto.

**Pełka.** Wielmożny panie, siedem dni odpustu,  
Kto z drogi zejdzie... Wasz brat w dziwnym stanie.

**Wojewoda.** Bardzo się lękam, aby mi nie zmarniał,  
Tym się niesfornym oddając wybrykom.

**Pełka.** Jest bać się o co! Ta nagła przemiana  
Do prawdy całkiem niepodobna. Tak, tak,  
On coś zamysła...

**Wojewoda.** I cóż w nim dostrzegłeś?..

**Pełka.** On jest w niezgodzie z sobą. Jego humor  
Na pozór słodki i wesoły, zdradza  
Piekielną cierpkosć duszy. Tacy ludzie  
Nie zwykli z sobą żartować, lecz patrzą,  
Gdzie jaka studnia głęboka, lub ściana  
Dość twarda, albo dość ostre żelazo,  
Lub jakie włoskie ziółko niepożywne.

**Wojewoda.** Jakimże dla mnie ten człowiek ciężarem!

Ale go muszę strzedz, bo to ostatni  
Potomek Kmitów! — Pełko, na twą głowę  
I na tve oko się spuszczam. Daj baczność  
I dobrze pilnuj! Razem warzyliśmy  
Dla niego piwo, więc leczmy go razem,  
Póki nie strawi. A jak medyk chybi,  
(*grożąc Pełce*). To mu samemu choroby napędzę!

**Pełka** (*n. s.*) Do stu piorunów, śliczna alternata!

Pomiędzy dwoma szalonymi braćmi  
Zginę, jeśli się jak wąż nie wysliznę.

(*Wojewoda wychodzi, Pełka za nim*).

SCENA 2.

Sala królowy zbyt kownie przybrana — zwierciadła —  
kwiaty i t. p.

**Bona** (*wchodzi*). Król mi powiedział, że tu dziś przybędą  
Błogosławieństwa prosić. Z całej duszy  
Błogosławieństwo jej dam. Ale Kmita  
Niech widzi, jak tem zamężciem szczęśliwa,  
Jak wzgardzić jego miłością umiała.  
Im bardziej on ją nienawidzić będzie,  
Tem więcej kochać mnie! — Niech Zofia szydzi,  
Niech mu urąga w oczy, a on musi,  
Choćby już podniósł ręce do modlitwy,  
Zburzyć ołtarza nieczułego bóstwa,  
I ku nowemu zwrócić swoje prośby.

(*Kmita wchodzi*).

Przychodzisz wreszcie, Kmito — trzeba wołać,  
Aby cię widzieć...

**Kmita.** W zabawie ochocej  
Zatrzymałem się trochę dłużej. (*Całuje jej rękę*).  
Przebacz!

**Bona** (*usiada i wskazuje mu na taboret*).

Usiądź tu przy mnie. Jakież twoje zdrowie?

**Kmita.** Wyborne, moja pani, doskonałe!  
Nadzieja coraz to nowej uciechy,  
Nowego szczęścia wlewa samo zdrowie  
Codzień w me żyły. — Królowo, daj rękę,  
Daj pocałować tę dłoń białą z lilii!  
Ach, jak w Olimpie siedzę zachwycony,  
Jak w grocie wróżki zczarowany księżę!  
Lecz czemuż mogę dzisiaj cię zabawić,  
Bo mam naturę dziwną, że im więcej  
Jestem szczęśliwy, tem i więcej nudny:  
Lubię się pieścić szczęściem i po kropli  
Na swój język je spuszczać.

**Bona.** Weź tę książkę,  
Tu są zabawne rzeczy.

**Kmita** (*przejrzawszy*). Nedorzeczne

Powieści Aryosta — same kłamstwa!

**Bona.** Kłamstwem na świecie są i wielkie prawdy,  
O których ludzie mówią, ale których  
Nikt z nas nie widzi.

**Kmita.** Oszaleć z miłości!...

Na to waszego chyba trzeba słońca,  
Co mózgi pali My, współbracia lodów,  
Śmiejemy się z głupstw takich.

**Bona.** Cóż czynicie

W podobnych razach, gdy się oszukacie,  
Gdy was zapomną, złudzą albo zdradzą?

**Kmita.** Żenim się z inną. A niekórzy czulsi,  
Ci się wypłaczą jak bobry, a inni,  
Ci się rozpiją i rzemiennym dyszlem  
Pozostawiają smutki u sąsiadów,  
Jeśli ich wprzódy turecki jatagan,  
Albo wołoska spisa nie utuli.  
Precz z taką książką! (*Rzuca ją*). Ja włożyłbym  
wieniec

Na taką głowę, któraby uczyła,  
Jak serce okuć we zbroję ze stali,  
Aby nie pękło, gdy świat weń uderzy  
Swym twardym młotem. Trzeba żyć nas uczyć,  
A nie umierać!...

**Bona.** Czy to tylko prawda?...

**Kmita.** Królowo, czemuś nagle posmutniała?

**Bona.** Przez długą chwilę w oczy ci patrzyłam,  
I w nich to czytam, o czym usta milczą.  
Ty oszukujesz mnie, nie jesteś szczerzy,  
Ty mnie nie kochasz — zbywasz mnie słowami  
Przez litość albo szyderstwo!...

**Kmita.** Królowo,

Jak mnie posądzasz, siebie mało cenisz!  
I któżby, ust się twoich raz dotknąwszy,  
Nie żądał na to wieczystego prawa?

**Bona.** Ty się odwdziaczyć nie umiesz mi godnie!  
Jam ci oddała całe moje serce,



Mogąc tysiące innych równie wybrać,  
Którychby łaska ma uszczęśliwiła, —  
Tylko dlatego, żem cię pokochała,  
Ciebie jednego. Tyś ode mnie stronił,  
A jam nie była dumną — inną kochał,  
A jam cierpliwą była. Jam przyjęła  
Z ochotą twoje wypalone serce,  
Aby je tylko mieć. — Tu nikt cię nie zna,  
Dla wszystkich jesteś dziwaczne zjawiskiem,  
Jam cię przejrzała miłością, pojęła  
Tę duszę słabą, lecz przytem szlachetną,  
Dla której trzeba czułości oddechu,  
Aby żyć mogła...

**Kmita.**

O moja królowo,  
Jakże ty jesteś nadto dobrą dla mnie,  
Jak ty mą duszę poznałaś dokładniej,  
Niż ja sam nawet? — Wierz mi: ja cię Kocham,  
Ja muszę kochać cię dla twej dobroci.  
Ale tyś sama winna, że czasami  
We mnie szacunek dla ciebie upada.  
Wyznam ci szczerze: chcąc swojego dobra,  
Nie zawsześ na me własne pamiętała.  
Królowo, to błąd wielki!

**Bona.**

Ty zapomnieć  
Nie możesz tego nigdy! (*Wstaje i przechodzi się  
kilka kroków, Kmita powstaje również milcząc, Dworzanin  
królowy wchodzi*)

**Bona** (*idąc ku niemu*).

Czy już przyszli? (*Rozmawia z nim w głębi*).

**Kmita** (*d. s.*)

Ciężko mi bardzo! (*Wpatruje się w jedno miejsce*).

Dziwne przypomnienie!

Tu, na tem samym miejscu, po raz pierwszy  
Zobaczyłem ją. Tak, tutaj to było!

(*Tupiąc*). Pokaż się oczom zjawisko mej duszy,  
Stań znów przede mną, tak jak po raz pierwszy,  
Gdym cię zobaczył w świętym blasku nieba —  
Ciebie chcę widzieć — nie tę, co dziś widzę...

(*W czasie tego Dworzanin na znak Królowy odszedł, a w tej chwili Król, Firlej i Bonar z Zofią wchodzą.*)

**Kmita** (*spostrzegłszy Zofią*).

Wszelki duch!.. Ale nie, to ona sama.

(*Odchodzi na bok i opiera się o framugę okna.*)

**Król.** Ciesz się, królowo, mamy dzisiaj gości  
Miłych u siebie. Dwie się dzisiaj łączą  
Rodziny wierne i drogie koronie!

Dzień to radosny! (*Usiada obok Królowy.*)

**Bonar.**

Miłościwa pani!

Przy waszym boku Zofia była długo,  
I doznawała zawsze waszych względów;  
Teraz we własny dom ma się przenosić,  
Więc jej należy najprzód podziękować  
Swym dobrodziejom dawnym i upraszać  
O ich łaskawe i szczere życzenia,  
By się jej dobrze w nowem życiu działo.  
Klękniźże, Zofio, do królewskich kolan  
I uchyl głowy po błogosławieństwo.

(*Zofia klęka przed królestwem.*)

**Bona.**

Bóg ci swej łaski nie odmówi, Zofio,  
Boś sobie zawsze na nią zarabiała.  
Idź uszczęśliwić tak zacnego męża,  
I bądź mu życia wierną towarzyszką,  
Nie mniej cię pewnie kocha jak ty jego,  
Więc możesz wierzyć i ty w przyszłe szczęście.  
Panie Firleju, dawno wam życzyłam  
Takiego skarbu, dzisiaj wam winszuję.

**Firlej.**

Najmiłościwsza pani, Zofia była  
Mojego serca najszczerzem pragnieniem,  
Możecie tedy sądzić, jak dziękuję  
Niebiosom, że mi posiadać ją dały.

**Król** (*spostrzegłszy Kmitę, do Królowy*).

Po co tu Kmita? — powinien był odejść.

**Bona** (*do Króla*). Widzisz, jak w okno patrzy obojętnie.

**Firlej.**

Lecz jeszcze jedną prośbę mamy zanieść  
Przed wasz majestat królewski. Pojutrze

Przed Bogiem wiarę sobie zaprzysiężem,  
Nasz ojciec i teść drogi w swoim domu  
Chce zebrać dobrze życzących przyjaciół  
I z nimi cieszyć się z naszego szczęścia.  
Balice niedaleko. Gdyby łaska  
Nie była wstrętną ich królewskich mości,  
To pod swą strzechę prosimy ich w gości.

**Bonar.** Ten zaszczyt byłby dla nas bardzo drogi,  
I przysporzyłby nam wiele radości.

**Król.** Mój przyjacielu stary, ja z mej strony  
Dałem już słowo wam i wojewodzie,  
A i królowa pewnie nie odmówi.

**Bona.** Dla tak przeznaczonych i wiernych poddanych  
Królowa nigdy odmówić nie może.  
Panie Bonarze, panie wejewodo,  
Poprowadzę wam Zofią od ołtarza.

**Firlej.** Jej mość królewska tyle jest łaskawa!

**Król.** Jak mnie to cieszy! Oby nasza Polska  
Podobne tylko dzisiejszym dnia знаła,  
Oby jej król mógł razem z jej synami  
Pod jedną strzechą, jakby w spólnym domu,  
I swej godności i trosk zapominać!

**Bonar.** Jeżeli kiedy, to pod waszem berłem  
Złotego wieku ona skosztowała!  
I kiedyś pewnie późne nasze wnuki  
Obracać będą oczy na twe czasy.  
Niech im Bóg zawsze takich królów daje,  
Niech jak my będą zawsze tak szczęśliwi!

**Firlej** (*sposztręga Kmitę*).

I wy jesteście tutaj, panie Kmito!  
Kiedy los tak was szczęśliwie nadarzył,  
I wciągnął w liczbę naszych uczestników,  
Nie odmawiajcie być do końca z nami.  
Prawda, że w zgodzie byliśmy nie zawsze —  
Ot, jak zwyczajnie młodzi! Lecz tym rzeczom  
Powiedzieliśmy obaj chętnie: amen!  
I podaliśmy dłonie. A więc, Kmito,  
Gdy zasługujem na to, przybądź do nas,

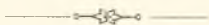
- A pijąc zdrowie mej Zofii z pełnego,  
Pokażesz, że jej zawsze dobrze życzysz.
- Kmita.** Za tę łaskawość dzięki, wojewodo,  
Ale czy także wy, panie Bonarze,  
Jesteście za tem?
- Bonar.** Z całej duszy, panie!  
Kogo raz w życiu poznam przyjacielem,  
Tego nic w świecie w sercu mi nie zatrze.
- Firlej.** Tak, wszyscy prosim. I wy, panno Zofio,  
Złączcie się z nami i poproście Kmitę,  
On was usłucha pewnie. *(Prowadzi ją przed Kmitę).*
- Zofia.** I ja proszę,  
Dodając lekką wagę mego słowa  
Do prośby ojca i pana Firleja.
- Kmita.** Pani, rozkazem dla mnie wasze słowa.  
Będę miał zaszczyt być świadkiem tej chwili  
Najuroczystszej w całym waszem życiu,  
I darzącej was szczęściem pożądanem. *(Kłania się).*
- Bonar.** Więc oczekujem was z pewnością, Kmito,  
I polecając teraz swe osoby  
Ichmościom króla i królowy pani,  
Żegnamy.
- Król** *(wstając, do Królowy).*  
Zatem pojutrze wieczorem  
Niech waszmość będzie gotowa do Balic.  
Pójdźmy, Bonarze. Mości wojewodo,  
Podajże rękę swojej narzeczonej.  
*(Król, Bonar i Firlej z Zofią odchodzą).*
- Bona** *(patrzy za odchodzącymi, po chwili milczenia).*  
Jakże szczęśliwi!... Cóż ty na to, Kmito,  
Że tak przecięte pasmo twoich wspomnień —  
Czyś ty nie smutny?
- Kmita.** Ha, ha, ha, królowo,  
Cóż wam za myśli przychodzą do głowy!  
*(Poważnie)* Sądziś, że jestem malowaną lalką,  
Której nadaje ruchy obca ręka,  
Bo sama ani stanie, ani pójdzie?...  
Sprawcą swej doli sam byłem i jestem.

(*Dawnym tonem*). Lepiej te rzeczy spuścemy du-  
[mającym

O duszy ludzkiej mędrcom! — Panna Zofia  
Dobrze wygląda, i jak mi się zdaje,  
Że wyładniała nawet. Jej osoba,  
Taka powiewna dawniej i przezrocza,  
Nabrała więcej ciała. Widać jasno  
Na jej istocie hojną rękę szczęścia,  
Co nie żałuje barwy ani światła.  
Z tem jej do twarzy bardzo. Lecz tak piękną,  
Jak wy, królowo, nie jest mimo tego.  
Jesteś obłudnym pochlebcą!

**Bona.  
Kmita.**

Tak mówisz,  
Jakbyś zwierciadła dzisiaj nie widziała.  
(*Wskazując na zwierciadło*).  
Spójrz! moją miłość ono ci poświadczy.  
Ujrzyj w niem oczy, do których świetlany  
Promień uczucia przelewa się z serca  
I we mnie godzi — i powiedz, czy takie  
Widziałas oczy u niej — powiedz także,  
Czy można kochać, za ofiarę duszy  
Nie mając bramy niebieskiej otworem?  
Któżby nieczułym był na to tyraństwo,  
Komużby duma w piersiach nie zagrała! —  
Lecz to są smętne żale! — przy twym boku  
Mogę rozkoszą oddychać. — Królowo,  
Czujesz odwiecznych lip woń balsamiczną,  
Słyszysz, jak ptacy w górze hymny dzwonią,  
Jakby nas prosząc pod cień tych gałęzi,  
Gdzie ciepło słońca dojdzie, lecz promienie  
Skruszają swe groty... Pójdźmy do ogrodu.  
Powietrze jest nektarem dla człowieka!  
(*Wychodzi, prowadząc Królową pod rękę*).



## AKT PIĄTY.

Ogród Bonara w Balicach. W głębi pałac — okna rzę-  
sisto oświecone. Wieczór.

### SCENA 1.

**Pełka** (*wchodzi do ogrodu*).

A tfu! szkaradny urząd opiekuna  
Dorosłych dzieci — tfu! do tysiąc czartów,  
Potrzebnież ja tu czas marnię? Toż lepiej  
Mogłem się bawić w miłym towarzystwie,  
Albo na pierzu wylegać swe kości.  
A tu się muszę błąkać, jakbym szukał  
Miłosnej awantury, lub chciał otrząść  
Owoce z jabłoni i grusz Bonarowych.  
Wszystkich unikam, by mnie nie spytano,  
Co waś tu robi? — a wszędzie być muszę,  
Aby na smyczy trzymać pana Kmitę,  
Jako opatrność jemu niewidzialny,  
By w labiryncie swej głowy nie zginął.  
Lecz wojewoda powiedział: daj bacność,  
Strzeż go, kiedyśmy nawarzyli piwa...  
Więc chodzę za nim jak cień, jak cień w nocy!  
(*Królowa wychodzi z galeryi pałacu*).  
Cóż to za postać prosto ku mnie płynie?  
Królowa! — Moje oczy w tym omacku  
Stały się sowie.

- Bona** (*do siebie*). Wyszedł i tak długo  
Nie widać go na sali. Tak zmieniony,  
Taki był blady!... Ha, ten człowiek jeszcze  
Mocuje się z swym losem — jeszcze trzeba  
Upadającą jego słabość wspierać!
- Pełka** (*podchodząc*). Jejmość królowa...
- Bona.** Kto tam?
- Pełka.** To ja, Pełka,  
Sam w swej osobie.
- Bona.** Cóż tu waść porabia?
- Pełka.** Tutaj cię spotkać się nie spodziewałam.  
Ja sam pojmuję, że tutaj wyglądam  
Jak Piłat w Credo. Mnie tu nie proszono,  
Do godowników liczby nie należę,  
Ale musiałem przyjść. Pan wojewoda  
Za bratem mnie tu wysłał, bo nie wierzy  
Jego fantazyi ani rozumowi,  
Bojąc się, aby mu figla nie spletał.
- Bona.** Co waść powiada? — wytłómacz się jaśniej.
- Pełka.** Hm! to mnie dziwi, że jej mość królewska  
Dotychczas tego jeszcze nie spostrzegła.  
Ot, w zaufaniu mówiąc i w sekrecie,  
Pan Kmita ma zajączki, a ja niby  
To jestem jego kaftan.
- Bona.** Skąd ty wiesz to,
- Pełka.** Skąd to spostrzegłeś?... Ty straszysz mnie próżno!  
Znam ja go dobrze od lat pacholących,  
I widzę, że się teraz z niego zrobił  
Zupełnie inny człowiek. Teraz mieszka  
Aż dwóch w nim ludzi. Lecz tamten, poprzednik,  
Kraży jak jastrząb nad głową młodszego,  
Aby się zemścić za upośledzenie.  
Jeśli się spuści, zadzióbie biedaka!
- Bona.** Boże! jeśli to prawda co ty mówisz,  
To mnie znów boleść czeka. Mości Pełko,  
Ratuj go, strzeż go do pewnego czasu —  
To minie — czas go zleczy lub zhartuje.  
I ja cię o to proszę — obowiązek

Na ciebie kładę. Och, bo moje serce  
Przed sumieniemby może liczbę zdało!  
Lecz jak najprędzej trzeba stąd uciekać,  
Widokiem wspomnień jego nie podsycać!  
Myślałam, że to dobrze — ale widać,  
Że słabych truje zbyt silne lekarstwo.  
Cicho! — ktoś idzie. Czy to nie on?

**Pełka.**

On sam.

Odchodzę, by mnie tutaj nie zobaczył. (*Odchodzi*).

(*Kmita w bogatym stroju polskim wchodzi z drugiej strony ogrodu*).

**Bona.**

Panie Kmito!

**Kmita.**

Królowa? — Tu jesteście,

Nie między gośćmi?

**Bona.**

Wysłałam ciebie szukać.

Opuściłeś nas i długo gdzieś bywasz,

Jakby te gody już ci się sprzykrzyły.

**Kmita.**

O nie, bynajmniej. Lecz w tym wielkim tłumie —

Przy gęstych wina kielichach — w upale —

Trochę mi głowa dokucza. Wyszedłem,

By nocnym chłodem odetchnąć przez chwilę.

**Bona.**

Tyś chory, Kmito! Tak ci głowa gore,

Że mi spaliła rękę jak żelazo.

Tyś bardzo chory!...

**Kmita.**

O nie, nie tak bardzo.

Pozwól mi jeszcze chwilę tu pochodzić,

A znów zabawę będę mógł podzielać.

**Bona.**

Lepiej do miasta wróćmy.

**Kmita.**

Ha, to wróćmy.

(*Głosy w pałacu za sceną: Wiwat królowa!*)

(*Drzwi pałacu się otwierają — widać gości — Bonar wychodzi ze drzwi — służba świeci*).

**Bonar.**

Wszakże królowa wyszła do ogrodu.

(*Wchodzi w ogród, Bona odwraca się ku pałacowi —*

*Kmita oddala się od niej parę kroków*).

**Bonar** (*stając przed Królową*).

Niech nam pozwoli miłościwa pani,



By za jej długie i szczęśliwe lata,  
W jej obecności toast wychylono.

**Bona.** Odeszłam od was na chwilę... Lecz pójdźmy,  
Panie Bonarze. (*Odwracając się do Kmity*).

Wróć tu niedługo.

(*Odechodzi z Bonarem. Drzwi pałacu się zamykają*).

**Kmita** (*sam*). Jak cudna noc!... Na niebie gwiazdy marzą  
Pełne radości, że je pan Bóg zebrał  
Tak w jedno grono, gdzie wszystkie się widzą.  
I ziemia także marzy: nakształt widem  
Po drzewach mgły się wspinają tumany,  
Jakby myśl ziemi chciała do gwiazd uciec.  
Zatrzymaj ją, ty tkliwych nut śpiewaku,  
Powiedz jej, że tu także dosyć szczęścia  
W tej nocy, jak stworzonej dla szczęśliwych —  
Ale dla smutnych — nie! (*Wskazując na pałac*).

I tam wesele!

Tam radość, rozkosz razem się spletały  
W uroczę wiry tańca, w ciepło serca,  
W tkliwe spojrzenia, w uprzejme uśmiechy,  
W szaleństwo wina... To puszka Pandory,  
W której zostało wszystko wraz z nadzieją.

(*Firlej, prowadząc Zofię, wchodzi do ogrodu*).

Ktoś idzie znowu! (*Usuwa się na bok*).

**Firlej.**

Piękna moja żono,

Tu niech otrzymam pierwszy pocałunek,  
Dalszego szczęścia zwiastuna — tu tylko  
Gwiazdy i niebo patrzą się na ciebie,  
I kiedy mąż cię rumieńcem zapłoni,  
Przed niemi tylko będziesz się wstydziła. (*Całuje ją*).

**Zofia.**

Mój drogi!... czujesz, jak ta noc uroczą,  
Jak wonnem jest powietrze, jak to ciepło,  
Głaskając zmysły, by snem je upaja.

**Firlej.**

To dla nas pan Bóg zesłał dziś noc taką,  
W której się wszystko wspólnie z nami cieszy.

(*Przechodzą dalej za scenę*).

**Kmita** (*sam — występując*).

Pijana Ewo! ~~to~~ moja noc weselna

Będzie ci krwawą nocą!... Spiesz się, Kmito,  
 Jej puste serce jak pęcherz rozetnij,  
 A potem szukaj w swoim, jak głęboko  
 Spoczywa zbrodnia!... Ha, i jam pijany,  
 Alem się upił gorzkiemi łzy serca —  
 Więc szaleję!.. O, i cierpię tak mocno,  
 Że siły duszy tracę... och, jak cierpię!...  
 Pocałował ją — odrzekła: mój drogi —  
 Dłoń mu ścisnęła... O, i mnie to widzieć!  
 Uciekaj, Kmito, uciekaj, uciekaj!  
 Roztrzaskaj mózg, gdyś nie chciał zamknąć oczu!  
 A ją pozostaw srogości sumienia —  
 To będzie zemsta twoja — jeśli ona  
 Czuje sumienie... Lecz wprzód spojrzuj lepiej  
 We swoje własne. Tyś sam, tyś jest winien  
 Swego nieszczęścia. Ona jest niewinna,  
 Jak słońce, gdyby mózg ci przepaliło,  
 Jak woda, gdyby w głąb cię pochłonięła —  
 Czemże się ona od tych rzeczy różni,  
 Kiedy w niej równie jak w nich duszy niema?  
 Ha, jak mi straszno! — jakby pod nogami  
 Świat się rozpadał w gruzy. — Dalej, dalej,  
 Stań raz u mety swych długich męczarni!  
 (*Wybiega*).

**Pełka** (*wchodzi z drugiej strony*).

Stój, panie Kmito! — Uciekł jak huragan,  
 Na Boga, tu coś straszno nastąpi!

(*Królowa wychodzi z pałacu*)

Wielkie nieszczęście!

**Bona.** Co mówisz, mój Pełko!

Gdzie jest pan Kmita?...

**Pełka.** Uciekł stąd przed chwilą —

Przez czas niejakiś sam do siebie gadał,

A ze słów jego ciemnych, urywanych

Wnoszę, że życie sobie chce odebrać.

Na wszystkich świętych, ratujmy go pani!

Przywołaj wszystko co żyje z pałacu,

Niech go szukają.

- Bona.** Na pomoc, na pomoc,  
Tutaj Bonarze, tu do mnie Firleju!  
O ja nieszczęsna! — na pomoc, na pomoc!
- Pełka.** Gwałtu, na pomoc!  
(*Bonar, Firlej, Zofia, Goście weselni i Służba z pochodniami wychodzą z pałacu.*)
- Bonar** (*stojąc we drzwiach*). Co za krzyk tu słychać?
- Bona.** To ja cię wołam.
- Bonar** (*wchodząc z innymi na scenę*).  
Królowa?... Na Boga,  
Cóż za przypadek?
- Bona.** Porozsyłaj ludzi  
Na wszystkie strony szukać pana Kmity.
- Bonar.** Ha, cóż się stało!
- Bona.** Jak ten człowiek mówi,  
Oddawna umysł jego nie był zdrowy,  
A teraz, może pod wpływem tych wrażeń,  
Tego wesela, nagle się oddalił  
W jakimś napadzie samobójczej myśli.
- Pełka.** Tak, skoro ujrzał tę panią z jej mężem,  
Gdy tu przed chwilą przeszli po ogrodzie.
- Zofia.** Och, wielki Boże!
- Firlej.** Co za myśl szalona!
- Bonar.** Nieszczęsny człowiek! Myślałem, że przeszłość  
W jego pamięci całkiem już zagasła.  
Lecz czy widziałeś, w którą pobiegł stronę?
- Pełka.** Tam.
- Bonar.** Więc biegnijmy. Pójdź ze mną, Firleju,  
I wy tu wszyscy podążajcie za nim  
Na wszystkie strony.
- Bona.** I ja razem z wami.  
Pełko, spiesz ze mną!  
(*Wychodzi szybko z Pełką.*)
- Firlej.** Bądź spokojna, Zofio,  
Wszystko się skończy dobrze.
- Zofia.** Wielki Boże,  
Jakież nieszczęście na progu przyszłości!

**Bonar.** Powróć do domu — wkrótce tu wraz z Kmitą  
Staniemy wszyscy. Teraz, dalej za nim!  
(*Bonar, Firlej, Goście i Służba wychodzą*).

**Zofia** (*sama*). Oby się słowa twoje wypełniły!  
Jakże się lękam. — Pójdź tu Ormundowa,  
Pójdź mnie pocieszyć — mnie straszno w tej ciszy  
I samotności.

**Ormudowa** (*wchodzi*). Co ci jest, me dziecko?  
Szukam cię wszędzie. Nagle twe wesele  
Niby się w pogrzeb jakiś przemieniło —  
Po salach naprzód powstał zgiełk i trwoga,  
Teraz milczenie i pustka.

**Zofia.** To straszne!  
Pójdźmy się modlić. Chcę odzyskać spokój.  
Niech Bóg od Kmitę złe myśli odwróci,  
Bo dzień ten rzucił by na moje życie  
Krwi niezmazaną plamę. To wspomnienie  
Pozostałoby zawsze.

**Ormudowa.** Ty drżysz cała!...

**Zofia.** Bóg mej płochości tak ciężko nie skarże.  
Któż mógł przewidzieć, dokąd zaprowadzi  
Jeden błąd mały?... Gdyby się to stało,  
Miałabym jedną choć godzinę szczęścia,  
Którejby smutny jego cień nie zatruł?  
Czyż ja jedynie winnam jest nieszczęścia?  
Na jego zgubę cały świat się przysiągł.  
Och, Boże, ratuj Kmitę, ratuj!...

**Ormudowa.** Zofio,

Nie trać nadziei — Bóg jest miłosierny.

**Zofia.** Ha, dobrześ rzekła. Lecz pójdźmy się modlić.  
(*Wychodzą*).

## SCENA 2.

Skała Zabierzowska. Noc.

(*Kmita wchodzi po grzbiecie skały — strój w nieładzie,  
bez czapki*).

**Kmita.** Jakżem znużony — tchu mi już brakuje.  
Gdzie jestem?... ta noc dzisiaj nie ma końca...  
Tutaj?... ja znam te miejsca — lecz tak blisko?...  
W jakimś zaklętym kole się błąkałem.

*(Postępuje kilka kroków i staje nad przepaścią).*

Nie mogę dalej iść. Więc tu granica  
Mojego świata — może życia?... kamień!  
Lepszej aluzji nie mógłby wymyślić  
Żaden filozof. — Jak mi pusto w piersiach —  
Serce mi pękło. Nie jestem dla świata,  
Straciłem na nim wszelkie prawo bytu;  
I we mnie miłość dla niego zamarła!  
Gdybym przed sobą ludzi miliony  
Postawił teraz, temby dla mnie byli,  
Czem te kamienie. I ja jestem kamień,  
Straszny się ogniem palący we wnętrzu...  
Trzeba go rozbić, a ogień wyleci *(Patrzy w przepaść)*  
Jak się tam woda srebrzy od księżycy,  
Jak wartko płynie, by prędzej zakończyć  
Swoją krzemienistą bieg. Ha! kilka sążni  
Szybszej podróży i ja znajdę spokój.  
Ta przepaść ręce wyciąga i wabi  
Do siebie... w głowie mi się kręci... zaraz!  
*(Zwraca się na bok).*

A wy tam życie szczęśliwi, wy wszyscy,  
I ty Firleju, i ty piękna Zofio,  
I ty królowo, i ty starszy bracie!  
Wyście mnie z szczęścia wyzuli, lecz ja wam  
Nic nie zabieram w drogę na świat drugi —  
Nawet wspomnienia.

**Pełka** *(za sceną).* Ha, czyli słyszycie,  
To on tam gada!

**Kmita.** Przebaczam ci, Zofio,  
Nie tyś, lecz słabość duszy mię zabiła —  
Na wir się świata rzuciłem i piersi  
Pod jego ciosem pękły — ileż błędów  
W mych własnych czynach! — Boże, ty miej litość  
Nad moją duszą!

**Pełka** (*j. w.*)

Panie Kmito!

**Bona** (*za sceną*).

Kmito!

**Kmita.** Ha! co za głosy ludzi czy mar nocnych?  
W nich słyszę mowę tych istot, co losem  
Mym kierowały — ha, one mnie mówią,  
Co mnie tam czeka wpośród nich na świecie —  
Że trzeba umrzeć — (*Skacze w przepaść*).

(*Pełka, Bona, Firlej, kilku Gości i Służba z pochodniami  
wchodzą*).

**Pełka.** Z wierzchu tej skały jakiś cień się zwałił —  
Tu słyhać było głuchy jęk i łoskot...

(*Idzie na miejsce, gdzie Kmita upadł, pochodnie za nim*).

**Bona.** Och, co za widok!.. (*Pada zemdłona, Firlej ją  
[ratuje]*).

**Bonar.**

Odpokutowałeś,

Szlachetny Kmito, ciężko swą namiętność!

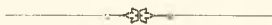
**Pełka.**

To martwe ciało odeślijcie bratu —  
Niech w grobach przodków złoży ostatniego.



# ADAM TARŁO.

DRAMAT W 5 AKTACH.







## OSOBY:

**Król August III.**

**Książę Wojewoda.**

**Pani Poniatowska**, wojewodzina mazowiecka.

**Kazimierz**, podkomorzy koronny, } jej dzieci.  
**Izabella**,

**Książę Kasztelan.**

**Rozalia**, jego córka.

**Adam Tarło**, wojewoda lubelski.

**Jan Tarło**, wojewoda sandomierski.

**Bieliński**, marszałek w. k.

**Korff**, major wojsk saskich.

**Flemming**, generał.

**Tokarzewski**, towarzysz pancerny.

Goście balowi. Szlachta. Lud płci obojej. Lokaje. Hajducy.  
Żołnierze.

Rzecz dzieje się w Warszawie 1744 r.





# ADAM TARŁO.

## AKT PIERWSZY.

### SCENA 1.

Ulica w Warszawie.

*Korff wchodzi, za nim Podkomorzy.*

**Podkom.** Stój, stój, majorze!

**Korff** (*oglądając się*). Któż tam taki nagły! (*Staje*).

**Podkom.** Que diable! a dokąd tak spiesznie mój panie?

Pół mili pędzę za tobą i krzyczę,

A ty jak głuchy lub szalony biegniesz!

Czy jaka nóżka błysła ci toczona

Pod samym nosem jedwabną pończoszką?

**Korff.** Pardonnez-moi, mości podkomorzy,

Lecz i ty pono w mojem położeniu

Nie byłbyś grzeczniej powitał natręta.

**Podkom.** Więc zgadłem?

**Korff.** Owszem, nie zgadłeś zupełnie.

Przypatrz się mojej minie, a obaczysz

Na niej oznaki innego ferworu.

**Podkom.** Prawda, wyglądasz jakby przestraszony.

Czyś dyabła widział? — ty, taki filozof!

**Korff.** Gorzej niż dyabła! Na skrócie ulicy

Prawie się o mnie otarła karetą,

A jeśli moje oczy dobrze widzą,

W karetce siedział.

**Podkom.** I któż taki?

**Korff.** Tarło!

- Podkom.** Ha, ha, mój major bawić się zaczyna  
W czary i gusta! Tarło ma być tutaj?  
Halucynacya zmysłów, mój majorze!  
Wczoraj mówiłem z księciem wojewodą,  
Który powiadał, że ten twój strach dzienny  
W najlepsze sobie hula po Paryżu.  
Przetrzej więc oczy i pluń poza siebie,  
Bo to był tylko jakiś dyabli urok.
- Korff.** Nie, nie, to przecież był Tarło, sam Tarło!
- Podkom.** Lecz księżę wojewoda miewa zawsze  
Jak najwierniejsze wiadomości. Zresztą,  
Wątpię, by Tarło mogąc tam przepędzać  
Czas tak przyjemnie, wracał do Warszawy,  
Gdzie wie, że nie są mu bynajmniej radzi.  
Pójdź, pójdź, majorze. nie łam sobie głowy.
- Korff.** To chyba nie znasz Tarły. Jego plany  
Są zawsze jakby bez myśli rzucone —  
Tak się przynajmniej zdaje — lecz gdy szyki  
Przeciwnie jemu według wszelkich reguł  
I z zachowaniem wszelkiej przezorności  
Na plac wystąpią, wtedy on z nienacka  
Jednym szalonym zwrotem wszystko myli,  
I w nieład wprawia mądrych strategików.  
Muszę czemprędzej dojść do źródła prawdy,  
Bo jestem mocno ciekawy, dlaczego  
Tak nagle do nas wrócił. Do widzenia.
- Podkom.** Ależ na miłość Boga, nie tak prędko!  
Czy wiatr chcesz chwytać? Wszak Tarło, jak tylko  
Przyjechał, wszystkich nas nie pomorduje.  
Ho, nie wiedziałem, że major tak skory.  
Bo jeśli księżę pragnąłby utopić  
Choć w łyżce wody Tarłę, jeśli równie —  
Gdyby to zrobić można — moja matka  
Powiesiłaby go rada, to rzecz inna.  
Ale ty, mości majorze, wszak tego  
Nie czynisz z samej miłości dla księcia  
I dla nas...
- Korff.** Hum!

**Podkom.** No, przyznaj czy to prawda,  
Że ty myślałeś kiedyś o... (do dyabła,  
Bieda z takimi ludźmi, co się rodzą  
Tak incognito) Mówię o księżniczce,  
O córce Krysty, o Rozalii, zresztą  
Niech się nazywa jak chce, jeśli tylko  
Wiesz, o kim mówię.

**Korff.** I cóżby w tem było  
Niepodobnego? Sądzę, że jej ojciec  
Chociaż o tyle winien być rozsądny,  
Ażeby poznał, że kiedy przed ślubem  
Parę miesięcy córki się doczekał,  
A jeszcze jeśli matką tej infantki  
Była mieszczanka, za którą mężowi  
Musiał odstępnę płacić dukatami —  
Chociaż na tyle, mówię, ma rozumu,  
Iż się spodziewać nie będzie, ażeby  
Mogła los lepszy jego córka zrobić,  
Jak za człowieka idąc, jak ja jestem,  
Co ma nazwisko pewne i mózg w głowie,  
Lecz na nieszczęście urodził się goły  
I bez tytułu, ażeby mógł stanąć  
Na równi z wielu gorszymi od siebie.

**Podkom.** Wyborne racye! Ale cóż, niestety,  
Pan Tarło, jak sam dopiero mówiłeś,  
Szalonym zwrotem poszedł wbrew logice  
I dowiódł światu, że nawet senator  
Może się starać o córkę przedślubną.  
Lecz żart na stronę! To należy przyznać,  
Że panna Róża ma czarowne wdzięki;  
Przekląty Tarło, i to on posiędzie!

**Korff.** Masz słuszność, klnij, klnij Tarle z całej duszy!

**Podkom.** Przekląty Tarło, gdzie rusz, to szczęśliwy.  
Zda się, że tylko niech zapragnie kiedy,  
A księżyc zejdzie z nieba i za lampę  
Będzie mu służył w jego przedpokoju.

**Korff.** On nas okrada wszystkich. Co on bierze  
Z ręki fortuny, możnaby obdzielić

Dwudziestu, jeszcze każdy miałby dosyć.  
 Najprzód: trzydzieści lat ma, więc jest młody;  
 Jest jak Apollo kształtny, więc posiada  
 Względy u kobiet, czy będzie w Paryżu  
 Czy też w Warszawie; lat już pełna dziesięć  
 Jest senatorem, a ma lat trzydzieści;  
 Jest generałem króla i francuskim;  
 Jego pierś pełna wszelakich orderów;  
 Przytem ma, albo przynajmniej miał pewnie  
 Tyle pieniędzy, ile było trzeba,  
 Aby sam Paryż zachwycić zbytkami.  
 Nakoniec, co jest wszystkiego koroną,  
 Ma dumę, która lekko świat traktować  
 Niektórym ludziom pozwala. O Tarło,  
 Jakże ja ciebie nienawidzę!

**Podkom.** Brawo!

Kiedy opowiem księciu wojewodzie,  
 W jaki cię zapał nienawiść wprowadza,  
 Zaskarbisz sobie łaskawość na wieki.

**Korff.** Książę zna moją gorliwość w tej mierze,  
 I liczy na mnie, bo wie, że mu służę  
 Sumiennie, z pewnych zasad, z przekonania.  
 Ba, ale my tu gwarzymy, a sprawa  
 Zasypia sobie tymczasem. Mój panie,  
 Albo cię żegnam, lub chodź razem ze mną.  
 Tej chwili muszę wiedzieć, czyli Tarło  
 Był rzeczywiście o tyle zuchwały,  
 By się tak prędko rzucić w nasze szpony.

**Podkom.** Ale przez Boga i dokądże pójdziesz?

**Korff.** W tropy za zwierzem. Jechał w tamtą stronę,  
 Pewnie powitać się z swoją Rozalką.  
 Czy podkomorzy ze mną?

**Podkom.** Ha, cóż robić!

W braku zabawy lepszej, pójdę złożyć  
 Uszanowanie swe kasztelanowi.  
 Dawnom tam nie był.

**Korff.** Więc chodźmy, mój panie.  
 (*Wychodzą.*)

SCENA 2.

Sala w domu księcia kasztelana.

(*Adam Tarło i Rozalia wchodzi*).

**Tarło.** Nareszcie jestem już pomiędzy wami!  
O, ileż razy śród zgiełku zabawy,  
Wśród wersalskiego dworu, pośród kobiet  
Pełnych powabu, wdzięków i dowcipu,  
W zamęcie, w jaki nasz umysł porywa,  
Przepych i widok szalejących ludzi,  
Nagle na oczach chwila mi stanęła  
Podobna tej tu dzisiaj, gdzie cię biorę  
Za ręce i z twych oczu miłość czerpię!  
Ileż to razy w tem burzliwym życiu,  
Jak gwiazda, lica twoje oświeciły  
Wnętrze mej duszy!

**Rozalia.** O drogi mój Tarło,  
Więc nie napróżno swe osamotnienie  
Tem pocieszałam, że myśląc o tobie,  
Zmuszę cię także myśleć o dalekiej  
I o tęskniącej Rozalii. Dziś więcej  
Nic mi nie trzeba, dziś jestem szczęśliwa  
I przy twem sercu oddycham rozkoszą.

**Kasztelan** (*wchodzi*).  
No, dzieci, czyście się już nacieszyły?  
Rok cały się nie widzieć, to zaprawdę,  
Za ciężka trochę dla młodych serc próba.  
Mój panie wojewodo, waszmość winien  
Nagrodzić teraz mojej biednej Rózi  
Jej tęskne chwile.

**Rozalia.** Mój ojciec łaskawy,  
Pan wojewoda już mi je nagroził,  
Skorom go tylko ujrzała.

**Kasztelan.** No, proszę!  
Ty go zepsujesz zbytęzną dobrocią.  
Ale cóż mnie się do waszych spraw wtrącać —  
Macie swój rozum. Widzę was szczęśliwych,

- To mi wystarczy. Mości wojewodo,  
Wszakże wam córka moja zawsze miła?
- Tarło.** Mój księżę, ona w mem sercu po Bogu  
I po ojczyźnie najpierwsze ma miejsce.
- Kasztelan.** Dziękuję wam. Ja stary nie pociągnę  
Już długo, z bolem więc światłym opuszczał,  
Jeśli bym nie był pewny, że to dziecko  
Ma opiekuna nad sobą i serce,  
Które ojcowską czułość mu zastąpi.  
Dajcie mi stołek, niech przy was usiądę  
I napatrzę się na was. Usiądź, Róziu,  
Tu przy mnie, a ty, panie wojewodo,  
Powiedz nam, coś tam porabiał w Paryżu,  
Jak ci się twoje zamiary powiodły?
- Tarło.** Skutek nie całkiem odpowiedział chęciom,  
Lecz dokazałem tego, iż na przyszłość  
Król będzie zdolny dać met Czartoryskim,  
Mając po sobie szlachtę im przeciwną,  
I posiłkując się związkami, które  
Z Paryżem w takim celu poczyniłem.
- Kasztelan.** Familia jednak musiała coś zwietrzyć,  
Bo kiedyś ty ją we Francyi zwyciężał,  
Pragnęła w domu zwalić twą powagę,  
I pozbawić się szlachty zaufania,  
Głosząc na wszystkie strony, że w Paryżu  
Kajdany na nią kujesz monarchizmu.
- Tarło.** To Czartoryskim nigdy się nie uda!  
Szlachta mi wierzy, bo zna me zamiary  
I umie od nich odróżnić obłudę,  
Która z potrzeby pochlebstwem się łasi.  
Nie sądzę również, ażeby familia  
Zdołała przejrzeć coś z moich tajemnic,  
Bom grał swą rolę niemo i w półcieniu.
- Kasztelan.** Za wiele sobie ufasz, wojewodo.  
O ile mogę wiedzieć, Czartoryscy  
Wysłali tajnych za tobą agentów,  
Ażeby śledzić wszystkie twoje kroki.  
Kto wie, możecie w drodze się spotkali,



Jak dwa z przeciwnych obozów miniery.

**Tarło.** Daruj mi, mości książę, że obstaję  
Przy swoim zdaniu. Nie spostrzegłem nigdy,  
Żeby mi w dziele mojem przeszkadzali.

**Kasztelan.** Zanadto sobie wierzysz, o zanadto!

**Rozalia.** Usłuchaj mego ojca, drogi Tarło,  
A dasz mej duszy ten spokój, że będę  
Swobodnie patrzeć w naszą wspólną przyszłość.

**Tarło.** Nie obawiajcie się o mnie. Ja wierzę,  
Że się ta walka mem zwycięstwem skończy.  
Gwiazda, co dotąd wciąż mi przyświecała,  
Nie zgaśnie w życia mojego południu.  
A jeśli wy jej nie widzicie, myślę,  
Że to jest skutkiem zbytnej miłości,  
Któraby chciała zatrzymać w przystani  
Okręt, co niesie mnie na pełne morze.

**Rozalia.** Niestety, umysł twój dąży gdzieindziej,  
Nie tam, gdzie jabym znaleźć go pragnęła!

**Kasztelan** (*wstając*).

Tarło, wiesz dobrze, jak cenię twe cnoty,  
Ale ci powiem otwarcie, że jednej,  
A wielkiej, całkiem tobie nie dostaje:  
Umiarkowania nie posiadasz cnoty!  
Zepsuty szczęściem, ciąglą pomyślnością,  
Zda się, że nawet utraciłeś wiarę  
W zły los na świecie. To może cię zgubić.  
Tarło, na miłość kraju ciebie proszę,  
Na przyjaźń, która nasze losy łączy,  
Szanuj swych wrogów i bądź ostrożniejszy!

**Rozalia.** Patrz, jak mój ojciec osłabł ze wzruszenia,  
Umiej być wdzięczny za to przywiązanie.

**Tarło.** Twoje wyrazy smucą mnie, mój książę...

**Kasztelan.** Ha, dajmy pokój! — Czy byłeś u króla?

**Tarło.** Nie. Jestem w mieście ledwie trzy godziny,  
Ale wysłałem tam Tokarzewskiego,  
Czy rychło z królem będę mógł się widzieć.

**Lokaj** (*wchodzi*). Jaśnie wielmożny podkomorzy z panem  
Majorem Korffem...

- Kasztelan.** Niespodziani goście!  
Prosić ich. (*Lokaj wychodzi.*)  
A ty odejdz, moja Róziu.  
Nie ucieszą cię bardzo ci panowie,  
A ja zazdrosny jestem o me skarby  
I byle komu widzieć ich nie daję.
- Rozalia** (*do Tarły*). Kiedyż cię ujrzę?  
**Tarło.** Nie wcześniej jak jutro.  
Na zamku pewnie dłuższy czas zabawię.
- Rozalia.** Niestety, zatem do jutra, mój Tarło.  
(*Tarło całuje ją w rękę. Rozalia wychodzi. Podkomorzy i Korff wchodzi.*)
- Podkom.** Monseigneur, je vous salue. (*Witają się*).  
**Kasztelan.** Witam panów.  
Tak dawno nie widziano was w mych progach.  
Ha, nie dziwota, nudno u starego.
- Podkom.** Mon prince, darować raczysz. Nie śmieliśmy  
Przerywać mu chwil ciszy. Lecz co widzę,  
Pan wojewoda już na polskiej ziemi?
- Tarło.** Witam waćpanów. (*Witają się*). Rok cały w Paryżu  
Mógł, zdaje mi się, już na to wystarczyć,  
Aby ciekawość moją zaspokoić  
I znużyć się zabawą.
- Kasztelan.** Lecz siadajcie,  
Moi panowie.
- Korff.** Może księciu panu  
Będziemy dzisiaj natrętными gośćmi.
- Kasztelan.** O, bardzo proszę. Z rzadkiej łaskawości  
Należy mi korzystać, i pan Tarło  
Będzie mi wdzięczny za to towarzystwo.  
(*Siadają*).
- Podkom.** Jak sądzę, vous vous ennuyerez diablement  
W naszej Warszawie po świetnym Paryżu.
- Tarło.** Que faire! Nie tak jak chcemy! Byłbym pewnie  
Nie wrócił jeszcze, gdyby nie konieczność  
I rzeczywistość smutna, że jakkolwiek  
Paryż przyjemny, ma tę niedogodność,  
Że zbyt kosztuje.

- Korff.** Jak tutaj mówiono,  
Pan wojewoda nie bardzo uważał  
Na tę konieczność.
- Tarło.** C'est vrai, mój majorze,  
La triste vérité otworzyła mi oczy,  
I zadłużony wszędzie, gdzie mi tylko  
Nie odmówiono kredytu, zaledwie  
Wmówiłem wiarę w moich wierzących,  
Że Polska ma dość ziemi, bym ich spłacił.
- Podkom.** Ah, une vie superbe! Tak żyć bez rachunku!  
Zazdroszczę tego szczerze mości panu.
- Korff.** Szczęściem, że jeszcze wojewoda trafił  
Na dosyć znośny czas w Warszawie. Bytność  
Królestwa ichmość stolicę ożywia,  
I za dni parę pan marszałek daje  
Bal na królewskie imieniny.
- Tarło.** Brawo!  
Zapewne całe tam zobaczą grono  
Moich znajomych, wszystkie piękne damy,  
O których Paryż zapomnieć mi kazał.  
Messieurs, je vous y trouverai?
- Podkom.** Nieinaczej.
- Tarło.** A księżę wojewoda?
- Podkom.** Jest w Warszawie.
- Tarło.** Więc bez wątpienia i wojewodzina  
Waszmości matka?
- Podkom.** I ona tu bawi.
- Tarło.** Jakże jej zdrowie?
- Podkom.** Dziękuję, wyborne.
- Tarło.** A piękna wasza siostra?
- Podkom.** Jak uważam,  
Waćpan przyjaciół swych nie zapomina.
- Tarło.** A więc niedługo złożę hołd jej wdziękowi.
- Podkom.** Myślmy, mości księżę, iż zobaczymy  
Na balu również i księżniczkę, która  
Jakby zazdrosne słońce się ukrywa.

**Kasztelan.** Ma Rózia młoda nazbyt, aby mogła  
Wszystkie zabawy dzielić. Lecz na balu  
Tak uroczystym nawet z obowiązku  
Będziem oboje.

**Podkom.** Rzadkie to zjawisko  
Przyczyni nowej świetności zabawie.  
*(Tokarzewski wchodzi).*

**Kasztelan.** A otóż mości Tokarzewski! Jakże  
Waszmość z wojażu wrócił w dobrem zdrowiu?  
Ha, tam w Paryżu towarzysz pancerny  
Może utracił trochę z animuszu.

**Tokarzewski.** Oj prawda, mości książe. I dziękuję  
Serdecznie Panu Bogu, że mnie wrócił  
Na moje śmiecie i pozwolił jeszcze  
Powitać księcia pana. Jak Bóg miły,  
Gdybym nie kochał pana wojewody  
Jak swego syna, to w pierwszym tygodniu  
Byłbym ostrogę dał mojej bułance  
I krzyknął z gardła addio! Paryżowi.  
*(Do Podkomorzego i Korffa).*

Witam wielmożnych panów.

**Podkom.** Jak się zdaje,  
Mości pancerny towarzyszu, Paryż  
Wam nie smakował bardzo.

**Tokarzewski.** Daj go katu!  
Jakoś do siebie przystać nie mogliśmy.  
Wam co innego panowie, co macie  
Jedwabne fraki i szpady przy boku,  
I kapelusze z galonem! wybyście  
Jak ryba w wodzie byli tam u siebie.  
Lecz ja, dalibóg, kiedy sobie wspomnę,  
Jak ci Francuzi w koło mię terpali,  
Za wąsy rwali, to znów za wyloty  
I jak zwierzynę wyżeł mię wachali,  
A ja, nie mogąc się z nimi dogadać,  
Stałem jak kołek, i nie zdobyłem się  
Choć na ten koncept, aby w koło siebie  
Zamachnąć pięścią i na cztery wiatry

Rozpędzić tłuszcę gapiów — jak to wspomnę,  
To mi żal w sercu, że me polskie wasy,  
Że mój poczciwy kontusz były celem  
Ich ciekawości, jak błazen na linie.  
Ale dość tego! — to pan wojewoda  
Ma na sumieniu. Otóż, com miał rzeknąć,  
Król się jegomość z radością dowiedział,  
Żeście przybyli, mości wojewodo,  
I kazał rzec wam, że pragnie co prędej  
U siebie widzieć was na zamku.

**Korff** (*do Podkomorzego*). Morbleu!  
Musiał coś przywieść ważnego.

**Tarło**. Rozkazem  
Jest dla mnie wola króla jegomości.  
Messieurs, darujcie, że panów opuszczę.

**Podkom**. Pozwolisz w takim razie, wojewodo,  
Że towarzyszyć chwilę ci będziemy.

**Tarło**. Si vous êtes si bon — mój pojazd na dole.  
(*Wstają*).

**Podkom**. Mon prince, żegnamy waszą mość książęcą.

**Kasztelan**. Adieu, panowie, do widzenia, żegnam.

(*Żegnają się — Tarło, Podkomorzy i Korff wychodzą*).

**Tokarzewski** (*patrząc za odchodzącymi*).

Tfu, do stu katów! że też wojewoda  
Tak za pan brat się wdaje z tem plugastwem.  
Poco to jemu! bez ich pięknej łaski  
Mógłby się obejść i zgnieść ich na miazgę,  
Gdyby te rzeczy chciał brać po szlachecku  
I szewaleryi pozbył się francuskiej.

**Kasztelan**. Darmo, mój mości Tokarzewski. Tarło

W tem upodobał sobie, aby igrać  
Z przeciwnikami, i nie chce zrozumieć,  
Że ich podrażnić może ten ton zimny,  
Ta obojętność i lekceważenie,  
I wprzód, nim będzie gotów do odparcia,  
Mogą go ciosem zwalczyć niespodzianym.

**Tokarzewski**. O, niechże Pan Bóg tego nie dopuści,  
Bym kiedy widział, że mój wojewoda

Musiałby z placu przed nimi uchodźcie,  
Albo co gorzej, gdyby go ta psiarnia  
Pod swoje zęby dostała, bo wtedy,  
Jak sobie pragnę światłości niebieskiej,  
Na wszystkobym się ważył, choćby przyszło —  
Choćby mi przyszło!... Panie Boże, odpędź  
Te złe myśli!

**Kasztelan.** No, nie bądź tak gwałtowny.  
Nieszczęście jeszcze od nas za daleko,  
By w piersiach wzbudzać namiętności burzę.  
Mój Tokarzewski, pójdźmy do Rozalki,  
Będzie cię słuchać, choćbyś do północy  
Prawił o Tarle i waszym wojażu.

**Tokarzewski.** A niechże moi ksiązę mnie zawiedzie.  
Toć to ja w drodze już o tem myślałem!  
A opowiadać będę miał bez liku  
O tych Francuzach i o wojewodzie.

(*Wychodzą*).

### SCENA 3.

Sala u pani Poniatowskiej.

*Ksiązę Wojewoda wchodzi, za nim Lokaj.*

**Ks. Wojew.** Oświadczyć pani, że chcę z nią się widzieć,  
I to tej chwili. (*Lokaj wychodzi, ksiązę Wojewoda  
wyjmuje list*). Jeżeli to prawda,  
Co w tym papierze stoi, to do walki  
Na śmierć i życie gotować się trzeba.

**Pani Poniatowska** (*wchodzi*).

Bon jour, mon frère. I czemuż mam zawdzięczyć  
Te niespodziane księcia odwiedziny?

**Ks. Wojew.** Niestety, moja siostrze, złej nowinie.

**P. Poniat.** Ksiązę list trzymasz w ręku...

**Ks. Wojew.**

List z Paryża,

List od jednego z ajentów.

**P. Poniat.** Więc Tarło,  
I znowu Tarło spokojność nam miesza!  
I cóż w tym liście?

**Ks. Wojew.** Słuchaj, a osądzisz,  
Czy wieści ważne.

**P. Poniat.** Słucham. Czytaj, książę.

**Ks. Wojew.** *(czyta)*.

»Jaśnie oświecony książę! Do ostatnich wiadomości, jakie miałem zaszczyt przesłać Mości księciu, mogę dzisiaj wiele ważniejszych dodać. Myślę, że mi się choć w części udało zmiarkować plany pana wojewody lubelskiego. Od osób pewnych, mających niemałe znaczenie u dworu wersalskiego, dowiedziałem się, że Imć wojewoda miewał tajemne posłuchania u króla jegomości francuskiego, i że wszelkiej usilności dokładał, aby terazniejszego ministra zjednać dla swoich zamiarów. Nadto, udało się zapewne wojewodzie spełnić swoje życzenia, gdyż zamysła w tych czasach wracać do Polski. Odjazd ten trzymany jest w tajemnicy«...

I cóż na ten list mówisz?

**P. Poniat.** Przeczuwałam,  
Że jego wozaj był tylko pozorem,  
Nie chcieliście mi wierzyć.

**Ks. Wojew.** Któżby sądził!  
Czyż wszystkie listy zawsze nie mówiły,  
Że tylko ciągłe bale i festyny  
Tarłę zajmują? Czyż z radością w duchu  
Nie widzieliśmy, jak co chwila nowych  
Wysyłał gońców po pieniądze z Polski,  
I z mieniem tracił swą moc i znaczenie?

**P. Poniat.** Ambicya w jego sercu jest najpierwszą  
Z wszystkich skłonności. Pamiętajmy o tem.

**Ks. Wojew.** Gdy pragnie zguby i po nią tu biegnie,  
Sam sobie winien, cokolwiek go spotka.  
Wszak pokąd bawił w Paryżu, miał od nas  
Najzupelniejszą swobodę, by tylko

Tu naszym planom w niczem nie przeszkadzał.  
(*Wchodzą Korff i Podkomorzy*).

**Korff.** Grace à Dieu, że tutaj zastajemy  
Księcia.

**Podkom.** Wiadomość mamy arcyważną.

**P. Poniat.** I cóż nowego?

**Podkom.** Chère mère, c'est horrible!  
Włosy ci pewnie powstaną na głowie —  
Pan Tarło przybył do Warszawy.

**Ks. Wojew.** Czy już?

**Podkom.** Czy już? Więc księżę miał o tem wiadomość?

**Ks. Wojewoda.** List odebrałem przed chwilą z Paryża,  
Który ten przyjazd właśnie zapowiadał.  
Ale jesteście pewni?

**Korff.** Widzieliśmy  
Na własne oczy Tarłę w domu księcia.

**Ks. Wojewoda.** A teraz czytaj, majorze. (*Podaje list*).

**Korff** (*czyta*). Pan Tarło  
Od stóp do głowy uzbrojony przybył.  
Lecz i Achilles miał śmiertelną piętę.

**Ks. Wojewoda.** I jakże poszły wasze odwiedziny?

**Podkom.** Powiadam księciu, że byliśmy z sobą  
Jakby najlepsi przyjaciele. Tarło  
Miał głowę pełną wspomnień o Paryżu,  
A serce chciwe nowych tutaj wrażeń.  
Ma chère mère, człowiek ten ma złote serce,  
Un bon vivant — ja w jego towarzystwie  
Znajduję zawsze prawdziwą przyjemność.

**P. Poniatowska.** Taisez vous, mon fils!

**Podkom.** Nie gniewaj się, matko.

Upatrzyliście coś do pana Tarły,  
Na gwałt widzicie w nim wielkiego męża,  
Że chcą czy nie chcą musi się pozować;  
Stąd i wasz kłopot. Lecz dajcie mu spokój,  
Pozwólcie żyć mu według jego chęci,  
A on przeniesie bez wątpienia salon  
Nad polityczną arenę.

**P. Poniatowska.** Daj pokój,



Tobie brakuje zmysłu do tych rzeczy.  
Cóż więcej, Korffie?

**Korff.** Jeszcze tam byliśmy,  
Gdy zawezwany pan Tarło przez króla  
Poszedł na zamek.

**Ks. Wojewoda.** Widzę, mój majorze,  
Że sprawa z Tarłą będzie bardzo ciężka,  
Cięższa niż dotąd.

**Korff.** Lecz ja, mości książe,  
Inaczej sędzę.

**Ks. Wojewoda.** Co mówisz? inaczej?

**Korff.** I myślę nawet, że słusznie, gdy tylko  
Książę się zgodzi na sposób widzenia  
Jednaki ze mną.

**Ks. Wojewoda.** Mów więc, jak to myślisz.

**Korff.** Najprzód — niech książę raczy mi darować,  
Ale otwarcie powiem, że dotychczas  
Książę i pani Poniatowska, w części  
I ja sam nawet fałszywe mniemanie  
O przeciwnika mieliśmy wartości.

**Ks. Wojew.** Zadziwiasz mnie, mój Korffie — lecz mów dalej.

**Korff.** Wszak to jest prawdą, że wszyscy dotychczas  
Uważaliśmy Tarłę za stronnictwo,  
Za partycję.

**Ks. Wojewoda.** Czyż tak nie jest w samej rzeczy?

**Korff.** Nie.

**Ks. Wojewoda.** Ależ wszyscy jego adherenci,  
Te tłumy szlachty i jego rodzina  
Można a liczna...

**Korff.** To wszystko jest zerem  
Do liczby, którą jest tylko sam Tarło.  
Ci ludzie mózgu ni serca nie mają.  
Niech braknie Tarły, nie znajdzie się żaden,  
Któryby stanął na czele. A szlachta?  
Mon princee. to strachy na Lachy, jak mówią;  
Potrafi krzyczeć i pić, lecz się ująć,  
Choćby za własną krzywdą, nie jest zdolna.

Tak oprócz Tarły niema już nikogo.

**Ks. Wojewoda.** I jakież z tego wnioszek?

**Korff.**

Zbyt widoczny,  
Że z Tarłą trzeba walczyć jak z człowiekiem,  
Który sam jeden na drodze nam stoi.  
Trzeba usunąć Tarłę...

**Ks. Wojewoda.**

To jest łatwiej  
Powiedzieć niżli wykonać. Czyż mogę  
Odjąć mu wpływy, nakazać milczenie,  
Lub na bannicyą wysłać?

**Korff.**

Mości księżę,  
Nie zrozumiałeś dobrze mojej myśli.  
Trzeba uprzętnąć Tarłę.

**P. Poniat.**

Ach, majorze!  
Przecinasz węzeł ostrym nożem! Brawo!

**Ks. Wojewoda.** Aha — rozumiem. Ale to nie sposób,

U nas nie Turcyja ani nie Wenecya —  
Niema przykładu...

**Korff.**

Tem zaszczytniej dla nas!  
Nie mają wielkie myśli poprzedniczek.  
Księżę wie przecie dobrze, że tu idzie  
Nie o prywatną zawiść i zatargi,  
Lecz o powszechną rzecz. Racya stanu  
Nie pyta, czy kto umrze, czy żyć będzie.

**P. Poniat.** Major ma słuszność. Wybierajmy z dwojga:

Albo śmierć Tarły, lub wojna domowa,  
Która zaleje kraj krwi potokami.

**Ks. Wojewoda.** Ale jak?

**Korff.**

Mój plan jeszcze niedojrzały,  
Lecz postępujmy z tą myślą, a Tarło  
Sam siebie zgubi. Szalony ten człowiek  
Da się podrażnić łatwo, jak koń dziki  
Na pierwszej ścianie w drodze mózg roztrzaska,  
Lub w wykopany dół się zwali. Tylko  
Trzeba się trzymać raz przyjętej myśli,  
Sprawę publiczną zupełnie oddzielić  
Od osobistej, jego dumę zranić,  
Zadać cios sercu —

**P. Poniat.** Mądrze mówisz, mądrze!

**Korff.** Gdy mu wepchniemy taki kolec w ciało,  
On sam się wściecze. A cóż księżę na to,  
A gdyby jego romans z tą Rozalką  
Mógł nam posłużyć?...

**P. Poniat.** Brawo, mój majorze!

**Korff.** Ten stosunek jest gotowym tematem,  
Który wygląda ręki pamflecisty,  
Jest obmyślonym na skandal przedmiotem.

**Podkomorzy** (*do Korffa*).

Majorze, pieciesz grzanekę i dla siebie.

**P. Poniat.** Twój plan wyborczy. Cały świat warszawski  
Dawno się gorszy temi amatorami.

Une batarde między nas się zamieszała,  
Córeczka mieszczeni błyszczy po salonach,  
Pieczętuje się mitrą! Oh, c'est affreux!

**Korff.** No, jakże, mości księżę, czy zyskałem  
Jego uznanie?

**Ks. Wojewoda.** Ha, zgoda majorze!

Lecz w każdym razie dla mnie nie wypada  
Jawnie brać udział w podobnej kabale,  
Ty wykonawcą bądź sam. Gdy się uda,  
Będę ci wdzięczny; gdy nie, to wynajdziem  
Inne sposoby na tego zuchwalca.

**Korff.** Więc stoi, mości księżę! Z waszej strony  
Tylko poparcia żądam moralnego.  
Et vogue la galère! — Teraz przychodź prędko,  
O sposobności, matko wielkich czynów!

**Ks. Wojewoda.** Tylko, mój panie, nie bez mojej wiedzy!

**Korff.** Będę posłuszny —

**Ks. Wojewoda.** Adieu, mościa pani.

**P. Poniat.** Au revoir, mój bracie.

**Ks. Wojewoda.** Major ze mną?

**Korff.** Tak, mości księżę.

(*Zegnają się. Ks. Wojewoda i Korff wychodzą.*)

**P. Poniat.** Mon fils, pójdziesz ze mną,

Pomówim jeszcze.

**Podkomorzy.** Jestem na usługi.

(*P. Poniatowska odchodzi do siebie, Podkomorzy za nią*).

**Izabella** (*wchodzi*). Tarło przyjechał! ta wieść szybko bieży,  
Budząc nienawiść w jednych, w drugich radość,  
A we mnie przyschłe rozdrażniając rany.  
Bo czyż ja mogę mieć równie nadzieję,  
Że swą nienawiść nasycę lub miłość?  
Dla mnie zostało spodziewać się tylko,  
Że mocniej będę czuć męki pragnienia.  
I być samotną w takim położeniu,  
Nie mieć ni jednej duszy, w którą można  
Dla współdziału złożyć swe uczucia,  
Na wszystkich twarzach czytać tylko groźbę,  
Przekleństwo, zawiść dla tego, co posiadał  
Całe me serce!... Męstwa mi potrzeba,  
Bym pokonawszy w sobie to uczucie,  
Zyskała spokój i zgodę ze światem.

**Podkom.** (*wchodzi — d. s.*)

Niech sobie łamią głowy! cóż mnie po tem —  
Umywam ręce od wszystkiego. — Bon jour,  
Jak się masz, siostró. Nie wiesz pewnie jeszcze,  
Świeża wiadomość — pan Tarło przyjechał.

**Izabella.** Wiem już — słyszałam.

**Podkom.** I cieszysz się z tego?

**Izabella.** Cóż mnie obchodzi przyjazd pana Tarły?

**Podkom.** A jednak były czasy, kiedyś sądził,  
Że cię zajmuje. Ale to już przeszło —  
Dziś kocha inną. Biedny ten pan Tarło!  
Ledwie przyjechał, nie dadzą mu wytchnąć,  
By się do walki z nimi przygotował,  
I pragną zgnieść go co prędzej...

**Izabella.** Co mówisz!?

**Podkom.** Tak jest, do rzeczy biorą się na seryo...  
Właśnie przed chwilą był tu Korff i książę,  
I ja i matka — i wiesz co radzili?  
Ot, jakby Tarły pozbyć się najprędzej.

**Izabella.** Co? chcą go zabić?...

**Podkom.** Nie słyszałem wprawdzie  
Tego wyrazu, lecz o to gra idzie.

Widząc, że trudno im w otwartym boju,  
Na włoski sposób chcą się z nim uporać.

**Izabella.** Ha, to niegodnie! Lecz gdzie, jak i kiedy?

**Podkom.** No, nie myśl, że już ma sztylet nad pierśią,  
To tylko takie plany. Czyli przyjdzie  
Do ich spełnienia, czy znajdą tak prędko  
Stosowną porę, to sam Bóg wie tylko.

**Izabella.** To zbrodnia! wielki Boże! I ty byłeś  
Tu między nimi, i przystałeś na nią!  
Czy ci szlachetność wręcz nie powiedziała,  
Ze takim czynem zhańbim się na wieki,  
I pamięć naszą podamy w przekleństwo.  
Bracie, ty także nienawidzisz Tarłę,  
I pragniesz w jego upadku, w krwi nawet  
Nasycić dumę i pragnienie zemsty!

**Podkom.** Broń panie Boże! ja nie mam powodu  
Ni nienawidzić Tarły ani mścić się.  
Cóż mnie obchodzi, że go szlachta wielbi,  
Gdy ja do szlachty nie mam nabożeństwa;  
Albo że pragnie status quo zachować,  
Gdy tak czy owak, czyli król mieć będzie  
Mniej albo więcej władzy, jednakowo  
Będą u dworu bale i urzędy.  
Ja nawet lubię Tarłę, bo doprawdy  
Mało mu równych, gdy przyjdzie się bawić.  
Lecz cóż mam czynić? moje przedstawienia  
Będą daremne, a uprzedzić Tarłę,  
Wydaje mi się rzeczą nieszlachetną  
I nierozsądną. Ma on dość rozumu,  
By się obronił. Bądź przeto spokojną.  
Kto wie, czy wielkie te groźby nie spełzną  
Na niczem. Czyż to tak łatwo krew wylać,  
Jak im się zdaje.

**Izabella.** To okropnie! Bracie,  
Słuchaj — ty dobre masz serce, ty nigdy  
Na taką zbrodnię nie pozwolisz. Pomyśl,  
Że obowiązkiem twoim jest powstrzymać  
Tych namiętnością zaślepionych ludzi.

**Podkom.** Ja pewnie Tarle na zdradzie nie stoję.  
Lecz się uspokój, do tego nie przyjdzie;  
Tarło ich wkrótce nauczy, że umie  
Nawet tajemne odbijać pociski.  
Každy gniew zrazu rzuca się jak wściekły,  
A potem chłodnie. I im się odechce  
Na tak gwałtowne środki się odważać.

**Izabella.** O, nie znasz matki i ich nienawiści!

**Podkom.** No, au revoir. Dzisiaj właśnie dają  
Świeżo przybyli włoscy baletnicy  
Pierwszy swój spektakl. Tancerki być mają  
Zachwycające, nec plus ultra — Adieu!  
(*Patrząc na zegarek*).  
Już czas, nie chciałbym stracić jednej sztuki.  
(*Wychodzi*).

**Izabella** (*sama*).

Czyliż to prawda?... Jakże strasznych rzeczy  
Dowiedziałam się dzisiaj! Ach, mój Boże,  
Więc Tarło miałby zginąć — przez nich zginąć!..  
O losie, nie na próżno mnie wybrałeś  
Na powiernika! Widzę w tem skinienie,  
Że go nie myślisz zgubić i pomotasz  
Występne myśli, gdy mu za obrońcę  
Wybrałeś serce, które go tak kocha.  
Nad każdym krokiem ich będę czuwała,  
Každy cios choćby własnymi piersiami  
Odbiję sama, nim jego dosięgnie.  
(*Wychodzi*).

## AKT DRUGI.

### SCENA 1.

Bal u marszałka Bielińskiego.

(*Podkomorzy, Korff i Flemming wchodzą*).

**Flemming.** Bal pan marszałek wyprawił wspaniały!

**Podkom.** Ach, bal przepyszny! jakie toalety,  
Co pięknych kobiet!

**Flemming.** I trudno powiedzieć,  
Którejby palmę oddać, chociaż sędzę,  
Że dwom szczególnie ten zaszczyt należy.

**Korff.** I któreż są te szczęśliwe, mój panie?

**Flemming.** Na jedno, myślę, ze mną przystaniecie:  
Księżniczka Róża i piękna Isabeau.  
Rzekłbym, że pierwsza to jest noc majowa,  
Z czystym księżycem i wonnem powietrzem;  
Druga to pyszne czerwcowe południe,  
Z zapachem róży i jasnością słońca.

**Podkom.** Fort spirituel! Te panie zapewne  
Nieby nie miały przeciw tej aluzji.

**Korff.** Z której wypada, że nasz wieszcz przy szpadzie  
Jak dnia tak nocy umie czuć powaby,  
I żadnej pory nie chciałby postradać.

**Flemming.** Masz słuszność. Ale ba! to dziś nie dla nas,  
Nie my jesteśmy dziś z liczby szczęśliwych.  
Pan Tarło dzisiaj en vogue. On jak motyl  
Z jednego kwiatu na drugi przelata,  
A wszystkie róże uśmiechy dlań mają.

**Korff.** Ha, Tarło! Dajcie pokój temu Tarle,  
Gdy nic nie macie złego o nim mówić.

**Podkom.** Słodkie dziś laury zbiera! — Otóż księżę.

**Ks. Wojewoda** (*wchodzi*).

Mości panowie, gotujcie się zaraz  
Na powitanie króla jegomości.  
Już pan marszałek zeszedł na przyjęcie.  
(*Kasztelan i Jan Tarło wchodzą*).

**Kasztelan.** Jego królewska mość przybywa?

**Ks. Wojewoda.**

Tak jest.

(*Wchodzą Król, Bieliński i kilku Panów*).

**Bieliński.** Stokrotne dzięki, najjaśniejszy panie,  
Żeś obecnością swoją nas zaszczycił.

**Król.** To było moim miłym obowiązkiem.

(*Do obecnych*).

Witam waćpanów. — A cóż, mości Tarło,  
Radziwiłłowie nie dają wam wczasu,  
Dreczę was ciągle.

**Jan Tarło.**

Dość już od nich zniosłem,

Lecz to najgorsza, że wolność powszechna  
Zdaje się mocno na szwank narażona...

**Król.** Prawda. Ale się zgódźcie — będzie spokój.

**Jan Tarło.** Ciężko, gdy krzywda.

**Bieliński.**

Najjaśniejszy panie,

Tylko na niego dotąd czekaliśmy.

**Król.** A więc ochota niechaj się poczyna.

Dalej muzyka! No, pójdźmy na salę.

(*Wychodzą wszyscy prócz Kasztelana i Jana Tarły.*  
*Muzyka*).

**Kasztelan.** Cóż na to mówisz, mości wojewodo,  
Jak te festyny wam się podobają?

**J. Tarło.** Płakaćby raczej nam niżli się bawić!

Rzeczpospolita, jak stara machina,  
Na wszystkie boki chwieje się i gnije,  
Sprawiedliwości niema, niema ładu,  
Kto mocny, a ma sumienie nie z wosku,  
Ciemięży nas i grabi, nasza wolność,  
Nasza szlachecka równość jest czczem słowem.  
Ot Radziwiłły! musiałem przed nimi  
Ojczyste miasto rzucać, bo nie chciałem  
Powąchać bratniej krwi, a jak się zdaje,



Trybunał mojej cnoty nie oceni.

**Kasztelan.** Toż samo tutaj zrobią Czartoryscy  
I wojewodzie lubelskiemu. Albo  
Będzie im musiał ustąpić, lub zacząć  
Domową wojnę.

**J. Tarło.** Niech Pan Bóg zhamuje  
Tę oligarchią dotąd nam nieznaną,  
Bo zniszczy starą Polskę. Króla nie stać,  
By się obronił przed nią. Byle tylko  
Do końca życia koronę donosił,  
Niechaj nas po nim i potop zaleje!

**Kasztelan.** Pana Adama powinienby bronić,  
Przecież on staje za jego prawami.

**J. Tarło.** Jeśli pan Adam sam się nie obroni,  
Niechaj nie liczy na pomoc z tej dłoni.  
(*Wychodzą. Muzyka.*)

**Izabella** (*wchodzi szybko*).

Och, tego nadto, więcej niż znieść mogę!  
Widzieć ich dwoje tak szczęśliwych z sobą,  
Widzieć rywalkę na ramieniu Tarły!...  
Na to nie mogę patrzeć. (*Spogląda w głąb*).

Jeszcze tańczą —

Cali oddani sobie — jacy piękni —

Jacy szczęśliwi!

(*Wchodzą: pani Poniatowska i kilka Dam*).

**P. Poniat.** Pierwszą wziął do tańca —  
Kogo? Ha, córkę Krysty! — Potem przyjdzie  
I będzie prosił którą z nas do pary,  
Gdy pierwiej tańczył z tą... To czysty skandal,  
Lepiej nie widzieć tych rzeczy.

**Jedna z dam.** Pan Tarło

Za wiele sobie pozwolił.

**P. Poniat.** Ty tutaj!  
Dobrze, że cię tam niema, Izabello.  
Pan Tarło tańczy z swoją Rózią. Ha, ha!  
Czy ich widziałaś?

**Izabella.** Widziałam ich, matko.

**P. Poniat.** Ha, moje panie, tu trzeba się zemścić,

Trzeba nauczyć tego pana Tarłę,  
Komu ma pierwsze honory oddawać.  
Afront za afront!

**Jedna z dam.** Nie będziem z nim tańczyć.

**P. Poniat.** Ni jedna. Jeśli przyjdzie, Izabello,  
I będzie prosić, odmów mu wyraźnie.

**Izabella.** Odmówię, matko.

**P. Poniat.** (*idzie w głąb*). Oni jeszcze tańczą,  
Nacieszyć im się trudno! Z jakąż dumą  
Pan Tarło wodzi swoją tanecznicę!  
Ha, ha, jaki to zaszczyt! Biedny Tarło!  
A, otóż idzie. (*Wraca się naprzód sceny*).

**Tarło** (*wchodzi*). Mesdames, panie tutaj,  
Od taneczników zdaleka? Doprawdy,  
To się nie godzi kryć aż tyle wdzięków  
Przed spragnionemi widoku oczyma.  
Ale i słusność w tem jest: wszakże perel  
Trzeba w głębinach szukać.

(*Do jednej z Dam podając rękę*).

Vous permettez...

(*Wchodzi kilku młodych Panów*).

**Dama.** Pardon, nie tańczę.

**Tarło** (*do drugiej Damy*). Et vous madame?

**Druga dama.** Pardon.

**Tarło.** Ha, ha, to widać dzisiaj dzień feralny!  
Panie nie macie do tańca ochoty,  
Gdy nawet martwe w powietrzu atomy  
Drgają rozkosznie za dźwiękiem muzyki.  
Mościa wojewodzianko, czy i u was  
Równie dostaną odkosza?

**Izabella.** Nie tańczę.

**Tarło.** Ha, panie wszystkie!...

**P. Poniat.** Mości wojewodo,  
Ten zaszczyt trochę późno nas spotyka;  
Z kim waćpan tańczył pierwej, tańcz i teraz.

**Tarło.** Madame, to podłość!...

**P. Poniat.** Co mówisz!...

**Tarło.** Rozumiem,

O co tu chodzi. To nędzna kabała,  
Nikczemna zmowa, której ofiarami  
Mam być ja, ma być i księżniczka Róża.  
Nienawiść wasza za daleko zaszła,  
Jeśli mnie nawet prześladowe w rzeczach,  
Które wstydliwą są i nietykalną  
Własnością serca ludzkiego. — Mój Boże!  
I to niewinne dziewczę, jak kwiat świeży,  
Trzeba wam było zmiąć i zionąć na nią  
Oddechem pełnym jadu i zawiści,  
Abyście deptać mogli po tym kwiecie!...  
Wojewodzino, tego nie przebaczę!

**P. Poniat.** Ty grozisz!...

**Tarło.**

I ty, panno Izabello,

I ty kamieniem rzucasz na Rozalią!  
Nie dziwię się twej matce, ani wszystkim,  
Którym interes, pycha i nienawiść,  
Którym wiek wreszcie poobdzierał serca  
Ze szlachetności i wspaniałych uczuć.  
Lecz ty tak młoda, tak piękna, obrzucasz  
Kwiat twego życia kalającym błotem,  
Nienawiść i twą duszę już przemienia  
W czarną otchłań, gdzie miłość ludzi kona,  
Najobrzydliwsze gdzie się legną hydry!

**Izabella.** Tarło — ty nie wiesz co mówisz!

**Tarło.**

Dlaczego,

Powiedz, dlaczego nienawidzisz Róży?  
Że ja ją kocham?... Słoń tylko, a krocie  
Przybiegnie do stóp twoich wielbicieli,  
Z których ci ona jednego nie weźmie.  
Albo dlaczego sądzisz, że jest niższą  
Od ciebie? Piękność jej twojej wyrówna,  
Wielbią ją ludzie, i zdziwionem okiem  
I na nią patrzą równie jak na ciebie.  
Może uboższą w cnoty? O, życzyłbym,  
Abyś jak ona była doskonałą,  
Byś tak zawładnąć mogła czyjsem sercem,  
Jak ona zdolna, abyś w czyjej duszy

Tyle rozlała uroku co ona!  
A więcej żądać i szukać w osobie  
Drugiej kobiety nie masz dotąd prawa.

**Izabella.** O, przestań!...

**Tarło.** Czyli nie wiesz, nierozsądna,  
Jak łatwo potwarz, złość i lekkomyślność  
Czepić się mogą kobiety. Powinnaś  
Więcej litości mieć dla równej sobie,  
Bo jutro możesz na toż samo boleć.

**P. Poniat.** O Tarło!...

**Tarło.** Tu nie chodzi tylko o mnie,  
Tu znieważony jej honor bezwstydnie.  
Jeśli nie tańczysz ze mną, i dlatego  
Żem pierwiej tańczył z księżniczką Rozalią,  
Wojewodzianko, z nikim już nie będziesz.  
(*Odwracając się do mężczyzn*).

Panowie, kto z was tę panią poprosi,  
Ten ze mną będzie musiał się rozprawić,  
I tego nazwę łotrem! (*Wychodzi*).

**P. Poniat.** Ach, to straszne —  
Jaka zniewaga!...

**Jeden z mężczyzn.** Piękna awantura.  
Ale tancerek jeszcze tu nie braknie,  
Aby się o tę bić jak o Helenę.

**Drugi.** Pan Tarło, co raz powie, to dotrzyma.  
(*Mężczyźni i Damy wychodzą*).

**P. Poniat.** Ha, głupie tchórze! Gdybym miała szpadę  
Jak wy przy boku, jużby dłużej nie żył,  
Nie widział mego wstydu!... Czy słyszałaś,  
Słyszałaś wszystko! No, powstań! Czy miałby  
Przybić cię słowy do tego siedzenia,  
Gdy one mogły nawet zmartwych zbudzić.

**Izabella.** Ach, matko, cóżes ty zrobiła!..

**P. Poniat.** Ha, ha,  
Com ja zrobiła!.. Patrzaj, co ja zrobię!..  
Swą krwią obelgi każdą głoskę zetrze!  
Gdzie mój syn!

**Izabella.** Tarło, los pragnie twej zguby.

(*Podkomorzy i Korff wchodzą.*)

**P. Poniat.** Ha, jesteś!

**Podkom.** Mon Dieu, cóż się tutaj stało?  
Po całej sali biega ta nowina —  
Czyliż to prawda?

**P. Poniat.** O hańba nam, hańba!  
Czemuż nie było cię tu, abyś bronił  
Honoru siostry!

**Podkom.** To smutna historia!

**Korff.** O nędzny Tarło, jakże się odważył  
Na czyn podobny!

**P. Poniat.** Precz z tymi lamenty,  
Niechaj czyn prędkie przetnie pasmo hańby!  
Ty pójdiesz tańczyć z bratem, Izabello.

**Izabella.** Matko, daj pokój!...

**P. Poniat.** Cicho, ja tak każę.  
Kazmierzu, weź siostrę.

**Podkom.** Ależ matko...

**P. Poniat.** I ty się wahasz? Ty, mój syn, mężczyzna?

**Korff.** Mój panie, niema tu żadnego »ale«.

**Podkom.** Przecież słyszałaś, matko, że pan Tarło  
Groził każdemu, kto wbrew jego woli  
Pójdzie w ten taniec. Pomyśl o następstwach —  
Jeśli mi Tarło tutaj w żywe oczy  
Przy wszystkich plunie obelgą, to muszę  
Na miejscu dobyć szpady, albo szukać  
Satysfakcyi w pojedynku.

**P. Poniat.** Dobrze!  
Zabij go, albo bij się z nim, giń nawet...

**Podkom.** Te słowa może tylko szal powiedzieć.  
Tyś sama winna jest wszystkiemu złemu.  
Poco go było drażnić i obrażać  
W ten sposób, że bez ujemy na honorze  
Nie mógł wycofać się z tej awantury.  
To był dotkliwy zbyt cios, który musiał  
W nadziei zemsty ukoić swą boleść.

**P. Poniat.** Kazanie prawisz! Czy chcesz morałami  
Tchórzliwe swoje uniewinnić serce?

Tańcz mi z nią zaraz! Czyż mam iść na salę,  
I tam powiedzieć w głos wszystkim, że syn mój  
Lęka się dobyć szpady za swój honor?

**Korff.** Pan podkomorzy nie może zrozumieć,  
Ile zyskujęm na szaleństwie Tarły.  
Ba, nic lepszego stać nam się nie mogło!

**Izabella** (*n. s.*) Co on powiada!

**P. Poniat.** Idź! — Daj rękę córko!

**Podkom.** Ha, dobrze, pójdźmy tańczyć, Izabello.  
Wola mej matki ma ślepotę szału,  
Co nad przepaścią nawet się nie cofnie.

**P. Poniat.** Nareszcie!...

**Izabella** (*idąc*). Ach, to okropne, mój Boże!  
*(Podkomorzy prowadzi Izabellę. P. Poniatowska i Korff  
idą za nimi. Na progu sali Tarło spotyka pierwszą parę.  
Kilka Pań i Panów nadchodzi z początkiem ich rozmowy).*

**Tarło.** Hej podkomorzy, niech waćpan się wstrzyma!

**Podkom.** (*stając*). Mój wojewodo, puść mnie wolno drogą,  
Widzisz, że idę tańczyć z moją siostrą.

**Tarło.** Czy waćpan o tem wie, co tu przed chwilą  
Mówiłem do tych, co ją w taniec wezmą?

**Podkom.** Wiem, mości panie. I właśnie dlatego,  
Aby te słowa z wiatrem uleciały  
I nie ciążyły na honorze siostry,  
Widzisz mnie w parze z nią.

**Tarło.** Jeśli masz powód

Bronić honoru siostry, ja mam równy,  
By skarać afront mojej narzeczonej.  
Dlatego spełniam swoje przyrzeczenie,  
I wobec wszystkich na cały głos mówię,  
I póty będę powtarzać, dopóki  
Mnie ust nie zamkniesz lub ciebie nie braknie,  
Iż kiedy wzięłaś do tańca tę damę,  
Której brać żaden wprzód nie był powinien,  
Aż ona krzywdę mojej czci nagrodzi,  
Więc jesteś łotrem!

**P. Poniat.** Mój synu!

**Izabella** (*wyrywając się z ręki brata*) O puść mnie!

**Podkom.** (*dobywa szpady*).

To słowo w gardle ci uwieźnię, Tarło!  
Jesteś nikczemnik, podlec!

**Korff** (*zacierając ręce*).

Doskonale!

Dalej, masz teraz rozwiązane usta,  
Lżyj!

**Tarło** (*dobywa szpady*).

Jesteś łotrem, jeszcze raz powtarzam.

**Podkom.** Ty zauszniku królewski, ty zdrajco!

**Korff.** Heco, heco!

**P. Poniat.** Mój synu, pchnij go szpadą!

**Tarło.** Ty pisklę z gniazda jaszczurczego!

**Izabella.**

Boże!

**Tarło.** Masz!

(*Podkomorzy paruje*).

(*Bieliński, Kasztelan i Jan Tarło wchodzą*).

**Kasztelan.** Co się dzieje? szpady obnażone!

**Tarło.** Muszę tu ubić tego chłystka!

**Kasztelan** (*wstrzymuje go za rękę*). Tarło!

**Tarło.** Puszczaj mnie, książę. Za honor Rozalii  
Mało takiego życia!

**Kasztelan.**

Zostaw Bogu

Pomstę i karę za niewinne dziecko.

**Bieliński.** Mości panowie, szpady zaraz w pochwę!

**Tarło.** Ta sprawa samych nas tylko obchodzi,  
Dajcie nam spokój.

**Korff.**

Ustąpcie, panowie.

Tutaj się cugli zakładać nie godzi,

Jeden drugiego obraził śmiertelnie

I tylko krew ich może uspokoić.

**Bieliński.** Róbcie co chcecie, lecz tu ja mam władzę,

I nie dozwolę, by w mojem mieszkaniu,

By pod królewskim bokiem takie gwałty,

Takie publiczne rozboje się działy.

Nie chcecie rady waćpanowie słuchać,

To rozkazuję wam jako urzędnik,

Stróż bezpieczeństwa: włóżcie zaraz szpady,

Inaczej każę zawołać żołnierzy

I do więzienia zawieść.

**Kasztelan** Usłuchajcie

Głosu rozsądku i szanujcie prawo.

**Tarło.** Mości marszałku, zgoda.

*(Chowa szpadę. Toż samo robi Podkomorzy).*

A my z sobą

Możem gdzieindziej także się rozmówić,

Jeszcze tej chwili. Waćpan pójdzie za mną.

**Podkom.** Jestem gotowy. *(Obaj wychodzą).*

**Jan Tarło.**

Otóż macie młodych,

Będą się bili.

**Bieliński.**

W obecności króla

Poczynać takie gwałty, to infamia!

**Kasztelan.** Biedna ma Rózia, ona tam łyzy łyka.

Darujcie, że was pożegnam, panowie. *(Wychodzi).*

**Bieliński.** I my idziemy. Trzeba ten zgiełk nagły

Zatrzeć przynajmniej swoją obecnością.

**Lokaj** *(wchodzi).* Król jegomość chce odejść i pożegnać

Pana marszałka.

**Bieliński.**

No, spieszmy się prędzej.

*(Wychodzi z J. Tarłą, za nimi Lokaj).*

**Korff** *(do pani Poniałowskiej).*

Madame, los, widzę, dla nas jest łaskawy.

Nie czekaliśmy długo.

**P. Poniał.**

Mości Korffie,

Idź waść za moim synem. Jego gniewy

Prędko mijają.

**Korff.**

Doleję oleju,

Jeśli by w duszy gasła mu odwaga *(Wychodzi).*

**P. Poniał.** No, cóż ty taka blada, Izabello?

Czy cię przestraszył widok szpad dobytých?

Wstydz się. Na salę pójdźmy. Teraz możesz

Pannie Rozalii śmiało spojrzeć w oczy.

*(Bierze córkę za rękę. Wychodzą).*



SCENA 2.

Noc. Dziedziniec w pałacu marszałka oświetlony latarniami. Szerokie wschody prowadzą do drzwi pałacu.

**Jan Tarło** (*wychodzi z pałacu*).

Ta noc ponura jak dzisiejsze sprawy.

(*Schodzi ze schodów*).

Tam widzę Tarłę. Pewnie się umawia  
Z przeciwnikami o miejsce spotkania.

(*Tokarzewski wchodzi*).

Kto idzie? Waćpan! Cóż was tu przynosi?

**Tokarzewski.** A moiści wojewodo, gdzie pan Tarło?

Czy mu co złego tutaj się nie stało?

Może mu trzeba pomocy? Mam z sobą

Kilku szlachciców tęgich.

**J. Tarło.**

Jak na teraz

Niebezpieczeństwa niema. Rzecz już idzie

Zwykłym porządkiem. Imci wojewoda

Mieć z podkomorzym będzie pojedynek.

**Tokarzewski,** Ha, daj go katu! Ledwieśmy przybyli,

Już nam spokoju nie dadzą. A gdzie są?

**J. Tarło** (*wskazując*). Widzisz ich waszmość?

**Tokarzewski.**

Widzę te trzy cienie.

A któż ten trzeci?

**J. Tarło.**

To jest Korff zapewne.

Marszałek groził, że obu uwięzi,

Gdyby na sali wszczynali rozruchy,

Więc tu rzecz kończą. Otóż się zbliżają.

(*Wchodzą: Tarło, Podkomorzy i Korff*).

**Tarło** (*do Podkomorzego i Korffa*).

Moiści panowie, zrobiliśmy wszystko,

Co należało do nas.

**Korff.**

Tak, mój panie.

**Tarło.**

I bijemy się jutro.

**Korff.**

Rychło tylko

Słońce powstanie.

**Tarło** (*sposzrzega Tokarzewskiego*). Co to, waszmość tutaj?

- Tokarzewski.** A jakżeby to inaczej być mogło.  
Gdy wojewodzie co złego zagraża,  
To Tokarzewski przy nim być powinien.
- Tarło.** Nic złego jeszcze dotąd. Ale waszmość  
Przydał się tutaj. Będziesz mi w tej sprawie  
Za sekundanta.
- Tokarzewski.** Dzięki za ten zaszczyt,  
Mój mości wojewodo.
- Tarło.** Panie Korffie,  
To mój sekundant.
- Korff.** Więc takim sposobem  
Ostatnia trudność jest już usunięta.  
Możem pożegnać panów.
- Tarło.** Do widzenia  
Na polu walki, gdzie pewnie będziemy  
Pod słońcem raz już ostatni się widzieć.
- Podkom.** Adieu, Tarło! Obyś ty był pierwszy,  
Który nie ziemską światłość będzie widział.
- Korff** (*do Podkom.*)  
Pójdźmy do matki. Pewnie niecierpliwie  
Wygląda końca tego wydarzenia.
- Podkom.** Pójdźmy! Wygodniej być widzmem tragedyi  
Niżli aktorem, i ta niecierpliwosc,  
Którą ciekawosc w ludzkich duszach rodzi,  
Często się śmiercią cudzą zadawalnia.  
(*Wychodzi z Korffem do pałacu.*)
- Tarło.** I cóż, mój stryju, nie pochwalisz tego?  
Ale się stało. Powróćmy na salę,  
Nie trzeba tracić zabawy, bo jutro  
Może się bawić już nam nie pozwoli.
- J. Tarło.** Niema już po co wracać. Przepłoszeni  
Tą awanturą wszyscy prawie goście  
Do domu chyłkiem się porozjeżdżali.
- Tarło.** Ach, nie wiedziałem, że im tyle sprawię  
Nieprzyjemności. Ale księżę pewnie  
Jeszcze na sali.
- J. Tarło.** Księżę czeka z córką  
Właśnie na ciebie bardzo niespokojny.

I przeciwnicy wszyscy pozostali,  
Aby dotrzymać placu.

**Tarło.**

A więc spieszmy,  
By zaspokoić księcia i Rozalią,  
Która tam pewnie drży o moje życie.  
O, choćby ono nie nie było warte,  
Wielką mu wagę nadaje ta bojaźń,  
Która szamoce takim czystym sercem!  
A ty do domu wróć, mój Tokarzewski,  
Możesz spokojny już być. Jutro rano  
Czekam na ciebie.

**Tokarzewski.**

Dobrze, wojewodo,  
A nie gniewaj się na mnie, żem tu zaszedł.

(*Wychodzi.*)

(*Obaj Tarłowie idą do pałacu. Ks. Wojewoda i Korff  
wchodzą.*)

**Korff.** Tak, mości książę, to dobrze się stało.

**Ks. Wojew.** Lecz niech mi waćpan jaśniej wytłómaczy,  
Jakim sposobem na tej awanturze  
Budujesz swoje nadzieje.

**Korff.**

Czyż książę  
Nie widzi, jak my po tej nici dojdziem  
Do środka kłębka. To jedno zdarzenie  
Jest jakby ziarno, które w sobie kryje  
Bujnych owoców zarody. To właśnie  
Jest ta sposobność, której brakowało,  
Aby do Tarły można się przyczepić  
I jak pijawka z niego krew wysysać.  
To jest uraza prywatna, to nie jest  
Żadna zawziętość polityczna, ani  
Nienawiść, która ogarnia tysiące.  
Tu mogę puścić cugle namietności,  
Bo to honoru rzecz osobistego.

**Ks. Wojew.** Mów mi wyraźniej waćpan. Jak zamysłasz  
Ich pojedynek jutro przeprowadzić?

**Korff.** Pojedynek jest rzeczą zbyt wątpliwą.  
Może postawić nas u kresu życzeń,  
Gdy Tarło zginie...

**Ks. Wojew.** Bardzo wątpię o tem.  
Nie zrówna nigdy podkomorzy Tarle,  
Który jest sławnym szermierzem, a przytem  
Ma serce pełne śmiałości i męstwa.  
Tarło nadzieje go na swoją szpadę.

**Korff.** Dlatego właśnie rzekłem, że wątpliwy  
Jest pojedynek, i nawet przypuszczam,  
Że podkomorzy jutro w nim polegnie.  
Ale to naszej korzyści nie zmniejszy.  
Podkomorzego śmierć musi wywołać  
Ból w jego matce, w tobie, mości książe,  
W całej rodzinie żałobę i żądzę,  
By jego cienie nie były bez zemsty.  
Ten pojedynek może być rodzicem  
Nowej zaczepki, a chociażby nawet  
Tę śmierć chciał pomścić kto innym sposobem,  
To głos publiczny musi milczeć wtedy,  
Bo mu wnet stanie przed oczami mara  
Krwawej ofiary. Widzisz, mości książe?  
Trzeba nam było koniecznie chaosu  
I huraganu wrzących namiętności,  
Gdzie się nie dadzą zliczyć ani spostrzedz  
Wszystkie pociski walczących szermierzy —  
I otóż stoim w środku ciemnej chmury.

**Ks. Wojew.** Lecz oby tylko była dosyć ciemną,  
I mogła ukryć nas przed okiem ludzi!  
Tarło ma wszędzie licznych partyzantów,  
I samo nawet dzisiejsze zdarzenie  
Może nań rzucić ten fałszywy urok  
Prześladowanej cnoty, który często  
Omamia oczy.

**Korff.** Bądź, książe, spokojny;  
Dobra opinia słabym jest puklerzem  
I nie obroni piersi od pocisku.  
Co będzie złego, to niech na mnie spada.  
Książę zostaniesz niewidomy w cieniu.

**Ks. Wojew.** Więc jak chcesz, uczyni, tylko zakończ dobrze.  
Bon soir, monsieur.

**Korff.**

Bon soir, votre Altesse.

(*Ks. Wojewoda wychodzi.*)

Tarło, twój los jest w mojej głowie. Zginiesz,  
Jeśli dojrzeje ta myśl jak należy.

Chociaż poeta powiedział, że rady,  
Którą noc rodzi, słuchać nie jest dobrze,  
Są jednak rzeczy, o których najlepiej  
Myśli się w nocy. (*Wychodzi.*)

(*Tarło, Kasztelan i Rozalia wchodzą.*)

**Kasztelan.** Smutny nasz powrót z wesołej zabawy.

Patrząc, nawet gwiazdy sobie oczy  
Zakryły, nie chcąc patrzeć na te dzieje.

Tak jak i Różia spuściła powieki  
Na bladej twarzy. Biedne moje dziecko!

**Rozalia.** O Tarło, ileż sprawiłeś mi bólu!

**Tarło.** Nie rozdierajcie mi duszy wyrzutem.

Czyż mogłem zrobić inaczej? czyż mogłem  
Zostawić im jak na pastwę twój honor?

**Kasztelan.** Więcej krwi zimnej mieć ci należało.

Człowiek publiczny, senator, jak mogłeś  
Do awantury zniżyć się junackiej?

**Tarło.** Mój ksiązę, honor ma także swe prawa.

Aby położyć balsam na ból duszy,  
Poświęcę wszystkie cele i nadzieje,  
Całe znaczenie moje, nawet życie.

**Rozalia.** O, bez litości jesteś i bez serca!

Ty i mnie także poświęcisz swej dumie.

**Tarło.** Bądź dobrej myśli. Wszakże mój przeciwnik

Nie jest tak straszny, abyś o mnie drżała,  
I Bóg, co widzi niewinność mej sprawy,  
Doda mi siły.

**Rozalia.** Gdyby nie ta trocha

Nadziei, którą w Bogu mam i w tobie,  
Nie wiem, jak mogłabym rana doczekać.

**Tarło.** Wierzaj mi, jutro znowu mnie powitasz,

Jak dziś mnie widzisz. Bądź spokojna, Rózo!  
Ksiązę pozwoli sobie towarzyszyć

Do domu.

**Rozalia.** O, jedź z nami, drogi Tarło.  
Niechaj choć dzisiaj oglądam cię długo.  
(*Wychodzą*).

### SCENA 3.

Mieszkanie Podkomorzego. Lampa na stole.

**Podkomorzy** (*wchodzi*).

Ten Korff wyborny! mówi mi tak chłodno:  
Nie spuszcza z tonu, a znowu po chwili:  
Bądźże mężczyzną! Dobrze ci tak gadać,  
Leczbyś inaczej śpiewał, gdyby jutro  
Pojedynek cię czekał. Coraz więcej  
Czuję, że nie mam do tego ochoty.  
Tak oko w oko, kiedy bieg krwi naszej  
Przyspiesza gniewne słowo przeciwnika  
I widok świadków, który nie pozwala  
Ustąpić placu, można być odważnym,  
Zapomnieć, co się stawia na tę kartę.  
Ale w samotność, między cztery ściany,  
Nie idą z nami te bodźce odwagi.

(*Rzuca kapelusz*).

Brum! czuję zimno stali po mych kościach.  
Fatalna sprawa! (*Usiada. Izabella wchodzi*).

**Podkom.** (*zrywając się*). Któż mnie znów nadchodzi!

**Izabella.** To ja.

**Podkom.** Ty Izabello? Ja myślałem,  
Żeś już zasnęła.

**Izabella.** Nie, nie mogłam zasnąć.

**Podkom.** Dziś widać bardzo duszna atmosfera.  
Lecz skąd się wzięłaś tutaj?

**Izabella.** Widać zgadłam,  
Że i od ciebie sen dziś stronić będzie.  
Ty pojedynek masz jutro...

**Podkom.** Niestety!

Ten pojedynek spadł na mnie jak piorun,  
Tak niespodzianie, bez najmniejszej winy,

Obrażonym się nie czując i chęci  
Obrażać kogo nie mając zupełnie,  
Muszę się bić i jestem tylko martwym  
Narzędziem w cudzych rękach.

**Izabella.** Tak, mój bracie,  
Role dziś nasze były bardzo przykre.

**Podkom.** Ja, obojętny widz, co nigdy nogi  
Nie chciałem stawić w koło ich zatargów,  
Dziś cały ciężar czynu mam na barkach.  
Obca nienawiść pchnęła mię na przodek,  
Jak skałę przeciw rozhukanej fali,  
Która ma doznać wszystkich nieszczęść burzy.

**Izabella.** Ty bić się nie chcesz..

**Podkom.** O, ta myśl mię dręczy,  
I robi z nocy tej strasznych mar scenę,  
Na którą patrzę, chociaż zamknę oczy.  
Ja widzę prawie pewność swojej zguby.

**Izabella.** Tak, ale losy są zawsze wątpliwe.

**Podkom.** Chcesz mnie pocieszyć i dodać otuchy;  
Ja wiem, że Tarło jest równie śmiertelny,  
A przecież...

**Izabella.** O nie, jego śmierci nie chcę!

**Podkom.** Więc ja mam ginąć? . . . Bo z nas dwóch ko-  
[niecznie

Jeden na placu musi zostać trupem.

Siostró, ty Tarłę chcesz ocalić?...

**Izabella.** Muszę.

On zginąć z rąk twych nie może, zgon jego  
Nie może dziełem być krwi tej, co płynie  
We mnie i w tobie. Bo tego człowieka —  
Tego człowieka kocham...

**Podkom.** Ha, więc zgadłem!

Tyś biedna bardzo z tem twojem uczuciem,  
Które nie może sobie znaleźć miejsca  
Wpóśród zawiści i obojętności.

**Izabella.** On ani matka nic o tem nie wiedzą.  
Przed tobą pierwszym dziś się wynurzyłam,  
Bo los nas jednym połączył nieszczęściem.

Nie tłumacz błędu, ani rad nie dawaj!  
Ja wiem, że sama rzucam się w otchłanie,  
W których bez żalu zginę i współczucia.  
Rozum nie może zwalczyć tego szalu,  
Który wzbudziło jakieś przeznaczenie,  
Jakiś fatalny wyrok opatrności.  
Bracie, ja błagam cię na wszystko w świecie,  
Niech on nie zginie!

**Podkom.** Dziwnie ironiczne  
Jest twe żądanie! Przecież muszę bronić  
Swojego życia, i o to się starać,  
Bym ja mu stanął ze szpadą nad gardłem.

**Izabella.** Słuchaj mnie! W całym waszym pojedynku  
Coś okropnego się knuje, co równie  
Tobie i jemu zagraża. Ta walka  
Nie zadowolni ich pragnienia zemsty.  
Pamiętasz, jak się niedawno zmawiali,  
Jak brakowało im tylko przypadku,  
Dzisiaj poświęcą naprzód ciebie, potem  
Gdy krew popłynie już raz, będą chcieli  
Krwi jeszcze więcej...

**Podkom.** Ach, siostró, to prawda!  
Też same myśli błąkały się także  
Po mojej głowie.

**Izabella.** O, słuchaj mnie dalej!  
Czy uważałeś co Korff mówił matce:  
Dobrze się stało!.. Wszak nikt się nie cieszy,  
Że jego córka obrażona, albo  
Że syn ma zmazać swoją krwią zniewagę.  
Bo oni wiedzą, że ty łatwo zginiesz,  
Lecz do ich planu twoja śmierć należy,  
Jest jednym z tajnych sideł, w które mają  
Uwikłać Tarłę.

**Podkom.** Ha, a gdzież sumienie!

**Izabella.** Tego nie szukaj w dziełach nienawiści.  
Tak, zginać musi was dwóch, a ty pierwszy,  
Ale posłuchaj mej rady, a wtedy  
Ni ty ni on nie zginie.



- Podkom.** Izabello,  
Ty na to radę znajdujesz? — o powiedz!
- Izabella.** Pogódź się z Tarłą.
- Podkom.** Ach, to niepodobna —  
Czyliż dozwolą oni?
- Izabella.** Bez ich wiedzy,  
Gdy jutro obaj na placu staniecie,  
Podaj mu rękę.
- Podkom.** A gdy jej nie przyjmie?...  
Tarło jest dumny i zawzięty.
- Izabella.** Ale  
Równie szlachetny. Słaby cień uczucia,  
Jedno przyjazne słowo go rozbroi.
- Podkom.** A matka?... jakże potem przed nią stanę?
- Izabella.** Więc śmierć nad gniew jej przekładasz?...
- Podkom.** Na Boga,  
Choć raz postawię na swoim!
- Izabella.** Więc zgoda,  
Nie będziesz bić się?
- Podkom.** Lecz to myśl szalona!
- Izabella.** Jedyna tylko, która zbawić może.
- Podkom.** Ha, dobrze! Brzytwy tonący się chwyta —  
Nie będę bić się.
- Izabella.** O, mój drogi bracie,  
Dzięki ci za to!
- Podkom.** Biedna Izabello,  
Te łzy napróżno płyną. Ani jedna  
Na jego sercu śladu nie zostawi.
- Izabella.** To może kiedyś choć Bóg je policzy!  
Usłuchaj siostry.
- Podkom.** Zrobię, jak mówiłaś.  
Ale jeżeli skutek nie odpowie  
Naszym życzeniom, to już będzie widać,  
Że przeznaczenie ma inną w tem wolę.
- Izabella.** Dobranoc ci. Spij spokojnie.
- Podkom.** Gdy będziesz  
Ty spać spokojnie, i ja to uczynię.  
Dobranoc. (*Rozchodzą się*).

## AKT TRZECI.

### SCENA 1.

Pole pod Warszawą.

*(Szlachta. Lud płci obojej).*

**1 Szlachcic.** Ho, ho, patrzajcie, już jada.

**2 Szlachcic.** Któż taki?

**1 Szlach.** Pan wojewoda. Poznaję po koniu,  
Jego koń taki czarny, jak sam dyabeł.

**Tokarzewski** *(za sceną).*  
Trzymać tu konie!

**Tarło** *(za sceną).* Bądź zdrow, mój Piorunie,  
Obyś mię doniósł całego napowrót!

*(Wchodzą: Tarło, Jan Tarło, Tokarzewski i kilku Szlachty).*

**J. Tarło.** Jesteśmy pierwsi na placu.

**Tokarzewski.** To dobrze,  
Choć to przypadek tylko, ale zawsze  
Lepiej, gdy ludzie powiedzą: był pierwszy.

**Tarło.** Hej, Tokarzewski, spojrzno, czy nie widać  
Jakiej kurzawy?

**Tokarzewski.** Nigdzie ani śladu.

Ha, wojewodzie już tęskno!

**Tarło.** O, prawda!

Krew we mnie kipi od samego rana,  
I więcej nawet niż wczoraj, gdy sobie  
Na myśl przywiodłem całe wydarzenie,  
Kiedym zniewagi zmierzył całą wielkość.  
Hej, podkomorzy, skończ mą niecierpliwość!

**J. Tarło.** Zachowaj zimną krew przy takiej sprawie!

**Tarło.** Biada, gdy będzie zimna! Lecz patrzajcie,  
Skąd się tu wzięło takie mnóstwo ludzi.

**Tokarzewski.** To dobry znak jest. Widzę tutaj wielu  
Braci szlachciców, co i głowę dadzą  
Za wojewodę. Ha, przezorni ludzie,  
Czują przez skórę, że na wszystkie strony  
Trzeba mieć oko, kto ma do czynienia  
Z ludźmi nie bardzo tęgiego sumienia.

**Tarło.** Mości panowie, waszmoście przybyli  
Widzieć, jak bić się będziemy.

**Kobieta** podeszła (*wychodząc z tłumu*). O wielmożny  
Nasz wojewodo, niech was pan Bóg strzeże,  
By wam co złego tutaj się nie stało.  
Ja biedna jestem kobieta, lecz gdybym  
Mogła to zrobić, żeby padł na placu  
Wasz nieprzyjaciel, a wam ni włos z głowy,  
Miałabym sobie to za łaskę bożą.

**Tarło.** Dziękuję, matko, za wasze życzenia,  
Da Bóg, jakoś to będzie.

**Głosy.** Wiwat, wiwat,  
Nasz wojewoda!

**Tokarzewski.** Widać ich nareszcie,  
Już jadą. Jakaż tego wielka chmara,  
Jak gdyby Turka chcieli zawojować.  
Błyskają nawet żołnierskie mundury —  
Czy to batalia ma być? — Ba, w potrzebie  
I my znajdziemy pod dostatkiem szabel.

**J. Tarło.** Niech Bóg nas broni od wojny domowej.  
(*Wchodzą: Podkomorzy, Korff, Flemming, Szlachta*).

**Korff.** Bon jour, panowie, przebaczcie tej zwłoce.  
Pędziliśmy jak czarci, z naszymi koni  
Toczy się jeszcze piana.

**Tarło.** Bon jour, messieurs,  
Możemy stratę czasu wynagrodzić.  
Niech waćpanowie oznaczą nam metę.

**Flemming.** My założywszy ręce w tył, odejdźmy.  
Będzie co widzieć.

**J. Tarło.** Głupia to zabawa!

**Korff** (*do Podkom.*)

Bładyś jak ściana, obnaż swoją szpadę,

I stań mu ostro, tak pierś w pierś naprzeciw —  
Dobytaj szpady!

**Tarło** (*wyjmuje szpadę*). Dalej, zaczynamy!  
Nie trzeba więcej jątrzyć serc widokiem,  
Jesteśmy obaj dosyć sobie dłużni,  
I do spokoju nie przyjdziem, aż jeden  
Przejdzie do wiecznej ciszy pod mogiłą,  
A drugi wczasu zwycięstwa użyje.

**Podkom.** Mój wojewodo, proszę o słów parę.

**Korff.** Tu niema czasu na żadne gawędy,  
Dobytaj szpady!

**Podkom.** Ustąp się, majorze,  
Chcę z wojewodą mówić. (*Do Tarły*). Mości panie,  
Proszę o chwilę.

**Tarło.** Daj pokój, majorze,  
Gdy podkomorzy pragnie ze mną mówić,  
Winienem jemu uczynić zadosyć.  
Mości panowie, oddalście się trochę. (*Chowa szpadę*).  
Słucham waćpana.

**Podkom.** Mości wojewodo,  
Widziałeś, zem ja nie dobył swej szpady?

**Tarło.** Widziałem. Ale cóż to ma oznaczać?

**Podkom.** Przyczyna tego prosta i wyraźna:  
Kto nie obnaża miecza, ten nie czuje  
W sobie ochoty używać żelaza.

**Tarło.** Waćpan żartujesz!

**Podkom.** W tak stanowczej chwili  
Żartby mi skonał już na progu duszy:  
Mówię otwarcie i stanowczo: bić się  
Nie pragnę z tobą. Chciej sobie przypomnieć  
Ów bal wczorajszy. Wpadliśmy na siebie  
Jak dwa rozżarte kundły — to jest prawda,  
Ale kiedybyś był widział, co pierwej  
Na sali zaszło między mną a matką,  
Poznałbyś, że nie moją było wolą  
Obrażać ciebie słowy i uczynkiem.  
Musiałem zrobić, bo mi tak kazano,  
Lecz we mnie nigdy zawiść ani lekkość

Nie obudzały myśli obelżywej  
Naprzeciw tobie.

**Tarło.** Wiem o tem, mój panie.

Lecz kiedy ciebie obrano za rękę,  
Co mimowoli ten cios mi zadała,  
Muszę na tobie szukać swojej zemsty;  
I choćbyś poległ w tej sprawie niewinny,  
Przez ciebie pragnę skarcić ich zuchwałość,  
I obrażonej czci zadość uczynić.

**Podkom.** Mój panie, ja ci mogę wynagrodzić

Doznaną krzywdę podług twoich życzeń.

**Tarło.** To nie tak łatwo, jak tobie się zdaje.  
Pomyśl, co trzeba uczynić, by z duszy  
Wydrzeć mi pamięć tej krwawej zniewagi.  
Staw sobie w myśli tak czystą dziewicę,  
I tak kochaną, jak ja mogę kochać,  
A potem obrzuć tę postać tak brudnym,  
Tak szpetnym kałem, jaki z rąk twej matki  
Na nią się rzucił — wtedy musisz przyznać,  
Że krew jej tylko pierwszą białość wróci!  
Staw sobie w myśli człowieka, co nieraz  
Doświadczył już tych ludzi nienawiści,  
I już niejedno miejsce w swoim sercu  
Miał przepalone tym jadem gryzącym,  
I pomyśl, że ten człowiek znów odbiera,  
Tam gdzie najmocniej czuje, cios z ich ręki,  
A wtedy przyznasz, że musi w ich bólu  
Dla swej boleści szukać ukojenia!  
Nie, podkomorzy, my bić się musimy!

**Podkom.** Pamiętaj, że czy własna czyli moja  
Śmierć na sumieniu twojem będzie ciężyc.

**Tarło.** Ach, i Rozalia mówiła toż samo!

**Podkom.** Słuchaj mnie, mości panie. Na tem miejscu  
Podam ci rękę zgody i przeproszę  
Za wszystko, w czemem tylko mógł zawinić.  
Wszak takim krokiem mażą się zniewagi  
Choćby najcięższe, i gdybyś nie przystał,  
Nie honor byłby to dbały o siebie,

- Ale zajadłość i krwi dzika żądza,  
Dla której pastwą być nie zasłużyłem.
- Tarło.** Obiecujesz mi wiele. Jeśli wszystko,  
Jak powiedziałeś, wypełnisz sumiennie,  
Mogę na zgodę przystać. Lecz jeżeli  
Poza tą myślą pokoju się kryje  
Fałsz lub obłuda, zdraadny jaki podstęp,  
To wiedz, mój panie, że nie raz ostatni  
Stoimy przeciw sobie ze żelazem.
- Podkom.** Zamiary moje czyste jak to słońce!
- Tarło.** Nadto, ponieważ byłem obrażony  
Nie od samego ciebie, przeprosiny  
Należy odbyć w imieniu tych wszystkich,  
Za których tutaj stoisz. To ostatni  
Jest mój warunek.
- Podkom.** Jeśli tylko tyle,  
Bez ujmny mogę przystać.
- Tarło.** A więc dobrze,  
Rzecz już skończona. Hej, mości panowie,  
Proszę tu bliżej. Nasza sprawa nagle  
Przybrała inny obrót. Podkomorzy  
Nie pragnie bić się, ale zgody ze mną.  
Czy tak?
- Podkom.** Tak, mości panowie.
- Kurff.** Tfu, błazen!  
Cóż to, komedye mamy tu odgrywać?  
Niema tu zgody! Wstydzicie się, panowie,  
Ludzie rycerscy tak nie postępują,  
Przy butelkach się honor nie naprawia.  
To wstyd!
- J. Tarło.** Mój panie, jesteś sekundantem,  
I obowiązkiem twym próbować zgody,  
A nie odwodzić od niej.
- Kurff.** Wyśmienicie!  
Ha, ha, to warte śmiechu!
- Podkom.** Milez, majorze!  
Ja sam pragnąłem zgody, na znak czego  
Pierwszy podaję rękę wojewodzie,

- I tym sposobem chcę zadość uczynić,  
W czem jego honor został obrażony.
- Tarło.** A ja przyjmuję tę rękę, jeżeli  
Ona rękojmnią jest prawdziwej chęci,  
By wynagrodzić wyrządzoną krzywdę,  
Gdy podkomorzy w swem własnem imieniu,  
Jak też w imieniu wszystkich, którzy tylko  
W czem mej godności najmniej uchybili,  
Albo godności księżniczki Rozalii,  
Uznaje swoją winę i tym aktem  
Ode mnie żąda za nią przebaczenia.  
Czy tak, mój panie?
- Podkom.** Tak jest, słowo w słowo.
- Korff** (*n. s.*) Ty i za dyabłem powtórzyłyś pacierz!
- J. Tarło.** Zgoda, już zgoda!
- Tarło.** I jeszcze raz jeden  
Podaj mi rękę, mości podkomorzy.  
Powitaliśmy się w zażartym gniewie,  
A pożegnamy w ten sposób. No, stryju,  
Czas nam odjeżdżać.
- Tokarzewski.** Panu Bogu dzięki!  
Mości panowie, sprawiedliwość była  
Po naszej stronie i wyszliśmy górą.  
Hej, na koń teraz, panie wojewodo,  
I pędźmy szparko z wieścią do księżniczki.  
Będzie się cieszyć, gdy was zdrowym ujrzy,  
I bez kropelki krwi na waszej szpadzie!
- Tarło.** Dobrześ mi wspomniał. Pospieszajmy prędzej!
- Głosy z tłumu.** Pan wojewoda wiwat!  
(*Odchodzą: Tarłowie, Tokarzewski i przybyła z nimi  
Szlachta.*)
- Flemming.** No, majorze,  
Nie chmurz tak czoła. Twój kułak ściśnięty  
Nie przebije już muru. Podkomorzy  
Zawiódł ciekawość naszą i nadzieję.  
Wróćmy do miasta.
- Korff.** Piekło się sprzysięgło!  
Bodaj się była pod memi nogami

Ziemia rozwarła! Mości podkomorzy,  
Czy waśc pojmujesz, coś zrobił w tej chwili?  
Całą budowę, w której brakowało  
Ostatniej cegły u samego szczytu,  
Waćpan w posadach zatrzęsł i powalił.  
Nie bić się z Tarłą?... Dlaczego? By odszedł  
Jak tryumfator przy krzyku gawiedzi,  
I jeszcze bardziej spyszniał tą wygraną!...  
To nie trzeba mieć serca, ni krwi kropli,  
Która nam żyły rozszerza na widok  
Dumnego wroga!

**Podkom.** Dość już tego, Korffie!

Nie mam ochoty słuchać twoich kazań.

**Korff.** Jak teraz staniesz przed matką? przed księciem?  
Którzy swój honor w twe ręce złożyli.  
O hańba, hańba! Bo to jest tchórzostwo  
Nędzne, ohydne, podłe! Dłoń mu podać —  
Morbleu!...

**Podkom.** Dlaczegoś szpady sam nie dobył?

Byłby się z tobą bił równie jak ze mną.

**Korff.** Prawda! ja miałem do pomszczenia na nim  
Honor mej siostry, zniewagę mej matki,  
Hańbę rzuconą na całą rodzinę;  
Ja Poniatowski się zwę, który kiedyś,  
Gdy Tarło padnie, na jego ruinach  
Podniosę własną świetność i znaczenie —  
Lub gdy zwycięży, będę musiał zniknąć,  
Jak gwiazda rano przed wschodzącem słońcem?  
Nieprawdaż?... Przytem, mój panie, twe życie  
Mało na szali tych wydarzeń znaczy,  
Zajmujesz tylko jedno miejsce. Zresztą,  
Nie jesteś, czyli jesteś, wszystko jedno!  
Bez ciebie pójdzie gra. Lecz ten, co w głowie  
Ma losy całej sprawy, ten powinien  
Dbać, aby zawsze stała mu na karku.

**Podkom.** O, zbyt otwarty jesteś! Więc odgadłem,  
Że miałem waszym kozłem być ofiarnym,  
I teraz jestem sobie tem wdzięczniejszy,



- Korff.** Żem się dla cudzych chęci nie dał zabić.  
Ten człowiek wielkich rzeczy nie rozumie!  
Ale się bić z nim będziesz jeszcze!
- Podkom.** Nikt mnie  
Zmusić nie zdoła. Już się po raz drugi  
Nie chwycę w łapkę.
- Korff.** Sam Tarło cię zmusi,  
Już ja w tem będę! Jeszcze tak jak dzisiaj  
Staniecie przeciw sobie. Ale wtenczas,  
Choćbyś ze łzami na klęczkach go prosił,  
Nie przyjmie twojej ręki, i już wtedy  
Na krwi się skończy.
- Podkom.** Piekielny człowieku!
- Korff** (*wychodząc prędko*). Hej, dajcie konia!
- Podkom.** Wstrzymajże się, powiedz,  
Czem ty mi grozisz. — Odleciał jak szatan,  
Który unosi duszę. O przekłety!  
(*Wychodzą wszyscy*).

## SCENA 2.

Sala u pani Poniatowskiej.

(*P. Poniatowska i Izabella wchodzą z różnych stron*).

**P. Poniat.** Niema go jeszcze?...

**Izabella.** Nie matko, nie wrócił.

**P. Poniat.** Ciężar go hańby powstrzymuje w drodze,  
I wstyd, co może zrumienił mu czoło,  
Chociaż za późno. Czegóżem dożyła,  
Że człowiek, który mym synem się zowie,  
Od wszystkich wrogów gorszy ból mi zadał!

**Izabella.** Ach, uspokój się! Kaźmierz nie przeczuwał,  
Że ręką, którą podawał do zgody,  
I tobie zada cios taki dotkliwy.  
Przypomnij sobie, że o ile wiemy,  
Wszystko się według zwykłych form odbyło,  
I nic takiego Tarło nie uczynił,  
Co czyjby honor obraziłoby mogło.

- P. Poniat.** O, tego czynić on nie potrzebował!  
Twój brat go w pracy zupełnie wyręczył.  
Co? czyż to nie dość, żeśmy się cofnęli  
Przed naszym wrogiem? i jawnie wyznali,  
Że brak nam ręki, któraby zrównała  
Jego ciosowi, że nie mamy serca,  
Któreby raczej śmierć nad srom przeniosło?
- Izabella.** Do tego dzieła Kazmierz nie był zdolny:  
Natura dosyć nie dała mu ducha  
Ani odwagi. Przestań go więc winić.
- P. Poniat.** Moje rozkazy winien był szanować.  
Dość tych perswazyj. On jest tchórz bezczelny,  
Godzien pogardy!
- Izabella.** Miejże nad nim litość!
- P. Poniat.** Nad tym wyrodkiem?... Cicho bądź — nadchodzi.
- Podkom.** (*wchodzi — n. s.*)  
Ach, jakież tutaj tragiczne oblicza!  
(*głośno*) Bon jour, ma mère. Cóż? nie chcesz spojrzeć na  
mnie...
- P. Poniat.** Cóż mi przynosisz? Śmierć Tarły zapewne,  
Bo sam powracasz...
- Podkom.** Nasz spór się zakończył  
Nadspodziewanie przyjaznym sposobem.
- P. Poniat.** Tak mówisz?... To już za wiele bezwstydu  
Nie udławić się takimi wyrazy!  
Już całe miasto brzmi twoimi czyny,  
Idź tam posłuchaj, a jeśli cokolwiek  
Zostało w duszy twej czci i honoru,  
Choć setną cząstkę doznasz tej boleści,  
Jaka mą duszę szarpie, widzieć ród swój  
I nasze imię, znaczenie i dumę  
Deptane nogą gminu jak robactwo.  
Nędzny, tyś im tę podrzucił ofiarę!
- Podkom.** To podłe kłamstwa przez uliczny motłoch  
Rozsiane w tłumie, lecz żaden ze świadków  
Naszej rozprawy, a tem bardziej Tarło  
Nie podobnego o mnie nie powiedzą.
- P. Poniat.** Ci ludzie patrzą na rzecz zdrowem okiem,

Ich sądu błahą formą nie oszukasz,  
Jak i mnie równie nie złudzisz. Tchórz jesteś  
Nędzny i podły — i każdy ci może  
Piwać w oczy.

**Podkom.** Matko, cóż chciałaś ode mnie?

Chciałaś, ażebym dla balowej burdy  
Do pojedynku stanął przeciw Tarle —  
Stanałem. Kiedy pogodzić się mogłem,  
Czyż wypadało sposobność porzucić?

**P. Poniat.** Z was jeden zostać był winien na placu.  
Chciałam, byś zabił Tarłę, lub sam zginął.  
Wola i rozkaz mój były wyraźne —  
Mogłeś to zrobić dla honoru domu.

**Podkom.** Tak się nie mówi do żyjących. Matka  
Do syna tego mówić nie powinna.  
Choćbym na siebie ściągnął gniew twój cały,  
Dla jakichś intryg nie dam się mordować.

**P. Poniat.** Milcz podły! (*Daje mu policzek*).  
To masz zapłatę od matki  
Za swoje czyny.

**Podkom.** Matko!...

**Izabella.** Ach, to strasznel...  
Matko, niech gniew twój mnie również ukarze,  
I jam jest winną. Jam to go prosiła,  
Aby się zgodził z Tarłą.

**P. Poniat.** Ha, co słyszę!

**Izabella.** Każda z tych śmierci dla mojego serca  
Byłaby ciosem strasznym...

**P. Poniat.** Ty szalona!

**Izabella.** Ha, cóżem winna, że ten, co w was wzbudził  
Tylko nienawiść, posiadał me uczucie,  
Żem się nie mogła oprzeć tej potędze,  
Jaka uderza z jego ócz i z czoła,  
Z jego szlachetnej duszy, z jego serca,  
Z całej istoty, jak światło od słońca!

**P. Poniat.** Bezwstydna, nową nam hańbę gotujesz!

**Izabella.** Tu nikt nie będzie cierpiał prócz mnie samej.  
Nawet w boleści i w zapale serca

Umiałam waszą szanować nienawiść.  
Uczucie swoje skryłam tak głęboko,  
Że zna je tylko serce, które czuje.

**P. Poniat.** Przynajmniej!..

**Izabella.**

Kiedym go poznała, jeszcze  
Nie kochał innej i mógł mnie pokochać.  
Ale wy już go nienawidziliście —  
I pogrzebałam żywcem swe uczucie...  
Wam na ofiarę. To już wszystko, matko.  
Potrzeba było tak okropnej burzy,  
Jaka mą pierśią zatrzęśła tej chwili,  
Aby tę spowiedź wyrzuciła z głębi  
Mej duszy. Matko, wstrzymaj swoją zemstę,  
Swoją gniew, bo może po trupach swych dzieci  
Do przeciwnika dojdiesz. Tajemniczy  
Los tak poplątał te sprawy, że jeden  
Padając, innych pociągnie za sobą —  
Litości!

**P. Poniat.** Precz, precz, ty od moich kolan!  
Twój Tarło zginie. Lub ja umrzeć muszę —  
Bo nie przeżyję tego. Precz ode mnie,  
Precz z moich oczu!

**Podkom.** (*podając jej rękę*). Wstań siostró. Bóg jeden  
Może złagodzić srogość jej uczucia.

**Izabella.** Matko, litości! Zmierz ogrom nieszczęścia,  
Póki czas jeszcze.

**P. Poniat.** Ha, ha i czegoż to  
Żądasz ode mnie?

**Izabella.** To straszne, to straszne!  
(*Wychodzi szybko, za nią Podkomorzy*).

**P. Poniat.** (*sama*).  
Nędzna, ty nie wiesz, że to jedno tylko,  
Iż miałaś Tarłą pokochać zuchwałość,  
Wystarczyłoby jego śmierć sprowadzić.  
Dodałaś bodźca nowego mej zemście,  
Teraz po dwakroć dla mnie upragnionej.  
Błędy miłości naprawić nienawiść

Tylko jest zdolną. Teraz prędkiej rady  
I czynu trzeba, by tę świeżą hańbę  
Ukryć przed światem. Nawet i przed Korffem  
Muszę zamilczeć. Ha, ten tchórz bezczelny  
Pomotał nici naszego zamysłu,  
Że nie wiem, jak je zawiązać na nowo.  
To położenie fatalne! Lecz Korff gdzie?  
Czemu nie widać go dotąd?

**Korff** (*wchodzi — n. s.*) Eh, Madame  
Tak sfrasowana! (*Głośno*). Bon jour, mościa pani.

**P. Poniat.** Ach, Korff! nareszcie przybywasz. Jak mogłeś  
Pozwolić na ten skandal?

**Korff.** Oponować  
Nie mogłem. Wszystko się stało formalnie  
I niespodzianie, że napróżne były  
Me chęci, aby skrzyżować im szpady.

**P. Poniat.** I w takim stauie zostawiasz mnie samą;  
Cóż cię dotychczas mogło gdzie zatrzymać,  
Gdy wiesz, że dotąd będę cierpieć, póki  
Nie znajdę rady i chociaż nadzieję  
Zemsty, wzburzonej duszy nie ukoję.

**Korff.** Nie próżnowałem ani jednej chwili,  
I wiedząc, że kuć najlepiej żelazo,  
Póki gorące, uprzedziłem chęci,  
Jakie masz pani. Rzuciłem już ziarno  
Nowej niezgody. Tylko czekać chwili,  
Gdzie Tarło wyzwie znów podkomorzego.

**P. Poniat.** Lecz skąd podobne masz nadzieje?

**Korff.** Madame,  
Czyliż mej głowie próżno zwierzyliście  
Całą tę sprawę? Byłbym wielkim frycem,  
Gdybym dał zbić się z toru jednym krokiem,  
Który fałszywie stawia jakiś młokos.  
No, podkomorzy, nie chciałeś mnie słuchać,  
Lecz będziesz jeszcze tańczyć, jak ci zagram!  
No, mości Tarło, chciałeś podrzeć sieci,  
Którem założył, lecz czekaj, niedługo  
Tak cię powikłam, że nogą nie ruszysz!

**P. Pon.** Ale mów, skończ raz moją niecierpliwość.

**Korff** (*podaje jej broszurę*). Lisez cela, Madame.

**P. Poniat.** Cóż to ma znaczyć? (*Czyta*). Ha!

**Korff.** Nad tą broszurą z całą żarliwością  
Mózg wysuszałem, odkąd między nami  
Na zgubę Tarły wyrok był wydany.  
Warszawa będzie miała dość zabawy  
Patrząc w tej czulej pary tajemnice,  
Jakiemi Tarło miłość swą ubarwił.

**P. Poniat.** Oh, c'est magnifique, Korffie!

**Korff.** Takich broszur

Porozrzucałem krociami po mieście,  
Na wszystkie strony i w wszelaki sposób,  
A razem z niemi i tę wieść stugębną,  
Że podkomorzy jest ich autorem.  
Chociażby Tarło temu nie uwierzył,  
To obojętna. Sprawy tego czynu  
Musi dochodzić nie podług swej wiary,  
Lecz według głosu powszechnej opinii.  
A więc czekajmy tylko, rychło znowu  
Zmierzą się obaj.

**P. Poniat.** Dziękuję ci, Korffie.

(*Podaje mu rękę*).

**Korff** (*całując ją*). O madame, przecież przy tym interesie

Ja także mam swą cząstkę przyjemności.  
Bądź więc spokojną, pani. Ja tymczasem,  
Jakby Fortuna z rogu obfitości,  
Na ludzkie myśli łaknące uciechy,  
Choć ze skandalu, choćby z cudzej biedy,  
Idę siać dalej humor i wesołość.

**P. Poniat.** Adieu, Korffie, życzę ci sukcesów  
Najpomysłniejszych. (*Do odchodzącego*).

Słuchaj jeszcze, Korffie.

Prócz Kazimierza jest jeszcze ktoś drugi,  
Kogo należy się strzedz — Izabella.  
Bądź więc ostrożny przed nią.

**Korff.** Jakto, ona?

**P. Poniat.** Tak, wybadałam z niej, żeby przeciwną

**Korff.** Była wszelakim zamachom na Tarłę.  
Nikt nie żałował, gdy niezbyt dowierzał.  
Ale zaiste, ten Tarło czarodziej!  
Tyle współczucia umie budzić w duszach,  
Że najszcześliwszym powinien być z ludzi.  
(*Rozchodzą się*).

SCENA 3.

Sala u Księcia Kasztelana.

(*Tarło i Rozalia wchodzą*).

**Rozalia.** Widzisz, mój Tarło, jak na tych drzew szczytach  
Ostatnie słońca konają promienie.  
O, dziwna rzecz to, że mi taką radość  
Sprawia to dziennej gwiazdy pożegnanie,  
A taką boleść jej wschód we mnie budził!  
Mój drogi, widać, że prawdziwem słońcem  
Ty dla mnie jesteś.

**Tarło.** Nie powinnaś była  
Temu smutkowi oddawać się cała;  
Wszak słońce wraca, tylko chmury giną.  
Czym ci wyraźnie wczoraj nie przyrzekał,  
Że mnie dziś ujrzysz całego i zdrowo?  
Ma przepowiednia spełniła się całkiem;  
Bo póki czuję, że ma rola życia  
Swych słów ostatnich nie wypowiedziała,  
Mam silną wiarę, że z toni najgłębszej  
Na wierzch wypłynę.

**Rozalia.** Jam już zapomniała  
O wszystkich smutkach i snem mi się zdaje  
Boleść, co zgasła już na dnie mej duszy.

**Tarło.** Usiądź tu, Róžo! Jakżeś ty jest piękną!  
Doprawdy, jeśli pomyślę, że pchnięcie  
Podkomorzego mogło mię pozabawić  
Wszystkich tych skarbów, muszę sobie przyznać,  
Żebym utracił był nadzwyczaj wiele,  
Daleko więcej, niż utracić może

Zwykły śmiertelnik, nie szemrzając na nieba.  
O, moja Różo!

**Rozalia.** Mój Tarło, ty żyjesz  
I ty żyć będziesz dla mojego szczęścia.  
Jakże Bóg łaskaw!

**Tarło.** Powiedz mi, pieszczoto,  
I kiedyż ślub nasz? niedługo?

**Rozalia.** O, tak jest,  
Mówiłam o tem z ojcem i powiedział,  
Że skoro tylko trybunał się skończy  
I mieć będziecie obaj wolne głowy,  
Pomyśli zaraz o tem. Co za szczęście!  
Za dwa miesiące, może nawet prędzej,  
Będę twą żoną. Ty się nie odmienisz,  
Ty będziesz zawsze kochał mnie jak dzisiaj?

**Tarło.** I więcej jeszcze, jeśli to być może,  
Tak, piękna Różo!

**Kasztelan** (*wchodzi*). Mości panie Tarło,  
Do twej karety, stojącej przed bramą,  
Te tu papiery wrzucił jakiś człowiek,  
Który natychmiast uciekł. Jak się zdaje,  
Są przeznaczone dla was, bo na wierzchu  
Wasze nazwisko stoi.

**Tarło.** Mości książę,  
Przekonamy się zaraz.

**Rozalia.** Cóż to znowu?

**Tarło.** Tak, w rzeczy samej dla mnie przeznaczone.  
Brozura wyszła z druku i ołówkiem  
Dopisane: dziś tysiąc takich książek  
Czyta Warszawa. To coś ciekawego.

(*Czyta z Rozalią*).

**Kaszt.** To pewnie jaka odezwa, lub koncept  
O trybunale blizkim.

**Rozalia.** Wielki Boże! (*Pada na krzesło*).

**Kaszt.** Co ci jest, Różo!

**Tarło.** Ha, łotr Poniatowski!

**Kaszt.** Co mówisz, Tarło!



**Tarło.**

Czytaj, mości książe!  
Te słowa zioną z siebie jad śmiertelny.  
O, nie płacz Rózo, nie płacz — oni raczej  
Płakać powinni! O, nie płacz na Boga,  
Bo serce we mnie pęknie — o Rozalio!

**Rozalia.**

Ach, niegodziwi ludzie!

**Tarło.**

Oni za to  
Drogo zapłacą. Każda łza twych oczu  
Na ich pamięci kamieniem zacieży.  
Biedna Rozalio!

**Rozalia.**

O Tarło, ty znowu  
Na śmierć narazisz życie! To okropne  
Dla mego serca!

**Kaszt.**

Bóg na nas jest gniewny,  
Jeśli dopuścił, że nieprzyjaciele  
Nawet najczystsza cnotą pomiatają.  
O biedne oczy, które widzieć muszą,  
Jak to niewinne dziecko, którem chował  
Na chwałę Boga i pociechę ludziom,  
Ta córka, która była dla mnie kwiatem,  
Wzrosłym na dzikiej niwie mej starości,  
Dziś schyla głowę ku ziemi i tuli  
W dłonie swe oczy, jakby zasłużyła  
Na ten wstyd hańby, którą świat obarcza  
Jej słabą duszę!

**Tarło.**

O, okropny widok!  
Tutaj dziewczica we łzach się pławiąca,  
Z zranionem sercem i bolesnem czołem;  
Tutaj bezsilny starzec, cały w jękach  
Nad znieważoną świętością swej córki!  
Któżby miał serce, albo tak nieczułe,  
Albo tak nędzne, ażeby ten obraz  
Nie zbudził zemsty w nim? A jeszcze wiedzieć,  
Że tych łez jestem przyczyną!... Na Boga,  
Ja wam powrócę spokój i nagrodzę  
Wstyd poniżenia!

**Rozalia.**

O, nigdy, mój Tarło!  
Ty mnie na wieki zgubisz. Czyż nie widzisz,

Że oni ogień twojej namiętności  
Pragną rozniecić, byś sam w nim się spalił.

Tarło, ja ciebie całuję po rękach,  
Daj się złagodzić. Gdyby w rzeczy samej

Dla twego dobra został pokalany  
Mój honor, gdyby dłoń nieprzyjaciela  
Mogła mi w oczy rzucić sprawiedliwie

Sromotną hańbę i cześć utraconą —

Tarło, ja zniosłabym podobne ciosy,

I nie odparła ich nawet półsłowem,

Gdybym wiedziała, że za taką cenę

Trzeba mi kupić twe życie i szczęście.

**Tarło.** Och, twe lekarstwo rozognia tę ranę,

Twój jęk gołębi tygrysa obudza!

**Kaszt.** Tarło, przecierpieć daj nam tę zgryzotę,

I zemsty za nią nie szukaj. O, pomyśl,

Ty możesz zabić tę biedną istotę,

Gdyby nie tobie los oddał zwycięstwo.

Świat widać dotąd zapomnieć nie może

Mojego błędu, za który już nieraz

Rzewnemi łzami Boga przebłagałem.

Daruj mi, Różo! Gdyby twa kolebka

Od pierwszej chwili miała ponad sobą

Książęcą mitrę, dzisiajby nie śmieli

Ust swych na ciebie otworzyć.

**Rozalia.** Mój ojczy,

Nie mów mi tego!...

**Tarło.** Mości książę, nadto

Pobłażający jesteś. Któż ma prawo

Dochodzić rodu twojej córki, jeżeli

Tyś jest jej ojcem, jeżeli ja jestem

Przyszłym jej mężem? Za taką zniewagę

Ostatni nędznik oddałby swe życie.

*(Wbija pismo na szpadę).*

Temu łotrowi wepchnę jego pismo

Razem ze szpadą w serce. Podły zdrajca!

Dziś rano ścisnął mą rękę, bo może

Bał się widoku żelaza, i lepiej

Umie zabijać słowami niż mieczem!  
Rzecz nieskończona jeszcze! Bądźcie zdrowi.

**Rozalia.** Nie odchodź, Tarło...

**Tokarzewski** (*wchodzi*). Mości wojewodo,  
Jesteś tu! Ha, to zgroza, to do nieba  
O pomstę woła! Takie bezceństwa  
Kazał drukować. Czytaj, wojewodo —  
Paszkwil na ciebie i księżniczkę pannę,  
Który już gawiedź czyta po ulicach!  
Wyrwałem z garści takiemu łotrowi  
Te psie krzyki...

**Tarło.** To mi krwią mózg zaleje!  
Patrz, stary, tutaj na końcu mej szpady  
Mam już ten szpargał!

**Tokarz.** To świat już się kończy!  
To podkomorzy, ten łotr, dał drukować.  
Tak o tem mówi głośno całe miasto.

**Tarło.** O, gdyby teraz był tutaj!...

**Kaszt.** Na Boga,

**Tarło.** Tarło, nie daj się zwalczyć namiętności!  
Chciałbym go zabić — tak zabić! dopiero  
Ochłódnę wtedy. Do jakiegoż stopnia  
Dojść może ludzka złość, że w naszej duszy  
Burzy porządek, jaki Bóg jej nadał,  
I w jej zakątek najtajniejszy wpuści  
Swoją jad gryzący, który jak zarzewie  
Pali szpik naszych kości! To szaleństwo,  
O jakie ludzka podłość nas przyprawia,  
Jest najstraszniejsze. Pójdź ze mną, mój stary,  
Trzeba się zemścić, lub skończyć tę mękę!  
**Rozalia.** Wstrzymaj się, nie chodź!..

**Kaszt.** Miejże nad nią litość!...

Mój Tokarzewski, pomóż mi złagodzić  
Gniew wojewody.

**Tokarz.** Ha, tego już nadto!  
Anielskiejby już brakło cierpliwości!  
Mój mości książę, tym podłym potwarcom  
Trzeba raz zamknąć usta — tego błazna

Niech wojewoda zabije, bo o to  
Krzyczy do nieba jego straszna krzywda!  
O, jabym zabił go sam!...

**Tarło.** Dobrze, stary!  
Chociaż ty jeden jesteś po mej stronie.  
Zegnam cię, książę.

**Rozalia.** Ja ciebie nie puszcze —

**Tarło.** Rozalio!

**Rozalia.** Na mą miłość cię zaklinam,  
Wstrzymaj się chociaż godzinę.

**Tarło.** Czy myślisz,  
Że we mnie jedna godzina przygłuszy  
Pamięć i czucie? — Bądź zdrowa, Rozalio.  
Jeżeli zginę, krew moja popłynie  
Za twoją dobrą sławę. (*Wydziera się jej*).

**Rozalia.** Ach, okrutny!

**Tarło.** Pójdź, Tokarzewski. Niechaj Poniatowski  
Nie tryumfuje długo.

**Tokarz.** Chodźmy, panie (*Wychodzą*).

**Kaszt.** Wszechmocny Boże, miej litość nad nami!  
Biedna Rozalio!

**Rozalia.** Mój ojcze! mój ojcze!  
(*Rzuca się na ramiona ojcu i wychodzi z nim*).

---

## AKT CZWARTY.

### SCENA 1.

Sala u pani Poniatowskiej.

*(Podkomorzy i Ks. Wojewoda wchodzą z różnych stron).*

**Podkom.** Mój stryju, na sam czas tutaj przychodzisz:  
Właściem otrzymał odpowiedź od Tarły.

**Ks. Wojew.** Jestem ciekawy bardzo. Cóż odpisał?

**Podkom.** Nie chce o niczem słyściec i powiada,  
Że mu zupełnie obojętne, czyli  
Ja jestem, czyli nie jestem autorem  
Tych pism przeklętych, lub czylim należał  
Do tego spisku, gdy wszyscy w Warszawie  
O mnie tak głoszą, i kiedy ta napaść  
Jest tylko dalszym ciągiem pojedynku,  
Który tak dziwnym skończył się sposobem,  
Że brak rozwagi mógł to tylko zrobić.

**Ks. Wojew.** Przekłeta sprawa! W niestósowną porę  
Ten pojedynek spadł na nasze karki.

**Podkom.** Niema w tem mojej winy. W pierwszej chwili  
Wprost powiedziałem Tarle, że nic nie wiem,  
Cokolwiek o nim piszą i drukują,  
Że się niesłusznie czepia mej osoby.  
Wziął to za kłamstwo, dopatrzył się nawet  
W mojem twierdzeniu jakiegoś szyderstwa.  
To ten przeklęty Korff sprawcą wszystkiego!  
Chociaż się nie chce przyznać i udaje,  
Że wierzy temu, iż owe paszkwile  
Z mej ręki wyszły. Lecz dobrze pamiętam,  
Co mi na placu mówił pojedyнку.

**Ks. Wojew.** Tego człowieka należy oszczędzać,

Bo chociaż grubo pobłądził w tej mierze,  
Może nam jeszcze nieraz być przydatny.  
Zresztą wiesz dobrze, jak się zapatruje  
Na tę rzecz Tarło. On dobrze rozumie,  
Że Korff nie działał tu w swoim imieniu,  
Lecz za nas wszystkich.

**Podkom.** O, ja nienawidzę  
Tego słuźalca, który w gorliwości  
Wyprzedził nawet chęci swoich panów!

**Ks. Wojew.** Dajmy Korffowi spokój. Wszak pojutrze  
Macie się spotkać?

**Podkom.** Tak jest. Wyzaczyłem  
Za tydzień termin, a właśnie pojutrze  
Tydzień się kończy.

**Ks. Wojew.** Więc trzeba się spieszyć.  
Jedyny jeszcze zostaje ratunek,  
Jeżeli zdołam namówić twą matkę,  
By ustąpiła sile konieczności  
I na czas inny odłożyła zemstę.

**Podkom.** Zrób to, mój stryju, a będę ci wdzięczny  
Z całego serca.

**Ks. Wojew.** La voici qui vient.  
Oddal się, chcę z nią sam na sam pomówić.

**Podkom.** Que Dieu vous aide! (*Wychodzi. P. Poniatowska wchodzi.*)

**Ks. Wojew.** Bon jour, madame.

**P. Pon.** Bon jour.

**Ks. Wojew.** Pragnąłem bardzo widzieć się z waćpanią.

**P. Pon.** Przyszłam cię słuchać, książe.

**Ks. Wojew.** Raz ostatni  
Chcę się rozmówić stanowczo, byś pani  
Nie wyrzucała mi później skrytości,  
I nie mówiła, że w sprawie tak ważnej,  
Gdzie nas oboje wiążą wspólne cele,  
Coś uczyniłem pomimo jej wiedzy.

**P. Pon.** Więc książe ciągle trwasz w swoim zamiarze?  
Myślałam, żeś to nareszcie zrozumiał,  
Iż źle postąpić chciałeś.

- Ks. Wojew.** Mościa pani,  
Po czyjej stronie jest błąd, to należy  
Rozważyć jeszcze pilniej. I nawzajem  
Ja się zapytam, czy wojewodzina  
Jeszcze do dzisiaj trwa w swoim uporze?
- P. Pon.** Co o tem myślę, mówiłam już nieraz.  
Zdania nie zmieniam często.
- Ks. Wojew.** I ja również.  
Lecz tylko wtedy, gdy mam przekonanie,  
Że jest rozsądne.
- P. Poniatowska.** Laissons donc cela de grace!
- Ks. Wojewoda.** I owszem, chciałbym, ażebyś waćpani  
Nie odpychała tej myśli od siebie,  
Ale ją wzięła dobrze pod rozwagę.  
W obecnych czasach pojedynk z Tarłą,  
I wszelka nawet zbyt jawna nieprzyjaźń,  
Są niebezpieczne dla nas. Całe miasto  
Jest oburzone na to, co niedawno  
Spotkało Tarłę; wszystka prawie szlachta  
Zgrzyta zębami, że jej ulubienca  
Podobny afront spotkał, i do miasta  
Wali się hurmem, gotowa go poprzeć  
I szablą, jeśli tylko na nią skinie.  
A tu trybunał się zbliża, na którym  
Jeżeli chcemy mieć głos jakikolwiek,  
Musim umysły kaptować pospólstwa.
- P. Pon.** To polityka nędzna, która każe,  
Dla dogodzenia kaprysom motłochu,  
Składać ofiarę z własnej swej godności  
I ze wstydu się wyzuć.
- Ks. Wojew.** Nie tak z góry,  
Wojewodzino! To postępowanie,  
Które tak gromisz, jest jedynym środkiem,  
Który nam może zapewnić przewagę.  
Nic nie wskóramy siłą, a dlatego  
Ze ona dotąd nie jest w naszym ręku —  
Siłę ma dzisiaj Tarło. Naszą bronią  
Jest tylko rozum. Tak jest, mościa pani,

*(uderza się po czole).*

Tu nasza przyszłość. A rozum dziś radzi  
Robić ustępstwa i dążyć do zgody.

**P. Pon.** C'en est trop! Książę, oszczędzaj mych uszu.  
Jabym dziś chciała widzieć trupa Tarły,  
I być spokojną, że honor rodziny  
Nie cierpi szwanku.

**Ks. Wojew.** Sposób, jaki radzę,  
Nie może rzucić na nas cienia hańby,  
Nasz honor będzie cały, choć król każe,  
By przeciwnicy dłoń sobie podali.

**P. Pon.** Lecz niech się tylko dowiedzą, że książę  
Jeden krok zrobił, by wpłynąć na króla;  
Niech o tem nawet nie wiedzą i tylko  
Niech się domyślą, że coś podobnego  
Mogło się zdarzyć i jest nam potrzebne:  
Książę, natenczas zabiją nas śmiechem  
I szyderstwami. Już raz to znosiłam,  
Już raz widziałam, jak my wyglądamy,  
Gdy nasz przeciwnik tryumfy odprawia —  
I dość mi tego!

**Ks. Wojew.** Pani się unosisz  
Fałszywym wstydem i ambicya mówi  
Przez twoje usta. Jeśli nie umiemy  
Poświęcić czasem swej osobistości,  
Nie dojdziem nigdy celu. I śmierć Tarły  
Nie jest zadaniem naszym ostatecznym.

**P. Pon.** Po jego śmierci przyspieszymy drogę.  
Ręczę ci za to, mój książę.

**Ks. Wojew.** Waćpani  
Zbyt sobie ufasz. Dostyc już kłopotów  
Przysporzyliście mi oboje z Korffem.  
Ta rzecz iść musi porządniejszym torem,  
Nie chcę się rzucać jak wy po manowcach,  
Ani na tyle zawieść mną nie włada,  
Abym drugiego spychał do przepaści,  
Jeżeli widzę, że mam razem spadać.  
Więc zapytuję jeszcze raz waćpani,



Czyli się zgadzasz, bym poszedł do króla.

**P. Pon.** Nie — nigdy, na to nie pozwolę,  
Ażeby syn mój podał rękę Tarle!

**Ks. Wojew.** Madame, uparta jesteś. I choć żal mi,  
Że dalej zgodnie działać nie możemy,  
Muszę napomnieć posłuchać rozsądku.  
Idę do króla.

**P. Pon.** Książę, czyś obliczył  
Następstwa tego kroku?..

**Ks. Wojew.** Niech waćpani  
Będzie spokojną. (*Wychodzi*).

**P. Pon.** (*idzie do drzwi bocznych i woła w nie*):  
Korffie, pójdz tu Korffie!

**Korff** (*wchodzi*). I cóż? na czymże stoi?

**P. Pon.** Le diable s'y mêle,  
Książę do króla poszedł.

**Korff.** Tym sposobem  
Nasze zabiegi miałyby pójść w niwecz...  
Lecz mam nadzieję jeszcze...

**P. Pon.** Jaka, Korffie!

**Korff.** Że Tarło księciu pokrzyżuje plany,  
I nie przystanie na żadaną zgodę.  
Tarło już wściekł się.

**P. Pon.** Lecz jeśli król każe!...

**Korff.** Ha, biada z tymi ludźmi, którzy wszędzie,  
Co chwila muszą się dobrze namyślać,  
I przez rozsądek gubią swą odwagę;  
Którzy co chwila wstrzymują się w biegu,  
Jakby się bali, że za prędko idą!

**P. Pon.** Ale cóż potem, mój Korffie?..

**Korff.** Jak sędzę,  
Wojewodziny jeszcze nie odeszła  
Ochota, aby pomścić się na Tarle,  
I mnie jej nie brak. To winno wystarczyć.  
Jednak nie trzeba wyprzedzać wypadków.  
Tymczasem idę na zamek, by skutki  
Zabiegów księcia jak najprędzej zbadać.  
Jeszcze nie traémy nadziei, że Tarło

Sam do swej zguby będzie nam pomocny.  
(*Rozchodzą się*).

SCENA 2.

Sala na Zamku królewskim.

(*Król i ks. Wojewoda wchodzą*).

- Ks. Wojew.** Tak, najjaśniejszy panie, tu należy  
Wszelkich sił użyć, ażeby nieszczęściu  
Zapobiedz rychło. Niechaj król rozważy,  
Że sprzeczka między dwiema rodzinami,  
Tak stojącemi na widoku świata,  
Jak stoi nasza rodzina i Tarły,  
Jeśli umysły walczących rozdrażni,  
Nie będą mogły bez ujmy na cześci  
Zapomnieć uraz, lecz owszem ostatnich  
Będą zmuszone chwycić się sposobów,  
Aby utrzymać w całości swój honor.  
Tak, że domowa wojna tego starcia.  
Wcześniej czy później, musi być następstwem.
- Król.** Te spory, które tak daleko zaszły,  
Smucą mnie bardzo, i ile w mej mocy  
Będę się starał zażegnać tę burzę.  
I myślę nadto, że memu życzeniu  
Tarło zadosyć uczyni. Wiem dobrze,  
Jak jest przychylny dla mojej osoby,  
I że mi zechce odplacić tę przyjaźń,  
Której doświadczył nieraz, nawet wtedy  
Gdyby to miało przykrość mu wyrządzić.
- Ks. Wojew.** Dla spokojności ojczyzny winniśmy  
Ze swoich chęci złożyć coś w ofierze.  
Sire, wszak dla oczu patrzących po wierzchu,  
Nie umiejących cenić poświęcenia,  
Może się zdawać, iż czynię niegodnie,  
Gdy nie dopuszczam, ażeby mój krewniak  
Zmierzył się z Tarłą, o którym powszechnie  
Wiadomo, że jest naszym przeciwnikiem.

**Król.** Książę, umiemy cenić ten postępek.

**Ks. Wojew.** Czy rozkazała wasza mość królewska  
Zawezwać strony?

**Król.** Tak jest, mości książę.

**Ks. Wojew.** Widzę, że idzie już marszałek. Zatem  
Ja się oddalam i wkrótce przybędę  
Wraz z podkomorzym, jakby na wezwanie  
Waszej królewskiej mości.

**Król.** Dobrze, książę.  
Będę szanował winne dla was względy,  
I nikt się więcej oprócz mnie nie dowie,  
Ześmy mówili o tem.

*(Ks. Wojewoda oddala się. Bieliński wchodzi).*

**Król.** Mój marszałku,  
Zawezwałem was, byście mi pomogli  
Zakończyć drogą polubowną spory  
Poniatowskiego z Tarłą.

**Bieliński.** Bardzo mądrze  
Wasza królewska mość uczynić pragnie.

**Król.** Kiedym usłyszał o tem, co zagraża  
Spokojności mych rządów, zawezwałem  
Poniatowskiego z księciem wojewodą  
I z kasztelanem Tarłę, byśmy wszyscy  
Na przeciwników rozumem wpłynęli.  
Ot, idzie Tarło.

*(Tarło i Kasztelan wchodzi).*

**Tarło.** Sire, wasze rozkazy  
Księcia wraz ze mną tutaj powołały.  
Oczekujemy waszej dalszej woli.

**Król.** Jestem wam wdzięczny za to, wojewodo,  
I tobie, mości książę. Ważna sprawa,  
Ne detrimenti quid res nostra capiat,  
Była powodem mojego wezwania.  
I sędzę, mości panowie, że znajdę  
U was unysły powolne i radę,  
Jakby odeprzeć nastającą klęskę.

**Kasztel.** Gdy od nas żąda pomocy ojczyzna,  
Prędzej nam braknie siły niżli chęci.

**Król.** Lecz otóż właśnie Poniatowski z księciem.  
(*Podkomorzy i Ks. Wojewoda wchodzą, witają Króla i obecnych.*)

Witajcie, moi panowie.

**Tarło** (*n. s.*) Ha, książę,  
I Poniatowski!... Coś złego się knuje!

**Król.** Mości panowie, siadajcie. — Gdy teraz  
Jesteście wszyscy, jak chciałem, wyjawię,  
Dlaczego was tu przed siebie wezwałem.  
Was to najwięcej obu się dotyczy,  
Poniatowski i Tarło!

**Tarło** (*n. s.*) Ha!

**Król.** Bolescią  
Przeszyły moje serce wiadomości  
O nieprzyjaźni waszej i niesnaskach,  
Które do takiej zaszły zawziętości,  
Iż dwaj z najpierwszych w kraju rodzin ludzie,  
I pełni zasług i dalszych nadziei,  
Dają zły przykład wszystkim młodszej braci,  
Gdy już po drugi raz pragną żelazem  
Dochodzić swoich uraz, zapomniawszy,  
Że prawo bronią jest sprawiedliwości.

**Tarło** (*powstając*). Sire!...

**Król.** Daj mi skończyć, mości wojewodo.  
To, co wy dzisiaj między sobą dwoma  
Robicie, jutro za waszym przykładem  
Powtórzy ludzi tysiące. Spójrzyjcie,  
Jaki gniew w piersiach wre waszych stronników.  
Jeśli wy swoje skrzyżujecie miecze,  
Za wami staną dwa długie szeregi  
Zaciętych wrogów, z których każdy gotów  
Tak szablę w sercu utopić drugiego,  
Jak wy czynicie. Tak, mości panowie,  
Wasz pojedynek będzie hasłem krwawej  
Domowej wojny.

**Kasztel.** Najjaśniejszy panie,

**Król.** Błogosławimy twą pieczołowitość.  
Dlatego obu wezwałem przed siebie

I tych tu panów, którzy połączeni  
Z wami przez związki krwi albo przyjaźni  
Na waszą ufność pewnie zasługują,  
By wspólnie z nimi umysły zjążrzone  
Przywieść do zgody. Cóż, mości panowie,  
Czy nie jesteście ze mną jednej myśli?

**Ks. Woj.** Tak, miłościwy królu, nie pragniemy  
Niczego więcej, jak stłumić tę hydrę,  
Któraby wiele ofiar pochłoneła.

**Król.** A cóż ty powiesz, Tarło?

**Tarło.** Sire, służyłem

Długo i szczerze królewskiej osobie,  
Lecz nie sądziłem, że za moje służby  
W ten sposób, jak dziś, będę nagrodzony!..

**Król.** Mości Tarło!

**Tarło.** Mój królu, ja nie chciałem

Majestatowi uchybić. Lecz widzę  
Z twej mowy, żeś jest albo oszukany,  
Albo tej sprawy nie znasz należycie.  
Słuchaj mnie, królu. Moją narzeczoną  
Ten pan i jego matka obrazili  
Śmiertelnie. Wtedy chciałem pojedyнку,  
Ale na placu zamiast bić się ze mną,  
Dłoń mi na zgodę podał mój przeciwnik  
I wobec świadków publicznie przeprosił.  
Lecz cóż się dzieje? Dnia tegoż samego  
Wychodzi paszkwil ohydny w Warszawie,  
Który ostatnich słów nie szczędzi, aby  
Dotknąć honoru tej samej osoby,  
Za którą raz już stawałem do walki.  
Zgoda więc była fałszem, była tylko  
Nędznem szyderstwem z mego nierozsądku,  
I zdradą mojej słabości — bo paszkwil  
Pan podkomorzy wydał.

**Podkom.** Wojewodo,

Mylisz się bardzo. Ja nic o tem nie wiem,  
Przysięgam ci raz jeszcze.

**Tarło.**

Mniejsza o to.

Jeśli nie ty sam, to ktoś z twojej rodziny  
Był tym autorem.

**Ks. Woj.** Mości wojewodo,  
To jest obrazą dla nas...

**Tarło.** Ach, mój panie,  
Cięższa obraza mój honor spotkała!  
A że jesteście moimi wrogami,  
I ty i cała familia, to pewne,  
Jak że to słońce świeci. Ja to mógłbym  
Zanieść do ciebie, królu, zażalenie  
Na niegodziwość tych ludzi, co wszędzie  
I zawsze dają mi czuć swą nienawiść.  
Lecz są obelgi i ludzie tak zręczni,  
Którzy nie ledwie serce wydrą z piersi,  
A sprawiedliwość musi zamknąć oczy,  
(uderza po szpadzie)

**Król.** I chyba tylko ten sędzia nas pomści!  
Mój panie Tarło, ja żądam od ciebie  
Na miłość drogiej ci Rzeczypospolitej,  
Abyś ustąpił.

**Tarło.** Nigdy, mości królu!  
Możesz zażądać wszystkiego ode mnie,  
Możesz mi nawet odebrać co dałeś,  
I województwo i krzesło w senacie  
I generalską szarfę, ale szpady,  
Którą utopić chcę w piersiach oszczercy,  
Nie wydrzesz, królu!...  
(*Wszyscy powstają*).

**Król.** Patrzcie się, panowie,  
Jaka zawziętość!

**Bieliński.** Całkiem nieprzystojna  
Senatorowi w Rzeczypospolitej.

**Kaszt.** Smucisz nas bardzo, mości wojewodo.

**Tarło.** Ach, wy! wam starość krew już zamroziła,  
Wy zapomnicie, że was serce boli,  
Jeśli zapomnieć rozsądek wam każe!  
Czyż stary rozum tego was naucza,  
Że wtenczas dobrze się dzieje ojczyźnie,

Kiedy bez kary wina, gdy przewrotność  
Swobodnie kroczy po karkach niewinnych,  
Kiedy szlachetne serca krwią się broczą,  
A swym tryumfem intryga się cieszy!

**Ks. Woj.** Mój panie, winnych zapominasz względów  
Dla króla pana i dla nas obecnych,  
Których tu dobro kraju zgromadziło.

**Król.** Dość tego! — Cóż ja mam teraz uczynić?  
Tak, wojewodo, ty sam, ochłonawszy,  
Przyznałbyś, żem nie postąpił rozsądnie,  
Gdybym tę sprawę rzucił nieskończoną;  
Względy i przyjaźń, którą dla was czuję,  
Muszą ucichnąć na głos obowiązku.  
Więc rozkazuję wam obom, panowie,  
Zaniechać całkiem myśli pojedynku,  
I kładę arest na wasze osoby,  
Mocą którego nie wolno wam odtąd  
Samym zadosyć uczynienia szukać.  
Mości marszałku, tobie zaś poruczam  
Czuwać, by rozkaz mój był wypełniony.

**Tarło** (*n. s.*) Ha, trzeba lisem być, gdy lwem nie można!

**Król.** Mości panowie, przyjmujecie arest?  
Bo jeśli dobrej woli w was nie znajdę,  
Użyję wszelkich środków przezorności.  
(*Zwraca się do Tarły*).

**Tarło.** Sire, dobrowolnie nie mogę się poddać  
Twemu życzeniu, lecz gdy rozkazujesz,  
Opór z mej strony byłby nadaremny;  
Królewskiej woli muszę być posłuszny.  
Ale wprzód chciałbym wiedzieć, czyli również  
Pan podkomorzy myśli.

**Podkom.** Panie Tarło,  
Gdy ty, coś stroną był wyzywającą,  
Chęć posłuszeństwa pokazujesz jawnie,  
Tembardziej moim jest to obowiązkiem.  
Pierwszy więc mówię, że arest przyjmuję  
I chęć się zgodzić z tobą. Daj mi rękę.

**Tarło.** I ja przyjmuję arest, mości królu.

Oto ma ręką.

**Kaszt.** Dzięki ci, mój Tarło.  
**Król.** Tak jest, panowie, przy wzajemnej zgodzie  
Rzeczpospolita tylko kwitnąć może.  
Dzisiaj daliście piękny tego przykład,  
Jak się poświęcać dla dobra ogółu,  
I każde mądre usta was pochwałą.  
*(Do reszty obecnych).*  
Zachody nasze nie były daremne,  
Cieszymy się z tego.

**Ks. Woj.** Twojej to mądrości  
Winniśmy, królu.

**Król.** Żegnam was, panowie.

**Ks. Woj.** Jego królewska mość raczy pozwolić,  
Że odprowadzim go.

**Król.** I owszem, pójdźmy.  
*(Król, Ks. Wojewoda, Kasztelan i Bieliński wychodzą.  
Tarło zatrzymuje Podkomorzego).*

**Tarło.** Mości panie, słów parę mam powiedzieć,  
Zechej poczekać na mnie w przedpokojach.

**Podkom.** Czegóż pan żądasz?

**Tarło.** Pomówimy później.  
*(Wychodzą za innymi).*

### SCENA 3.

Przedpokój na Zamku.

**Korff** *(wchodzi)*. Nie, nic już więcej mój mózg nie wylęgnie!  
Coś zrobić może tylko Poniatowski,  
Bo już ze sobą tak zaszli w stosunki,  
Że z tego starcia musi trysnąć iskra.  
Lecz że ten człowiek tak słaby, koniecznie  
Trzeba mu zmniejszyć zadanie i ulżyć  
Trochę ciężaru. Pójdzie z większą chęcią,  
Kiedy mieć będzie swobodniejsze barki.  
Jeśli się Tarło nie zgodzi, pojutrze  
Może być w grobie — a jeśli ustąpi,



Cóż łatwiejszego jak znów ich pokłócić?  
Poniatowskiemu tylko trzeba ulżyć,  
Inaczej nigdy z miejsca nie ruszymy.

(*Podkomorzy wchodzi*).

Czekam tu, mości panie.

**Podkom.** A, tyś tutaj!

**Korff.** Jestem ciekawy nowin.

**Podkom.** Grace à Dieu,

Wszystko się dobrze skończyło.

**Korff.** I Tarło

Podał ci rękę?...

**Podkom.** Tak jest.

**Korff.** Z własnej woli?

**Podkom.** Nie wiem, jak to mam nazwać.

**Korff.** Ależ przecie!...

**Podkom.** Zrazu opierał się, lecz gdy król areszt  
Na nas położył, zgodził się na wszystko —  
Podał mi rękę. Otóż widzisz, Korffie,  
Że wszystko dobrze jak chciałem.

**Korff.** Ha, widzę!

Ale, mój panie, dla Poniatowskiego  
Tylko się wtedy ta rzecz dobrze skończy,  
Kiedy już Tarły nie będzie na świecie.  
Cóż znaczy taka wymuszona zgoda?  
Lada sposobność, najmniejsza drobnostka,  
Jeden krok, którym wyprzedzi drugiego,  
Jedno kasznięcie, kiedy drugi mówi,  
Takich przyjaciół obraża i kłóci.  
Mój panie, mówię szczerze i otwarcie:  
Dla ciebie niema spokoju, dopóki  
Tarło przy życiu.

**Podkom.** Czy znowu ta piosnka!

Korffie, gdy chcesz mię rozgniewać na wieki,  
Powiedz mi jeszcze słowo w tym sposobie.

**Korff.** Doucement! Nie bądźże waćpan tak gorący.  
Nie myśl, że stoję ci na zdradzie, owszem  
Chcę cię ratować. Wasz areszt się zwolni,  
Zwietrzeje z czasem, a usposobienie,

- W jakim jest Tarło albo twoja matka,  
Jest do ciężkiego powietrza podobne,  
Które co chwila grozi straszną burzą.
- Podkom.** Ha, więc już nigdy nie będę bezpieczny!
- Korff.** Będziesz, gdy Tarło zginie!
- Podkom.** Piękna rada,  
By się od śmierci śmiercią zabezpieczyć!
- Korff.** Dlaczegoż ty masz ginać, gdy on zginie?
- Podkom.** Och, przecież na tem stoją wasze plany!
- Korff.** Mylisz się. Zresztą mogło to być kiedyś,  
Dzisiaj zaś... Ale miejsce nie po temu,  
Bym ci tłumaczył. Pójdźmy.
- Podkom.** Czekaj chwilę,  
Mam się tu widzieć z Tarłą.
- Korff.** Z Tarłą?
- Podkom.** Tak jest.  
Wychodząc, mówił, żebym tu nań czekał,  
Ma mi powiedzieć słów kilka.
- Korff.** Ha, ha, ha!  
Tak ci powiedział Tarło?
- Podkom.** Rzeczywiście.
- Korff.** To dobrze, to już wszystko pójdzie dobrze!  
Nie napróżnom się spodziewał.. O Tarło,  
Pracujesz dla mnie na wawrzyny!
- Podkom.** Korffie,  
Skądże ta radość?
- Korff.** Zrozumiesz to wkrótce.  
A teraz — patrzaj, Tarło już nadchodzi.  
(*Tarło wchodzi*).
- Podkom.** Czekam, mój panie, jak żądałeś.
- Tarło.** Dobrze.  
Tego co powiem, nie mogłeś usłyszeć  
Przy świadkach...
- Podkom.** Pan Korff jest tutaj obecny...
- Tarło.** Korff? Tajemnicy dla niego nie robię.  
Mości majorze, proszę do nas bliżej,  
Waćpan należysz także do tej sprawy.
- Korff.** Votre serviteur!

**Podkom.** Więc słucham, mości panie.

**Tarło.** Tam, wobec króla i moich kolegów,  
Podałem rękę waćpanu. Zmuszony  
Byłem do tego królewskim rozkazem —  
Odegraliśmy komedią.

**Podkom.** Mój panie!

**Tarło.** Waćpan pojmujesz, że podobny koniec  
Żadnemu z nasby nie przyniósł zaszczytu.  
To co się stało, stało się, by uspić  
Czujność tych stróżów. A teraz my obaj  
Pomówmy z sobą.

**Podkom.** Lecz waćpan przyrzekłeś,  
Daleś mi rękę...

**Tarło.** I tyś dał mi swoją!  
Lecz mnie potrzeba krwi twojej nie ręki.  
Ja pragnę zemsty!

**Podkom.** Wszakże pojedynku  
Królewski rozkaz zabrania...

**Tarło.** Te rzeczy  
Dadzą się jakoś ułożyć. Bez pompy,  
Bez świadków nawet, możemy się zmierzyć,  
Gdziekolwiek pierwszy raz się napotkamy —  
W dzień czyli w nocy. Po niej jakim czasie  
Czujność urzędu spuści z nas swe oczy,  
Wtedy skończymy z sobą.

**Podkom.** To mord będzie  
Nie pojedynek!...

**Tarło** Mniejsza o nazwisko,  
Gdy uspokoim we krwi swą nienawiść...

**Korff.** Pan wojewoda ma słuszość.

**Tarło.** Majorze,  
Jesteś mi świadkiem, że na tem tu miejscu  
Podkomorzego wyzywam do walki,  
Gdziekolwiek pora zdarzy się stosowna.  
A jeśli do niej nie będzie chciał stanąć,  
Użyję nawet ostatniej zniewagi,  
Aby go zmusić.

**Korff.** Tak jest, wojewodo,

Już czas zakończyć na dobre te właśnie.  
Pan podkomorzy stanie.

**Tarło.** A więc zgoda

I milczeniu.

**Korff.** Tak, zgoda i milczenie!

Nim doczekamy się stanowczej chwili,  
Słuchamy wiernie królewskich rozkazów  
I przyjaciółmi jesteśmy.

**Podkom.** Przekleństwo!

**Tarło.** Nie zapominaj, mości podkomorzy,  
O tej umowie. (*Wychodzi*).

**Podkom.** O przekłety Tarło,  
Takiś pragnący mej krwi jak hyena!

Fatalność, widzę, cięży nad mą głową...  
Korffie, tyś znowu wpłatał mię w te sidła!

**Korff.** Ba, rozważ dobrze, czyż się nie spełniło,  
Com ci powiedział? Póki Tarło żyje,  
Nie jesteś pewny siebie, każdej chwili  
Miecz Damoklesa wisi nad twą głową.  
To zwierz jest wściekły!

**Podkom.** Wszystkobym uczynił,  
By go się pozbyć raz!

**Korff.** Wszystko, powiadasz?  
No, więc uczynisz i to czego żądam —  
Bij się z Tarłą.

**Podkom.** Ty szydzisz ze mnie, Korffie!

**Korff.** Bij się, a Tarło zginie —

**Podkom.** Jakto zginie?

**Korff.** Daję ci słowo.

**Podkom.** A ja?

**Korff.** Ty żyć będziesz.

**Podkom.** Lecz skądże możesz mnie o tem zapewnić?

**Korff.** Ba, przecież szpada tam idzie, gdzie ręka  
Nią pokieruje — a gdy w serce Tarły  
Chcę aby poszła — to pójdzie!...

**Podkom.** Mój Korffie,

Ja nie rozumiem ciebie!

**Korff.** To pójdź ze mną,

A pomówimy obszerniej w tym względzie.  
(*Wychodzą*).

SCENA 4.

Sala u pani Poniatowskiej.

(*Ks. Wojewoda i Izabella wchodzi*).

**Izabella.** Mój stryju, cieszę się z tego wypadku.

**Ks. Wojew.** Bo też szaleństwo ich było bez granic.  
Takie postęпки mogły być zgubić  
I nasze dobre imię i znaczenie.

**Izabella.** To prawda. Ale czy sądzisz, mój stryju,  
Że ten królewski rozkaz może nadal  
Położyć tamę wszelkim krokom gwałtu,  
Że zdoła obie strony uspokoić?

**Ks. Wojew.** Tak myślę. Chociażby nie z dobrej woli  
Muszą go słuchać.

**Izabella.** Ja jednakże wątpię,  
I tajemnicę jakąś w tem przeczuwam.

**Ks. Wojew.** I czemuż?

**Izabella.** Tarło nie zapomni prędko  
Swojej zniewagi, a ci, co zniewagę  
Jemu zadali, nie tak łatwo pojną,  
Ze rozum winien zwyciężyć namiętność.

**Ks. Wojew.** W najgorszym razie mamy areszt króla,  
I każdej chwili możemy pomocy  
Wezwać marszałka, gdyby zagrażało  
Jakie gwałtowne i publiczne starcie.  
Ale masz słuszość — należy nam czuwać.  
Ty, Izabello, masz więcej rozsądku  
Niżli twa matka. Nie spuszczań ich z oczu,  
A gdy spostrzeżesz coś niebezpiecznego,  
Donieś mi zaraz.

**Izabella.** Doniosę, mój stryju.

**Ks. Wojew.** Adieu, ma chère. Nie mogłem twej matki  
Przekonać nawet po spełnionym czynie —

Ta kobieta jest ślepa! — Lecz czuwajmy.

**Izabella.** Będziemy czuwać. (*Ks. Wojewoda wychodzi*).

Tak będziemy czuwać!

Będę jak anioł stróż, który się nawet  
Nie zraża dumą i wzgardą grzesznika.

(*Patrząc za scenę*).

Ha, otóż oni troje!... Dłoń mu ściska —

Śmieją się?.. o, ta wesołość i zgoda

Między takimi ludźmi utraciły

Znaczenie, jakie Bóg do nich przywiązał.

To mnie przestrasza... Oni mnie nie widzą.

(*P. Poniatowska, Podkomorzy i Korff wchodzi i zostają w głębi*).

**Korff.** Tak, tak, najlepszy nawet nasz przyjaciel  
Nie mógł nam oddać tak wielkiej przysługi!  
Obrać sposobny czas i miejsce, tylko  
Od nas zawisło. We dnie albo w nocy!...  
Nie mógł powiedzieć lepiej! — to jak gdyby  
Dał blankiet na swą głowę.

**P. Poniat.** Ale teraz

Słuchaj, mój synu, co ci pan Korff powie.

**Podkom.** Spuście się na mnie. Dość się przekonałem,  
Że tylko idąc z wami ręka w rękę,  
Mogę wyjść cały z tej smutnej przygody.

**P. Poniat.** Masz moją rękę. Spodziewam się odtąd  
Zgody pomiędzy nami.

**Podkom.** (*całując ją w rękę*). Tak jest, matko.

**P. Poniat.** Przed Izabellą zachowaj milczenie,  
I bądź ostrożny przy niej!

**Podkom.** Cela va sans dire.

**Korff.** Soyons amis, Cinnal Nasza zgoda

Może być matką wielkich rzeczy. Ha, ha!

(*Ściska się za rękę z Podkomorzym. Korff i P. Poniatowska wychodzą głębią. Podkomorzy wchodzi bliżej na scenę*).

**Podkom.** (*d. s.*) Nie wiem, czy robię dobrze — ale jestto  
Starą podobno maksymą rozsądnych,  
By się stosować do okoliczności.

Gdybym choć pewny był, że mnie nie zwodzą,  
Że oni tylko swych ról nie zmienili,  
Jak ja dziś robię —

**Izabella** (*zbliża się do niego*). O czymże tak myślisz?

**Podkom.** A, to ty?

**Izabella.** Czemuś taki zamysłony?

**Podkom.** Ja?.. Zdaje ci się. (*Chce odejść*).

**Izabella.** Nie chcesz ze mną mówić?..

**Podkom.** I cóż mi powiesz?

**Izabella.** Byłeś tutaj z matką

I z Korffem —

**Podkom.** Nie, nie byłem.

**Izabella.** Wstydz się kłamać.

Na własne oczy was widziałam.

**Podkom.** I cóż?..

**Izabella.** Ścisłałeś Korffa, a matka ci rękę  
Podała...

**Podkom.** I to tak mocno cię dziwi?

Sprawa, co między sobą nas różniła,  
Już ukończona. Wszakże wiesz zapewne,  
Że pojedynku nie będzie.

**Izabella.** Tak jest, wiem.

Ale i ty wiesz, jak mocno pragnęli  
I Korff i matka tego pojedynku.

A więc dlaczegoż byli tak weseli?

**Podkom.** Słyszałaś pewnie —

**Izabella.** Nie, nie mogłam słyszeć.

Ale przeczuwam, że ten śmiech radosny  
Nową jest wróżbą blizkiego nieszczęścia.  
Powiedz mi, bracie, o czym oni myślą,  
Jaki znaleźli sposób zgubić Tartę!

**Podkom.** Jesteś dziwaczna! — i któż o tem mówił?

**Izabella.** Nie wypieraj się...

**Podkom.** Ach, dajże mi spokój!

**Izabella.** Ty mnie zdradziłeś, a teraz chcesz ludzi —  
To nieszlachetnie!

**Podkom.** Ty sama coś roisz,

O czym ja nie wiem!

Izabella.

Och, bezwstydnie kłamiesz,  
I we mnie wiarę utwierdzasz tem kłamstwem,  
Że nowa zbrodnia do waszych serc puka.  
O bracie, jakże byłoby okropnie,  
Gdyby on przez was zginął!... jak okropnie,  
Jeżeli ręka matki albo brata  
Śmierć mu zgotuje!... To tak jest zupełnie,  
Jakbym ja sama nóż w nim utopiła —  
O, miejże litość dla mnie!

Podkom.

Izabello,

Tu nie potrzeba litości!

Izabella.

Nie łudź mnie,  
I nie szydź ze mnie! — Słuchaj, jeśli ręka  
W przystępie szału zbrodni się dopuści,  
Sumienie srogą wymierza jej karę,  
I w własne piersi ten sam miecz obraca —  
Zbrodnia za zbrodnię mści się, byle tylko  
Męki sumienia zakończyć... Ja umrę,  
Gdy mnie skażecie na takie tortury!

Podkom.

Co ty mówisz!...

Izabella.

Tej zbrodni nie przeżyję —  
Miłość zabije mnie i me sumienie,  
Że przez was zginął.

Podkom.

Człowiek więcej zniesie  
Niż mu się zdaje — i nie tyś jest pierwsza,  
Którą przed czasem dręczy wyobraźnia.  
Uspokój się więc i poleć się Bogu. (*Wychodzi*).

Izabella.

Wy kiedyś Bogu ciężko odpowiecie,  
Jeśli dołożę i ja jeszcze zbrodnię  
Do waszych zbrodni. (*Wyjmuje flakonik*)

Ty zabójczy płynie,  
W tobie ratunek! — Drżę na tę myśl cała.  
Jednak ją spełnię, gdy konieczność każe!

(*Wychodzi*).



## AKT PIĄTY.

### SCENA 1.

Noc. Sala u pani Poniatowskiej, słabo oświetlona.

*(Ks. Wojewoda i Izabella wchodzą z różnych stron).*

Izabella. I cóż zrobiłeś, stryju?

Ks. Wojew.

Nic zupełnie.

Nie wydobyłem z niej ani pół słowa,  
Coby mnie mogło oświecić. Lub milczy,  
Albo wszystkiemu przeczy i powiada,  
Że nie uczyni nic przeciw mej woli,  
Że ją niesłusznie podejrzewam. Czyli  
Tyś, Izabello, się nie pomyliła?

Izabella.

Nie, stryju, widzę dobrze, co się dzieje.  
Cały dzień u nas jakiś ruch niezwykły,  
Który ludzkiego wzroku chce uniknąć.  
Korff kilka razy przyszedł i odchodził,  
To z rozjaśnioną twarzą, to ze wzrokiem  
Wciągniętym w duszę. Mój brat roztargniony  
I smutny. Matka widocznie trawiona  
Niespokojnością jakąś. Już wieczorem  
Widziałam kilku ludzi, tajemniczo  
Wkradających się do pałacu.

Ks. Wojew.

Trzeba

Dać na nich baczność. Idę do marszałka,  
Aby był gotów na każdy wypadek.  
Ty tutaj czuwaj i w razie potrzeby  
Donieś mnie albo jemu.

Izabella.

Dobrze, stryju.

Wychodź ostrożnie, aby kto nie widział,  
Ześ ze mną mówił.

*(Ks. Wojewoda wychodzi).*

- Izabella** (*sama, patrząc w okno*). Jakże ta noc ciemna!  
Jakby stworzona na współnika zbrodni..  
O, gdyby mogły dzisiaj moje zmysły  
Przebijać mury i w głąb duszy sięgać!  
Cicho, ktoś idzie.
- (*Kryje się za wielkie zwierciadło. Korff i Podkomorzy wchodzi. Korff w płaszczu i kapeluszu.*)
- Podkom.** Musisz mi powiedzieć,  
Inaczej kroku nie ruszę!
- Korff.** Mój panie,  
W chwili ostatniej, gdzie wszystko gotowe,  
Znów się ociągasz?
- Podkom.** Chcę wiedzieć dokładnie.  
Wszak tu o moje życie chodzi, Korffie,  
Ja mogę myśleć, że chcesz mię oszukać,
- Korff.** Daję ci słowo.
- Podkom.** To mi nie wystarcza.  
Chcę wiedzieć, w jaki sposób Tarło zginie,  
A ja żyć będę. Te twoje półśłówka  
Każą mi sądzić, że mnie na lep chwytasz,  
Że pragniesz tylko postawić na swoim,  
A reszta już ci obojętną.
- Korff.** Czyliż  
Nie dość waćpanu dotąd powiedziałem?
- Podkom.** Czcze ogólniki, frazesy i słowa!  
Mówisz mi: Tarło zginie, tylko bij się,  
Już ja to zrobię w czasie pojedynku,  
Że on polegnie. Czy to tak jest łatwo?  
Czyż mojej ręce, gdy staniam naprzeciw  
Udzielisz jakiej cudotwórczej mocy?
- Korff.** Chcesz to koniecznie wiedzieć?..
- Podkom.** Daję słowo,  
Że się inaczej ni krokiem nie ruszę,  
Lub marszałkowi dam znać co knujecie.
- Korff.** Powiem ci wszystko na miejscu.
- Podkom.** Mów teraz!
- Korff.** Tajemnicę mi z pod serca wydzierasz.  
Podobnych myśli niechętnie się zwierza,

Bo wyrzeczone wietrzeją w powietrzu,  
Lub w obcych duszach zapładniają zdradę.  
Lecz słuchaj! (*Ogląda się*). Kiedy Tarło będzie  
wracał

Od swej Rozalki, wtenczas go spotkamy  
Niby przypadkiem, i ty mu przypomnisz  
Waszą umowę, mówiąc, że to pora  
Całkiem stósowna. Dobędziecie szpady,  
A kiedy pierwszy raz w nie uderzycie,  
Wtedy ja...

(*Ogląda się i mówi mu na ucho — potem głośno*),

Jesteś już zadowolony?

**Podkom.** Dobrze, mój Korffie. Ale dawaj baczność,  
Bo gdybyś jedną sekundę się spóźnił,  
Biada mi!

**Korff.** Bystre oko ma nienawiść —  
Bądź pewny. Teraz weź płaszcz i kapelusz  
I pójdźmy.

**Podkom.** Będę w tej chwili z powrotem.  
(*Wychodzi na lewo*).

**Izabella** (*wychodzi z ukrycia — n. s.*)

Ha, wiem już wszystko!

(*Wychodzi głębią niepostrzeżona*).

**P. Poniat.** (*wchodzi z prawej*).

To ty, majorze?

**Korff.** Tak jest. Właśnie chciałem  
Pożegnać panią.

**P. Pon.** Zatem już idziecie?

Nie zapomniałeś o niczem? czy wszystkich  
Potrzebnych środków użyłeś?

**Korff.** Tak, pani.

Porozstawiałem ludzi po zaułkach,  
Na różnych punktach ulicy; znak pierwszy  
Dla nich wystarczy, gdyby nam przypadkiem  
Pomocy było trzeba. Lecz wiem dobrze,  
Że z Tarłą niema więcej jak trzech ludzi.  
A tu jest sztylet.

**P. Pon.** Mierz dobrze, mój Korffie!

**Korff.** Mogę zaufać swej ręce.

**P. Pon.** Czy syn mój

Ma dość odwagi?

**Korff.** Wystarczy jej na dziś.

**P. Pon.** Oby to dzisiaj było w naszych dziejach  
Dniem uroczystym!

**Korff.** Ufam, że nadzieja  
Mnie nie zawiedzie i będę dziś wesół,  
Jak już nie byłem dawno.

**Podkom.** *(wchodzi ubrany).* Jestem gotów.

**P. Pon.** Mój synu, pospiesz, gdzie honor cię woła,  
Byś pomścił ciężkie naszej krwi zniewagi!

**Podkom.** *(całując ją w rękę).*

Więc do widzenia.

**Korff.** Ha, czuję już walkę  
W powietrzu naszych duchów! Pójdźmy, pójdźmy!  
*(Korff i Podkomorzy wychodzą).*

**P. Pon.** *(przystępując do okna).*

Tarło! ni jedna gwiazda nad twym losem  
Nie czuwa w górze. Wszystkie twoje gwiazdy,  
Co dotąd życia znaczyły koleje,  
Precz poznikały, stanąwszy u mety,  
Na której kończy się droga śmiertelnych,  
Bo nie już więcej nie mają ci znaczyć!...  
Lecz wzrok mój czuły tę ciemność przesywa,  
Widzę cię — padasz pod zemsty ciosami —  
Krew cię opuszcza, a twarz twoja blednie,  
I usta walka ze śmiercią zacina... *(Po chwili).*  
Jakże tu ciemno... Hej, niema tam kogo!  
Córko, gdzie jesteś? — pójdź, tu Izabello,  
Hej, Izabello! *(Lokaj wchodzi).* Zawołaj mej córki,  
Chcę z nią rozmawiać.

**Lokaj.** Jasnej panny niema.

**P. Pon.** Niema! Gdzież poszła, sama, o tej porze?

**Lokaj.** Nie wiem. Lecz ludzie widzieli niedawno,  
Jak otulona w płaszcz za bramę wyszła.

**P. Pon.** Szukać jej wszędzie — porozsyłaj ludzi!  
*(Lokaj wychodzi).*

Gdzie ona poszła?... Ha, w tem coś się kryje!  
(*Wychodzi*).

SCENA 2.

Sala u księcia Kasztelana.

(*Izabella i Tokarzewski wchodzą*).

**Izabella.** Gdzież wojewoda?

**Tokarzewski.** Tam. Rozmawia z księciem  
I z jego córką.

**Izabella.** Proś go waćpan tutaj.

**Tokarz.** I pani pragniesz mówić z wojewodą?

**Izabella.** Tak.

**Tokarz.** Lecz któż pani jesteś?  
(*Izabella daje się poznać*).

Poniatowska!...

**Izabella.** Tak, Poniatowska.

**Tokarz.** I chcesz mówić z Tarłą!...

**Izabella.** I to tej chwili. Idź waćpan po niego,  
Lecz tak, by tego więcej nikt nie spostrzegł.  
Chcę sam na sam z nim mówić.

**Tokarz.** To mnie dziwi.

**Izabella.** Tutaj o dobro chodzi wojewody —  
Nie ociągaj się dłużej — idź!

**Tokarz.** Ha, idę. (*Wychodzi*).

**Izabella** (*sama, patrząc po sali*).

Ach, więc to tutaj miejsce, co dla niego  
Jest rajem ziemskim! — Nie myślałam nigdy,  
Że z tem powietrzem będę wtychać w siebie  
Srogie uczucie bólu i tęsknoty.

Tutaj jest szczęście... a są przecież ludzie,  
Którzy nie mogą wynaleźć dla siebie  
Nigdzie takiego miejsca. — To on idzie.

**Tarło** (*wchodzi*). Wojewodzianko, więc prawda to szczerą,  
Że ty tu jesteś.

**Izabella.** Widzisz mnie, mój panie.

**Tarło.** Lecz nie pojmuję, co cię sprowadziło  
Samą, w tej porze i tutaj.

**Izabella.** Ty, Tarło.

**Tarło.** Jakto, co pani mówisz? Tym sposobem  
Ciemniejsza jeszcze dla mnie ta zagadka.

**Izabella.** Na Boga proszę cię, Tarło, nie wracaj  
Dzisiaj do domu.

**Tarło.** Pani, cóż to znaczy!

**Izabella.** Dziś śmierć ci grozi —

**Tarło.** Co słyszę!

**Izabella.** Śmierć, mówię.

Zostań u księcia aż do jutra rana.

**Tarło.** Wojewodzianko, wierzę, że najlepsze  
Dla mnie intencje tu cię sprowadziły,  
Lecz chciej mi jasno całą rzecz wyłożyć,  
Abym nie sądził, że to we śnie marzę,  
Iż ty przychodzisz do mnie, do mnie Tarły,  
Waszego wroga i śmierć przepowiadasz,  
Która, nie mogę nawet się domysleć,  
Skąd i od kogo zagraża mi dzisiaj.

**Izabella.** Słuchaj mnie, panie. Mimo przyrzeczenia,  
Jakie królowi obaj złożyliście,  
Macie z mym bratem bić się potajemnie.

**Tarło.** To prawda. Lecz nie sądziłem, byś pani  
Mogła to wiedzieć.

**Izabella.** Otóż dziś czekają,  
Gdy będziesz wracał —

**Tarło.** Ha, rozumiem teraz!

Ale mi wybacz, pani, że jej trwoga  
Jest przesadzoną i całkiem zbyteczną.  
Nie może mnie ta przestraszyć nowina,  
Lecz owszem wdzięczność jestem winien tobie,  
Żeś ją przyniosła i twojemu bratu,  
Że nie zaniedbał sprawy, którą skończyć  
Pragniemy obaj.

**Izabella.** Och, mylisz się Tarło —

Ty nie rozumiesz tych rzeczy! — Mój Boże!  
Wyrazy moje boleść i wstyd tłumia,

Ale powiedzieć muszę. Panie Tarło,  
Tutaj nie o to chodzi, aby bić się,  
Lecz ty masz ginąć podstępnie zabity,  
Pod morderczymi masz upaść nożami.

**Tarło.** Zdołam w potrzebie obronić swe życie,  
I z szpadą w ręku nie lękam się nożów.  
Lecz skądże przyszły do ciebie te wieści?

**Izabella.** Ich potajemną słyszałam rozmowę,  
Korff mówił z moim bratem.

**Tarło.** I cóż mówił?

**Izabella.** Kiedy ty będziesz bić się z Kazimierzem,  
Wtedy on... Dalej nie wiem, jak uczyni,  
Lecz chce cię zabić podstępnie.

**Tarło.** W tem wszystkim

Nie widzę dla mnie nic niebezpiecznego.

Pani się może pomyliłaś. Oni

Umawiali się pewnie o spotkanie,

Które, z powodów dobrze ci wiadomych,

Odbyć się musi tajnie i bez zgiełku,

A jedno słowo niedobrze słyszane,

Lub zrozumiane niestósownie, mogło

W błąd cię wprowadzić.

**Izabella.** Tarło, ty się zgubisz

Swoją niewiarą. O, ufaj mi całkiem!

Nie dziś raz pierwszy śledzę ja ich kroki,

Nie od dziś czuję srogość nienawiści,

Jaką ku tobie pałają —

**Tarło.** Ty, pani?...

**Izabella.** Tak ja, ja sama! Ciebie to zadziwia?

O, ile dla mnie męki w tem pytaniu

I poniżenia! Więc nie możesz wierzyć,

Bym zdolną była do szlachetnych uczuć?

Sądziś, że zbrodnia i hańba słowami

Obojętnemi mogą być mej duszy!

**Tarło.** O, nie, szacunek zawszem miał dla ciebie,

Po tem, co słyszę, czuję cześć głęboką.

**Izabella.** Więc jeśli wiarę zyskałam u ciebie,  
Tarło, na jedno tylko mi odpowiedz:

Nie pójdziesz i tu do rana zostaniesz?

**Tarło.** Nie mogę zostać — pójde.

**Izabella.** Pójdziesz, pójdziesz!

I po tem nawet, com ci powiedziała?

**Tarło.** Właśnie dlatego. Wszak podkomorzemu  
Przyrzekłem bić się za pierwszą okazyą.  
Dziś, gdy uważa, że pora stósowna,  
A ja wiem o tem, muszę z nim się spotkać,  
Inaczej mógłby bardzo sprawiedliwie  
Nazwać mnie tchórzem.

**Izabella.** Lecz ciebie zabiją!...

**Tarło.** Nie mogę temu wierzyć. I cokolwiek  
Czeka mię dzisiaj, jestem rad, że wreszcie  
Nadeszła chwila, w której z nim się zmierzę.  
O, i mnie pali wciąż rana mej duszy,  
I mnie spoczywać zemsta nie pozwala,  
I na umyśle kamieniem mi cięży,  
Wołając codzień: i kiedyż ukarzesz  
Potwarców swojej kochanki? i kiedyż  
Zetrzesz cień hańby z twojego imienia?

**Izabella.** O, jakże straszną zbrodnię swym uporem  
Na me sumienie zwalisz!

**Tarło.** Bądź spokojna,  
Tyś jest ze wszystkich najczystsza w tej sprawie.

**Izabella.** O, nie dopuszczaj, ażeby cię zabił  
Mój brat, by moja matka cię zabiła —  
**Tarło,** o **Tarło!**... Odwróć twarz ode mnie,  
Nie patrz choć na mnie, kiedy będziesz słyssał —  
O, zostań, zostań, **Tarło!**... ja cię kocham!...

*(Upada na kolana i zakrywa oczy).*

**Tarło.** Pani, co mówisz!...

**Izabella.** Nie gniewaj się na mnie  
I nie oburzaj, bo ta miłość moja  
Nie rości sobie praw do twego serca,  
Do wzajemności twojej — do niczego —  
Tylko chce widzieć cię zawsze szczęśliwym —  
Zawsze szczęśliwym —

**Tarło.** Powstań pani, powstań!



Niech Bóg nagrodzi cię za twe uczucie,  
I jak najprędzej zapomnieć go każe —  
Dziwne są losy!

**Izabella.** Czujesz me cierpienie  
I widzisz, ile jestem nieszczęśliwa,  
Lecz wszystkie we mnie boleści ukoisz,  
I moją miłość zadowolnisz całkiem,  
Jeśli mnie dzisiaj usłuchasz.

**Tarło.** Tam brat twój  
Czeka ze szpadą na mnie —

**Izabella.** I śmierć czeka —

**Tarło.** Lecz hańba, choćby moją krwią, się zmaże,  
I zemsta, choćby w mym grobie, ucichnie!

**Izabella.** Pójdiesz?...

**Tarło.** Iść muszę.

**Izabella.** Ha, może ta druga,  
Ta, którą kochasz, nakłonić cię zdoła!  
Księżniczko, pójdź tu, wstrzymaj swego Tarła!  
*(Idzie kilka kroków ku drzwiom Rozalii).*

**Tarło** *(zatrzymując ją).*

Bądź pani cicho. Niech sprawa dzisiejsza  
Nie zamąci jej spokoju. Gdy jutro  
Będzie bolesnem, dosyć jutro cierpieć.  
I ona tutaj nic ci nie pomoże.

**Izabella.** Więc do marszałka idę...

**Tarło.** Nie czyn tego,  
Odwleciesz tylko sprawę. Jeśli nie dziś,  
To jutro bić się będziemy.

**Izabella.** Tylko Bóg wie,  
Co mieści przyszłość, tak pełna nadziei.  
Tarło zostawiam cię z twojem sumieniem —  
Myśl i rozważaj — ja spełnię com rzekła.  
*(Wychodzi).*

**Tarło** *(po chwili zadumania klaszcze w dłonie).*

Hej, Tokarzewski!

**Tokarzewski** *(wchodzi).* Cóż nowego słysząc?  
Cóż wojewodzie mówiła ta pani?  
Chroń panie Boże, ale gdzie się w miesza

Ktoś z tego rodu, zaraz złe wyrośnie  
Jak grzyb po deszczu.

**Tarło.** Bądź waćpan spokojny.

A co mówiła, zobaczysz niedługo  
Na własne oczy. Każ mi konia przywieść.

**Tokarz.** Wrócim do domu?

**Tarło.** Tak jest. Iluż ludzi

Mamy ze sobą?

**Tokarz.** Trzech hajduków.

**Tarło.** Dobrze.

Będzie dosyć.

**Tokarz.** Ej, panie wojewodo,

Tu się coś złego święci!

**Tarło.** No, mój stary,

Wszak pójdziesz ze mną choćby na najgorsze?

**Tokarz.** Choćby do piekła!

**Tarło.** Tylko milcz jak skała.

*(Tokarzewski wychodzi).*

Dziwne są losy!... Czy to jest głos Boga,  
Który ostrzega mnie przez tę kobietę,  
Wpoiwszy naprzód w jej duszę uczucie,  
Które jest dla niej jedynie katuszą.  
Tak powiadają starzy, że kapłanka  
W mękach konwulsyj odsłaniała przyszłość. —  
A może lepiej zostać? Czyż się splamię,  
Gdy przed zbrodniczym ciosem się uchylę?  
Wszak zdrada może zwałczyć i olbrzyma.  
Ha, wstydź się, Tarło, za podobne myśli!  
Czyżby Opatrzność na tak słabej nitce,  
Jaką jest podstęp chytrego nędznika,  
Uwiązała twe losy? Twoja miłość,  
Twoje znaczenie i sława, twe szczęście  
Miałyżby zniknąć jak zwodnicze mary,  
Gdy czujesz w piersi moc do ich objęcia,  
Gdy się uśmiecha i życie i przyszłość?  
Melancholia szkaradna, co niszczy  
W człowieku ufność do jego sił słabych!  
Izabella się myli. Tam mnie czeka

Za moją krzywdę sprawiedliwa zemsta,  
Pojedynek i wróg mój. — Hola, Tarło,  
Rozpogodź czoło!

**Rozalia** (*wchodzi*). Gdzież bywasz tak długo?

**Tarło.** Kazałem konia przywieść. Potem chodzę  
Wkoło tej sali, patrząc na portrety  
Twych antenatów, ażeby się przyjrzeć,  
Który z nich cieszy się najwięcej z tego,  
Że ma tak piękną prawnuczkę jak Róża.  
I potem myślę, że wszystkie ich duchy  
Muszą podzielać nasze dzisiaj szczęście.

**Rozalia.** Ach, drogi Tarło! — A więc już odjeżdżasz?

**Tarło.** Czyliż już nie czas? północ niedaleka.  
Żegnaj cię, Różo. Księcia czy zastanę  
Jeszcze w pokoju?

**Rozalia.** Nie chodź, bo go zbudzisz.

Przy mej rozmowie zasnął na fotelu,  
I pewnie dalej ze mną we śnie mówi,  
Bo przy kominka ogniu widać uśmiech  
Na jego twarzy, błędzący jak księżyc  
Po jasnym niebie.

**Tarło.** Pożegnaj go za mnie,  
Gdy się przebudzi.

**Tókarzewski** (*wchodzi*). Konie już gotowe.

**Tarło.** Do zobaczenia.

**Rozalia.** Do jutra. Już teraz  
Spokojniej ciebie żegnaj, kiędym pewna,  
Że nie zagraża ci nic. Bo noc przejdzie  
Marzeń o tobie pełna, a nazajutrz  
Widzę cię znowu. Dobranoc, mój Tarło.

**Tarło.** Dobranoc. Daj mi swą rękę uściskać.  
Dobranoc, Różo, spij i marz spokojnie.  
No, pójdźmy stary.

**Rozalia.** Do jutra, mój Tarło.

(*Tarło i Tokarzewski wychodzą. Rozalia sama, idzie do okna.*)

Noc taka ciemna. (*Otwiera okno.*) Tarło, raz  
[ostatni

Jeszcze dobranoc.

**Tarło** (*za sceną*). Dobranoc, aniele!

**Rozalia**. Cóż to? twój koń się potknął?

**Tarło** (*j. w.*) Ha, mój Piorun

Coś narowisty dzisiaj.

**Rozalia**. Weź pochodnie,  
Tak ciemno dzisiaj. Może to zła wróżba,  
Uważaj dobrze jadąc.

**Tarło** (*j. w.*) Droga krótka,

Nie bój się, moja Różo.

**Rozalia**. Weź pochodnie.

**Tarło** (*j. w.*) Dobrze. Usłucham twej rady. Dobranoc.

**Rozalia**. Dobranoc, Tarło, do jutra mój drogi!  
Przybывaj znowu, kiedy słońce wstanie.

(*Odchodzi od okna*).

Idę do ojca. Może się przebudził

I szuka córki. (*Do okna*). Dobranoc, mój Tarło.

(*Wychodzi*).

### SCENA 3.

Ulica. Noc.

*Wchodzą: Korff, Podkomorzy i Ludzie Korffa. Korff  
z Ludźmi zostają w głębi.*

**Korff**. Zostańcie tutaj i zważajcie na mnie,  
A gdybym znak dał, w tej chwili do szabel,  
I bez pardonu rąbać co na drodze.

(*Do jednego*).

Idź, powtórz jeszcze tamtym na ulicy,  
By uważali dobrze, czy to Tarło,  
Czyli kto inny jedzie. A gdy Tarło  
Minie ich, zaraz niech zamkną ulicę.

(*Człowiek odchodzi*).

Ty idź na drugą stronę i tam powiedz,  
Żeby ni jednej duszy nie wpuszczali.

(*Człowiek odchodzi. Korff zbliża się do Podkomorzego*).

No, podkomorzy, nie dumaj tak ciężko,  
To rzecz tak prosta, że nad nią nie trzeba  
Gubić się w myślach.

**Podkom.** Tarło nie nadjeżdża —  
Już dosyć późno...

**Korff.** Chwilę cierpliwości,  
Ujrzym go wkrótce.

**Podkom.** Może nie nadjedzie?..

**Korff.** Przecież z Rozalią jeszcze nie po ślubie!

**Podkom.** Gdyby go natchnął dziś jaki duch dobry,  
Gdyby pozostał —

**Korff.** Wstydz się, mości panie,  
Tak nierozsądnie mówić. Czyżbyś pragnął  
Więcej podobnych chwil liczyć jak dzisiaj?

**Podkom.** To przedsięwzięcie zbyt awanturnicze —  
Zobaczysz, że my nie wyjdziem na sucho.

**Korff.** Może nas kropla jego krwi obryzga,  
Nic więcej. — Cicho! Słyszę tętent koni.

**Jeden z ludzi** (*wchodzi*).

Tarło w ulicę wjechał.

**Korff** (*do Podkom.*) Zostań tutaj,  
Pójdę przekonać się. (*Wychodzi*).

**Podkom.** (*do siebie*). Otóż to chwila!  
W życiu człowieka dość kilka chwil takich,  
Ażeby drzeć się o życie nauczył,  
I poznał, jakie jest nędzne zarazem.

**Korff** (*za sceną*). Qui vive!

**Tarło** (*za sceną*). Ja, Tarło.

**Korff** (*j. w.*) Proszę z konia.

**Tarło** (*j. w.*) To wy!

Służę waćpanom.

(*Wchodzą Korff, Tarło, Tokarzewski*).

**Tarło.** Gdzież jest podkomorzy?

**Podkom.** Witam waćpana.

**Tarło.** Dobywajmy szpady,  
Nie traćmy czasu, bo można się lękać,  
Że nam przeszkodzą.

**Korff.** Któżby mógł przeszkodzić?

**Tarło.** Pan Marszałek.

**Podkom.** Ha, zdrada! — Słyszysz, Korffie?...

**Tarło.** Niema tu zdrady, lecz trzeba się spieszyć.  
Dalej, stawajmy! — Pojedynek będzie  
Całkiem formalny. Stań tu, Tokarzewski,  
A waćpan, panie Korffie, z drugiej strony.  
Mamy dość świadków. Kto z nas wyjdzie cały,  
Na tym nie będzie żaden ciężyć zarzut.

**Korff.** Hej, tu pochodnie!...

*(Dwóch ludzi z pochodniami wchodzi i staje blisko przeciwników. Tarło i Podkomorzy zrzucają płaszcze, dobywają szpady. Tokarzewski i Korff dobywają szabel).*

**Tarło** *(wyjmuje papier i zatyka na szpadę).*

Ha, ty paszkwilisto,

Twój jad domieszam do krwi twego serca —

Dość mi już nagryzł mych piersi!

**Podkom.** *(cicho do Korffa).*

Mój Korffie!

*(Mierzą się. Korff daje znak ludziom z pochodniami, ci usuwają się nieznacznie. Tarło uderza na Podkomorzego wyciągniętem pchnięciem i rani go lekko. W tej chwili Korff podbiega i uderza Tarłę sztyletem w piersi — upuszcza sztylet. Tarło postępuje kilka kroków, opierając się na szpadzie).*

**Tokarzewski.** Mord, mord! *(Biegnie do niego).*

Mój Tarło!..

**Tarło** *(ściskając go za rękę).* Bądź zdrów, Tokarzewski,  
Pożegnaj Różę — pożegnaj — *(Upada).*

**Tokarzewski.**

Mój Tarło!...

**Tarło.** Kto mnie uderzył?... jakaś zdrada!... *(Umiera).*

**Tokarzewski.**

Mord, mord!

*(Rzuca się na trupa Tarły).*

Serce nie bije!...

*(Od chwili słysząc za sceną szczęk broni i krzyk: „Mord Mord!“ — Ludzie Korffa rozbiegają się).*

**Korff** *(do Podkomorzego).*

To marszałek pewnie —

Ha, uciekajmy!...

**Izabella** *(za sceną).*

Tutaj, tu, marszałku!

*(Izabella, Bieliński i Straż z pochodniami wchodzi).*

**Bieliński** (*wskazując na Korff'a i Podkomorzego*).

Trzymajcie obu!...

(*Straż staje przy nich*).

**Izabella.**

Gdzie Tarło?...

**Tokarzewski** (*wstaje i pokazuje ciało*). On tutaj.

**Izabella.** Zamordowali go!...

**Tokarzewski.**

Zamordowali.

**Izabella.** Za późnom przysła, aby cię ocalić,

Lecz umrzeć zawsze na czas. (*Pije truciznę*).

**Podkom.**

Co ty czynisz!

**P. Poniat.** (*wchodzi z ludźmi*).

Gdzie moja córka? — Puście — ona tutaj!

**Izabella.** Tak, twoja córka obok trupa Tarły.

**P. Poniat.** Ha, obok trupa!... Nędzna, jakżeś śmiała

Zapomnieć siebie dla tego zuchwalca —

Biegać po mieście jak Bachantka!... Prędeż,

Wracaj do domu!

**Izabella.**

Weźmiesz sobie trupa —

**P. Poniat.** Co ty powiadasz?...

**Izabella** (*upadając*).

Z nim razem umieram,

Gdy żyć nie mogłam. Niech ci Bóg przebaczy—

Twoja nienawiść zabiła nas dwoje. (*Umiera*).

(*Kasztelan i Rozalia wchodzi*).

**Kasztelan.** Tarło zabity!... Ludzie, czy to prawda,

Czyli też nocny sen straszy mą duszę?

**Rozalia.** Gdzie on jest! — Boże, cóż ja widzę! —

O Tarło, Tarło!

(*Rzuca się na ciało. Ojciec uklęka przy niej*).

**Bieliński.**

Okropne to rzeczy,

Które nie zdają się nawet być prawdą!

Lecz któż był tutaj i kto widział dobrze,

Jakim sposobem Tarło legł na placu?

**Tokarzewski.** Jam wszystko widział —

**Bieliński.**

A więc opowiadaj.

**Tokarzewski.** Pomędzy nimi (niech mi Bóg przebaczy,

Żem tego wcześniej ludziom nie wyjawiał)

Była umowa na tajne spotkanie.

Dzisiaj, gdyśmy właśnie od księcia wracali,

Czekali na nas. Obaj przeciwnicy  
Stanęli przeciw sobie, a ja z tym tu  
Jak sekundanci. Miał być pojedynek —  
Tak, pojedynek miał być!.. Wtedy Tarło  
Uderzył pierwszy i z wielkim impetem  
Naprzód się podał. Ale w tejże chwili  
Ten tu pod klingę mu podbiegł i w piersi  
Tym tu sztyletem — ot, tak go uderzył.  
(*Uderza w piersi Korffa*).

**Korff** (*padając*). Ha, łotrze, w samo serce!...

**P. Poniat.** Stój, zbrodniarzu!

**Tokarzewski** (*rzucając sztylet*).

Boże, miej litość nade mną!... Co to jest?

Ha, krew — i wszędzie krew — głowa mi pęka!

Krew, krew!

**Bieliński.** Trzymajcie ludzie tego starca,  
Boleść go wielka o szal przyprawiła.

(*Do Podkomorzego*).

Mój panie, widać, że tobie nie było  
Bynajmniej tajne to niecne zabójstwo,  
I tobie, pani. A więc bądźcie pewni,  
Że was surowość prawa nie ominie.

**P. Poniat.** Ten, co zawinił, zginął. Wszak słyszałeś,  
Co nam powiadał ten starzec.

**Bieliński.** Bóg skarał

Rękę, co dzieło wykonać pomogła,

Lecz wy jesteście głównymi sprawcami.

**P. Poniat.** Wszak groby milczą — i któż nas przekona,  
Chociażbyś prawdę mówił. Tu się stało  
Zadosyć zemście i czci obrażonej.

**Bieliński.** O, straszne czasy, w których słyszeć można  
Głosy występku jawnie się chełpiące!

Ale sumienie siiniejsze niż ludzie,  
I Bóg choć czeka, kary nie zapomni.

**P. Poniat.** Pójdź ze mną, synu. Każ zabrać to ciało.

(*Wychodzi*).

**Podkom.** (*do swych Ludzi*).

Podnieście z ziemi tę biedną ofiarę.



*(Przystępuje do niej, ukłeka).*

O Izabello!

**Rozalia** *(podnosząc się z trupa Tarły).*

Kto jest ta kobieta?

**Podkom.** To moja siostra —

**Rozalia.** I ona zabita?

**Podkom.** Kochała Tarłę — tutaj jej trucizna.

**Rozalia.** O nieszczęśliwa! — Za obie ich dusze

Będę błagała Boga, aż mię złączy

Z nimi na wieki.

**Bieliński.** Podnieście ciało Tarły i tam w domu

Okryjcie smutnym całunem te zwłoki,

Pozwólcie płynąć swoim łzom obficie,

Bo na żal szczery, wczesny zgon zasłużył

Takiego męża, co mógł w dalszym wieku

Stać się ojczyzny sławą i filarem.

I zapomnijmy błędu, co go uniósł

Ku własnej zgubie, gdy Bóg już ukarał!





# KRÓL DON-ŻUAN.

KOMEDYA W 5 AKTACH.





## OSOBY:

**Król August II.**

**Pani Kozel.**

**Pani Teszen.**

**Randzau, adjutant królewski.**

**Duval, winiarz.**

**Henryka, jego córka.**

**Wilhelm**

**Robert** } oficerowie gwardyi królewskiej.

**Sierżant.**

**Lebeau, kamerdyner królewski.**

**Oficerowie, Żołnierze, Lokaje.**

Rzecz dzieje się w Warszawie roku 1701.





# KRÓL DON-ŻUAN.

---

## AKT PIERWSZY.

Sala na zamku. W głębi galerya z arkadami podniesiona nieco nad scenę.

### SCENA 1.

*Wilhelm, Robert i kilku innych Oficerów (wchodzą).*

**I Oficer.** Zaciekawieś nas, Robercie, opowiadajże dalej.

**Kilku oficerów.** Tak, opowiadaj, opowiadaj!

**Robert.** Czy pozwalasz mi mówić, Wilhelmie? Nie chciałbym cię rozgniewać.

**Wilhelm.** Za późno żądasz tego upoważnienia.

**Robert.** Jesteś obrażony?...

**Wilhelm.** Bynajmniej.

**Robert.** Więc zezwalasz?

**Kilku oficerów.** Zezwala, zezwala!

**Robert.** Słuchajcie zatem. Ale na czemże stanąłem?

**I Oficer.** Właściwie na samym początku. Mówieś, jak zniechęca naszedłeś Wilhelma.

**Robert.** Aha! i jak schwyciłem go na gorącym uczynku. No, nie oddalaj się od nas, Wilhelmie, i posłuchaj, jak będzie w moich ustach brzmieć ta historia. (*Wilhelm odchodzi od Oficerów i usiada na stronie, oparłszy się o stolik*). Zbliżałem się tedy do niego, przysięgam bez żadnej złej myśli. Szedłem dość głośno, jak się zwykle chodzi, pomimo to nie zwrócił uwagi na moje przybycie. Postrzegłem, że jest pogrążony w jakiejś myśli, a raczej, że dusza jego wyłącznie zajęta jakimś

przedmiotem, który trzymał w ręku. Na palcach zaszedłem mu z tyłu, tuż o jeden krok od niego. W jego ręku ujrzałem zwitek włosów. Przez chwilę trzymał w nim utkwione oczy, potem przycisnął go do serca, potem do ust...

**1 Oficer.** Zupełnie jak ci pasterze w operach, które król każe przedstawiać, ha, ha!

**Robert.** Kiedy już miałem dość tej pantominy, chciałem mu także ze swojej strony zrobić niespodziankę. Wyciągnąłem rękę przez jego ramię i w sekundzie stałem się właścicielem skarbu.

**1 Oficer.** Ach! biedny Wilhelm!

**2 Oficer.** Co za nieszczęście!

**Robert.** Druga sekunda wystarczyła, abym poznał czyje to włosy. Ha, szczęśliwy kochanku panny Duval! — zawołałem, jak bohater w tragedyi, odstąpiwszy na dwa kroki od Wilhelma, i w tejże chwili zwróciłem mu wspaniałomyślnie swą zdobycz, wprzód zanim miał czas wyjść z osłupienia.

**1 Oficer.** I Wilhelm przyznał się od razu?

**Robert.** Gdzie tam! zapierał się na wszelki sposób, że te włosy nie należały do panny Duval. Ale cóż robić? Oczy moje bystre i przenikliwe, a żadna inna kobieta w Warszawie nie ma takich włosów jak Duval. Tak, mój Wilhelmie, dowiedzieliśmy się nakoniec całej prawdy, do której nigdy przyznać się nie chciałeś.

**1 Oficer.** Winszujemy, winszujemy ci, Wilhelmie!

**Robert.** Udało ci się to, czego żaden dotąd nie dokazał. Powinieneś być dumny i szczęśliwy ze swego zwycięstwa.

**Kilku oficerów.** Niech żyje Wilhelm!

**Wilhelm** (*powstawszy, wchodzi między Oficerów*). Moi panowie, dosyć już tych żartów! Winienem wam wytłomaczyć całą sprawę. Przyznaję, były to włosy panny Duval. Ale nie wiecie, w jaki sposób przyszedłem do ich posiadania.

**Robert.** To właśnie rzecz bardzo ciekawa!



**Wilhelm.** Dla honoru panny Duval jest mym obowiązkiem was oświecić. Panna Duval ma precudne włosy; niedawno Robert wam powiedział, że drugich takich niema w Warszawie. Te włosy mogły się także mnie podobać. Pewnego razu siedziałem obok panny Duval w oknie winiarni jej ojca. Lekki wiatr rozwiał jej włosy na skroni. »Cóżbym dał za to, gdybym mógł jeden z tych pukłów posiadać« — odezwałem się do niej. Może wam się to wyda śmieszne, ja przyznam, że było dosyć nierozsądne. Panna Duval patrzyła wtedy na ulicę i w jednej chwili odrzekła: »Widzisz pan tę biedną kobietę z dzieckiem? Daj jej trzydzieści talarów, a dostaniesz mych włosów«. I to mówiąc, odcięła sobie pukiel.

**Robert.** Poznają Henrykę po tym czynie. Śmiała i przytomna dziewczyna.

**Wilhelm.** Spodziewam się zatem, że wszelkie dalsze wnioski o moim stosunku do panny Duval po tem wyznaniu upadną na zawsze.

**Robert.** Nie tak prędko, mój panie! Cóżbyś powiedział, gdybym sobie kupił za trzydzieści talarów włosów u perukarza, i przykładał je raz do ust, drugi raz do serca?

**1 Oficer.** Nie masz powodu się zapierać. Podobny gust nikomu hańby nie przyniesie.

**2 Oficer.** Lepiej się przyznać otwarcie.

**1 Oficer.** Kochasz się w Henryce?

**2 Oficer.** Jakże dawno zaczęła się miłość?

**1 Oficer.** Zechciej nam opowiedzieć ten romans w całości. Cóż panowie, czy nie ma opowiadać?

**Kilku Oficerów.** Niech opowiada, niech opowiada!

**Wilhelm.** Moi panowie, nie nadużywajcie mej cierpliwości!

SCENA 2.

*Ciż sami i Król.*

**Król** (*wchodzi galeryą i zatrzymuje się na widok Oficerów*). Moja gwardya wesoło się bawi. Posłuchajmy o co im chodzi. (*Opiera się o poręcz galeryi*).

**1 Oficer**. Tylko się nie gniewaj i zaczynaj od początku. Jak dawno poznałeś pannę Duval?

**Król** (*n. s.*) Jakaś miłosna historia!

**2 Oficer**. Czy od razu ci się spodobała?

**3 Oficer**. Może ci robiła jakie awanse?

**1 Oficer**. Co to, to trudno. Ale byłoż to po koleżeńsku, tak długo się wypierać jakby śmiertelnego grzechu?

**2 Oficer**. Wszakże to już przyjęta reguła, że każdy w Duwali kochać się musi.

**1 Oficer**. Był czas, że i ja się w niej kochałem.

**3 Oficer**. I ja, niestety!

**1 Oficer**. I tylu innych, chociaż wszyscy napróżno.

**Król** (*n. s.*) Proszę?... to jakaś straszna piękność!

**1 Oficer**. Na honor, Duval jest piękna. Warto się w niej kochać.

**2 Oficer**. Na miejscu Wilhelma byłbym nie włosów, ale pocałunku od niej zażądał.

**1 Oficer**. Wilhelmie, możeś ty szczęśliwszy od innych i wiesz, jak smakują jej usta?

**Król** (*n. s.*) Biedny chłopiec, ciekawym jak im się obroni.

**Wilhelm**. Na Boga, milczcie! Dopóki wasze słowa tylko mnie dotykały, byłem gotów wszystko znosić spokojnie. Ale imieniem panny Duval nie dam pomiatać. Wiecie wy, kto jest panna Duval? Znacie ją wszyscy, a jednak widzę, że żaden z was jej nie poznał. To jest istota wyższa od tych, co się kobietami zowią. Gdyby mi pozwoliła na kolanach zbliżyć się do siebie, uklękałbym zawsze na jej widok. Od niej nie odważyłbym się żądać pocałunku, ale byłbym szczęśliwy, gdy-

bym ustami dotknął kraju jej sukni. Kiedy wzrok jej z moim przypadkiem się spotka, czuję dreszcz po całym ciele!...

**Król** (*n. s.*) Dalibóg, szczególny zapaleniec!

**Wilhelm.** I wy tak lekko śmiecie mówić o podobnej istocie?... Ja kiedy jej nazwisko mam w ustach, chcę głowę uchylić, jak czynią ludzie pobożni, wymawiając najświętsze imię. Jakże żałuję, że niema jej teraz na tem miejscu! Jednem spojrzeniem ukarałaby waszą zuchwałość, jak piorunem poraziłaby was swoją pięknoscią... O, panna Duval jest piękna! W galeryach naszego króla widziałem wiele arcydzieł malarskich, ale żaden artysta nie wymyślił tak przecudnych rysów. Postawcie obok niej najpiękniejsze kobiety z całego kraju, a zgasną przy niej jak inne gwiazdy przy jutrzence. Czemże w porównaniu z nią będzie owa pani Kozel, sławna ze swoich wdzięków na całą Europę, ta piękność, którą sam król uwielbia?...

**Król** (*n. s.*) Oho, to może za wiele!

**Wilhelm.** O! taką kobietę czcić należy jako szczególny dar Boga dla ziemi! Taką kobietę kochać jest rajską szczęśliwością, od takiej kobiety być kochanym, równa się niebieskiemu zbawieniu!

**Robert.** Słyszycie, co on mówi? I ten człowiek się zapierał!

**Wilhelm.** Tak, powiem otwarcie: za jedną godzinę miłości panny Duval, oddałbym życie, a dzisiaj mam to za wielkie szczęście od Boga, że mi dozwolił poznać ją na ziemi. Tak, przyznaję się, śmiejecie się z tego, ile wam się podoba, ja kocham Henrykę i jestem z tego dumny.

**Król** (*n. s.*) Otóż sens moralny z powieści.

**Robert.** Doskonale! wybornie! uściskałbym cię za tę prawdomówność. Nieprawdaż, że ci się ulżyło na sercu? I dlaczegoż się było taić z tem uczuciem? Ktoż ci może wziąć za złe, że kochasz piękną

i dobrą Henrykę. A teraz podaj nam rękę, my przepraszamy za wyrządzoną przykrość, a ty się nie gniewasz.

**Wilhelm.** Nie, ręki wam nie podam. Zadowolniłem waszą ciekawość, bo nie byłem panem siebie. Dla was jest to rzecz obojętna i zabawna; we mnie cała ta scena zrodziła tylko żal głęboki. (*Oddala się*).

**Robert.** Na miłość Boga, nie bądźże dzieckiem!

**I Oficer** (*zatrzymując go*). Ależ poczekaj...

**Wilhelm.** Puśćcie mnie! (*Wychodzi*).

### SCENA 3.

*Robert, Oficerowie i Król.*

**Robert.** Otóż go macie, już się rozdał.

**Król** (*schodzi z galeryi i przybliża się do Oficerów*). Zajmująco czas przepędzacie, mości panowie.

**Robert.** Jego Królewska Mość!

(*Oficerowie odkrywają głowy i cofają się w głąb*).

**Król.** Niechący byłem świadkiem waszej rozinowy. Zaciekały mnie pierwsze zasłyszane wyrazy i podsłuchiłem was. Może to niezbyt dyskretnie z mej strony...

**Robert.** Wybacz, najjaśniejszy panie, że trochę za głośno zachowaliśmy się na królewskich pokojach...

**Król.** Nic to nie szkodzi. Inaczej byłbym stracił tę scenę, która, prawdę powiedziawszy, dosyć mnie zabawiła. Ależ byliście bez litości dla swego kolegi.

**Robert.** To nie ze złego serca, najjaśniejszy panie. Wilhelm jest tak uparty człowiekiem, że czasem trzeba go przełamać.

**Król.** On musi bardzo kochać tę pannę...

**Robert.** Pannę Duval.

**Król.** Duval. A na imię jej Henryka, wszak tak?

**Robert.** Tak, najjaśniejszy panie.

**Król.** Któż ona jest?

**Robert.** Jej ojciec jest Francuz i handluje winem w Warszawie. Jest to zakład znany przez całe miasto, a szczególnie przez wszystką młodzież cywilną i wojskową.

**Król.** Czy panna Duval jest rzeczywiście tak piękną, jak to głosił wasz kolega?

**Robert.** Pod tym względem Wilhelm miał najzupełniejszą słusność, chociaż może sposób, w jaki oddawał jej pochwały, jak W. Kr. Mość słyszałeś, nie ze wszystkim był odpowiedni.

**Król.** O, nie gniewam się wcale! (*n. s.*) Wszak może być w istocie piękniejszą od Kozeli.

**Robert.** Tak jest, najjaśniejszy panie, Duval jest nadzwyczaj piękną. Wszystkie młode serca jak na lep łapią się na jej urodę. Cała prawie gwardya W. Kr. Mości króciej lub dłużej jęczała w jej kajdanach. Ale też Duval umie się cenić! Dotąd nie znalazł się ani jeden, coby podbił jej serce.

**Król.** Panna widać chce dobry los zrobić.

**Robert.** Tego nie można powiedzieć. Pomiędzy wielbicielemi byli i tacy, którzy pragnęli majątki i tytuły u jej nóg złożyć, lecz wszystkich odprawiała temiż samemi słowy: pan mi się nie podobasz.

**Król.** Szczególna dziewczyna. (*Randzau wchodzi*).

**Randzau** (*ciszej do Króla*). Najjaśniejszy panie, każ odejść tym oficerom.

**Król** (*czyniąc skinienie ręką*). Mości panowie, możecie się oddalić. Dziękuję wam za dane objaśnienia. (*Oficerowie, oddawszy ukłon, wychodzą*).

#### SCENA 4.

*Król, Randzau, (później) Lebeau.*

**Randzau.** Muszę W. Kr. Mość przenieść nagle w sferę polityczną, choć widzę, że nie jesteś do tego usposobiony. Wiadomość é jednak bardzo pomyslna.

**Król.** I cóż mi takiego przynosisz, Randzau?

**Randzau.** Pani Teszen przyjechała na zamek i pyta, czy W. Kr. Mość raczysz ją przyjąć.

**Król.** Panią Teszen!... o, z całego serca! Nareszcie więc przybyła! Ale niechaj długo nie czeka. (*Dzwoni. Wchodzi Lebeau*). Lebeau, proś panią Teszen do mnie.

**Lebeau.** Dobrze, najjaśniejszy panie. (*Odchodzi*).

**Król.** Nadspodziewanie ta sprawa zdaje się dobry obrót przybierać.

**Randzau.** W. Kr. Mość w podobnych razach bywasz zwykle szczęśliwy.

**Król.** Nie mając jakiś czas na mój list odpowiedzi, sądziłem, że tem odezwaniem się podałem jej tylko nową broń do ręki. Pani Teszen widać wahała się i namyślała.

**Randzau.** Aż wreszcie niewygasła miłość dla W. K. Mości przewyciężyła w niej inne względy.

**Król.** Och, tak! Miłość, której byłem zawsze wiernym hołdownikiem, niech mię ratuje teraz wśród politycznej burzy. Król szwedzki pobił mego sprzymierzeńca, rozgonił moje wojsko i wisi jak chmura na granicach Rzeczypospolitej, traktując z moimi poddanymi o wyzucie mię z tronu. Tycho wewnętrznych nieprzyjaciół najwięcej się obawiam, a wiem, że ich stronnictwo bardzo liczne, że niezadługo może otrzymana przewagę Prymas Radziejowski udaje dotąd, że mi sprzyja, ale duszą stoi na czele mych przeciwników. Pani Teszen ma wielki wpływ na niego. Jeśli nie usłucha swej siostrzenicy, nie usłucha nikogo. A pani Teszen, jak sądzę, nie zapomniała dotąd, że była kiedyś przeze mnie kochaną. Jej wspomnienia są jedyną moją deską ratunku. Miłości, ty dodaj siły i zapału mym słowom!

**Lebeau** (*wchodzi*). Pani Teszen.

**Król.** Oddał się Randzau. Sam na sam będę dla niej najstraszniejszym. Zresztą możesz wszystko sły-

szeć z przyległego pokoju. (*Randzau się oddala. Wchodzi pani Teszen ubrana w kirze. Lebeau za jej wejściem odchodzi.*)

SCENA 5.

*Król. Pani Teszen.*

**Król** (*czyniąc kilka kroków naprzeciw przybywającej*).

Prawdziwą radość sprawiasz mi swem przybyciem, Aurelio!

**Pani Teszen** (*oddając mu ukłon etykietałny*). Najjaśniejszy panie!

**Król**. Ach, porzuć te tytuły i etykietę! Jesteśmy sami. Dawniej nazywałaś mnie tylko Augustem.

**P. Teszen**. Daruj W. Kr. Mość, że zechcę o tem zupełnie zapomnieć. Przeszłość, kiedy raz zginie, nigdy nie powraca. Przychodzę dziś do W. Kr. Mości nie jako Aurelia Teszen, ale jako siostrzenica Prymasa, do której cię zbliżył interes polityczny.

**Król**. Aurelio, jesteś okrutną!

**P. Teszen**. Przed kilku dniami W. Kr. Mość do mnie pisał. Żądał w tym liście, abym użyła całego mojego wpływu na Prymasa w celu przeciągnięcia go na twoją stronę, a odwrócenia od buntowniczej partji. Pragnął także, najjaśniejszy panie, abym widziała się z tobą dla ustnego porozumienia się w tej sprawie.

**Król**. Tak jest, Aurelio, prosiłem cię o tę wielką przysługę.

**P. Teszen**. Pozwól W. Kr. Mość, że ośmielę się zadać ci jedno pytanie.

**Król**. Gotowy jestem na każde ci odpowiedzieć.

**P. Teszen**. Dziękuję. Czy W. Kr. Mość zastanowił się dobrze nad twoim czynem przed napisaniem tego listu?

**Król**. Jakto, Aurelio? Cóż przez to rozumiesz?

**P. Teszen.** Czy W. Kr. Mość pomyślałeś wprzódy nad tem, czy masz najmniejsze prawo żądać ode mnie podobnej przysługi, lub czyli ja raczej nie mam powodu być twoją nieprzyjaciółką i szkodzić ci ile możności?

**Król.** Och, Aurelio, nie spodziewałem się od ciebie takich wyrazów! Do kogoż mamy udać się o pomoc, gdy nam zagraża niebezpieczeństwo, kiedy nieszczęście wisi nad naszą głową? Czyliż wtenczas nie powinniśmy naprzód zapukać do serc, które z naszymi łączy nie sympaty i najszczerzych związków? Aurelio, jeśli burza kołacze okrętem, a morze już ma pochłonać go w swoje głębie, czyż nie skupiają się do siebie ci wszyscy, którzy razem żyli w szczęśliwych chwilach ze sobą?

**P. Teszen.** Najjaśniejszy panie, otchłań przedziela nas od siebie!

**Król.** Dlaczego, Aurelio? Czyż nie pamiętasz, że kiedyś przysięgałem ci miłość, że kochałem cię z całej mej duszy, że ty oddałaś mi swe serce?

**P. Teszen.** Kiedyś!... Dobrze, iż W. Kr. Mość nie zapomniałeś dodać tego słowa. I w cóż się obróciły wszystkie twoje przysięgi? Złamałeś je bez najmniejszego wyrzutu sumienia. Gdzie dzisiaj twój miłość? Obdarzyłeś ją inną kobietę. I chcesz, żeby tylko moje serce pozostało niezmiennem? Nie, królu! Widzisz na mnie te czarne szaty, bo kir jedynie przystoi opuszczonej kochance, ale bądź pewny, że i duszę uzbroiłam w dumę obrażonej kobiety!

**Król.** Jesteś jak głaz niewzruszoną. Więc odmawiasz mi stanowczo swej pomocy?

**P. Teszen.** Niech W. Kr. Mość uda się po nią do pani Kozel.

**Król.** Chcesz się zemścić, Aurelio? Dobrze. Ale nie mów potem nigdy, żeś kiedykolwiek mię kochała. Ten czyn miłych wspomnień nie pozostawi



w twojej pamięci. Kiedyś będziesz musiała sobie przypomnieć, żem błagał cię o ratunek otoczony ze wszystkich stron od nieprzyjaciół, czyhających na moją zgubę, żem udawał się do twego współczucia, kiedy korona spadała mi z głowy, a tron chwiał się pode mną. Może to zadowolni twoją dumę, że będzie mogła sobie powiedzieć: i ja przyczyniłam się do jego upadku...

**P. Teszen.** Ach, co mówisz, najjaśniejszy panie!

**Król.** Tak, Aurelio, przedstawiam ci tylko moje prawdziwe położenie, a ty odpowiadasz mi wyrzutem o panią Kozel.

**P. Teszen.** Och, bo to jest okropne, zostać opuszczoną przez ciebie!

**Król** (*biorąc ją za rękę.*) Uspokuj się, Aurelio! Widzę, że kochasz mnie dotąd, ale nie rozumiesz mojego serca. Sądzisz, że dla pani Kozel zapomniałem o tobie? To nieprawda, Aurelio. Pani Kozel jest władczynią mojego dworu, a nie panią mojego serca. Pomiędzy mną a nią istnieje stosunek szczególniejszego rodzaju. Szacunek dla przymiotów jej umysłu i wdzięczność za jej poświęcenie skojarzyły go i utrzymują do dzisiaj. Ta kobieta tak mądra i roztropna dopomaga mi nieraz swą radą, ta kobieta uczyniła dla mnie tyle dobrego! Przyznaję, że zbłądziłem w pierwszej chwili, kiedy oddalony od ciebie, poznałem panią Kozel i dałem się ująć jej powabom. Ale dziś cóż mam uczynić? Odepchnąć tę kobietę od siebie i odpłacić jej najczarniejszą niewdzięcznością? Na to oburza się mój honor. Pozwól jej zatem, niechaj panuje na moim dworze, niechaj świat nazywa ją moją kochanką. Ja u niej nigdy nie szukam miłości. Jeżeli pragnę ją kiedy znaleźć, wtedy cofam się myślą w lata ubiegłe, wtenczas stajesz ty przed memi oczyma i całe szczęście naszej miłości!

**P. Teszen.** Auguście, czyli mam wierzyć temu co słyszę?

- Król.** Obowiązki, przypadkowym sposobem gdzieindziej zaciągnięte, odłączyły mnie od ciebie, Aurelio. Ale pamięć twoja zawsze jest świętą dla mnie. Poddałem się losowi, znosząc z rezygnacją dzisiejszy mój stosunek jako karę za błędy, bez wyrzutów dla pani Kozel, ale także bez zadowolenia dla siebie!
- P. Teszen.** Och, przebacz mi, Auguście, nie zrozumiałam ciebie!
- Król.** Z całego serca zapomnę o naszym nieporozumieniu. Aurelio, bądźmy przyjaciółmi jak dawniej. Rozłączeni od siebie, kochajmy się tą wyższą miłością, która duchy z sobą kojarzy,
- P. Teszen.** Tej jedynie pragnęłam zawsze od ciebie. Chciałam być kochaną, nie więcej! Chciałam wiedzieć, że kiedy dusza Augusta wyżej się wznosi, wtenczas myśli o mnie, wymarzyłam sobie tę cichą sympatyą, tę harmonią dwóch serc, której reszta świata nie słyszy.
- Król** (*n. s.*) Biedna kobieta!
- P. Teszen.** Najjaśniejszy panie, ja mam losy twej korony w swem ręku...
- Król.** Wiem o tem.
- P. Teszen.** Ale w twojej także jest mocy uczynić mnie szczęśliwą na wieki...
- Król.** Nigdy nie przestałem tego pragnąć.
- P. Teszen.** Uczynimy więc zamianę. Ja ci przyrzekam zjednać Prymasa, a ty poprzysiąż mi zachować wiecznie twą miłość. Nie żądam, abys wyrzekł się rozkoszy świata. Szalej, uwodź, zadawalniaj swoją namiętność i kaprysy, ale dla mnie zostaw swe serce, nie oddaj go żadnej innej. Za tę cenę uczynię wszystko dla ciebie. Przysięgasz?
- Król.** Przysięgam.
- P. Teszen.** O, dzięki ci! Nie zazdroszczę już pani Kozel jej tryumfów. Dla mego spokoju i szczęścia potrzeba tylko było dzisiejszej rozmowy. Teraz bądź

spokojny. Kochanka Augusta przyrzeka zachować tron królowi.

**Król** (*całując ją w czoło*). Kochaj mnie zawsze, Aurelio!  
(*Pani Teszen wychodzi.*)

## SCENA 6.

*Król. Randzau.*

**Król** (*odprowadziwszy ją aż do drzwi, zwraca się nagle ku stronie, gdzie Randzau wyszedł*). Randzau, Randzau! (*Randzau wchodzi.*) Czy słyszałeś wszystko?

**Randzau.** Winszuję W. Kr. Mości tak świetnego sukcesu.

**Król.** Jestem niezmiernie uradowany! Tu między ścianami tej sali, w cztery oczy z kobietą, odniosłem zwycięstwo, równające się wygranej bitwie. Tak, pani Teszen przerobi swego stryja, Prymas opuści buntowników, buntownicy bez niego upadną na duchu, i tak król szwedzki będzie zmuszony cofnąć się od mych granic, jak gdybym mu zadał klęskę w otwartem polu...

**Randzau.** Ośmielę się zapytać, czy W. Kr. Mość mówiłeś to wszystko naprawdę do pani Teszen?

**Król.** Dlaczego się pytasz o to?

**Randzau.** Bo jeśli to była tylko wyuczona rola, to W. Kr. Mość posiadasz znakomite zdolności teatralne, jeżeli zaś prawda, to muszę uznać całą tę scenę za bardzo efektowną.

**Król.** Po części było to jedno i drugie. Warunki pani Teszen są tak niepochwytnie, tak elastyczne, że mogłem na nie przysięgać bez obawy, aby mi kiedyś niedotrzymanie słowa wyrzucono. Przytem zastygła iskra nieco się rozdmuchała. Pani Teszen dzisiaj mię nie zajmuje, ale pamiętam, że kochałem ją niegdyś. Bo wierz mi, żadna z naszych kochanek nie bywa nigdy zupełnie zapomniana. Bo czyż może zagać w nas bez śladu uczucie dla tych istot? Każda napoiła nas jakąś rozkoszą,

każda dała nam poznać jakieś nowe powaby wdzięków i miłości! Tylko ludzie ciasnego umysłu mogą dla jednej kobiety rzucić w niepamięć wszystkie poprzednie kochanki i obwiniać inaczej myślących o lekkomyślność. Powiedz mi, Randzau, czyli ja nie jestem stały? Wszak kocham zawsze i ciągle, i miłość moja zawsze jest jedną, chociaż różne ogarnia przedmioty.

**Randzau.** Bez wątpienia, biorąc rzeczy w ten sposób ze stanowiska filozoficznego, jesteś W. Kr. Mość najstalszym i najidealniejszym kochankiem.

**Król.** Dajmy pokój tym rozumowaniom. Jestem dzisiaj bardzo ucieszony, odniosłem tryumf i chciałbym go obchodzić uroczyście, jak żołnierze bankietujący po zwycięstwie. Na dzisiaj dość już polityki, resztę dnia chciałbym spędzić przyjemnie i wesoło.

**Randzau.** Jakież W. Kr. Mość ma plany pod tym względem?

**Król.** Doprawdy, że nie wiem co robić. Randzau, może ty podasz jaką myśl szczęśliwą?

**Randzau.** Może W. Kr. Mość zechce przepędzić wieczór z panią Kozel?

**Król.** Ach, Randzau, nie rozumiesz mnie zupełnie! Ja chcę się dzisiaj czemś szczególnem uraczyć, a chociaż jesteś bratem pani Kozel, nie tajno ci przecie, że ona przestała być dla mnie nowością.

**Randzau.** Może każemy dać przedstawienie teatralne?

**Król.** Moi aktorowie nie nauczyli się nic nowego; już umiem na pamięć wszystkie ich opery.

**Randzau.** Przychodzę do przekonania, że nic trudniejszego, jak wymyśleć zabawę. Tymczasem ośmielę się zapytać, o czem W. Kr. Mość prowadziłeś tak żywą rozmowę z oficerami gwardyi przed moim przybyciem. Nie miałem czasu dotąd o to pytać.

**Król.** Ach Randzau, to jest myśl genialna!

**Randzau.** Jaka myśl, najjaśniejszy panie?

**Król.** Ta, którą mi podałeś swem zapytaniem. Czy wiesz ty, gdzie winiarnia Duvala?

**Randzau.** Jestem tam dosyć częstym gościem.

**Król.** Czy kochasz się lub kochałeś w Henryce?

**Randzau.** W. Kr. Mość znasz Henrykę?

**Król.** Nie znam, ale o niej właśnie rozmawiałem z oficerami, których przypadkiem podsłuchałem w tym przedmiocie. Unosili się nad jej pięknnością...

**Randzau.** Zapewniam W. Kr. Mość, że nie kłamali. Duval jest przesliczną, cudowną.

**Król.** Dlaczego dotąd nigdy mi o niej nie wspomniałeś?

**Randzau.** Dlaczego? W istocie sam nie wiem. Dlatego zapewne, dlaczego nie mówimy o tysiącu różnych rzeczach, które nam nigdy na myśl nie przyjdą.

**Król.** Randzau, pójdziemy dziś do panny Duval.

**Randzau.** W. Kr. Mość chcesz iść do winiarni, gdzie zawsze pełno oficerów i ludzi od dworu?

**Król.** Ach, jaki ty jesteś niedomyślny. Pójdę incognito, przebrany w mundur oficerski. Jestem niezmiernie ciekawy poznać tę straszłą piękną, której dotąd nikt się nie podobał. Randzau, każesz Lebeauwi przynieść mi odpowiedni kostyum. Dzisiejszy wieczór przepędzimy przyjemnie.

**Randzau.** Nie wątpię o tem, ale jest jedna okoliczność.

**Król.** Cóż takiego?

**Randzau.** Moja siostra..

**Król.** Prawda!

**Randzau.** Wyobraź sobie W. Kr. Mość, coby to było hałasu, gdyby się o tem dowiedziała. Jeszcze ty najjaśniejszy panie, uszedłbyś łatwiej jej gniewu, ale ja...

**Król.** Pani Kozel może o tem nic nie wiedzieć.

**Randzau.** To niepodobna. Jej policya wzorowo pod tym względem urządzona.

**Król.** Musimy jednak temu zaradzić.

**Randzau.** Tak, trzeba zaradzić. Bo to być nie może, abyśmy tylko to robili, co się pani Kozel podoba. Ona zanadto ogranicza wolę W. Kr. Mości.

**Król.** Najlepiej będzie uprzedzić wszystkie jej badania i domysły, i powiedzieć otwarcie, że dzisiaj na noc wychodzę z zamku. Mam plan gotowy, jak upozorować to oddalenie.

**Lebeau** (*wchodzi*). Pani hrabina Kozel.

**Król.** Wybornie, w sam czas przychodzi. Randzau udajmy zajętych. (*Usiada. Randzau stoi przy nim. Pani Kozel wchodzi*).

### SCENA 7.

*Król. Randzau. Pani Kozel.*

**Król.** Więc takie masz ostatnie wiadomości... W tej mierze należałoby się porozumieć z ministrem saskim...

**P. Kozel.** W. Kr. Mość daruje, że mu przerywam jego prace.

**Król.** Ty, Gabryelo, nie jesteś nigdy natrętnym gościem. (*Wstaje*). Rzeczywiście, cały dzień dzisiaj byłem niezmiernie zajęty, pracowaliśmy długo z Randzauem.

**P. Kozel.** Więc to był zapewne powód, dlaczego nie miałam dziś szczęścia widzieć W. Kr. Mości.

**Król.** Jakiżby inny, kochana Gabryelo. Najśłodszym dla mnie jest wypoczynek po trudach na twojem łonie. Ale cóż robić? W ciężkich żyjemy czasach, i tego nawet muszę sobie odmawiać.

**P. Kozel.** Słyszałam, że pani Teszen była u W. Kr. Mości. I jakiż skutek to widzenie odniosło?

**Król.** Obaj z Randzauem poruszyliśmy wszystkie sprężyny, aby ją skłonić do swych zamiarów. Nareszcie wyświeciwszy całe położenie rzeczy, wykazawszy klęski, na jakie kraj może być narażony z jednej, a dobrze zrozumiany interes stronnictw z drugiej strony, i przedstawivszy jej wszystkie kombinacye polityczne, zdołaliśmy wymódlz na niej, że nam przyrzekła swą pomoc.

**P. Kozel.** To dobrze. W. Kr. Mość wiele na tem zyskuje.

**Randzau.** Gdyby pani Teszen miała jaśniejszy pogląd na obecny stan Europy, bez wątpienia ta sprawa nie byłaby nas kosztowała tyle mozołu.

**Król.** Ale nie tu jeszcze koniec mojej pracy. Szczęśliwym wypadkiem przybyłaś tu, Gabryelo, bo właśnie pragnąłem się z tobą rozmówić.

**P. Kozel.** Czegóż W. Kr. Mość żądasz?

**Król.** Otóż rzeczy tak stoją, że muszę jeszcze widzieć się z panem Towiańskim, siostrzeńcem Prymasa. Z tego powodu chciałem cię uprzedzić, że dzisiejszej nocy wydalę się z zamku.

**P. Kozel** (*n. s.*) Co? (*Głośno*). Czyżby raczej nie przystało, aby pan Towiański przybył do W. Kr. Mości?

**Król.** Niech Bóg broni! Pana Towiańskiego wszyscy znają, a my tutaj jesteśmy otoczeni szpiegami. Cała sprawa zostałaby narażoną, gdyby się dowiedziano, że mam potajemne znowy z Prymasem.

**P. Kozel.** I w jakiż sposób myślisz się W. Kr. Mość z nim widzieć?

**Król.** Pan Towiański wyznaczył mi w mieście schadzki, na którą mam się udać przebrany.

**P. Kozel.** Gdzie?

**Król.** To tajemnica.

**P. Kozel.** Dla mnie?

**Król.** Nawet dla ciebie. Tak żądał Prymas.

**P. Kozel.** I na jakież niebezpieczeństwo W. Kr. Mość się narażasz!... Czy nie wiesz, że Warszawa roi się od twych nieprzyjaciół, a jeśli oni w obozie szwedzkim już cię za wyzutego z tronu ogłaszają, to się także ośmielą wśród cieniów nocy utopić w twych piersiach zabójczy sztylet.

**Król.** Twój przestrach jest nierozsądny...

**P. Kozel.** Niech W. Kr. Mość tego nie mówi. Moja obawa płynie z serca, które nie ma nic droższego,

nie więcej nie kocha nad ciebie. Nie mogę nawet przypuścić tej myśli, abyś krok podobny chciał uczynić.

**Król.** Konieczność polityczna tego wymaga.

**P. Kozel.** Natenczas pozwól, że i ja z tobą pójdę. Nie znajdziesz obrońcy, któryby lepiej ode mnie czuwał nad twoją całością. Każdy cios na ciebie wymierzony, musiałby najprzód przejść przez moje łono.

**Randzau** (*n. s.*) Tybyś była sama prawdziwym ciosem!

**Król.** Nie, Gabryelo, na to nie mogę pozwolić. Chociaż sztylety, które widzisz nad moją piersią są tylko urojeniem twej głowy, nie mogę cię wystawiać na nieprzyjemność lub przypadek, którego ja prędzej uniknąć zdołam.

**P. Kozel.** Auguście, uczyni zadosyć mej najusilniejszej prośbie.

**Randzau** (*n. s.*) Otóż masz, i tkliwość już na stole!

**P. Kozel.** Jeśli mnie kochasz, zaniechaj tego zamiaru, lub weź mnie z sobą. Nie, to niepodobna... w tych czasach... w nocy... takie niebezpieczeństwo!.. Auguście, zważaj na moje przeczucie, na moje łzy, które na tę myśl do oczu mi się cisną!

**Randzau** (*n. s.*) Już i łzy!

**Król.** Ach, Gabryelo (*n. s.*) Nie wiem, jak postąpić... żal mi jej... doprawdy, ona płacze. Przecież to niegodnie tak ją oszukać... ale cóż robić dziś wieczór? (*Głośno*) Sądziłem, że lepiej zdołasz zrozumieć interesa mej korony. Zresztą nie pójdę sam jeden. Randzau będzie mi towarzyszył. Znasz jego przytomność i przywiązanie do mojej osoby.

**Randzau.** Tak, moja siostrze, niema najmniejszej obawy.

**P. Kozel.** W. Kr. Mość nie masz litości!

**Król.** Droga Gabryelo, bądź spokojną. I ja przecież mogę czegoś wymagać od twej miłości. Gdyby nie surowa konieczność, czyż zdołałbym oprzeć się twojej prośbie? Moje serce usłuchało twojego głosu,



ale rozum każe wbrew uczuciu postąpić. Rozpogódź twe piękne oczy. Lubię w nich widzieć blask radości i szczęścia. Tak, Gabryelo! Ach, te oczy posiadają nieograniczoną władzę nade mną! Więc otrzymałem zezwolenie?

**P. Kozel.** I cóż mam robić z tobą. (N. s.) Uparł się jak rzadko.

**Król** (*całując ją w rękę.*) Dzięki ci, Gabryelo.

**P. Kozel.** Czyli mam czekać na W. Kr. Mość?

**Król.** O nie, Gabryelo. Już niedaleko do wieczora. Nim uczynimy stosowne przybory, i noc zapadnie. A chociaż obiecuję ci spieszyć się ile można, jednak na każdy wypadek, udaj się raczej wcześniej na spoczynek. Ach, te sprawy publiczne, ta polityka! Do widzenia się zatem, Gabryelo. Randzau, pójdziesz ze mną.

**P. Kozel.** Niech W. Kr. Mość pamięta, że będę drzeć o niego, póki go przy sobie nie ujrzę.

**Król.** Niechaj Bóg cię natchnie odwagą. (*Wychodzi.*)

## SCENA 8.

*Pani Kozel. Randzau.*

**P. Kozel** (*zatrzymując Randzaua, który zmierzał za Królem.*)  
Randzau, tylko chwilę.

**Randzau** (*chcąc dalej iść.*) Przebacz... król czeka na mnie...

**P. Kozel.** Natychmiast pójdziesz za nim. Randzau, czy ty pamiętasz, że jesteś moim bratem?

**Randzau.** Mój Boże, dlaczegożbym miał zapomnieć!

**P. Kozel.** Powiedz mi szczerze, gdzie się król dzisiaj wybiera?

**Randzau.** Wszak powiedział ci jak najwyraźniej i ze wszystkimi szczegółami.

**P. Kozel.** Ale ja pytam się o to ciebie, bo nie zupełnie wierzę jego słowom.

**Randzau.** Moja siostrzo, to bardzo niepięknie z twej strony.

**P. Kozel.** Mam powody do takiej nieufności. Czuję, że od niejakiego czasu król obojętnieje dla mnie. Jego

umysł zmienny i pragnący ciągle świeżych wrażeń. Kto wie, może jaka nowa piękność!... To dzisiejsze oddalenie się daje mi do myślenia. Schadzka z Towiańskim wydaje mi się niezręcznym kłamstwem, i nie bez przyczyny zapewne król się tak wzdygał, kiedym mu chciała towarzyszyć.

**Randzau.** Wszakże podobne nocne wycieczki, chociażby w najlepszym celu, wcale nie przystoją kobiecie.

**P. Kozel.** Randzau, jeśli mnie zdradzasz, pomyśl dobrze co robisz. Jesteś płochy i lubisz awantury. Lecz jeśli pomożesz królowi, aby inna zajęła moje miejsce, może się skończyć i twoja karyera, do której ja pierwsza utorowałam ci drogę.

**Randzau.** Nazbyt daleko patrzysz i dlatego się mylisz. Pamiętam tak dobrze o tobie, jak i o własnym interesie.

**P. Kozel.** Żebym się kiedyś o fałszu twoich słów nie przekonała!

**Randzau.** Nie lękam się tego i mogę tylko powtórzyć, co ci król powiedział: udaj się na spoczynek i spij spokojnie. (*Wychodzi za Królem*).

## SCENA 9.

**P. Kozel.** Wam obu nie mogę wierzyć, moi panowie. Gdzie chodzi o to, aby oszukać kobietę, wy wszyscy trzymacie się za ręce, zapominając wszelkich innych względów. Na schadzki polityczną możebyś nie dążył, królu, z taką niecierpliwością, jaką czułam w brzmieniu twojego głosu! Chociaż ulice warszawskie, jak mówicie, są dla mnie niebezpieczne, dla poznania prawdy narażę się na to niebezpieczeństwo. Mości królu, zabawimy się dziś oboje w maskaradę.  
(*Odchodzi szybkim krokiem*).

## AKT DRUGI.

Wieczór. Winiarnia Duvala. Obszerna sala oświetlona kilku kinkietami. Po obu stronach i w głębi sceny stoliki i stołki. Szafa z butelkami itp. Drzwi główne i po prawej ręce.

### SCENA 1.

*Duval. Robert. Wilhelm i inni Oficerowie (siedzą przy jednym stole. Butelki odkorkowane, szklanki itp.).*

**Duval.** Nie, to niepodobna! Słyszysz, panie Robercie, co pan porucznik opowiada o królu szwedzkim? Czyż to może być, żeby Karol XII. brzydził się winem, a pijał tylko kwaśne mleko i maślanek!

**Robert.** Nie mogę ci za to zaręczyć, panie Duval. Zresztą może to i potwarz wymyślona przez zemstę, bo tak o nim opowiadają ci niedobitkowie, których niedawno temu nad Dźwiną przepłoszył.

**Duval.** To zdaje się nie do uwierzenia.

**I Oficer.** Ale powiem wam także, moi panowie, że tenże sam Karol XII. większy niż do wina ma jeszcze wstręt do kobiet. Na jego dworze niema ani jednej damy honorowej, a kiedy choćby najpiękniejszą kobietę przypadkiem spotka, ucieka przed nią jak przed morowem powietrzem.

**Duval.** A to mi król dopiero! Ocho, nie dojdzie on nigdy tak wysoko, jak król francuski, albo też nasz najjaśniejszy monarcha!

**Robert.** Z tem wszystkim trudno zaprzeczyć, że się dzielnie bije, i niedługo zapewne będziemy mieli sposobność znowu się z nim zmierzyć, gdyż we-

dług najświeższych wiadomości dotarł już do samych granic Rzeczypospolitej.

**Duval.** Ocho, moi panowie, tutaj on kark skręci. Czytałem ja gazety francuskie i wiem, co się gotuje. Wielkie przymierze już zostało przeciw niemu zawarte, gdyby się na to odważył. Wtedy Car rosyjski uderzy na niego z jednej strony, od południa, ot tędy, pójdą wojska polskie, Sasi zaś, ot tak, od Drezna, a król duński z góry go przyciśnie. Król XII. musi się zgruchotać jak orzech pod młotkiem. Rosya weźmie sobie wtedy Finlandyą, nasz król Inflanty, a resztę zabiorą Duńczycy. Moi panowie, to jest pewne jak dwa a dwa cztery, bo jestże to rozum bić się aż z trzema naraz?

**Robert.** Wypijmy za pomysłność naszego oręża. (*Piją. Robert wstaje*). Ale gdzież to panna Henryka? Tak długo się dziś nie pokazuje.

**Duval** (*wstaje*). Zajęta jakąś robótką, przy których kobietom zawsze spieszo. Ale jeżeli to panom przyjemność sprawi, to wiecie, że nie jest mym zwyczajem zamykać ją przed mężczyznami. Pogadać i pośmiać się z każdym przyzwocie, zwłaszcza w tak zacnem towarzystwie, nikomu nie szkodzi, a te trusie, co to trzech zliczyć nie umieją, najczęściej wpadają w łapkę. Wszak prawda, panie Robercie?

**Robert.** Najoczywistsza prawda, panie Duval.

**Duval.** Jeśli skończyła swoją robotę, stanie się natychmiast panu zadosyć. (*Otwierając drzwi na prawo*). Henryko, pójdzno tu do nas, moje serce, panowie proszą cię bardzo.

**Henryka** (*za sceną*). W tej chwili, mój ojciec. (*Wchodzi z robótką w ręku*).

SCENA 2.

*Ciąż sami i Henryka.*

**Henryka.** Czegóż żądasz, mój ojczy?

**Robert.** Dobry wieczór, panno Henryko. Pani dzisiaj zajęta. Nie bylibyśmy cię trudzili, gdyby nie to, że mam pani coś powiedzieć.

**Henryka.** Cóż takiego? jestem bardzo ciekawa.

**Robert.** Pójdźno tu do nas, Wilhelmie. (*Wilhelm się zbliża*). Przedstawiam pani wielkiego winowajcę, który dzisiaj bardzo względem ciebie przekroczył.

**Henryka.** Pan Wilhelm?

**Robert.** Tak, panno Henryko. Wiesz pani, że on twoje włosy nosi na sercu, że nie ma dość westchnień i pocałunków, aby je obsypywać.

**Henryka.** Moje włosy?.. Pan powiedziałeś całą prawdę, panie Wilhelmie?

**Wilhelm.** Czyż pani możesz wątpić?

**Robert.** Nie gniewaj się, panno Henryko. Wilhelm był bardzo dyskretny i gdyby nie przypadek, nie bylibyśmy dotąd wiedzieli, że je kupił u ciebie za trzydzieści talarów.

**Henryka.** Było to zachcenie, któremu w ten sposób, jak pan wiesz, mogłam bez wahania zadosyć uczynić.

**Robert.** Jesteś pani okrutną. Gdybyś mogła przejrzeć jego uczucia i uwierzyć im, ręczę, żebyś łaskawszy wyrok wydała. Bo ja, panno Henryko, staję po stronie tego winowajcy. Nie było i nie będzie człowieka, któryby cię tak kochał i ubóstwiał. Wierz memu doświadczeniu i przychylności dla ciebie. Nie mówię dlatego, że Wilhelm jest moim przyjacielem, ale on zasługuje na wszelkie twoje względy.

**Henryka.** Panie Robercie!

**Wilhelm** (*biorąc go za ramię*). Daj pokój!

**Robert.** Dobrze, więc gadaj sam za siebie. Ja tylko powiadam, że los poszedłby bardzo krzywą drogą, gdyby was na wieki nie połączył, i mam tę błogą nadzieję, że wcześniej czy później to uczyni. (*Odchodzi do innych Oficerów*).

**Wilhelm.** Przebacz pani słowom mojego kolegi, który licząc na twoje dobre serce, może za daleko posunął dla mnie przychyłność. I przebacz pani także mnie nierównie większą jeszcze winę, gdy wobec tych ludzi wyjawilem dzisiaj, że cię kocham.

**Henryka.** Postąpiłeś pan bardzo nierozsądnie.

**Wilhelm.** Tak, przyznaję. Stało się to pod wpływem dziwnego uniesienia, kiedy zapomniałem na chwilę o rzeczywistości. Nie powinienem był tego nigdy czynić przez wzgląd na ciebie i na to, że miłość moja bez nadziei...

**Henryka.** Panie Wilhelmie, i dlaczegoż nie idziesz za tem przekonaniem?

**Wilhelm.** Dlaczego? Wszak i ja mógłbym panią zapytać, dlaczego do swego serca nie dajesz przystępu miłości. O Henryko, natura stwarzając ciebie, oszukała ludzi; złała na ciebie wszystkie dary, które tylko miłość wzniecić mogą, a dała ci serce nieprzystępne dla tego uczucia. Henryko, powiedz mi, czyli ty nie chcesz, czy nie umiesz kochać?

**Henryka.** Nie wiem. Być może, iż na dnie mego serca spoczywa w milczeniu to uczucie, oczekując chwili, kiedy znajdzie się ręka, co uderzy w tę strunę i tony z niej wydobędzie. Może być, iż zupełnie go tam niema. Bo i dlaczegoż koniecznie kochać? Czyż nie można przejść przez życie i nie spotkać ani jednej istoty, pod której władzę nasza duszaby się poddała?

**Wilhelm.** Och, Henryko, ja lękam się o ciebie!

**Henryka.** Pan mię obrażasz...

**Wilhelm.** W twojej dziewiczej piersi spoczywa jakaś demoniczna siła. Ty jej nie czujesz, bo jeszcze drzemie, ale niech się przebudzi, a rozsadzi twe serce. Ty nie wiesz, a w twojej głowie snują się jakieś przeczucia ideału, potężniejszego nad zwykłych śmiertelników. Ty pragniesz miłości, która wprawia w szal bogów i katuszą piekieł udreżca. Henryko, ty pokochasz bóstwo lub szatana!  
*(Odchodzi od niej między Oficerów).*

**Henryka** *(d. s.)* Mój Boże, czyż to ma być prawdą, co on mówi? Nie, on mnie nie zna, ja czuję się tak szczęśliwą i spokojną. Mój ojciec, czyli mam zostać tu na sali?

**Duval.** Zostań, Henryko. Możesz sobie tu szyć i dłużyć, a zabawisz gości, gdyby mi przyszło się oddalić. Bardzo ładnie się dzisiaj ubrałaś, a co to za suknia?

**Henryka.** To ta, którą sobie zrobiłam według własnego pomysłu.

**Duval.** Ładnie w niej wyglądasz. Oj, wy dziewczęta, umiecie przystrajać swe buziaki. Niech cię to nie psuje, moja córko, ale ty sama dobrze wiesz, że ci pan Bóg nie poskąpił urody. He, ja też jestem dumny z takiej córki!

*(Całuje ją w czoło i odchodzi do Oficerów. Henryka usiada przy drugim stole z robotą w ręku).*

**Robert.** Moi panowie, śpiew i wino to nierozłączni towarzysze. Do góry szklanki i zaśpiewajmy piosnkę o ojcu Noem.

**Oficerowie.** Wybornie, o ojcu Noem!

*Śpiew. Chór.*

Ojciec Noe niechaj żyje!  
Nie dlatego że jedyny  
Między ludźmi był bez winy,  
Gdy Bóg karał świat zalewem;  
Ani nie z tego powodu,

Ze się stał ludzkiego rodu  
Genealogicznem drzewem;  
Lecz dlatego, że zaradził  
Na smutki sercu niezdrowe,  
Że szczep winny pierwszy sadził  
I zaproszył pierwszy głowę.  
Ojciec Noe niechaj żyje!

SCENA 3.

*Oiż sami, Król i Randzau.*

*(W czasie śpiewu Król i Randzau weszli. Obaj w kapeluszach i płaszczach. Randzau na migi przywołał Duvala, dał mu do poznania, że chcą zostać niepostrzeżeni, i kazał podać wina. Król i Randzau siadają przy osobnym stole w głębi. Oficerowie na przodzie po jednej, Henryka po drugiej stronie).*

**Randzau** (*półgłosem*). Najj. panie, musimy się cicho i ostrożnie zachować.

**Król** (*tak samo, patrząc na Henrykę*). Więc to jest panna Duval?

**Randzau**. Ona sama. Jakże ją W. Kr. Mość znajdujesz?

**Król**. W istocie, mieliście słuszność. Zdaje się tylko trochę za zimna.

**Robert** (*stawiając szklankę*). Już to należy przyznać, że się nigdzie tak dobrze nie bawimy, jak u ciebie, panie Duval. Jesteś, co się nazywa, nieoszaczanym gospodarzem. Masz wino dobre, ani na jotę nie sfałszowane, a nie każesz sobie za nie sum neapolitańskich płacić. Nie powiedziałbym także całej prawdy, gdybym nie dodał, jak wiele powabu przyczynia twemu zakładowi twoja córka, panna Henryka. Można ją bez przesady nazwać wzorem dobrze wychowanych panien, co zaś do jej piękności, jest to rzecz tak znajoma, że nawet gadać o tem nie warto. Panno Henryko, twoja



gitara spoczywa dzisiaj bezczynnie. Zechciej ją wziąć do ręki i zaszczyć nasze towarzystwo swym śpiewem.

**Henryka.** Zaśpiewam panom piosenkę, której się niedawno nauczyłam. (*Zdejmuje gitarę ze ściany*).

*Śpiew.*

Zerwałam kwiatek na łące,  
Kwiat, co miał świeżość i woń;  
Tam ogrzewało go słońce,  
Motyle biegły tam doń.  
Przypięłam ten kwiat na łono,  
Ach, piękny będzie to strój!  
Lecz wkrótce główkę schyloną  
Uwiędły zwiesił kwiat mój...

**Robert.** Piękna piosenka, dziękujemy bardzo. Śpiewałaś ją pani z wielkim czuciem. Za zdrowie panny Duval!

**Oficerowie.** Za zdrowie! (*Henryka kłania się*).

**Król** (*który w czasie śpiewu powstał i trzymał w Henryce utkwione oczy, patrząc ciągle na nią*). Randzau, czy widziałeś ty wyraz jej twarzy? Sądziłem, że widzę alabastrowy posąg, który nagle się ożywia. Pragnąłbym teraz klęczeć przed nią i całować jej ręce. Muszę z nią mówić. Tych panów trzeba się jak najprędzej stąd pozbyć.

**Randzau.** Jeśli W. Kr. Mość sobie życzysz...

**Król.** Tak, chcę koniecznie. Lecz cóż tu zrobić?

**Randzau.** Sposób musi się znaleźć. Tak będzie dobrze. (*Podaje mu swój pugilares*). Niech W. Kr. Mość napisze tutaj rozkaz do komendanta placu, aby natychmiast kazał zabębnić na alarm.

**Król** (*pisze*). Oto go masz. (*Wydziera kartkę z pugilaresu, pugilares kładzie na stole*).

**Randzau.** Oddam go najbliższemu oficerowi na służbie i zaraz powrócę. Niech tylko W. Kr. Mość nie zwraca na siebie uwagi.

- Król.** Będę siedział jak martwy. (*Randzau wychodzi*).
- Robert** (*nieco podochocony, biorąc Duwala na stronę*). Panie Duval, pan wiesz, że cię szanuję?
- Duval.** Panie Robercie, nie wątpię o twej przyjaźni.
- Robert.** Pan wiesz, że kocham pannę Henrykę...
- Duval.** W istocie, zastępujesz jej pan miejsce brata.
- Robert.** Że pragnę jej dobra i szczęścia. Otóż względem niej niebym lekkomyślnie nie powiedział. Pan wiesz, że mój kolega Wilhelm ją kocha?
- Duval.** Tak, tak, miarkuję ja to.
- Robert.** Czy pan masz co przeciw niemu?
- Duval.** Broń Boże! To jest człowiek zupełnie na swoim miejscu.
- Robert.** To jest bardzo szlachetny chłopiec.
- Duval.** Tak, szlachetny.
- Robert.** Dobrze wychowany i wcale niegłupi.
- Duval.** To prawda.
- Robert.** Z bardzo porządnego domu i nawet nieubogi.
- Duval.** Tak, tak, widać to po nim.
- Robert.** Panie Duval, nie odmówiłbyś mu ręki córki?
- Duval.** Gdyby się tylko ona na to zgodziła.
- Robert.** Ona się na to zgodzi. niechaj go tylko lepiej pozna i oceni. Panie Duval, proszę cię o przychylność i względy dla Wilhelma. To się jakoś ułoży. (*Podaje mu rękę*).
- Duval.** Możesz pan być zupełnie pewny.
- Robert.** Dziękuję. (*Duval zbliża się do córki i rozmawia z nią po cichu. Robert do Wilhelma*). Cóż, mój kochany, siedzisz ciągle jak mruk i nic nie pijesz. W twojem położeniu wypiłbym całą beczkę i dopił się na jej dnie nadziei. Nie rozpaczaj tak bardzo. Są kobiety, których miłość cierpliwością trzeba zdobywać.
- Wilhelm.** Próżna pociecha! Ja cierpię bardzo, a najwięcej wtedy, kiedy mi się wydaje, że Henryka jest tym dumnym aniołem, którego wielkość i świętność strąciły na dno przepaści.

- Robert.** Co tobie się nie marzy! Ot, co zrobiłeś z tego naiwnego i wesołego dziecka! No, koledzy, nie zalegajmy pola. Panie Duval, podsyć źródło naszego humoru. (*Pija*).
- Duval.** W tej chwili, w tej chwili. (*Przynosi nowe butelki*).
- Randzau** (*powraca, do Króla*). Najj. panie, za chwilę usłyszymy bębny pod oknami.
- Król.** Ci panowie bawią się w najlepsze. Ale patrzaj, Randzau, jaka ona piękna! Myślałem, że to będzie tak sobie ładna, kapryśna dziewczyna z filuternym noskiem, a to...
- Randzau.** A to co?
- Król.** A to bogini!
- Randzau.** W. Kr. Mość się entuzjazmuje, to nie dobrze.
- Robert.** Moi panowie, piliśmy już rozmaite zdrowia, lecz najlepsze zachowaliśmy na ostatek: niech żyje król!
- Oficerowie** Niech żyje!
- Randzau** (*do Króla*). Można W. Kr. Mości powinszować tej niespodzianki. (*Słychać alarm*).
- Robert.** Cóż to znowu?
- Oficerowie.** To alarm!
- Robert.** Ha, moi panowie, rzucajcie szklanki od siebie i dalej w drogę! Panie Duval, zapłacim jutro a teraz dobranoc; dobranoc, panno Henryko. Prę-dziej, prędzej! (*Oficerowie wychodzą spiesźnie. Duval idzie za nimi do drzwi*).
- Randzau** (*do Króla*). Oczyszciliśmy plac z nieprzyjaciela.

#### SCENA 4.

*Duval. Henryka. Randzau. Król.*

- Duval** (*za odchodzącymi*). Moi panowie, cóż to ma znaczyć to bębnienie na gwałt? Niech pan Bóg broni, może król szwedzki już pod Warszawą!.. Henryko, wyrzyjno oknem, co się tam dzieje.

- Randzau** (*zbliżywszy się z Królem naprzód*). Uspokój się, panie Duval, to tylko zwyczajny alarm dla wypróbowania czujności załogi.
- Duval.** Czy tak? panie Randzau. No, pan przecie człowiek wojskowy i znasz się na tych rzeczach. Ale cóż panowie tutaj bawicie, toć i na was zapewne bębnią?
- Randzau.** Jako adjutant królewski wyjęty jestem z pod rozkazów komendanta placu, a mój towarzysz przybył do miasta z innego pułku i nie należy do garnizonu. Przedstawiam państwu kapitana Moora. Przyszliśmy przepędzić tutaj wesołą chwilę.
- Duval.** Bardzo się cieszę z łaskawej pamięci pana adjutanta. (*Podaje Królowi rękę*). Panie kapitanie, szczytę się przyjaźnią wielu pańskich kolegów, i spodziewam się, że pan mi także swojej nie odmówisz.
- Król.** Panie Duval, posiadam wielu przyjaciół, ale więcej jeszcze wrogów i dlatego bardzo mi przyjemnie, jeśli mogę liczbę pierwszych pomnożyć. (*Do Henryki*). A pani, czy zechcesz do jednych, czy do drugich należeć?
- Henryka.** Żądasz pan niepodobieństwa. To pytanie może tylko dalszy czas rozstrzygnąć.
- Król.** Jakto? Miałyżby w twojej duszy znaleźć także miejsce wrogie uczucia?
- Henryka.** Czyż pan uważasz za rzecz nieprawdopodobną, że w każdym rozbudzić je można? A zwłaszcza pan, który, jak powiadasz, masz tak wielu przyjaciół, musisz także posiadać przymioty, wzniecające nieprzyjaźń.
- Król.** Trudno, bym sam o sobie sądził. I wolałbym zdać się na wyrok pani, jakim się tobie wydaje.
- Henryka** (*śmiejąc się*). Patrząc na pana, wcalebym cię złym nie nazwała.
- Król.** A więc posiadam przyjaźń pani?
- Henryka.** Ale, mój panie, pozory często mylą...

**Król.** Nie zawsze. Wszak piękność twoja jest także pozorem, słabym odblaskiem twej duszy, a jednak nie kłamie, że pani jesteś piękną.

**Henryka.** Kapitanie, nie będziemy nigdy przyjaciółmi.

**Król.** Dlaczego? Tobo mnie bardzo smuciło!

**Henryka.** Bo zaczynamy znajomość od błahych grzeczności.

**Król.** Które jednak mogą być najszczerzą prawdą. Nie jest to przecie rzecz niemożliwa, że ja nie jestem złym człowiekiem, a sprzeciwiałoby się prawdzie, gdybym nie wyznał, że twa piękność zrobiła na mnie wrażenie.

**Duval** (*n. s. do Randzaua*). Ten pański kapitan rozumny człowiek. Ale uważasz pan, jak i moja Henryka dotrzymuje mu placu. (*Słysząc stukanie i głos za sceną: Otworzyć, otworzyć!*) Cóż tam znów takiego?

**Randzau.** Panie Duval, nie kaź otwierać. (*Stukanie*).

**Duval.** A to jacyś natrętni goście! (*Do okna*). Moi panowie, idźcie spać, już późno!

**Głos zza sceny.** Kaź pan otworzyć, panie Duval, przychodzimy w imieniu władzy.

**Duval** (*do obecnych*). Moi panowie, nie wiem co to ma znaczyć, ale ront stoi przed bramą.

**Randzau.** (*zbliżając się do Króla rozmawiającego z Henryką*). Najj. panie, ront.

**Król** (*n. s.*) Musimy się ukryć.

**Randzau.** Trzeba ich wpuścić, panie Duval. My tymczasem z kapitanem wejdziemy do drugiego pokoju. Ten ront wprawdzie nic nas nie obchodzi, lecz kapitan nie meldował się jeszcze u tutejszej władzy, i nie chciałby w tych burzliwych czasach obudzić podejrzenia. Tak więc uważaj, panie Duval, jak gdyby nas tu nie było.

**Duval.** Dobrze, moi panowie. (*Idzie do okna*). Zaraz, zaraz, proszę o chwilę cierpliwości. (*Idzie do drzwi i woła:*) Michał, otwórz bramę! (*Wraca*). Wkrótce ja się tu z nimi sprawię. Poproś, Henryko, panów do pokoju. (*Henryka, Król' Randzau od-*

*chodzą na prawo. Wchodzą Sierżant i kilku Żołnierzy, prowadząc panią Kozel. Pani Kozel w ubiorze oficerskim, otulona płaszczem).*

SCENA 5.

*Duval. Pani Kozel. Sierżant. Żołnierze.*

- Sierżant.** Daruj, panie Duval, że cię tak późno nachodzimy. Ale dobrze przynajmniej, że gospodarz jeszcze na nogach.
- Duval.** Czemu panom mogę służyć?
- Sierżant.** Chcielibyśmy się widzieć z panem Randzauem.
- Duval.** Z panem Randzauem, he? co?... Z panem Randzauem? a nie, mój panie, to być nie może, bo pana Randzaua tu niema.
- Sierżant** (*do pani Kozel.*) Musiałeś się pan omylić. Mówiłaś, że go tutaj widziałeś.
- Duval.** Najoczywiściej zaszła jakaś pomyłka.
- P. Kozel.** Nie, mój panie, ja znam dobrze pana Randzaua, i widziałem, jak tutaj wchodził z drugim oficerem.
- Duval.** Pan Randzau zaszczyca niekiedy mój zakład swą obecnością, ale dzisiaj niema go tutaj. Wszak panowie widziecie.
- Sierżant.** Co do mnie, zupełnie mi to obojętne, czy pan Randzau tu jest, czy go niema. To tylko ten pan powoływał się na jego znajomość. Spotkaliśmy go niedaleko stąd na ulicy już po alarmie, a zatem należało go aresztować. Wtedy powiedział nam, że pan Randzau jest tu u pana, żebyśmy go tutaj zaprowadzili, a pan Randzau każe go puścić wolno.
- P. Kozel** (*n. s.*) Ach, byłto mój ostatni ratunek!
- Duval.** W takim razie żałuję bardzo, żeście panowie nie zastali pana Randzaua.
- P. Kozel.** Ale on tu być musi. Powiadam panu, że widziałem jak najwyraźniej, jak wszedł do tego

domu. Ja mam bardzo ważne powody widzieć się z nim.

**Duval.** Pojmuję jak najlepiej pańskie żądanie, ale temu nie zaradzę. Pańskie powody nie stworzą pana Randzaua, skoro go tu niema.

**P. Kozel** (*ciszej do Duvala*). Pan Randzau mógł pragnąć być niewidzialnym, różne okoliczności mogą tego wymagać. Lecz w obecnym wypadku chciej pan dla mnie zrobić wyjątek.

**Duval.** Pan jesteś bardzo natarczywy, a moja firma zasługuje na większą wiarę.

**P. Kozel.** Pana Randzaua niema tu na sali, ale może być gdzieindziej. Pozwól mi zobaczyć... (*Zamierza iść ku drzwiom po prawej*).

**Duval** (*stając w drodze i rozkładając ręce*). Co pan robisz panie, tam moja córka!

**P. Kozel.** Pańska córka?

**Duval.** Tak, moja córka, panie, tam pokój mej córki, a teraz już jest noc późna, moja córka zwykła iść spać o tej porze..,

**P. Kozel.** Najmocniej przepraszam. Nie wiedziałem, że pan masz córkę.

**Duval.** To mię dziwi. Moją córkę znają zapewne wszyscy pańscy koledzy.

**P. Kozel.** Musi być bardzo ładna?

**Duval.** Tak wszyscy powiadają.

**P. Kozel.** (*n. s.*) To zwiększa moje podejrzenie.

**Sierżant.** Darujcie, panowie, ale nie możemy tracić czasu. Skoro pana Randzaua tu niema, musisz się pan udać za nami.

**P. Kozel.** To być nie może! (*n. s.*) Mój Boże, mieliżby mię zaprowadzić na odwach! nie przeczuwałam takiego niebezpieczeństwa.

**Sierżant.** Darmo, mój panie, wiesz najlepiej, jakie mamy rozkazy.

**P. Kozel** (*n. s.*) Odwagi! (*Głośno*). Chciej mi wierzyć, kolego, że ten rozkaz mnie się zupełnie nie tyczy.

- Sierżant.** Przed komendantem placu złożysz pan na to dowody.
- P. Kozel.** W takim razie zaczekam tutaj. Pan Randzau, jak powiedziałeś, panie Duval, bywa u ciebie, może więc przypadek zdarzy, iż jeszcze nadejdzie.
- Duval** (*n. s.*) A to natręt! (*Głośno*). Panie sierżancie, czy nie mógłbyś uwierzyć temu panu na słowo. On musi mieć słuszność, i zdaje mi się, zwłaszcza skoro nie słyszał nic o mojej córce, że nie należy do tutejszej załogi.
- P. Kozel.** Tak jest w istocie, zgadłeś pan, nie jestem oficerem z garnizonu.
- Sierżant.** Gdybyś mię pan mógł przekonać, gotowem na tej podstawie puścić go wolno.
- P. Kozel.** Rzeczywistego dowodu nie mogę na to złożyć, ale daję na to słowo honoru. Pan znasz bez wątpienia wszystkich oficerów w mieście, przypatrz mi się, czyli jestem do którego z nich podobny. (*Odsłania twarz, aby ją lepiej widzieć*).
- Sierżant.** W samej rzeczy, nie znam tak młodego oficera w całym mieście.
- Duval.** A zatem rzecz skończona.
- Sierżant.** Dobrze, ale w razie przeciwnym mam świadków, za co mi pan zaręczyłeś.
- P. Kozel.** Pod tym względem możesz, kolego, zupełnie być spokojny. Panie Duval, daj tym żołnierzom po szklance wina. Oto pieniądze. (*Kładzie pieniądze na stole i spostrzega pugilares Randzaua*). Pugilares Randzaua!... więc się nie omyliłam! (*Chowa go, Duval tymczasem częstował Żołnierzy*).
- Sierżant.** Życzę panom dobrej nocy.
- Duval.** Spokojnej nocy, panie sierżancie, spokojnej nocy! (*Żołnierze wychodzą*).



SCENA 6.

*P. Kozel. Duval.*

- P. Kozel** (*n. s.*) Odetchnęłam. Była to jednak wielka nieprzezorność narażać się na podobne przygody. Ale na cóż nie odważy się miłość? (*Głośno*) Winienem ci podziękować, panie Duval, twój szczęśliwy domysł wybawił mię z kłopotu.
- Duval.** Niema za co, niema za co. Teraz pan bez wątpienia jak najprędzej udasz się do domu?
- P. Kozel.** Chciałbym to uczynić, lecz boję się powtórzenia podobnego wypadku.
- Duval.** Nic się panu nie stanie...
- P. Kozel.** Na ulicy może mnie jednak spotkać drugi patrol. Czyby nie było lepiej poczekać tutaj jakąś chwilę?
- Duval.** O tej porze mój zakład się zamyka, a w gospodarstwie wszystko musi iść według zegarka. Muszę korzystać z nocy, aby jutro rychło świt być znowu na nogach.
- P. Kozel** (*n. s.*) Widocznie chce się mnie pozbyć.
- Duval.** Ale mogę panu dać jedną radę.
- P. Kozel.** Słucham.
- Duval.** Gdzie pan stoisz kwaterą?
- P. Kozel.** Mieszkam... Chciałbym się tylko dostać na plac Zamkowy, stamtąd już blisko do mego mieszkania.
- Duval.** Doskonale. Wypuszczę pana drugą bramą, która wychodzi na mniej uczęszczane ulice. Tamtędy właśnie najkrótsza droga na plac Zamkowy, a nadto ominiesz pan główną ulicę, gdzieby cię najprędzej ront mógł spotkać.
- P. Kozel.** Dziękuję ci, panie Duval, za dobrą radę.
- Duval.** Więc chodźmy. Ale tam w sieni już ciemno, pan nie trafisz.... żeby nam kto poświecił. Poczekał pan, zobaczę, czy Henryka nie śpi. (*Idzie do drzwi*

na prawo, ostrożnie na wół je otwiera i mówi ciszej). Henryko, pójdźno tu na chwilę. (*Odchodzi od drzwi*). Jeszcze ubrana, zaraz przyjdzie. (*Henryka wchodzi*).

SCENA 7.

*Duval. P. Kozel. Henryka.*

- P. Kozel** (*na jej widok wydaje okrzyk zadziwienia*). Ach!
- Duval**. Co się panu stało? Czym na nagniotek ci nastąpił?
- P. Kozel**. Nie, panie Duval. Ale czyż można być młodym mężczyzną i nie zadziwić się, zobaczywszy taką piękność jak twoja córka.
- Duval**. A, toś pan dlatego krzyczał! No, widzisz, że warto znać moją córkę. Nieprawdaż, co? Henryko, zapal świecę i poświeć nam na schody. Muszę sprowadzić tego pana.
- P. Kozel** (*n. s.*) Piękna dziewczyna! Czy to ona, czy Towiański sprowadzili króla na to miejsce? (*Głośno, gdy Henryka zapaliła świecę*). Ach, pani, czyż zasłużyłem na tyle dobroci? To światło w twem ręku jest zupełnie zbyteczne. Samo zjawienie się twoje rozjaśniłoby najgrubsze ciemności.
- Henryka** (*śmiejąc się*). Daruj pan, ale na ciemnych schodach nie oddałoby ci tej przysługi, co ta świeca.
- Duval**. Stań tutaj we drzwiach, Henryko, będziemy już widzieć. Otóż i klucze (*bierze je z szafy*).
- P. Kozel** (*n. s.*) Obym teraz szczęśliwie mogła się dostać na Zamek. Ten niespodziany alarm popsuł mi szyki. Nie mogę czekać na wyjście króla, aby zobaczyć, czy i Towiański z nim będzie. Ale pugilares Randzaua może mi pomóc do rozmotania tego kłębka!
- Duval**. Pójdźmy, panie oficerze.
- P. Kozel**. Dobranoc, piękna pani. (*Duval i pani Kozel wychodzą*).

**Henryka** (*staje w otwartych drzwiach ze świecą*). Kapitan Moor!... Moor! Jakże pięknie brzmi to imię w mych uszach. Ach, jestem bardzo nierozsądna, zabawiając się temi myślami. Dzisiaj widzę go raz pierwszy, a może i ostatni. Ostatni!... o, nie chciałabym tego! Jakże on piękny, jakim zapalem świecą jego oczy, gdy się do mnie odzywa...

**Duval** (*wraca*). Przecież sobie raz poszedł!

### SCENA 8.

*Duval. Henryka. Randzau. Król.*

**Duval** (*idąc do drzwi pokoju, gdzie się Król i Randzau udali*). Możecie panowie wejść, jesteśmy już sami. Ront przyprowadził jakiegoś oficera, który pragnął, aby go pan Randzau uwolnił z pod aresztu. Lecz okazało się, że nie należy do garnizonu, więc i bez protekcji puszczono go wolno.

**Randzau**. Teraz, panie Duval, nikt nam już zapewne nie przeszkodzi pogawędzić przy butelce Xeresu.

*(Duval idzie do szafy po wino).*

**Król** (*do Randzaua*). Zakrzętnij się koło starego, chciałbym swobodnie rozmawiać z Henryką.

**Randzau** (*do Króla*). Rozumiem swoją rolę. (*Głośno*). Dawno nie miałem sposobności pogadać z tobą, panie Duval, a wiesz, jaką rozmowa z tobą sprawia mi przyjemność. (*Duval się kłania*). Siadaj pan tu. (*Sadza go*). Przez ten czas nazbierało się wiele wiadomości. Wypadki pędzą teraz lotem piorunu.

**Duval**. Znasz mię pan, panie adjutancie, że niczego nie słucham z taką ciekawością, jak polityki. A pomimo spóźnionej pory z tak miłymi gośćmi...

**Randzau**. No, pijmy i słuchaj, panie Duval.

*(Randzau i Duval siedzą przy jednym stoliku, tak że Duval obrócony jest tyłem do drugiego, przy którym siada Henryka i Król również nie widzący Du-*

*vala. Randzau i Duval pijąc rozmawiają. Randzau od czasu do czasu rzuca okiem na parę przy drugim stole).*

**Król.** Panno Duval, dzień dzisiejszy, który mi ciebie dał poznać, będę liczyć między najszcześniejsze w życiu.

**Henryka.** Znowu muszę słyszeć od pana nową grzecznośćkę! Nie gniewam się jednak o to, a wiesz pan dla czego?

**Król.** Ponieważ pani jesteś przyzwyczajoną do podobnych hołdów.

**Henryka.** Nie. Ponieważ mi się zdaje, że pan żartujesz.

**Król.** To nazbyt srogie posądzenie! A cóżbyś mi odrzekła, gdybym powiedział, że raz cię poznawszy, nie zapomnę już nigdy, że jednym spojrzeniem opanowałaś całe moje serce?

**Henryka.** Kapitanie, to widoczna przesada. Czyliż można tak prędko pokochać?

**Król.** Tak prędko? O, wierzaj mi pani, kto nie zdolny pokochać w jednym mgnieniu oka, ten nigdy nie będzie kochał prawdziwie. Miłość powinna się rodzić szybko, jak błyskawica ze starcia chmur. Dwie istoty przeznaczone dla siebie spotykają się, w ich duszach krąży wezbrane uczucie... czyż zobaczywszy się, nie powinny od pierwszej chwili zadrzeć w głębi swojego serca? Wszakże każda z nich widzi to, do czego w tajemnych swych pragnieniach zawsze dążyła! Wszakże teraz otwiera się dla nich ten świat, w którym się właściwie ich życie rozpocznie! Czyliż ta ożywczą atmosfera nie napełni w jednej sekundzie nowym tchem ich piersi? Któż z nas, otoczony grubą ciemnością, a w takiej żyje każdy człowiek, dopóki nie kocha, nie zostanie natychmiast uderzony widokiem światła, jeżeli nagle wśród tej nocy pochodnię ktoś wniesie?

**Henryka.** Pięknie mówisz, kapitanie, widać, że słowa płyną ci z głębi duszy. Pan wiele musiałeś już kochać.

**Król.** Moja wymowa nie koniecznie musi być skutkiem długiego doświadczenia. Być może, iż tylko nieugaszone dotąd pragnienie zapał mój podnieca. Tak, panno Duval, miłość jest piękną rzeczą! Do szczęścia człowieka potrzebnem jest, aby ktoś ubóstwiał. A któż ubóstwia więcej, jak dwoje tych ludzi, którzy oprócz siebie nikogo nie widzą na świecie!... Ale pocóż ja pani mówię o tych rzeczach? ty sama wiesz o tem najlepiej, ty sama czujesz, jakim rajem jest miłość!

**Henryka.** Kapitanie Moor, dziś po raz pierwszy dały mi to uczuć twe słowa!...

**Król** (*biorąc ją za rękę*). Panno Duval!

**Randzau** (*spoglądając na Króla, a mówiąc do Duwala*). Tak, panie Duval, jestto maksymą strategiczną, nie dać odetchnąć słabnącemu nieprzyjacielowi. Tym sposobem pokonywał wrogów Cezar i wielu jeszcze innych.

**Henryka.** Nie śmieję się pan ze mnie, ale przez głowę przeszło mi dziwne przypomnienie, kiedyś cię ujrzała tak z zapałem mówiącego.

**Król.** I jakież to przypomnienie?

**Henryka.** Pan jesteś bardzo podobnym do króla...

**Król.** Do króla? Już to niejeden mi mówił. Pani znasz dobrze króla?

**Henryka.** Raz tylko jeden go widziałam, kiedy wracając z rewii, na czele wojska przez miasto przejeżdżał. Szłam wtedy ulicą, gdy nagle głos mię doleciał: król jedzie, król jedzie! W mojem życiu nie widziałam żadnego króla, zdjęta ciekawością stanęłam...

**Król.** I przekonałaś się, że toż samo można widzieć, patrząc na króla co i na innych ludzi?

**Henryka.** Nie. Jego widok uczynił na mnie głębokie wrażenie. Ujrzałam w nim to, co pozostawia ślad w naszej duszy... Przez jakąś chwilę oczy moje spotkały się z jego zwrokiem, czułam po rumieńcu na twarzy, że mnie widział...

**Król** (*jakby do siebie*). Nie mogę sobie przypomnieć.

**Henryka**. Co pan mówisz, kapitanie?

**Król**. Mówię, że musiałaś się pani spodobać królowi.

**Henryka**. Wkrótce odwrócił gdzieindziej głowę i spoglądał po oknach. Otóż teraz, gdyś pan mówił z takim uczuciem, rysy twoje przypomniały mi żywo oblicze króla w owej chwili. Uderzył mnie ten sam blask oka, tak samo czoło podniosłeś do góry jak on...

**Król**. Chciałbym królem być, jakże on szczęśliwy!

**Henryka**. Dlaczego, mój panie?

**Król**. Czyż nie zostawił w twej duszy tak silnego wspomnienia? Czyliż on nie jest potężny, czyż nie ma władzy i bogactw, aby za jednym skinieniem udarować cię całym szczęściem ziemi, otoczyć blaskiem i przepychem, wzniesić na najwyższe szczyble społeczeństwa, do czego prawo dają ci twój umysł i piękność?

**Henryka**. Mylisz się, mój panie. Patrząc na króla, nie myślałam o jego koronie, godności i bogactwach, widziałam tylko człowieka, który byłby zdolny zawładnąć moją duszą. Słyszałam nieraz o królu. Mówiono mi wiele o jego dobroci, o jego uprzejmości i wspaniałej duszy. Kapitanie, aby posiadać moją miłość, dosyć mieć jego przymioty i serce.

**Król**. Więc kochaj mnie, Henryko! ja! wszystko, co ma król, posiadam, jego postać, jego serce, a nawet jego koronę! (*Zrzuca perukę i płaszcz, na jego sukni widać wyszyty order słońca*). Czy mię poznajesz, Henryko? czy jestem tym, którego kiedyś na czele wojska widziałaś?

**Henryka**. Ha, król!

**Król** (*kłękając*). Kochaj mnie, kochaj Henryko! (*Całuje jej ręce*).

**Henryka**. Boże mój! co się ze mną dzieje!

**Duval** (*odwraca się*). Co ja widzę? Co znaczą ten płaszcz i peruka na ziemi? Czy to pan jesteś, kapitanie? (*Przybiega do nich, bierze Króla za rękę*

*i przypatruje mu się*). Panie Moor, czy się oświadczasz mojej córce?

**Król.** Henryko, Henryko, podnieś na mnie swe oczy!

**Henryka.** Powstań, najjaśniejszy panie.

**Duval** (*odskakując*). Najjaśniejszy panie! (*Odwraca się i staje osłupiały przed Randzauem*). Najjaśniejszy panie?

**Randzau.** A tak: Najjaśniejszy Panie! Mości Duval, raz pierwszy w życiu doznałeś podobnej niespodzianki.

**Król** (*powstaje*). Daruj, panie Duval, że cię w ten sposób podszedłem. Stało się. Kocham twoją córkę i pozyskałem jej wzajemność. Za miłość, którą ona mi ofiaruje, uczynię dla niej wszystko, co tylko monarcha uczynić zdoła. Henryko, ty będziesz moją?

**Henryka.** Najjaśniejszy panie — czego żądasz?...

**Król.** Dziś po raz pierwszy usłyszałem twe imię i pochwały twojej piękności. Ciekawość, a raczej, jak poznaję, przeznaczenie sprowadziło mnie tutaj. Ujrzałem więcej, niż widzieć się spodziewałem, i posiadałem twoje serce, któregom pragnął za pierwszym na ciebie wejściem.

**Henryka.** Ach, czy mnie zmysły odchodzą, czy ja marzę?

**Duval** (*n. s.*) Nie, nie mogę zrozumieć, czy to prawda, że moja córka mogłaby zostać baronową, hrabiną, księżną...

**Randzau** (*n. s.*). Otóż komedia dobiegła do swego kresu. (*Zbliżając się do Króla, ciszej*). Widać, że dla szczęśliwych czas nie istnieje. Konferencya z panem Towiańskim jużby się była dawno skończyła.

**Król** (*n. s.*) Randzau, jesteś niemiłosierny! Lecz prawda, pani Kozel pomimo mojej prośby, liczy zapewne chwile naszej nieobecności. (*Głośno*) Henryko, musimy się pożegnać. Ale do jutra tylko, do jutra. Przybędziemy tu znowu z Randzauem.

**Henryka.** Najjaśniejszy panie, nie zapomnij!

**Król** (*podnosząc perukę i płaszcz i kładąc je na siebie*).  
Teraz powróćmy do swojej roli. Henryko, kiedy  
jestem napowrót kapitanem Moorem, nazwij mię  
choć raz po imieniu. (*Podaje jej rękę*).

**Henryka** (*ściskając ją mocno*). Auguście!...

**Król**. Do widzenia. (*Oddala się z Randzauem*).

**Henryka** (*patrząc za odchodzącym*). Auguście!... Jakżem  
szczęśliwa, że mogę wymawiać to imię!

---

## AKT TRZECI.

Ogród zamkowy. Po jednej stronie skrzydło pałacu z małą galeryą, z której po kilku stopniach schodzi się do ogrodu. Noc.

### SCENA 1.

**Król** (*wychodzi z pałacu widocznie wzruszony, w lekkim negliżu*). Tak długo każą mi czekać na siebie... to mię zaczyna niepokoić... Henryko, czyliż cię dzisiaj obaczę, ciebie tak piękną, tak mię kochającą? Obraz twych wdzięków pałacymi rysy kreśli się w mojej wyobraźni!... Może nie zechcesz usłuchać mojej prośby i iść za Randzauem?... Ale darmo, nie mogłem znaleźć innego sposobu na czujność pani Kozel. Nieobecność moja w zamku przez dwie nocy wydała jej się podejrzaną, prześladowała mię zazdrością, jak bogini Juno swego małżonka. Na jej natarczywość, płacze i wzdychania nie było innego środka jak obietnica, że dzisiaj nie opuszczę Zamku. Ale miałem nie widzieć cię dzisiaj, Henryko, gdy staną-



łem tak blisko pożądanego celu? Słyszę szelest u furtki. Tak, to Randzau drzwi otwiera! (*Postępuje kilka kroków naprzeciw przybywającym. Przychodzą Randzau i Henryka przebrana w kostyum oficerski w płaszczu.*)

## SCENA 2.

*Król. Henryka. Randzau.*

**Randzau** Śmiało, panno Henryko! Jesteśmy już na miejscu.

**Henryka.** Boże mój! Co ja czynię!...

**Król.** Henryko!

**Henryka.** To on! August!...

**Król** (*ściskając ją*). Najdroższa moja... nie drżysz!

**Randzau.** Najjaśniejszy panie, wszystko poszło podług życzenia. Kostyum, który przyniosłem, nadał się dla panny Duval, jakby dla niej robiony. Panna Henryka wprowadzie się wzdrygała...

**Król.** O, daruj mi, że wymagałem od ciebie podobnej ofiary. Nie mogłem dzisiaj wydalić się z zamku, a to przebranie było koniecznem dla odwrócenia uwagi.

**Henryka.** Czegóżbym nie uczyniła dla ciebie? Ty jesteś panem mojej duszy!

**Król.** Randzau, w niebieskiej sali będziesz gotów na dalsze rozkazy. Pójdź, Henryko.

(*Król wprowadza szybko Henrykę do Zamku.*)

## SCENA 3.

**Randzau.** Otóż i ptaszek w klatce! Na honor, warto czasem być i królem! Gdyby też pani Kozel wiedziała, kto teraz przebywa w apartamentach królewskich! Jednakże cieszy mię to niemało, że mogliśmy coś na złość jej uczynić. Ta kobieta niedługo by nasz dwór w klasztor przemieniła swoim przesadnym wymaganiem, aby król jej tylko i interesów swojej korony pilnował. Takie

jednostajne życie nie jest wcale zabawnem, a surowość kobiety, czy ona jest naszą żoną czy kochanką, jednako nam dolega i zawsze powinna być przełamaną. Otóż, moja pani siostró, bawimy się obydwaj, i król (o czem niema mowy), i ja, któremu to sprawia przyjemność, że mogę coś wbrew twojej woli uczynić. Teraz dopóki mnie król nie zawoła, mogę sobie przed jego drzwiami wygodnie wypocząć w fotelu. Któż tutaj idzie? (*Pani Kozel wchodzi*).

#### SCENA 4.

*Randzau. P. Kozel.*

**P. Kozel** (*patrzac w okna zamkowe — do siebie*). W pokojach króla pali się tylko lampa nocna... Wiem jednak z pewnością, że nie opuścił Zamku. Dawałam baczość na bramę od ogrodu, a moja straż czuwa nad głównem wejściem.

**Randzau** (*n. s.*) A, pani Kozel! Wysuńmy się. (*Chce odejść.*)

**P. Kozel** (*sposstrzegając go*). Kto tu jest? To ty, Randzau?

**Randzau**. Hm, hm, to ja.

**P. Kozel**. Wracasz od króla?

**Randzau**. W tej chwili opuściłem jego pokoje i używam świeżego powietrza.

**P. Kozel**. Czy król ciągle słaby?

**Randzau**. Tak jest. Już udał się na spoczynek.

**P. Kozel**. Byłam o niego niespokojną, i chciałam spytać się pana Lebeau o jego zdrowie.

**Randzau**. Zawiadomię jutro króla o twojej pieczołowitości. Bez wątpienia będzie mu to bardzo przyjemne. Ale bądź spokojną i nie wyobrażaj sobie rzeczy w zbyt czarnych kolorach. Stan JKMości nie jest bynajmniej zatrważający, i może tylko to pociągnie za sobą, że król wstanie jutro cokolwiek później niż zwyczajnie.

**P. Kozel**. Natłok zajęć publicznych i zbytνια praca nadwładliły widać zdrowie królewskie.

**Randzau.** A tak, w tych czasach mamy bardzo wiele roboty. Nieprzyjaciel wciąż nam wisi na karku, a cała sztuka na tem, aby udaremnić jego zamachy.

**P. Kozel.** Przez dwie nocy król miewał konferencye z siostrzeńcem Prymasa...

**Randzau.** Które mogły go wiele zdrowia kosztować. Widziałem sam, była to sprawa gorąca.

**P. Kozel.** Z tego powodu chcę cię o coś zapytać, gdyż nie wiem, jakim sposobem trzeci już dzień nigdzie się nie spotkaliśmy.

**Randzau** (*n. s.*) Ale ja wiem doskonale, moja pani.

**P. Kozel.** Powiedz mi, Randzau, gdzie się król widywał z panem Towiańskim.

**Randzau.** Tego nie mogę żadną miarą uczynić. Przypuszczony zostałem do tajemnicy pod warunkiem, że z niej nic a nic przed nikim nie zdradzę.

**P. Kozel.** Mój bracie, powiedz mi, ja cię o to bardzo proszę.

**Randzau.** Ależ, kochana siostrzo, czy nie pojmujesz, co to jest obowiązek honoru, co to jest tajemnica stanu?

**P. Kozel.** Otóż ja ci powiem, kiedy ty nie chcesz!

**Randzau** (*n. s.*) Czy tak? Na honor, to za wiele! (*Głośno*) Żartujesz, kochana siostrzo, o tem nikt nie może wiedzieć.

**P. Kozel.** Byliście w winiarni Duvala.

**Randzau** (*n. s.*) To mnie przestrasza!... Miałażby wszystko wiedzieć? (*Głośno*). Wiadomości twoje są zupełnie fałszywe.

**P. Kozel.** O panie Randzau, jesteś gorliwym sługą króla! Czyli mam ci na to pokazać dowód?

**Randzau** (*n. s.*) Czyż ma zamiar wejść ze mną do pokojów królewskich? (*Głośno*) Dowód? Zdziwiasz mię podobną mową.

**P. Kozel** (*pokazując mu pugilares*). Przypomnij sobie, gdzie zostawiłeś ten pugilares.

**Randzau.** (*n. s.*) W istocie u Duvala; skąd ona mogła go dostać?

**P. Kozel.** Czy i teraz jeszcze będziesz mi przeczył?

**Randzau.** Ach, siostrzo, przed twojem okiem nic się ukryć

nie zdoła. Ale pojmujesz bez wątpienia, dlaczego nie mogłem sam ci tego powiedzieć. (N. s.) Ciekawym, czy jej wiadomo, kto był siostrzeńcem Prymasa.

**P. Kozel.** Randzau, kiedy raz pierwszy wychodziliście tam z królem, oświadczyłam ci, że was obu podejrzewam.

**Randzau.** A teraz widzisz, że całkiem niesłusznie...

**P. Kozel.** Przeciwnie. W domu Duwala jest bardzo piękna dziewczyna...

**Randzau** (n. s.) Zginęliśmy, królu!

**P. Kozel.** Ty znasz ją zapewne... Randzau, przypuszczam, że jesteś lekkomyślny, że możesz grzeszyć brakiem zastanowienia, ale się nie spodziewam, byś chciał kopać otchłań pod memi nogami. Odpowiedz mi sumiennie: czy tam z królem był siostrzeniec Prymasa. czy też córka Duwala?

**Randzau** (n. s.) Nic nie wie. (*Głośno*) Widzisz, kochana Gabryelo, do czego może doprowadzić nierozsądna zazdrość! Powiedziano, że wiara góry przenosi, ale jabym dodał, że i zazdrość umie toż samo. I gdzież to jest podobnem do prawdy, aby król, któremu na granicach grozi Karol XII., przeciw któremu wewnątrz spiskują malkontenci, który lada chwila może się spodziewać, że ci obaj jego wrogowie podadzą sobie ręce, wojnę i bunt podnosząc przeciw niemu, aby ten król zajęty tak smutnemi myślami, codzień martwiony, nękania, najniezszczęśliwszy jednym słowem, miał jeszcze myśleć o miłostkach i o jakiejś córce winiarza? Że pan Towiański wyznaczył mu schadzkę w domu Duwala, że ten Duwal ma piękną córkę, a dodajmy nawet do tego, że król jest zwolennikiem piękności, z tego wszystkiego jeszcze nie da się wyciągnąć wniosek, aby król bywał u Duwala dla jego córki. Jeżeli więc to tylko leżało ci na sercu, to możesz już teraz powrócić do siebie i spokojnie zasypiać z tem przekonaniem, że król za-

nadto kocha swoją koronę i ciebie, aby jeszcze kimś więcej się zajmował. Dobranoc. (N. s.) Nigdy w życiu nie byłem tak wymowny.

**P. Kozel.** Zaczekaj, Randzau!

**Randzau.** Jestem znużony, idę spać. (*Odchodzi w ogród ku stronie pałacu.*)

### SCENA 5.

**P. Kozel.** Ci ludzie oszukują mię widocznie. Kto wie co się kryje pod tą zasłoną kłamstwa? Może więcej niż nawet przeczuwam. I ta dzisiejsza nagła słabość króla? Och, gdybym mogła się przekonać i niezbitym dowodem rzucić mu w oczy!.. Co to za szmer? jacyś ludzie na murze... spuszczaają się w ogród... Czy to jakiś fortel Augusta? Ludzie uzbrojeni... ha, może zamach na króla! Co czynić? Ukryję się tutaj. (*Kryje się za klombem. Robert i Wilhelm przechodzą przez mur do ogrodu.*)

### SCENA 6.

*Robert. Wilhelm. P. Kozel.*

**Robert.** No, podziękujmy losowi, ześmy z tego muru karku nie skęcili!

**Wilhelm.** Niema nikogo... To furtka, przez którą weszli.

**Robert.** Ale nareszcie powiedz mi, pociosmy ten mur przesadzili. Spotkałeś mię tu pod Zamkiem i jak szalony, schwyciwszy mię za piersi, wołałeś: Robercie, brońmy honoru panny Duval! Robercie, ukarzymy zuchwalca! Ja przez przyjaźń dla ciebie i Henryki nie namyślałem się ani chwili, i nie badając cię bliżej, wykonałem wspólnie z tobą to salto-mortale. Jednak teraz chciałbym wiedzieć, dlaczego to uczyniłem

**P. Kozel** (*w ukryciu*). Co słyszę? Mówią o Duwali.

**Wilhelm.** Niestety, moje przecucie się spełniło! Henryka stała się ofiarą swych uczuć.

**Robert.** Wybacz, że cię i teraz nie rozumiem. Cóż mówisz o kochaniu Henryki?

**Wilhelm.** Tak, ona kocha, musi kochać aż do szaleństwa, aż do poświęcenia swego honoru!

**Robert.** Lecz jakiż związek ma jej miłość z naszą bytnością na tem miejscu?

**Wilhelm.** Henryka jest tutaj...

**P. Kozel** (*j. w.*) Henryka jest tutaj?

**Robert.** Tutaj? W królewskim Zamku? Któż jej kochankiem?

**Wilhelm.** Randzau, przeklęty Randzau!

**Robert.** Randzau? Nigdy tego po nim nie uważałem.

**Wilhelm.** Ach, i ja długo byłem ślepy!

**Robert.** Skądże się o tem tak nagle dowiedziałeś?

**Wilhelm.** Posłuchaj. Przedwczoraj w powrocie z komendantury placu, dokąd się na alarm stawiliśmy, udałem się do domu koło kamienicy Duvala, wiedziony widać złowieszczem przecuciem. Była to już noc późna, jednak w oknach Duvala jeszcze się świeciło. W tej chwili z jego domu wyszło dwóch ludzi wojskowych.

**Robert.** Aha!

**Wilhelm.** Nie mogłem ich jednak rozpoznać. Na drugi dzień, jak ci wiadomo, Henryka zupełnie na sali się nie pokazała; ojciec wymawiał ją przed nami, że jest trochę cierpiącą. To przypomniało mi wczorajsze zdarzenie i obudziło moją podejrzliwość. Kiedyśmy wreszcie wyszli od Duvala i rozstali się z sobą, ja powróciłem przed jego kamienicę. Po dwóch może godzinach wyszli ciż sami dwaj ludzie; w jednym z nich poznałem Randzaua, drugi wydawał mi się nieznanym.

**Robert.** Dotąd nie widzę jeszcze nic pewnego.

**Wilhelm.** Posłuchaj dalej. Dzisiaj od samego wieczora czatowałem na nich na ulicy. Jakoż w istocie przyszedł Randzau sam jeden. Czas jakiś chodziłem po ulicy jak szalony; możesz sobie wyobrazić,

jakie uczucia mną miotały. Nareszcie nie byłem już panem siebie, wbiegłem do Duvala i nie zważając na jego opór i groźby, przejrzałem całe mieszkanie. Henryki nie było nigdzie. Randzau musiał ją uprowadzić drugą bramą. Pogoniłem za nim w kierunku, w którym zwykle powracał, i tu przed tym murem ujrzałem, jak przez furtkę wpuścił kogoś przed sobą i sam wszedł następnie. Chciałem się rzucić na niego, lecz zabrakło mi czasu. Randzau już zamknął furtkę.

**Robert.** Więc nie widziałeś tego „ktoś“, który wszedł przed Randzauem?

**Wilhelm.** Nie, ale to była Henryka.

**P. Kozel** (*w ukryciu*). Ach, rozumiem teraz słabość króla!

**Robert.** Zaczynam po trochu wierzyć w prawdę twojej powieści, chociaż, dalibóg, trudno mi ją pojąć. Miałażby Henryka posiadać w tak wysokim stopniu sztukę udawania i nas wszystkich oszukać? Wprawdzie Randzau ma przymioty i zdolności na uwodziciela, i płoche dziewczęta lubią tych świetnych kawalerów, których znać, kiedy idą przez ulicę; ale Henryka nie jest przecie płochą — do szatana! — przynajmniej się taką nie wydaje. Miałożby prawdą być, że kobiecie nigdy nie można dowierzać? Gotówem stale trzymać się tej zasady, jeżeli teraz się przekonam, że się na pozorach zawiodłem.

**Wilhelm.** O, nie obwiniaj Henryki! Tysiące jest na świecie sideł, w które niewinność wpada. Robercie, brońmy jej, może czas jeszcze, a jeśli ona już na dnie tej przepaści, z której niema ratunku, pomścijmy ją!...

**P. Kozel** (*wychodzi z ukrycia*). Wasza zemsta jest sprawiedliwą.

**Wilhelm.** Kto tam?

**Robert.** Jakaś kobieta!

**P. Kozel.** Cicho, mości panowie, nie róbmy hałasu. Ja wam nie myślę przeszkadzać w waszych zamiarach.

**Robert.** Kto pani jesteś i czego od nas żądasz?

**P. Kozel.** Ja was nie pytam, kto wy jesteście, i wy mnie o to nie badajcie, dość, że jestem waszym przyjacielem. Wiem, w jakim celu tu przyszlście, i pragnę równie jak wy ukarać tego nędznika...

**Wilhelm.** Randzaua!...

**P. Kozel.** Tak, Randzaua. (*Wskazując na okna zamkowe*). Henryka Duval jest tutaj. On przybył z nią tą furtką, i tędy będzie z nią powracał. Więcej nie potrzebuję wam mówić. (*Do Wilhelma*). Mości panie, masz do pomszczenia hańbę swej kochanki! (*N. s.*) Ja tymczasem będę czuwać nad wami, aby rzeczy do ostateczności nie doszły. (*Wychodzi*).

#### SCENA 7.

*Wilhelm. Robert.*

**Wilhelm.** Henryko, Henryko, jesteś więc zgubioną!

**Robert.** Kto mogła być ta kobieta? Zdaje mi się, że znam ten głos... ale, nie, to jakaś zapomniana kochanka Randzaua, która mści się za jego wiarołomstwo. Cicho! drzwi na galeryi się otwierają. Ukryjmy się.

**Wilhelm.** Sprawiedliwości niebieska, ty nam dopomóż! (*Kryją się za drzewa. Król w kapeluszu i płaszczu, Henryka i Randzau wchodzą na galeryą*).

#### SCENA 8.

*Król. Henryka. Randzau. Robert. Wilhelm..*

**Randzau.** Ostrożnie, najj. panie, muszę najprzód zobaczyć, czy kto nie chodzi po ogrodzie! (*Schodzi w ogród*). Niema nikogo, jesteśmy bezpieczni. (*Król i Henryka schodzą za nim*).



**Wilhelm** (*w ukryciu*). To Randzau.

**Król.** Zegnam cię, Henryko. Jutro Randzau przyjdzie znów po ciebie.

**Henryka.** Nie pogardzaj mną, Auguście!

**Król.** Henryko, ty jesteś i zostaniesz dla mnie zawsze aniołem!

**Henryka.** Dzięki ci, Auguście.

**Król.** Pozwól się odprowadzić przez ogród.

**Robert** (*do Wilhelma*). Czy widzisz Henrykę?

**Wilhelm.** Nie, oprócz Randzaua widzę dwóch jakichś mężczyzn; rozmawiają cicho, tak że nie mogę ich słyszeć. Uderzajmy! (*Dobytwszy szpady, wychodzą z ukrycia. Tymczasem Król, Henryka i Randzau, przechodząc ogrodem, przybliżyli się do nich*).

**Robert.** Stójcie, mości panowie!

**Król.** Co to jest!

**Henryka.** Wielki Boże!

**Robert.** Proszę robić jak najmniej hałasu i nie gniewać się o tę niespodziankę. Macie panowie do czynienia z porządnymi ludźmi, którzy pragną załatwić pewną honorową sprawę.

**Król** (*ciszey*). Nie lękaj się, Henryko. Widocznie nie nas się to tyczy.

**Henryka** (*d. s.*) To głos Roberta.

**Robert.** Chcemy się rozmówić z panem Randzauem.

**Randzau.** Ja nim jestem.

**Robert.** Czekaliśmy tutaj na pana. Bądź łaskaw wydobyć swoją szpadę.

**Randzau.** Jakto! Mielizbyście panowie ze mną jaką sprawę? (*Do Króla*). Niech WKMość na bok ustąpi. To wkrótce się zakończy. Widzę, że tu zaszło jakieś nieporozumienie, bo nikomu nie dawałem powodu do podobnej zaczepki. (*Do Roberta i Wilhelma*). I czemuż, mości panowie, mogę wam służyć?

**Robert.** Słyszałeś, panie Randzau, bierz się do szpady!

**Randzau.** Tak, ja jestem Randzau i słyszałem już o szpadzie. Ale, moi panowie, nie wiem zupełnie, nie

mogę sobie przypomnieć, nie domyślam się, kiedy i jak mogłem kogo upoważnić do takiego żądania.

**Wilhelm.** Randzau, uwiodłeś Henrykę Duval, zhańbiłeś ją!

**Henryka** (*n. s.*) Ha!

**Randzau.** Kto? Ja?

**Wilhelm.** Ty. Jedno z dwojga musi nastąpić: albo ja wezmę twe życie, albo ty mnie zabijesz.

**Król** (*n. s.*) O to więc chodzi!

**Wilhelm.** Broń się, Randzau!

**Randzau.** Próżnobyćm widzę się tłumaczył, i chociaż mogę zapewnić, że wasz zarzut jest bezzasadny, jednak jestem gotów dać wam zadośćuczynienie. Ale zechciejcie obrać inne miejsce, bo nie wypada się bić na Zamku królewskim.

**Wilhelm.** Nikt nas tu nie zdradzi, ani ta noc ciemna ani żaden ze świadków, którzy, jak widzę po ich szpadach, są ludźmi honoru.

**Randzau.** Dobrze. Muszę jednak prosić o pół godziny zwłoki. Jestem wysłany przez króla z ważnym poleceniem.

**Wilhelm.** Ani minuty zwłoki!

**Randzau** (*idąc do Króla*). Niema rady z tym szaleńcem. Muszę bić się zaraz. Niech WKMość odejdzie z Henryką. Na ten zgiełk mogą nadejść ludzie i znaleźć więcej, niżby się spodziewali.

**Król.** Nie, ja zostanę. (*Do Henryki*). Musisz się stąd oddalić. Wróć do pałacu — nie, udaj się do furtki i tam czekaj na nas.

**Henryka.** Zostawić ciebie w niebezpieczeństwie?

**Król.** Wszakże mnie żadne nie grozi. Należy koniecznie to uczynić.

**Randzau** (*do Henryki*). Oto klucz. (*Głośno*). Spełnij pan rozkaz królewski, skoro ci panowie nie pozwalają mi tego wykonać.

**Henryka.** Niech Bóg nie dopuści nieszczęścia! (*Wychodzi*).

SCENA 9.

*Król. Randzau. Wilhelm. Robert.*

**Król** (*zbliżając się naprzód*). Zostaliśmy teraz w równej liczbie, dwóch na dwóch.

**Robert.** Jako? czy i pan chcesz do tej gry należeć?

**Król.** Być może. (*Do Wilhelma*). Mości panie, mam powiedzieć ci słowo na osobności. (*Oddalają się od innych*). Chciałeś się bić z Randzauem, ponieważ on uwiódł twoją kochankę?

**Wilhelm.** Tak, mój panie.

**Król.** Otóż ja ci powiadam, że jesteś w błędzie. Randzau nie uwiódł panny Duval. Jest ktoś inny, do którego mógłbyś mieć słuszną urazę. Ale i ten nie popełnił występku, o który go oskarżasz. On nie uwiódł Henryki, nie zhańbił jej, lecz ją pokochał i jest od niej kochany...

**Wilhelm.** I któż jest ten szczęśliwy!?

**Król.** Ja.

**Wilhelm.** Więc któż ty jesteś, panie?

**Król.** Pozwól, że zostanę nieznanym. Nie powiem ci mego imienia, a nawet obowiązuję pod słowem, abyś zachował w tajemnicy tę rozmowę i całe dzisiejsze spotkanie. Nazwisko nie stanowi rzeczy, pragnąłeś bić się z kochankiem Henryki: — otóż stoję naprzeciw ciębie. Czy przystajesz na te warunki?

**Wilhelm.** Zgoda. Każde serce, które bije żywiej dla panny Duval, jest dobre na cel dla mej szpady. Robercie, daj pokój panu Randzau. Ja się z tym tu panem rozprawię.

**Robert.** Z tym drugim? Nie pojmuje...

**Król.** Randzau, daj mi szpadę, ja cię wyręczę.

**Randzau** (*n. s.*). Najjaśniejszy panie!

**Król** (*n. s.*) Daj pokój. (*Randzau się cofa*).

**Wilhelm.** Henryka ciebie kocha?

**Król.** Tak, ona mnie kocha.

**Wilhelm.** Ty byłeś u niej przez dwie poprzednie nocy?

**Król.** Ja; a dzisiaj ona przybyła do mnie. Była tam (*wskazuje na pałac*). Przed chwilą widziałeś ją na tem miejscu. Ten oficer, który dopiero co stąd odszedł, to była ona.

**Wilhelm.** To była ona!... Ach, chciałbym cię zabić! (*Bija się. Król wytrąca szpadę Wilhelmowi*). Moje piersi otwarte — uderz!

**Randzau** (*patrząc za scenę*). Jakies światło się zbliża!

**P. Kozel** (*za sceną*). Tutaj, tu! Czy słyszycie? (*Wbiega, za nią Lokaje z pochodniami*).

#### SCENA 10.

*Król. Randzau. Wilhelm. Robert. P. Kozel. Lokaje.*

**P. Kozel.** Brzęk szabel tuż przy królewskim mieszkaniu... Niech Bóg zachowa króla od nieszczęścia! Na pomoc!

**Król.** Nie wszczynaj pani napróżno trwogi, tu nic złego się nie dzieje.

**P. Kozel.** Co widzę? Król ze szpadą w ręku! (*N. s.*). Sądziłam, że ten napad będzie tylko na Randzaua wymierzony...

**Robert.** Król?

**Wilhelm.** Ha — król! Biada mi! (*Robert i Wilhelm odkrywają głowy*).

**Król.** Nie lękaj się, Gabryelo. Nie otrzymałem najmniejszego draśnięcia. Walka, jaka się tu odbyła, była skutkiem nieporozumienia; wzięto mnie za kogo innego, kiedy wyszedłem na ogród dla odetchnienia świeżem powietrzem.

**P. Kozel.** WKMość zapominasz o swojej chorobie, i nie uważasz, że naprędce ułożyłeś sobie całą powiastkę, której ja ani jednemu wyrazowi nie wierzę.

**Król.** Jako? Moja pani!

**P. Kozel.** Daruj WKMość, ale ja ci opowiem, jak się miało rzeczywiście całe to wydarzenie. WKMość biłeś się z kochankiem Henryki Duval.

**Król** (*n. s.*) Widziała się z nimi!

**Randzau** (*n. s.*). Najjaśniejszy panie, zaprzeczaj do ostatniego.

**Król.** O jakiej Henryce Duval mówisz mi pani?

**P. Kozel.** Niech WKMość będzie otwartzszy. Widzisz, że jestem dobrze obznajomioną z całym przebiegiem tej sprawy. O, jest to piękna i rycerska rzecz, kruszyć kopie na cześć damy, którą się kocha. Henryka Duval powinna ci być wdzięczną, najjaśniejszy panie, za podobny hołd miłości! Więc to jest prawda, że zostałam zapomniana i wzgardzoną! Dlaczegoż WKMość ukrywałeś to przede mną? Przez litość, czy przez szyderstwo? Wy ludzie zepsuci, wy przywykli zdradzać nas i oszukiwać, sądzicie, że w nas niema serca, które umie czuć i przeczuć każde nieszczęście! Przypomnij sobie, królu, że od pierwszej chwili mówiłam ci, o czem mię moje serce ostrzega. Wierzyłam napół twoim zapewnieniom, aż wreszcie przekonałam się o ich fałszu.

**Król.** Czy i teraz mam ci powtórzyć, że się mylisz?

**P. Kozel.** O, teraz WKMość nie możesz tego uczynić, teraz ja mogę postawić ci przed oczy dowód twojej zdrady, na który będziesz musiał zamilknąć.

**Król.** Dobrze. Uczyn to, Gabryelo.

**P. Kozel,** WKMość jesteś nadto zuchwały. Henryka Duval była w twych pokojach, u drugich drzwi moja straż jej pilnuje, tedy nie mogła wyjść, bo na to nie pozwalały szpady tych ludzi...

**Król.** Bardzo słusznie rozumujesz.

**P. Kozel** (*zwracając się do Roberta i Wilhelma*). Mości panowie, przed mojem przyjściem nie wyszła stąd żadna kobieta?

**Wilhelm.** Nie.

**P. Kozel** (*do Króla*). Henryka Duval stąd nie wyszła, więc...

- Król.** Więc?
- P. Kozel.** Więc jest tam. (*Wskazuje na pałac*).
- Król.** Możesz tam pani iść i przekonać się.
- P. Kozel.** WKMość pozwalasz?
- Król.** Proszę. (*Pani Kozel wbiega szybko przez galeryę do pokojów królewskich*).
- Król.** Randzau, pospiesz do Henryki, uspokój ją ode mnie i odprowadź do domu.
- Randzau.** Muszę się pozbawić przyjemności widzenia kwaśnej miny pani Kozel. (*Odchodzi*).
- Król** (*do Wilhelma*). Co do nas, mój panie, nie załatwiłszy jeszcze rachunku.
- Wilhelm.** Najjaśniejszy panie, wiem, na com zasłużył, targając się na twoją osobę.
- Król.** Bądź jutro gotów na moje wezwanie. (*P. Kozel powraca zmieszana i zawstydzona*). I cóż?
- P. Kozel** (*kłaniając się głęboko*). Przebacz, najjaśniejszy panie!
- Król** (*oddając jej ukłon*). Możemy zatem życzyć sobie dobrej nocy. (*Odchodzi przez galeryę*).
- P. Kozel** (*spoglądając za odchodzącym*). O, jesteś bardzo zręcznym, mości królu! (*Oddala się szybko*).
- Robert.** Dalibóg, nie wiem, poco zrobiłem dziś salto mortale. Wilhelmowi musiało się dwoić w oczach.
-

## AKT CZWARTY.

### SCENA 1.

Sala na Zamku jak w akcie I-szym.

*Król. Randzau.*

*(Król, wszedłszy, usiada na krześle. Randzau zostaje przy nim stojąc).*

**Król.** Biedna Henryka, musiała się bardzo przestraszyć?

**Randzau.** Zastałem ją za murem całą drżącą i prawie bez oddechu. Uspakajałem ją, jak mogłem. Mówiła mi, że słyszała szczełkę oręża, ale nie odważyła się powrócić do ogrodu, aby się nie sprzeciwić woli WKMości.

**Król.** Biedne dziecko!

**Randzau.** Chciała koniecznie widzieć WKMość, i ledwie mogłem ją odwieść od tej myśli, bojąc się pomnożenia awantur, których i tak tej nocy mieliśmy aż nazbyt.

**Król.** Lecz nie mówiłeś jej, że ja się biłem z tym oficerem?

**Randzau.** Nie. Nie chciałem w niej obudzać nowej obawy o los WKMości.

**Król.** Bardzoś dobrze uczynił. Teraz ja w zamian za twoje wiadomości, mogę ci także moich udzielić. Pani Kozel była u mnie dziś bardzo rano, ledwie oczy otwarłem.

**Randzau.** Spodziewałem się tego.

**Król.** Byłem wystawiony na nowy atak łez i zakłęb z niemałym dodatkiem groźby. Pani Kozel mi oświadczyła, że pomimo wczorajszej nieudanej

próby, jest zupełnie przekonaną o mojej niewierności i o bytności u mnie Henryki.

**Randzau.** Mówiłem W. K. Mości jeszcze wczoraj, że moja siostra zna ze wszystkimi szczegółami każdy nasz krok, ale pomimo to niedowierza swym wiadomościom, tak że można ją jak najdłużej utrzymywać w niepewności.

**Król.** Trzymałem się tej zasady, udawałem dla niej czułość, ubolewałem nad jej cierpieniem, i zaprzeczałem wszystkiemu — ale już po raz ostatni!

**Randzau.** Dlaczego raz ostatni?

**Król.** Już mi się sprzykrzyło udawać. Rozmyślałem nad tem jeszcze wczoraj przed zaśnięciem. A zasnąć nie mogłem długo. (*Wstaje*). Wierzaj mi, Randzau, nawet najszcześliwsza miłość ma swoje kłopoty, a najdelikatniejsze stworzenia na ziemi, jakimi są kobiety, mają dość ostre kolce do klucia naszego serca. Nie kochaj się nigdy!

**Randzau.** Najjaśniejszy panie, nigdy o tem nie myślałem.

**Król.** Ostatecznym wypadkiem mego rozmyślenia było to, że postanowiłem przed panią Kozel i przed całym światem, kogo to może obchodzić, wyjawić otwarcie mój stosunek z Henryką.

**Randzau.** I chcąc wprowadzić w czyn to silne postanowienie, zaprzeczałeś dziś W. M. Mość wszystkiemu przed panią Kozel...

**Król.** Uprzedziłem cię, Randzau, że to raz ostatni, nie podchwytnij mię! Udawać, jest to rzecz niegodna króla, ukrywać się z miłością, jest to rzecz niegodna człowieka! Miłość nakształt słońca powinna się pokazywać na rozległym horyzoncie — niech wszyscy ludzie ją widzą i olśniewają od jej blasku! Nasza kochanka jest świętością, której wobec całego świata powinniśmy cześć oddawać. Biada jej, kiedy na jej imię rumienimy się ze wstydu! Ale ja ci mówię, Randzau, takie rzeczy, których ty nie a nie nie rozumiesz.



**Randzau.** Owszem, najjaśniejszy panie. Tylko ja przekładam sobie te poetyczne przenośnie na zrozumialszy język prozy. Jednym słowem, W. K. Mość uważasz za ujmę dla panny Duval, żeby darząc cię miłością, miała jak złoczyńca ukrywać się z tem przed panią Kozel.

**Król.** Tak jest, w istocie.

**Randzau.** Z tego widzę, że W. K. Mość na seryo kochasz pannę Duval.

**Król.** Tak, kocham Henrykę szczerze.

**Randzau.** To bardzo złe.

**Król.** Co mówisz?

**Randzau.** Mówię, że to bardzo niedobrze.

**Król.** Zabawny jesteś, Randzau; dla ciebie czy dla pani Kozel?

**Randzau.** Dla ciebie, najjaśniejszy panie. W. K. Mość pragniesz pozbyć się jednej pani Kozel, aby zwalić sobie na kark drugą panią Kozel w osobie panny Duval, która niedługo może się stać takim samym ciężarem jak pierwsza. Radzę W. K. Mości nie brać na siebie nowych obowiązków.

**Król.** Ty nie masz serca, Randzau! Ale przypomniałeś mi człowieka, który ma go bardzo wiele. Lebeau! (*Lebeau wchodzi*). Przywołaj mi porucznika Wilhelma z mojej gwardyi.

**Lebeau.** Dobrze, najjaśniejszy panie. (*Wychodzi*).

**Król.** Przerwaliśmy rozmowę, której treść leży mi bardzo na sercu. Pragnę wyjść z tego dwójznanego położenia. Pani Kozel nie chciałbym zrobić krzywdy, a czuję, że względem Henryki zaciągnąłem, jak je nazywasz, pewne obowiązki. Muszę nieco zmartwić i upokorzyć Gabryelę, ale tak postępując, czyż nie uczynię jak najsprawiedliwiej?

**Randzau.** Masz W. K. Mość zupełną słuszość. Tej kochance należy pochlebiać, którą więcej kochamy, tę kochać, w której znajdujemy więcej przyjemności. Dlaczegoż człowiek nie ma iść za swą

skłonnością i dogadzać swym zachceniom? Wszakże w tym celu został obdarzony zdolnością czytania, co mu się podoba.

**Król.** Rzecz zatem już ułożona. A wykonamy ją w następny sposób. Weźmiesz moją karetę i pojedziesz do Henryki, której oddasz list ode mnie. List ten napisz ci w tej chwili. (*Usiada przy stole i pisze*).

**Randzau.** Uwolnisz mię zatem W. K. Mość zupełnie od mówienia?

**Król.** Masz słuszność, nie posłę listu. (*Wstaje*). Te lakoniczne wyrazy nie wieleby jej powiedziały. Oświadczyć jej zatem, że jest mojem życzeniem, aby niezwłocznie przybyła z tobą na Zamek. Bez wątpienia zadziwi ją to żądanie, gdy dotąd otaczaliśmy się cieniami tajemnicy. Do ciebie więc będzie należeć, przedstawić jej, że to jest najszersze moje pragnienie i niecofnięty zamiar. Dodasz jej także nieco odwagi. Wreszcie upomnisz, aby się ubrała jak najstaranniej. Możesz po drodze wstąpić do magazynu strojów i do jubilera. Henryka powinna mieć zupełnie dworską toaletę.

**Randzau.** A następnie cóż W. K. Mość uczynisz?

**Król.** Następnie zaproszę do siebie panią Kozel i przedstawię jej pannę Duval.

**Randzau.** Brawo, to genialny pomysł!

**Król.** Idź teraz, Randzau. (*Randzau odchodzi*). Cokolwiek bądź, czeka mnie dzisiaj trudne przejście. (*Wilhelm wchodzi*).

## SCENA 2.

*Król. Wilhelm.*

**Wilhelm.** W. K. Mość raczyłeś mię wezwać...

**Król.** A tak, chciałem cię widzieć, kapitanie.

**Wilhelm.** Najjaśniejszy panie, nie posiadam tego stopnia.

**Król.** Czyż chcesz koniecznie, abym się mylił? Od tej chwili musisz być i jesteś kapitanem. Winienem cię nagrodzić za to, że mi się wczoraj udało wytrącić twoją szpadę.

**Wilhelm.** W. K. Mość jesteś wspaniałomyślny... Dopuszczałem się wielkiego przestępstwa...

**Król.** Nie popełniłeś żadnego. Stając w obronie honoru panny Duval, spełniłeś czyn, za który muszę ci być wdzięczny. Myliłeś się w istocie rzeczy, ale postępowałeś tak, jak nakazuje sumienie prawego człowieka. Ty kochałeś pannę Duval?

**Wilhelm.** Tak, najjaśniejszy panie.

**Król.** I nie doznawałeś nigdy jej wzajemności?

**Wilhelm.** Niestety!

**Król.** Przyjmij moją rękę. Jestem twoim rywalem od niedawna, i nie możesz mnie uważać za przyczynę twego niepowodzenia. Kobiety rządzą się niezbadanem prawem gustu, i najczęściej nie zależy to od nas, dlaczego nas kochają, albo nie. Nieraz żałują swego wyboru, lecz mimo to rozum nigdy ich nie przekona. Byłem szczęśliwszy od ciebie, oto cała tajemnica. Kocham Henrykę w inny wprowadzie sposób od ciebie, niemniej jednak posiadam jej miłość. Pragnę, abyś nie czuł dla mnie nieprzyjaźni.

**Wilhelm.** Nie zasłużyłem na tę łaskawość, którą jednak odejmujesz mi W. K. Mość ostatnią pociechę... nie mogę cię nienawidzić, najjaśniejszy panie!.. Henryka dla mnie na wieki stracona, ona do ciebie należy, wiem o tem, i chciałbym to uczucie zatrzeć jak najprędzej w mojej pamięci. W. K. Mość możesz mi w tem dopomódz.

**Król.** Jakim sposobem?

**Wilhelm.** Pozwól mi W. K. Mość udać się do obozu przeciwko Szwedom.

**Król.** Stanie się zadość twej woli.

**Wilhelm.** Dziś jeszcze...

**Król.** Dobrze. W tej chwili każę ci wygotować patent i pozwolenie do odjazdu.

**Wilhelm.** Najjaśniejszy panie, mam jeszcze jedną prośbę.

**Król.** A mianowicie?

**Wilhelm.** Nie przestań nigdy kochać Henryki. Twe zapomnienie złamałoby całe jej życie. Ona nie będzie znać drugiej miłości.

**Król.** Nie obawiaj się o to. Człowiek podobny do ciebie, gdyby jej nie uczynił panią swego domu, matką swej rodziny, zepchnąłby ją na dno przepaści; taki jak ja, da jej skosztować wszystkich słodyczy uczucia, przeprowadzi ją przez raj ziemski, którego wspomnienia wystarczą do ostatniego tchu. (*Pani Kozel wchodzi*).

### SCENA 3.

*Król. Wilhelm. P. Kozel.*

**Król.** A, to pani! Jak mi się zdaje, przynosisz coś ważnego. Cóż to za list masz w ręku?

**P. Kozel.** Jest to sprawa, ile się domyślam, nie cierpiąca zwłoki. Przynoszę list od Prymasa, który w tej chwili przysłano na Zamek.

**Król.** List od Prymasa? Masz pani słuszność, jest to rdzeń mojej teraźniejszej polityki. Ten list rozstrzyga moje losy. (*Czyta*). Doskonale! nasza wygrana!... Prymas oświadcza się z swoją przychylnością! „Pani Teszen przybędzie do W. K. Mości, i wynurzy mu wszystkie moje dobre chęci, o których tutaj pióro zamileza“. (*N. s.*). Aurelio, dotrzymałaś mi słowa!

**P. Kozel.** Cieszy mnie bardzo, że mogłam być posłem tak przyjemnej wiadomości.

**Król.** Dziękuję ci, Gabryelo. Nie wątpiłem nigdy o twoim współczuciu. Ten jeden szczęśliwy wypadek więcej pomógł mej sprawie, niż cała mądrość

mego ministerjum i wszystkie plany moich doradców.

**P. Kozel.** Odtąd bez wątpienia zbyteczne będą tajne konferencye z siostrzeńcem Prymasa...

**Król.** A tak, to prawda. (*N. s.*). Niefortunnie przypomniała mi te konferencye! (*Głośno*). Ale niedługo dam pani bliższe objaśnienie pod tym względem. Żegnam cię, Gabryelo, ten młody człowiek czeka na mnie.

(*Król i Wilhelm odchodzą drzwiami bocznemi*).

#### SCENA 4.

*P. Kozel, później Lebeau.*

**P. Kozel.** Ach, królu, jesteś nielitościwie chłodny dla mnie! Do tego więc już przyszło! Wyraźne niebezpieczeństwo mi grozi, i zaczynam tracić grunt pod nogami. Co miało znaczyć to „dam ci bliższe objaśnienie pod tym względem?“. Czyżby sam chciał zrzucić maskę? To gorzej, niż gdybym ja mu ją zdarła! (*Opiera się ręką o stolik, spostrzega list*). Jakieś świeże pismo... Ha! „Kochana Henryko! Wysyłam po ciebie Randzaua i karetę. Zechciej przybyć niezwłocznie na Zamek. Już czas, aby wiadano, że cię kocha twój August“. Teraz rozumiem!... Randzau już wyjechał... Zginęłam! Henryka Duval zostaje uznana kochanką króla, a Gabryela Kozel popada w niełaskę!

**Lebeau.** (*wchodzi.*) Pani Teszen.

**P. Kozel.** Pani Teszen! Prosić. (*Lebeau wychodzi*). Ach, szczęśliwa myśl przebiegła mi przez głowę! (*P. Teszen wchodzi*).

#### SCENA 5.

*P. Kozel. P. Teszen.*

**P. Teszen.** Omyłono się widać, pragnęłam mówić z J. K. Mością.

- P. Kozel.** A zastajesz panią Kozel, z którą nie pragniesz mówić.
- P. Teszen.** Rozmawialiśmy kiedyś z sobą...
- P. Kozel.** Tak, przed dwoma laty.
- P. Teszen.** I to w ten sposób, że tamta rozmowa powinna była zostać pierwszą i ostatnią w naszym życiu!
- P. Kozel.** Dlaczego? Ludzie na świecie są jak te kulki merkuryusza na kartce papieru; potrząśnie kto nimi, rozbiegną się w przeciwne od siebie strony. Ale niech nastąpi poruszenie w innym kierunku, a wszystkie znajdą się znów obok siebie. Tak się i z nami dzieje. Namiętności i interesa czynią nas nieprzyjaciółmi, ale przypadek może zdarzyć, że mimowoli wspólność celu połączy nawet największych wrogów... Czyż pani nie uważasz tego za prawdę, tak często powtarzającą się w świecie?
- P. Teszen.** Nie rozumiem pani zupełnie.
- P. Kozel.** Być łatwo może. Wierzę pani. Ale posłuchaj dalej. Byliśmy od chwili poznania nieprzyjaciółkami, jesteśmy nawet dotąd niemi, powiem otwarcie, bo nie chcę udawać przyjaznych uczuć, których nie czuję, i czemu byś pani bez wątpienia nie uwierzyła. Domyślam się jednak, że dzisiaj łączy nas wspólny interes. Jeżeli zatem nie może być mowy o przyjaźni, musimy być sprzymierzeńcami...
- P. Teszen.** Wspólny interes między mną i panią? Cokolwiek za śmiałe przypuszczenie!
- P. Kozel** (*n. s.*) Co za pycha! (*Głośno.*) Przyznałaś pani, że mnie nie rozumiesz, możesz więc przypuścić, że i teraz się mylisz.
- P. Teszen.** Więc mów pani otwarcie, co mi masz powiedzieć i czego żądasz.
- P. Kozel.** Dobrze. Lecz przedewszystkiem zechciej pani być dla mnie z całym zaufaniem.
- P. Teszen.** Za wiele pani wymagasz.

- P. Kozel.** Chodzi tu o pani interes. Jak również ja ci za ręczę, że postępować będę szczerze i rzetelnie, bo od tego moje własne dobro zawisło. Pani zajmowałaś się pogodzeniem króla z Prymasem?
- P. Teszen.** Tak. Wyświadczyłam królowi tak wielką przysługę, jakiej, spodziewam się, dotąd od nikogo nie doznał.
- P. Kozel.** W istocie, możesz pani być z tego dumną. Ale z jakiego powodu to uczyniłaś?
- P. Teszen.** Pani!
- P. Kozel.** Proszę się nie obrażać. Jeśli wdzieram się w tajniki pani przekonania i uczucia, to czynię dla twego dobra.
- P. Teszen.** Pani żartujesz ze mnie!
- P. Kozel.** Broń Boże! Wszelka lekkomyślność najprzód dla mnie byłaby szkodliwą. Pani masz powody czuć do króla pewną urazę, nie bez słuszności mogłabyś uskarżać się na niego, a nawet źle mu życzyć. Możemy mówić z sobą otwarcie. Zostałaś pani zapomniana przez króla, który dla mnie ciebie porzucił. Podobne kobiety żywią tylko nienawiść dla swych niewdzięcznych kochanków, a nie pracują dla ich dobra, bojąc się tym sposobem uszczęśliwić także rywalkę.
- P. Teszen.** Ach, to było dla pani zagadką! Teraz na mnie kolej powiedzieć ci kilka tak przyjemnych wyrazów jak te, które dopiero słyszałam. Pani masz fałszywe pojęcie o naszym stanowisku. Zostałam opuszczoną przez króla, ale nie zapomniana, zastąpiłaś mię, dzięki swojej zręczności i rozumowi na jego dworze, ale nie w jego sercu. I wszystko co mogłam, uczyniłam dla jego dobra z tego powodu, że go kocham.
- P. Kozel.** Ach, więc to!
- P. Teszen.** I dlatego, że on mnie kocha...
- P. Kozel.** Ze cię kocha!
- P. Teszen.** Można wiedzieć, co się dzieje w całym kraju i po wszystkich gabinetach europejskich, ale nie

słyszeć rozmowy dwojga kochanków. Tu, na tem miejscu, gdzie stoisz, kilka dni temu przysięgał mi, że mnie jedynie kocha, i ani ciebie ani innej kochać już nie będzie!

**P. Kozel.** I pani dla tej przysięgi oddałaś się cała na jego usługi?

**P. Teszen.** Pracowałam dla Augusta, który mnie kocha.

**P. Kozel.** Pani się zawiodłaś!

**P. Teszen.** Co?

**P. Kozel.** Król panią oszukał.

**P. Teszen.** Ha, ha!

**P. Kozel.** Król pani nie kocha, nie myśli o tobie.

**P. Teszen.** Zazdrość przez ciebie się odzywa.

**P. Kozel.** Król ma inną kochankę.

**P. Teszen.** Ciebie?

**P. Kozel.** Nie.

**P. Teszen.** Nie? Więc kogoż?

**P. Kozel.** Taką, której nie znał jeszcze przed kilku dniami, a dla której zapomniał dzisiaj o mnie i o tobie, nawet i o swojej koronie.

**P. Teszen.** Pani mnie w błąd wprowadzasz!

**P. Kozel.** Cóżbym za cel mieć mogła? Jest to okoliczność, która dzisiaj więcej mnie niż ciebie obchodzi.

**P. Teszen.** Możesz mnie przekonać?

**P. Kozel.** Mogę. Nie będziemy na to długo czekać. Król zaprosił ją dziś do siebie. Słyszysz pani ten turkot? To karetą, którą po nią wysłał. (*Zbliżając się do okna*). Widzisz pani tę kobietę, której Ranzau podaje rękę z powozu? Młoda i piękna, nieprawda? To ona.

**P. Teszen.** To kochanka Augusta!?

**P. Kozel.** Tak. Niedługo możemy być świadkami sceny, która do reszty otworzy pani oczy. Chcesz ją widzieć, to usuńmy się stąd na chwilę.

**P. Teszen.** Tak, chcę się przekonać, ile w tem jest prawdy.

**P. Kozel.** A jeśli zobaczysz miłość tę samą, jaką tobie przysięgał, ofiarowaną innej kobiecie, czy będziesz go kochać?



**P. Teszen.** Ach!

**P. Kozel.** Pójdźmy! (*Wychodzą drzwiami na lewo. Henryka i Randzau wchodzi głąbią.*)

SCENA 6.

*Henryka. Randzau.*

**Randzau.** Otóż stanęliśmy na pokojach królewskich.

**Henryka.** Ach, drzę cała!... Ta droga trwała tak długo.

**Randzau.** Niech pani będzie odważną. Trzeba się przyzwyczaić do swego nowego stanowiska. Ci wszyscy ludzie, których spotykaliśmy po drodze, a na których pani nie śmiałaś podnieść oczu, będą niedługo posłuszni na każde twoje skinienie.

**Henryka.** Ach, panie Randzau, jesteś dobrym dla mnie!

**Randzau.** Bądź pani tutaj zupełnie, jak u siebie w domu. Ja tymczasem dam znać królowi o naszym przybyciu.

**Henryka.** Idź, panie Randzau, chciałabym jak najprędzej widzieć króla. (*Randzau odchodzi do króla.*) Jakież tu duszne powietrze! (*Wilhelm wraca od króla.*)

SCENA 7.

*Henryka. Wilhelm.*

**Wilhelm.** Panna Duval!

**Henryka.** To pan! Dziwisz się zapewne, widząc mnie tutaj.

**Wilhelm.** Nie. Od wczoraj wiem już wszystko. Wczoraj już widziałem panią w ogrodzie, chociaż ciebie nie poznałem. Czyż pani równie jak król przebaczysz mi mój nierozważny postępek? Omyliłem się, wyobrażałem sobie inaczej...

**Henryka.** Ach, panie, wszakże chciałeś stawać w mojej obronie!

**Wilhelm.** I pani się nie gniewasz... mogę zatem zupełnie spokojny cię pożegnać.

**Henryka.** Pan się oddalasz... dokąd?

**Wilhelm.** Idę się bić — może umrzeć.

**Henryka.** A!

**Wilhelm.** Rozumiem, co znaczy ten wykrzyk. Nie, pani, ja tobie nic nie wyrzucam. To los tak zrządził. Będiesz pani szczęśliwą, król cię kocha. Ale droga, na którą wstępujesz, ślizka i niebezpieczna, wśród kwiatów woniących, znajdziesz i kolców niemało. Będę prosić Boga o twoje szczęście.

**Henryka.** Dziękuję, mnie trzeba takiej modlitwy.

**Wilhelm.** Żegnaj panią.

**Henryka.** Wracaj pan szczęśliwie. (*Wstrzymuje odchodzącego.*) Panie Wilhelmie... bądź moim bratem!

**Wilhelm.** Na drugim świecie — tutaj nie mogę. (*Odchodzi.*)

**Henryka.** Biedny Wilhelm! Dziś pojmuję jego cierpienie — dziś i ja kocham. (*Król wchodzi.*)

## SCENA 8.

*Henryka. Król.*

**Król.** Kochasz, Henryko, kochasz mnie?... to do mnie mówiłaś: kocham?

**Henryka.** Do ciebie, mój Auguście! (*Król ją całuje.*)

**Król.** Henryko, winienem cię przeprosić za nieprzyjemności, których wczoraj doznałaś.

**Henryka.** Lękałam się bardzo o W. K. Moś.

**Król.** To raz na zawsze ustać już musi. Miłość nasza nie powinna dłużej tać się przed światem. Dlatego wezwałem cię dzisiaj do siebie. Niech wszyscy wiedzą, kto jest panią mojego serca. Tu odtąd będzie twoje miejsce, Henryko. Wyglądasz precudnie w tym ubiorze, a trochę wzruszenia, którego doświadczasz z niespodzianej bytności tutaj, dodaje ci nowego wdzięku. Jesteś zachwycającą. Taką cię mieć pragnąłem, abys olśniła każde oczy patrzące na ciebie.

**Henryka.** W. K. Moś chcesz mię wprowadzić między te tłumy twój tron otaczające, między te piękne

damy i mężczyzn dumnych ze swego rodu i znaczenia? Och, Auguście, oszczędzaj swoją biedną Henrykę!

**Król.** Co mówisz?

**Henryka.** Przybyłam tu, posłuszna twemu rozkazowi, ale ze wstydem i bojaźnią. Auguście, twój królewski zamek nie dla mnie! Tu wszystko mnie przeraża, zacząwszy od oblicza sług twoich aż do widoku tych marmurowych posągów, patrzących na mnie ze zdziwieniem. W tych zwierciadłach widzę swą postać i pytam się sama siebie: czy to ty Henryko? jakim sposobem weszłaś tutaj?

**Król.** I czyż nie odpowiadasz sobie wtedy: miłość otwarła mi te pyszne bramy, ta miłość, która i wrota raję otwiera.

**Henryka.** O nie! Moja miłość nie szukała nigdy przystępu do takich podwoi. W ukryciu i tajemnicy miała ona niebo dla siebie stworzyć. Byłam tak szczęśliwa, kiedy przebrany przyszedłeś do mego skromnego pokoju, a ja nie musiałam myśleć, że widzę przed sobą króla. Nawet i wczoraj — była noc cicha — prócz ciebie nikogo więcej nie obawiałam się zobaczyć, byłam pewna, że nikt o tem nie wie, że cię kocham. A teraz... być wystawioną na tysiące ciekawych oczu, słyszeć dokoła siebie szepty: oto kochanka króla — ocierać się o ludzi, którzy witają mnie ukłonem, a za oczy obrzuca szyderstwem...

**Król.** Czyż nie wierzysz, że moja miłość i wola są dość silne, aby całą drogę, po której tu będziesz stąpać, wysłać ci różami?

**Henryka.** Ja wierzę tobie, Auguście, wierzę twemu sercu i dobremu chęciom. Lecz tysiące okoliczności wpływa na wolę człowieka. Na twoim dworze znajdują się kobiety, które niegdyś, jak ja dzisiaj, szczyły się twymi względami. Mówiłeś mi o pani Kozel, która przed parą jeszcze dniami była twoją kochanką. Każda z nich będzie sądzić, że pragnę

zając ich miejsce, pozbawić ich wpływu i znaczenia. Ich gniew obróci się na mnie. Będę cierpieć, choć ty może tego nie zobaczysz, a jeśli będziesz widzieć, w końcu uprzykrzą ci się te naprężone stosunki; miłość, do której dołączają się zawiść i poziome intrygi, straci wartość w twoich oczach — i wtedy gotoweś mnie poświęcić...

**Król.** Ach, Henryko, jak możesz mnie posądzać!...

**Henryka.** Nie gniewaj się. Ja wiem, że mnie kochasz. Ja to czuję. Ale czyż twoje uczucie może trwać wiecznie? O nie! Tam gdzie nie mogą się rodzić coraz nowe pragnienia, gdzie przed okiem człowieka roztacza się szczupły widnokrąg, niewiele przedstawiający mu przedmiotów, gdzie codzienna troska i staranie w jednej myśli łączą z sobą ludzi, tam miłość może wytrwać do grobowej deski. Ale ty, ty jesteś królem, ty z wysoka patrzysz naokoło siebie, ogarniasz wiele swym wzrokiem i sięgasz daleko!...

**Król.** Więc czegoś żądasz ode mnie, Henryko?

**Henryka.** Pozwól mi wrócić do domu i nie żądaj nigdy, abym przybyła tutaj wtenczas, kiedy ludzkie oczy mają spoglądać na mnie.

**Król.** Pragniesz pozbawić mój dwór tak pięknej ozdoby? To się nie godzi, Henryko! Tyś powinna przyświecać ludziom jak gwiazda.

**Henryka.** Nie!... ja nie mogę oddychać tem powietrzem. To moja pierwsza prośba, Augustacie.

**Król.** Chcesz powracać natychmiast?

**Henryka.** Tak.

**Król.** To być nie może. Jeżeli nie uczynisz zadość memu życzeniu, sceny podobne, jak wczoraj, częściej się jeszcze będą powtarzać. Ty nie wiesz o tem, pani Kozel od początku naszej znajomości śledziła za każdym moim krokiem. Wczoraj dowiedziała się o twojej bytności u mnie, i po twojem oddaleniu się miałem z nią rozmowę, nie bardzo dla mnie przyjemną. To musi się zakończyć,

pani Kozel musi wiedzieć, że cię kocham, i oddawać ci ten szacunek, na który zasługuje osoba wybrana przez króla. W tym celu pragnę ją tutaj zawezwać i oświadczyć jej, za kogo ma cię oddać uważać.

**Henryka.** Najjaśniejszy panie, nie czyni tego. Nie chciałabym widzieć tej kobiety...

**Król.** Henryko, ja cię o to proszę.

**Henryka.** Ach! Pozwól mi się oddalić...

**Król.** Pozostań jedną krótką chwilę, chcę upokorzyć tę kobietę.

**Henryka.** O królu, niedobre masz serce! Ty przesyciłeś się jej miłością, i odtrącasz ją od siebie, ale cóż ona winna, że wszelkimi siłami się broni i nie umie pogodzić się z swym losem? O, kiedyś i ze mną tak postąpisz! (*Pani Kozel i pani Teszen pokazują się w głębi na galerji. Pani Kozel wskazuje na Króla i Henrykę.*)

**Król.** O, nie mów tego! Ja jej nigdy nie kochałem tak jak ciebie. Ona, biorąc moje serce w posiadanie, wdzierając się zarazem, jeśli nie na tron, to na najwyższy jego stopień, aby jaśnieć przy moim boku. Te kobiety sprzedawały mi swoje uczucia za ten blask złota, który padał od mojej korony. Któż mi to powie, czyli ja zwyciężałem ich cnotę, czyli też ich własną ambicyę? Ich miłość nie była twoją miłością! O nie, Henryko, ja się dla ciebie nie zmienię w ten sposób, jak dla wielu innych, nie opuszczę ciebie chłodno i obojętnie, rzucając na pożegnanie ironiczny uśmiech lub wyraz niecierpliwości, goniącej za nową rozkoszą! Ostatni raz zapytuję cię, Henryko, czy nie zmienisz swego postanowienia?

**Henryka.** Nie narażaj mnie na to, Augustcie!

**Król.** Dobrze.

**Henryka.** Nie gniewasz się?

**Król** (*ukłęką, biorąc ją za rękę.*) Ty jesteś aniołem, Henryko! Ja czuję się przy tobie lepszym, szlachet-

niejszym. (*P. Kozel przystępuje do nich. P. Teszen, uczyniwszy kilka kroków naprzód, zostaje w głębi.*)

SCENA 9.

*Król. Henryka. P. Kozel. P. Teszen. (Później) Randzau.*

**P. Kozel.** Brawo, mości królu, brawo! Na kolanach, z czułością w ustach! Nie widziałam cię już dawno w podobnej roli.

**Henryka.** O nieba, to ona!

**Król** (*powstając szybko*). Pani hrabino Kozel, przedstawiam ci pannę Henrykę Duval.

**P. Kozel.** Pannę Henrykę Duval — cóż więcej?

**Król.** Moją kochankę.

**P. Kozel.** A!

**Król.** Moja pani, co znaczy ten ton!

**P. Kozel.** Może bardzo wiele oznaczać. Mogę nim dać poznać W. K. Mości, że zamiast używać tylu kłamstw i wybiegów, należało wcześniej zdecydować się na odkrycie tej tajemnicy; mogę nim witać tę panią i winszować jej nowej godności, która bez wątpienia nie zasługuje na okrzyki czci i zapału; mogę wreszcie wyrażać nim moje ubolewanie nad jej losem...

**Król.** Panna Duval nie potrzebuje pani litości.

**P. Kozel.** Któż to wie? Ja inaczej sędzę, a i ty królu powinienbyś zgodzić się ze mną. Niechaj tylko spojrzysz na mnie, a zobaczy swój los w przyszłości. Cóż innego może ją czekać od ciebie? Czyż kiedykolwiek inaczej postąpiłeś? Policz tylko wszystkie te nieszczęśliwe kobiety, te stargane serca i zgruchotane nadzieje, które masz na swem sumieniu! Niema ani jednego kąta w Europie, gdzieby choć jedna na ciebie nie płakała. Turczynki i Niemki, Hiszpanki, Francuzki i Polki zapręgałeś na przemian do swego rydwanu, ko-

sztując tych rozkosznych owoców z pod każdego nieba, które tylko słońce oświeca. Przysięgi, obietnice, lubieżność, fałsz, hipokryzja to twoi pomocnicy i satellici tryumfalnego wozu!... Słuchaj mię, dziewczyno! Jeśli lekkomyślność lub próżność rzuciły cię w jego ramiona, możesz przez jakąś chwilę nurzać się w rozkoszy i przepychu, a potem kupić sobie męża za złoto z jego ręki otrzymane. Lecz jeśli prawdziwe uczucie popchnęło cię w tę przepaść; jeśli się łudzisz, że dłużej niż niestarta świeżość twego ciała i duszy potrwa jego upodobanie w twoich wdziękach, to dziś już powiedzieć ci mogę, że cię czekają łzy, zapomnienie i rozpacz! I ja także kiedyś pokochałam go. To mało! Oddałam mu się z duszą i ciałem, całą siebie utopiłam w jego istocie, jedyną moją myślą było tylko jego dobro, byłam jego żoną, kochanką, jego ministrem i kamerdynerem. Piękność moją oddałam na łup jego zmysłów, z serca uczyniłam jego anioła-stróża, rozumem uprzętałam mu z drogi każdą zawadę i zmniejszałam ciężar jego pracy. - Dziś, po dwu latach miłości i poświęcenia, porzuca mię najobojętniej, usuwa od siebie, jakby kamień leżący mu na drodze. Ale czyż mnie pierwszej tak uczynił? Powinnam się była uczyć z licznych przykładów, jakie miałam przed oczyma. Ja byłam już piętnastą jego kochanką. Ty, panno Duval, jesteś szesnastą z kolei. O, bo ten człowiek nie ma w sobie jednej kropli krwi ludzkiej, to jest szatan, tygrys, potwór!

**Henryka.** Ach pani, powstrzymaj się!

**P. Kozel.** Ty chcesz go bronić? Ach, ty mnie nie wierzysz! On ci powiedział, że pani Kozel jest dumną intrygantką, która w godnościach i znaczeniu widzi ostatni cel swojej miłości. Tobie trzeba innego świadka. (*Idzie prędko do pani Teszen, i wziąwszy ją za rękę, prowadzi przed Króla i Henrykę.*) Oto go masz!..

**Król.** I pani tutaj!

**P. Kozel.** Oto kobieta, której on sam nie oskarży o dumę i ambycją, która utrzymała na jego głowie spadającą koronę — a jak jej za to zapłacił?

**Król** (*do p. Teszen*). Cóż panią tutaj sprowadziło?

**P. Teszen.** Twoje wiarołomstwo, mości królu!

**Król.** Dajmy pokój tej komedyi. Pani przybyłaś tu w interesie Prymasa.

**P. Teszen.** Już zapomniałam o tem. Co mnie obchodzi Prymas i jego polityka, co mi do tego, czy ty czy król szwedzki, czy ktobądź inny będzie dźwigał twoją koronę? Ja wiem tylko jedno, jedno widzę i czuję, że utraciłam szczęście na zawsze, że ty, królu, złamałeś twoją przysięgę. Och, zraniłeś mię do głębi serca! Gdybym miała tę siłę, rzuciłabym się jak podrażniona lwica na ciebie i na tę twoją kochankę, aby was w sztuki portargać! W mej duszy taki żar, jak od rozpalonej lawy. I czegoż ja od ciebie pragnęłam? Zostawiałam ci całą twoją swobodę, wszystkie uciechy i rozkosze miłości; wolno ci było obdarzać każdą ulubienicę swymi względami i łaską, czynić wszystko, czego zażąda lekkomyślność, szaf i namiętność; dla siebie chciałam tylko pamięci i uczucia. Ty rzuciłeś je pod nogi pierwszej lepszej dziewczynie, która cię swym wdziękiem ujęła. Mości królu, ja tobą gardzę!

**Henryka.** Ach!

**Król** (*wstępując między p. Kozel a p. Teszen*). Pani!

**P. Teszen.** Moja rozpacz spadnie na twoje sumienie!

**P. Kozel.** Bóg cię ukarze za moje łzy!

**P. Teszen.** Wiarołomny!

**P. Kozel.** Niewdzięczny!

**Król.** Ależ na Boga!

**P. Kozel.** W. K. Mość oszukałeś mnie niegodnie!

**P. Teszen.** W. K. Mość podszedłeś moją dobrą wiarę!

**Król.** Uspokójcie się, panie, i pomówmy bez namiętności.



**P. Teszen.** Tak straszliwa zniewaga!...

**P. Kozel.** Ty nie jesteś godzien miłości żadnej kobiety!

**Henryka.** Ach!

**Król** (*opuszczając p. Kozel i p. Teszen*). Ona płacze! Henryko, miej litość nade mną!

**Henryka.** Widzisz, jak prędko sprawdziło się moje przecucie. Ty chciałeś mię wprowadzić w ten wir zazdrosnych i namiętnych uczuć. To, co tu słyszałam, boleśnie dotknęło mą duszę. Niestety, stałam się dla tych pań przyczyną cierpień. A co więcej, z mego powodu i ty także cierpisz. One nie miały litości nad tobą!

**P. Kozel.** Czy pani na naszym miejscu przebaczyłabyś?

**Henryka.** Tak, pani. Słyszałam dzisiaj z waszych ust tyle złego na króla; wyliczyliście wszystkie zdrady, jakich się w życiu dopuścił; widzę was wreszcie, które odstąpił dla nowych uczuć, a jednak nie mam odwagi go potępić, i wasz los mnie nie przeraża. Kocham go, to dosyć, to wystarczy mi na całe życie!... Jemu zawdzięczam, że doznałam na świecie tego czaru, który naszą istotę nadziemską rozkoszą napawa. Dla tego dzisiaj, dla tej jednej chwili, gotowa jestem przebaczyć mu wszystkie błędy w przyszłości. Nie, ja nie mam prawa żądać, aby więcej dla mnie czynił jak to, że mi dał poznać miłość... Być przez niego jeden dzień kochaną, wystarczy na wieki! Kiedyś, gdyby serce jego dla mnie ochłódko, jabym go nie przeklinała jak wy, anioł miłości stanąłby wtenczas przed moją duszą i mówił: to ten, któregoś kochała, on grzeszy przeciw tobie, ale on cię kochał.. i gorycz mego serca łagodziłaby się litością i wspomnieniem przeszłości. Nie, moje panie, przekleństw i zło-rzeczeń nie nosi nigdy miłość na swoich ustach!

**Król.** Dziękuję ci, Henryko. Pani hrabino, pani Teszen, zostałyście zawstydzone. Spodziewałyście się zerzeć mię na miazgę swymi wyrzuty; sądziłyście,

że panna Duval przełęknie się tego czarnego obrazu, jaki postawiłyście jej przed oczy. Ale miłość prawdziwa jest potężną, ona zwalcza najmądrzej przemyślane plany; odezwała się, a wasze słowa pierzchły przed nią jak chmury przed podmuchem wiatru. Porównajcie teraz swoje i panny Duval postęпки, a poznacie, którymi kierowało prawdziwe uczucie. Ja nie potrzebuję się nad tem ani chwili namyślać, ja nie wątpię, że tylko ona mnie kocha. Ta chwila przykrą dla mnie była, ale ona urzeczywistniła moje postanowienie. Odtąd co do wyboru mojego serca niema już dla pań tajemnicy, i zjawienie się panny Duval na moim dworze nie będzie was zadziwiać. Henryko, zależy to tylko od twej woli, ile razy zechcesz tu przybyć. A teraz czas nam panie pożegnać. (*Do Henryki*). Czy każesz odwieźć się do domu?

**Henryka.** Tak, najjaśniejszy panie.

**Król** (*woła do drzwi swych apartamentów*): Randzau! (*Randzau wchodzi*). Odprowadź pannę Duval. Żegnam cię, Henryko! (*Podaje jej rękę*).

**P. Kozel** (*n. s. do Randzaua*). Widzisz, zdrajco, do czego przyszło!

**Randzau** (*n. s.*) Moja siostró, chciałem utrzymać w tajemnicy całą intrygę, aby cię tem więcej zajęło rozwiązanie. (*Henryka oddaje ukłon p. Kozel i p. Teszen, na który te zimno odpowiadają. Król prowadzi ją za rękę aż do galeryi w głębi. Randzau idzie za nimi. Henryka i Randzau wychodzą. Król wraca się*).

**Król** (*do p. Kozel i p. Teszen*). Żegnam was, panie. (*Ochodzą do swych pokojów*).

#### SCENA 10.

*P. Kozel. P. Teszen.*

**P. Kozel.** Przekonałaś się pani?..

**P. Teszen.** Aż nadto!

**P. Kozel.** I cóż myślisz?...

**P. Teszen.** Zgotować jak najprędzej taki los Duvali, jakiego my dziś doznajemy.

**P. Kozel.** Tak, trzeba jak najprędzej wyrwać króla z rąk tej dziewczyny, jeśli nie ma być zgubiony na zawsze.

**P. Teszen.** Muszę się zemścić!...

**P. Kozel.** Zemścimy się, tylko pani mi ufaj.

**P. Teszen.** Będę ufać.

**P. Kozel.** Broń mamy w ręku gotową. Pójdźmy. (*Wychodzą*).

---

## AKT PIĄTY.

Sala na Zamku.

### SCENA 1.

*P. Kozel. Lebeau (wchodzą).*

**P. Kozel.** Panie Lebeau, zajmij się tem ze zwykłą swoją pilnością. Wypakujesz garderobę królewską i kosztowności. O reszcie ja już będę pamiętać.

**Lebeau.** Czy mam to uczynić zaraz?

**P. Kozel.** Jak najprędzej. Pospiech jest potrzebny, bo nie można oznaczyć godziny, kiedy wszystko powinno być gotowe. Każesz także zaprządz do pojazdów i furgonów, jak się to zwykle dzieje przy dalszej podróży króla.

**Lebeau.** J. K. Mość wyjeżdża?

**P. Kozel.** To nie jest jeszcze pewne. Ale na wszelki wypadek powinien wszystko znaleźć w gotowości, tak aby w jednej chwili mógł opuścić Warszawę.

**Lebeau.** Dobrze.

**P. Kozel.** Staraj się przytem jak najmniej zwracać uwagi.

**Lebeau.** Dobrze.

**P. Kozel.** Polegam na tobie, panie Lebeau. (*Lebeau wychodzi*). Chwila stanowcza się zbliża... Wdałam się w grę niebezpieczną, ale cokolwiekby król musi przyznać, że mu tylko równą monetą odpłacam. (*Randzau wchodzi*).

## SCENA 2.

*P. Kozel. Randzau.*

*(Randzau zajęty myślami nie spostrzega pani Kozel).*

**P. Kozel.** Dzień dobry, Randzau. Zdajesz się być nie w najlepszym usposobieniu?

**Randzau.** Jakżem szczęśliwy, że cię spotykam. Wiesz, że od niejakiego czasu upatruję cię i szukam.

**P. Kozel.** Tak jak ja to niedawno za tobą czyniłam.

**Randzau.** Właśnie toż samo chciałem powiedzieć.

**P. Kozel.** Przez ten czas wielka w tobie zaszła odmiana. Jesteś kwaśny i krzywy...

**Randzau.** Gdybym się nie wstydził prawie ci komplementów, mógłbym powiedzieć, że to z tęsknoty za tobą.

**P. Kozel.** Wybornie!

**Randzau.** Ale dajmy pokój żartom.

**P. Kozel.** Tak, pora intryg i komedyi już minęła.

**Randzau.** Zgrzeszyłem, moja siostrzo.

**P. Kozel.** Przyznajesz się do winy?..

**Randzau.** Niezupełnie, to jest nie przypisuję sobie tak wielkiej winy, jaką ty mnie obarczasz.

**P. Kozel.** Najzupełniejsza zdrada i oszukaństwo!

**Randzau.** Niekoniecznie.

**P. Kozel.** Czy tak?

**Randzau.** Spodziewam się, że sama to rozumiesz.

**P. Kozel.** Bynajmniej.

**Randzau.** Czyż tak wielkie z tego powodu poniosłaś straty?

**P. Kozel.** Dzisiaj nie mogę jeszcze powiedzieć ani tak ani nie. Ale niebezpieczeństwo było wielkie, do tej chwili jeszcze mi grozi, a potem...

**Randzau.** A potem co jeszcze?

**P. Kozel.** Moje łzy, moje zmartwienie!

**Randzau.** Och, och!

**P. Kozel.** Nie wierzysz?

**Randzau.** Nie wierzę z zasady we wszelkie czułości. Widziałaś wszystko przez pryzmat uprzedzenia i zazdrości. Rzadko która ulubienica była tak jak panna Duval bezpieczna dla swej poprzedniczki. Czegóż ona chciała? Kochać króla. Kochać, to nie znaczy zajmować pierwsze miejsce przy jego boku, ani rej wodzić na dworze, ani kierować sprawami króla, jego wola, rozumem, polityką itp. Dlatego z największą łatwością mogłyście podzielić się osobą J. K. Mości; on sam nie czego innego pragnął, i dziwię się bardzo, dlaczego ty, moja siostró, dobijasz się tak usilnie o tę najbliższą bez wątpienia z atrybucyi królewskich — o jego serce. Stanowisko twoje nie było bynajmniej zachwiane, i mogłaś z uśmiechem spokoju przyglądać się szaleństwu J. K. Mości.

**P. Kozel.** Na to trzeba być takim cynikiem jak ty!

**Randzau.** Na to trzeba mieć rozum! Tymczasem, cóż zrobiłaś dobrego, słuchając tylko swojej namiętności? Mieliśmy już niejedną burzę — ale mniejsza o to, od kilku dni horyzont tak się zachmurzył, że nie wiem, co nas jeszcze spotka...

**P. Kozel.** Katastrofa, a potem spokój zupełny.

**Randzau.** I jedno i drugie jest niedobre. Człowiek powinien unikać i nagłych wstrząśnień, które są wybuchem nagromadzonych żywiołów uczucia, i tej martwej ciszy, w której jego krew gnije, a umysł tępieje. Lekkie falowanie po powierzchni świata, to się zowie życiem rozumnym, to stanowi równowagę ducha i materyi, i tę harmonią, która jest celem człowieka.

**P. Kozel.** Chcesz mnie nawrócić?

**Randzau.** Lubię czasem filozofować. Ale chciej mi powiedzieć, z której strony uderzy ten piorun?

**P. Kozel.** To byłaby wielka naiwność z mej strony.

**Randzau.** Nie wierzysz mi?

**P. Kozel.** Naturalnie.

**Randzau.** Ale ja pragnę żyć z tobą w zgodzie.

**P. Kozel.** Czujesz się pokonanym?

**Randzau.** Cokolwiek.

**P. Kozel.** To mi pochlebia.

**Randzau.** Jesteś zbyt ostrą. Ręczę, że ty kierujesz tymi gromami, które spadają na króla z ręki Prymasa. Pani Teszen dała ci się użyć za narzędzie.

**P. Kozel.** Przyznasz, że je dobrze dobrała.

**Randzau.** Ale do czegoż to wszystko doprowadzi? Czy sądzisz, że król, wybrnąwszy z tych kłopotów, nie zwróci się z całą miłością do Duvali.

**P. Kozel.** Tak, gdybym dzieła tylko w połowie dokonała. Ale tak nierozsądną nie będę.

**Randzau.** Ty coś strasznego zamysłasz?

**P. Kozel.** Nie lubię grozić. Zobaczysz niedługo.

**Randzau.** A kiedy zwyciężysz, czy będziesz wspaniałomyślną?

**P. Kozel.** Dla kogo?

**Randzau.** Najprzód dla króla..

**P. Kozel.** We wszystkim co czynię, mam tylko jego dobro na oku.

**Randzau.** A dla mnie?

**P. Kozel.** Dla ciebie? A to rzecz inna! Spodziewam się, że wszelkie zmiany losu będziesz umiał znieść ze spokojem filozoficznym, i nie dasz nad sobą zawiądnąć uczuciu tak, abyś stracił równowagę moralną. Tymczasem mogę ci tylko powiedzieć: bądź spokojny i nie daj się trwożyć strachom wyobraźni. (*Zamierza się odejść*).

**Randzau.** Ależ zaczekaj!

**P. Kozel.** Nie mam czasu. (*Odchodzi*).

**Randzau.** Masz tobie! Oddała mi wet za wet. Musi być pewną swego. (*Król wchodzi*).

SCENA 3.

*Randzau. Król. (Później) Lebeau. Robert.*

**Król** (*zatrzymując się niedaleko drzwi i patrząc na Randzaua*). Randzau, nie lubię tego.

**Randzau** (*podnosząc głowę*). Czego, najjaśniejszy panie?

**Król.** Kiedy jesteś w złym humorze.

**Randzau.** Od kilku dni podobno wszyscy podlegamy tej chorobie. Czoło W. K. Mości nie wolne od zmarzszek.

**Król.** Dlatego właśnie chciałbym widzieć na innych uśmiech i wesołość.

**Randzau.** Niestety! należy to do niekorzystnych przywilejów wyższości, że wszystko dokoła podług swego tonu nastraja.

**Król.** Nie pamiętam, czy byłem kiedy tak upadły na duchu jak teraz. To powietrze cięży mi na piersiach. Musimy być przygotowani na największe nieszczęście. Zdrada ze wszystkich stron nas obsaczyła!

**Randzau.** Czyli odstępstwo Prymasa jest już zupełnie pewne?

**Król.** Nie podlega już żadnej wątpliwości. A co więcej w jego postępowaniu widać pewną złowróżbną logikę, pewną systematyczność, która każe się spodziewać coraz zuchwalszych kroków. Po owym liście pełnym uprzejmości, wieczorem tego samego dnia przysłała mi inny, w którym podaje mi swoje warunki, tak twarde, że ich na żaden sposób przyjąć nie mogłem. Potem widzę się z nim, i oświadcza mi, że chce zostać neutralny. Potem na nowe moje wezwanie odpisuje, że zrywa ze mną wszelkie stosunki. Tymczasem nadchodzi wiadomość, że Szwedzi przeszli granice Rzeczy-

pospolitej. Widocznie Prymas i Karol XII. już się porozumieli. Co z tego będzie, boję się przewidywać!

**Randzau.** Czy W. K. Mość się domyśla, kto jest sprawcą tego nieszczęścia?

**Król.** Pani Teszen? myślisz. I mnie to przechodziło przez głowę, a jednak temu wiary dać nie mogę. Pomimo całego jej gniewu, wątpię, aby mię chciała gubić. Przypuszczam raczej, że została równie jak ja oszukana przez Prymasa.

**Randzau.** Kobiety są to stworzenia, które we wszystkim przesadzają. I pani Teszen mogła przebrać miarę w swej zemście, zwłaszcza jeśli znalazła podniecie ze strony pani Kozel.

**Król.** Ze strony pani Kozel? To niepodobna! Pani Kozel nadto jest polityczną głową, by nawet dla kapryśnej zemsty narażać na szwank moją sprawę.

**Randzau.** Niech W. K. Mość nie wierzy dobremu sercu ani rozumowi tych kobiet. Ich współnictwo w tej sprawie widoczne jest od pierwszego kroku. Zazdrość je zaślepiała, i zwały na głowę W. K. Mości ten straszny ciężar.

**Król.** Ach, okropny ciężar! Od czterech dni pierwsza to podobno swobodniejsza chwila, gdzie mogę z tobą rozmawiać. Ustawne interesa, narady z ministrami, korespondencye, posłuchania, odowiedziny, ciągle a coraz gorsze wiadomości — i tak bez końca, że odetchnąć nie mogę swobodnie, że mi aż głowa pęka. Wolałbym rzucić już te nudne mury gabinetu i udać się na pole walki. Ach, Randzau, gdzie się podziały nasze dobre czasy!

**Randzau.** Niestety!!

**Król** (*po chwili*). Co też porabia Henryka? Od czterech dni jej nie widziałem.

**Randzau.** Tak, całe dni cztery.



**Król.** Musi za mną tęsknić... Po czterech dniach pierwszy raz o niej pomyślałem. Ale niechno zwałę raz z karku te kłopoty!

**Lebeau** (*wchodzi*). Oficer z gwardyi prosi o posłuchanie u W. K. Mości.

**Król.** Nie mam czasu. Niech przyjdzie kiedyindziej.

**Lebeau.** Powiada, że ma pilny osobisty interes.

**Król.** Wpuść go. (*Lebeau się oddala. Wchodzi Robert*).

**Robert** (*oddawszy ukłon*). Mam zaszczyt przedstawić się W. K. Mości. Jestem porucznikiem w gwardyi...

**Król.** Czegóż waćpan żądasz?

**Robert.** W. K. Mość przypomina sobie może moją osobę. Przed kilku dniami w ogrodzie tej nocy, kiedy...

**Randzau** (*nachylając się nad krzesłem króla*). To ten zuch, co tak natarczywie mię zagadnął.

**Król** (*wstając*). To waćpan. Tak przypominam sobie.

**Robert.** Interes, będący w styczności z ową przygodą, sprowadza mię przed oblicze W. K. Mości. Pragnąłbym jednak pomówić bez świadków.

**Król.** Oddal się, Randzau. (*Randzau wychodzi*).

#### SCENA 4.

*Król. Robert.*

**Król.** Przychodzisz od Henryki?

**Robert.** Tak, najjaśniejszy panie. Niech to W. K. Mości nie dziwi. Ja kocham Henrykę, nie tak wprawdzie jak mój kolega Wilhelm albo jak... kocham ją jak moją siostrę, jak moje dziecko. W. K. Mość sam wiesz najlepiej, jakie to szlachetne stworzenie...

**Król.** Tak, tak. Jakże Henryka się miewa?

**Robert.** Jest zdrowa, chociaż teraz smutniejsza niż dawniej. Ale niema się czemu dziwić! Otóż ja, jak W. K. Mości wiadomo, znajdowałem się z moim kolegą w ogrodzie owej nocy... Przybyłem tam przez przyjaźń dla Wilhelma i Henryki. Wilhelm

przedstawił mi inaczej te rzeczy, tak że później nie wszystko mogłem zrozumieć. W. K. Mość się domyślasz, że nie mogłem pojąć, jakim sposobem Wilhelm widział Henrykę wchodzącą do ogrodu, kiedy, jak się później okazało, jej tam wcale nie było, albo dlaczego W. K. Mość biłeś się z Wilhelmem, kiedyśmy się na Randzaua gotowali, i z jakiego powodu pani Kozel czyniła W. K. Mości wyrzuty o Henrykę, kiedy się przekonała, że to było czyste przywidzenie. Pytałem o to wszystko Wilhelma, ale milczał jak skała.

**Król.** Waćpan masz zapewne jakieś polecenia od Henryki?

**Robert.** Tak, najjaśniejszy panie. Właśnie przychodzę do tego. Udałem się zatem z zapytaniami do Henryki. Ona była otwartzą. Z tego co mi powiedziała, i czego sam byłem świadkiem, poznałem całą prawdę. Odtąd przyjaźń moja z Henryką stała się ściślejszą, chcąc nie chcąc zostałem jej powiernikiem, i przez tych kilka dni ostatnich wiem prawie o każdej jej myśli. Henryka ciągle była smutną, codzien smutniejszą. Zapytywałem ją o powód. Ale w tym jedynie wypadku była dla mnie tajemniczą, zbywając mię lekkim uśmiechem. Nareszcie dzisiaj odezwała się do mnie: Panie Robercie, chcesz mi zrobić łaskę? Jestem bardzo niespokojna, od czterech dni nie widziałam króla. Jak słyhać, wojna się już rozpoczęła. Król musi być bardzo zajęty i zmartwiony. Idź na zamek i przypomnij mu Henrykę, powiedz, że się modłę o jego szczęście...

**Król.** Dobra Henryka!

**Robert.** Tak mówiła do mnie. Ale w tej chwili, kiedy odwróciła się ode mnie, wyszeptala sama do siebie: On mnie zapomniał!... Najjaśniejszy panie, miej litość nad tem dzieckiem, pociesz ją i zapewnij, bo ta myśl zabija ją powoli. Mówiła mi o pani Kozel i o pani Teszen. Ona jest pewna, że te

panie niedługo zatrą jej pamięć w sercu W. K. Mości... pamięć jej, biednej dziewczyny...

**Król.** Dziękuję waćpanu za te wiadomości, i cieszę się, że mogę przez ciebie porozumieć się z Henryką...

**Robert.** Słowo W. K. Mości będzie dla niej wielką pociechą...

**Lebeau.** *(wchodzi.)* Pani Teszen.

**Król.** Znow ona! Prosić. *(Lebeau odchodzi. Król przechadza się wielkimi krokami.)* Co to ma znaczyć?

**Robert.** Najjaśniejszy panie, cóż mam powiedzieć Henryce?

**Król.** Zaczekaj waćpan w przedpokoju, odpowiem później.

**Robert.** Będę czekać... *(Salutuje — w głębi spotyka się z panią Teszen, przygląda się jej bystro i zmarszczywszy brwi, odchodzi.)*

#### SCENA 5.

*Król. P. Teszen.*

**Król.** *(zatrzymując się za jej wejściem i stając naprzeciw niej.)* Przybycie pani mocno mię dziwi — przeczuwam, że mi zwiastuje nowe jakieś ważne wydarzenie. Czy znowu Prymas przysłała panią do mnie?

**P. Teszen.** Nie, tym razem przychodzę sama od siebie. Nie wątpię, że W. K. Mość spodziewała się w tych czasach mojej bytności. Od kilku dni taki obrót rzeczy wzięły, że ja przynajmniej czuję się w obowiązku ich wytłómaczenia,

**Król.** Masz pani słuszość. Wielkie obietnice pani zupełnie mię zawiodły. Dzisiaj jestem opuszczony, a do tej chwili może nawet zdradzony przez Prymasa!

**P. Teszen.** Jak najzupełniej. Prymas opuścił wczoraj Warszawę, aby stanąć na czele konfederacji, która się zawiązała przeciw W. K. Mości, i podać rękę nadiągającemu na stolicę królowi szwedzkiemu.

**Król.** Ach, to okropne! I ja o tem dotąd nie wiedziałem!

**P. Teszen.** Było to zarówno interesem twoich przeciwników jak i przyjaciół. Do tej pory wojsko W. K. Mości, wystawione przeciw Szwedom, bije się już z Karolem XII. i prawdopodobnie zostało pokonane!...

**Król.** Ostatnia moja armia w Rzeczypospolitej!

**P. Teszen.** Po tej klęsce nie będziesz W. K. Mość mieć ani jednego pułku w Polsce przeciw Szwedom i konfederatom...

**Król.** Moja stolica ogołocona z wszelkiej obrony!

**P. Teszen.** Trzeba będzie opuścić Warszawę.

**Król.** Oddać ją na łup Karolowi XII!

**P. Teszen.** Obronić jej nie można!

**Król.** O zdrajcy! zdrajcy!

**P. Teszen.** Niech W. K. Mość nie wyrzeka na nikogo — sam jesteś winien całemu nieszczęściu.

**Król.** Ja?!

**P. Teszen.** Czy W. K. Mość dotrzymałeś mi przysięgi?...

**Król.** Więc to ty, Aurelio?!...

**P. Teszen.** Tak. Wszystko, co Prymas uczynił, stało się z moją wiedzą i chęcią. Mówię ci otwarcie, królu, zemściłam się!

**Król.** Ty miałaś serce popchnąć mię w tę przepaść?!

**P. Teszen.** W. K. Mość się mylisz. Nie jesteś jeszcze na dnie przepaści. Postawiłam cię tylko na jej krawędzi. Od ciebie będzie zależeć, czyli się nad nią utrzymasz. Ziemie Rzeczypospolitej są dla W. K. Mości stracone, ale pozostaje ci jeszcze Saksonia. Tam możesz znaleźć wojsko, przewyższające siły Karola XII.; stamtąd możesz wejść w układy z malkontentami, którzy tylko w braku lepszej przyjęli protekcją króla szwedzkiego; możesz zawiązać stosunki z carem Piotrem, którego więcej, niż wszystkie inne kombinacje polityczne, pobudzą do wojny te gwałtowne zwycięstwa Szwedów. Tylko trzeba być królem, najjaśniejszy panie, trzeba być mężem, zapomnieć o rozkoszy i przyjemnościach królewskiego buduaru, a przy-

wdziać twardą zbroję rycerza, który na końcu oręęża nosi swą przyszłość! Na koń, mój królu! na pole walki — a pokonasz Karola XII. i wrócisz do swej stolicy!

**Król.** Dziwną jesteś kobietą, Aurelio! Dlaczegoż mam tracić koronę i znów ją odzyskiwać?

**P. Teszen.** Dlatego, abym cię wyrwała z objęć panny Duval, a przyprowadziła do stóp pani Kozel! (*Słychać strzał armatni*). Ha, już się ślało!

**Król.** Co to jest!

(*Randzau i Robert wbiegają — po chwili wchodzi pani Kozel, zatrzymując się na początku tej sceny w głębi*).

## SCENA 6.

*Król. P. Teszen. Randzau. Robert. P. Kozel.*

**Randzau.** Okropna wiadomość!

**Robert.** Najjaśniejszy panie, w tej chwili przybył kurier z obozu. Wojsko W. K. Mości zostało niespodzianie atakowane przez nieprzyjaciół i pobite. Szwedzi bez zwłoki wyruszyli na Warszawę i kiedy to mówię, ich forpocztę docierają już do murów miasta.

**Król** (*zakrywając twarz rękami*). Boże, co za nieszczęście!.. (*Chwila milczenia*).

**P. Kozel** (*zbliżając się do Króla*). Odwagi, najjaśniejszy panie! Losy wojny są zmienne, dziś zwyciężony, możesz jutro być zwycięzca.

**Król** (*patrzy chwilę w jej oczy i podaje jej rękę*). Gabryelo!...

**P. Kozel.** W. K. Mość żałujesz swoich błędów?

**Król.** Przebaczcie mi moją lekkomyślność. W chwili kiedy należało jedynie pamiętać o losach kraju i korony, oddałem się nierozważnie uczuciom serca, i nie umiałem was ocenić. Ten grom, który spadł u stóp moich, przywraca mi rozum. Ale cóż teraz czynić? powiedzcie mi!

**P. Kozel.** Trzeba wyjechać z Warszawy tej chwili. Miasto jest bezbronne, i na wierność mieszkańców W. K. Mość nie możesz liczyć. Spodziewałam się tego nieszczęścia. W. K. Mość masz wszystko w gotowości. Skarb i klejnoty uwieszone, na dziedzińcu zamkowym stoją zaprzężone pojazdy i eskorta dość silna do przewiezienia W. K. Mości do granic Rzeczypospolitej...

**Król.** Gabryelo, ty jesteś moim aniołem-stróżem! Tak, do Saksonii, do Saksonii! Tam się uzbroję przeciw Karolowi XII. a potem wrócimy tutaj, aby z nim walczyć!

**P. Teszen.** Powracaj W. K. Mość jak najprędzej do nas w tryumfie. Od chwili, w której staniesz za murami Warszawy, jedyną będzie moją myślą służyć twojej sprawie.

*(Lebeau przyniósł Królowi płaszcz i kapelusz. Król kładzie je na siebie).*

**Król.** Podaj mi rękę, Gabryelo. Odtąd pójdziemy tak wspólnie naprzeciw złej doli i wrogom!

**P. Kozel.** W Bogu nadzieja, że ich zwyciężym.

*(Król wychodzi, prowadząc panią Kozel).*

**Randzau.** Do Saksonii? Zgoda! W Warszawie zaczynało już być nudno. *(Odchodzi za Królem).*

**Robert.** Biedny mój Wilhelm!... Przysłał mi ostatnie pożegnanie z pola bitwy. Nie zobaczymy się już jak na drugim świecie.

**P. Teszen** *(która odprowadziła wzrokiem Króla i panią Kozel aż do drzwi).* Teraz mogę odetchnąć swobodniej. Pani Kozel uprowadziła z sobą króla... ale on jej nie kocha!... *(Przystępuje do okna).* Wsiadają do pojazdu.

*(Od wyjścia Króla i z początkiem sceny następnej głębią sali przebiegają Żołnierze z gwardyi, Lokaje z pakunkami itp. i kilka innych osób. Ruch jak przy nagłym wypadku. Wbiega Henryka, ubrana jak w akcie II. Strój jej w nieładzie).*

## SCENA OSTATNIA.

*P. Teszen. Robert. Henryka.*

**Henryka.** Gdzie jest król? ratujcie go!

**Robert.** Henryka!

**Henryka.** Gdzie jest król? powiedz mi, gdzie jest król! Szwedzi już w mieście... na ulicach słyszałam krzyki: Precz z królem! śmierć Sasom!... Gdzie on jest?

**Robert.** Niestety!

**Henryka.** Co ty mówisz?! Tyś blady! Ja chcę widzieć króla — chcę być z nim razem...

**Robert.** Nie zobaczysz go...

**Henryka.** Co?!

**Robert.** Król odjechał.

**P. Teszen** (*stojąc przy oknie*). Król odjeżdża. Panno Duval, czy chcesz widzieć króla raz ostatni? (*Henryka zbliża się do okna*). Widzisz? siedzi w powozie z panią Kozel... odjeżdżają do Saksonii... daleko...

**Henryka** (*patrzac przez chwilę, chwieje się*). On mię opuścił! (*Pada zemdlona przy oknie. Robert załamuje nad nią ręce. Słychać trąby i bębny Szwedów wchodzących do miasta*).

















WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH  
BIBLIOTEKA

66.071

Biblioteka WSP Kielce



0179273